

WYDANIE NA BOŻE NARODZENIE • 132 STRONY

SZUKAJ EGZEMPLARZA Z PASJONUJĄCYM FILMEM FABULARNYM „WYWIAD Z BOGIEM”

TYGODNIK LISICKIEGO

DO

CENA 8,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 51/353 16-26 GRUDNIA 2019

RZECZY

Muniek Staszczyk
o nieznanym wcześniej
poczuciu wolności

Nowy Grzegorz Braun
Żywoty błaznów polskich
– piórem Komudy

Łysiak o Machiavellim
w 550. rocznicę jego urodzin



ARCYBISKUP MAREK JĘDRASZEWSKI
W ROZMOWIE Z „DO RZECZY”:

Nie przegramy
walki o Polskę

Pomoc fachowców i 100 zł w prezencie

Prąd
z extra
premią



Odbierz
extra
premię

100 zł
w prezencie
na rachunki za prąd!

Zamów już dzisiaj!

Informację o tym, kiedy i na jakich warunkach skorzystasz z naszej oferty „Prąd z extra premią”, znajdziesz w regulaminie i jego załącznikach, w tym w warunkach ubezpieczenia Assistance Domowy Pakiet Premium świadczonego przez PZU SA. Szczegóły sprawdzisz na energa.pl oraz w salonach sprzedaży Energi Obrót SA. Wartość świadczeń w ramach sprzedaży premiowej nie przekracza progu 2000 zł brutto określonego w art. 21 ust. 1 pkt 68 ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych.



Energa
Obrót



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Właściwe **miejsce** religii



Jak uczy nas Biblia, gdy mędrcy »Weszli do domu i zobaczyli Dziecię z Matką Jego, Maryją; upadli na twarz i oddali Mu pokłon«. Chrześcijanie składają dzięki, że Syn Boży przyszedł na świat, by zbawić ludzkość. Jezus Chrystus inspirował nas do tego, by kochać się nawzajem, mając serca pełne wielkoduszności i łaski – nie, nie są to słowa jakiegoś niezbyt oryginalnego kaznodziei, który postanowił zwrócić się do wiernych w czasie Bożego Narodzenia. To cytaty z oficjalnego wystąpienia Donalda Trumpa, które wygłosił podczas uroczystości odsłonięcia choinki w Waszyngtonie.

pozyskiwaniu zwolenników, budowaniu tożsamości swojego obozu. I wiem też, że mówiąc o chrześcijańskiej miłości i czci Dzieciątka, prezydent Trump, podobnie jak jego poprzednik, wciąż wspiera koszmarną propagandę LGBT i nadal czyni z Ameryki promotora ideologii gender. A jednak mimo tych wszystkich zastrzeżeń nie sposób nie zauważyć, że co najmniej w dwóch punktach obecny prezydent USA broni konserwatywnych wartości. Po pierwsze, faktycznie ograniczył finansowanie klinik aborcyjnych w Stanach i po drugie – zakończył wspieranie organizacji propagujących zabijanie nienarodzonych

błędów, słabości i wahań, tak typowych dla obecnej kadencji w Waszyngtonie, już samo publiczne wspomnienie o Bożym Narodzeniu jest czymś ważnym. Gesty i słowa mają same w sobie pewną siłę i moc. Kreują rzeczywistość polityczną. Dlatego warto je doceniać i pokazywać. Tym bardziej że w Polsce coraz częściej można usłyszeć głosy tych, którzy domagają się „dechrystianizacji przestrzeni publicznej”. Jednym nie podoba się krzyż w Sejmie, innym uroczystości państwowe z udziałem biskupów, innym wreszcie przeszkadza opłatek świąteczny w instytucjach publicznych. Wszystko to są przejawy tego samego niebezpiecznego nihilizmu, który tak bardzo spustoszył i wyjąłowił ogromne obszary Zachodu, który prowadzi do ograniczenia wolności wyznania i w ostateczności unieważnia zasady prawa naturalnego.

Niezależnie od wszystkiego pewne jest jedno, a mianowicie to, że temu pochodowi nihilizmu nie wolno ulegać. Nie wolno się cofać i rezygnować z obecności chrześcijańskich znaków tam, gdzie jest i było ich miejsce – właśnie w przestrzeni publicznej. Przypominają one, że ów nowo narodzony Jezus nie tylko urodził się w lichej stajence, lecz także że jako prawdziwy Pan świata odebrał pokłon i dary od – reprezentujących moce ziemskie – królów. Czy to się zatem komuś podoba, czy nie, należy o tym przypominać. Obrona obecności religii w przestrzeni publicznej, politycznej, świeckiej jest dla zachowania wiary czymś kluczowym. Religia to kwestia prywatna, ale też publiczna. Skutkiem jej usunięcia z przestrzeni publicznej byłoby po pewnym czasie jej zniknięcie ze sfery prywatnej. ©



Wyraźnie widać, że prezydent USA nie waha się, używając języka lewicowych publicystów, mieszać religii do spraw polityki. I bardzo dobrze. Jedyne, czego można żałować, to tego, że takich słów nie jest w stanie wypowiedzieć żaden z przywódców ważnych państw Unii. Ani prezydent Francji, ani kanclerz Niemiec, ani premier Hiszpanii, Włoch, Portugalii czy Holandii. Owszem, nie jestem naiwny. Wiem, że słowa niekoniecznie świadczą o zaangażowaniu i prawdziwych intencjach. W ustach polityków służą tyleż opisowi rzeczywistości i odśłanianiu uczuć, co grze,

na świecie. Poza tym broni tradycyjnie rozumianej wolności słowa przed zakusami współczesnych zamordystów, którzy szermując hasłem walki z mową nienawiści, próbują zamknąć usta swoim politycznym, ideowym oponentom.

Nie zamierzam tu jednak zastanawiać się nad wadami i zaletami prezydenta Trumpa dla amerykańskich chrześcijan: te pierwsze zdają się przeważać. W coraz bardziej niechrześcijańskim świecie wybór Trumpa pozwoli wspólnotom chrześcijańskim przetrwać i zachować autonomię. Ważniejsze jest co innego: niezależnie od wszystkich

NASTĘPNY NUMER „DO RZECZY” UKAŻE SIĘ W PIĄTEK 27 GRUDNIA 2019 R.



TEMAT TYGODNIA

22 ROZMOWA

Z KS. ABP. PROF. MARKIEM JĘDRASZEWSKIM

WALEC REWOLUCJI MOŻNA ZATRZYMAĆ W POLSCE

LGBT to uderzenie w samego człowieka

26 GRZEGORZ KUCHARCZYK

KANTYCZKI ZAMIAST „MAZURKA DĄBROWSKIEGO”

30 ROZMOWA Z PROF. JAKUBEM POLITEM

PRZEŚLADOWANI, WYSZYDZANI, (NIE)POKONANI



KRAJ

34 PIOTR SEMKA

CZTERY PLUS CZTERY PIOTRA SEMKI

Polityczne podsumowanie mijającego roku

37 ROZMOWA Z WITOLDEM WASZCZYKOWSKIM

RZĄD PIS WZMACNIA UNIĘ

40 MARCIN MAKOWSKI

TEN, KTÓRY SIĘ NIE CIESZYŁ

43 WOJCIECH WYBRANOWSKI

DOJRZEWANIE GRZEGORZA BRAUNA

46 ROZMOWA Z MARCINEM GORTATEM

TYLKO POD BANDERĄ MARCINA GORTATA

50 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

BABCIE, KTÓRE LATAJĄ

KULTURA

52 ROZMOWA

Z ZYGMUNTEM „MUŃKIEM” STASZCZYKIEM

NIEZNANE WCZEŚNIEJ POCZUCIE WOLNOŚCI

Nigdy nie byłem tak szczęśliwy jak teraz!

56 TOMASZ ROWIŃSKI

OPOWIEŚĆ WIGILIJNA – NOWA ŚWIECKA TRADYCJA

60 ROZMOWA Z MICHAIELEM HIRSTEM

TO MOJA SAGA

NIE PRZEGAP

64 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

70 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

TOKARCZUK – NOWY TOTEM I MŁOT SALONU

Polityka na Noblu

74 ŁUKASZ WARZECHA

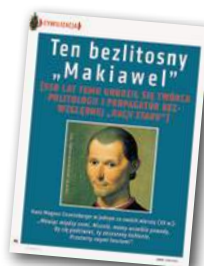
ANARCHIA OCALA

CYWILIZACJA

78 WALDEMAR ŁYSIAK

TEN BEZLITOSNY „MAKIAWEL”

550 LAT OD NARODZIN TWÓRCY POLITOLOGII



HISTORIA

94 JACEK KOMUDA

HISTORIA WESOŁKÓW

Żywy błaznów polskich

ŚWIAT

98 WITOLD REPETOWICZ

ROK ERDOĞANA

Sułtan coraz bardziej osamotniony

102 OLIVIER BAULT

SALVINI WKRÓTCE PREMIEREM?

106 PIOTR WŁOČZYK

BRAT KARP, SIOSTRA KROWA

EKONOMIA

108 JAKUB WOZINSKI

ZBROJNISTRZ ŚWIATA

Historia firmy Lockheed Martin



112 JACEK PRZYBYLSKI

NOWE ŻYCIE ZA 1 EURO

SPORT

116 ŁUKASZ ZBORALSKI

ROSJA OUT!

Cztery lata bez Rosji w sporcie

O ZDROWIU

118 KATARZYNA PINKOSZ

SIÓDME ŚWIĘTA

Nowe szanse dla chorych na nowotwory

STYL

120 JOANNA BOJAŃCZYK

BEZCENNY CZAS

Zawrotne ceny unikatowych czasomierzy

FELIETONY: SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (10), KOWALCZUK (14), GMYZ, GOCIEK (20), ZALEWSKI, WOLSKI (73), ZYCHOWICZ, KOPER (93), WARZECHA (104), GABRYEL, RYBIŃSKI (111), KOMUDA (124), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (128), KUCHARCZYK (130), ŁYSIAK (131)



Polska Grupa Energetyczna

MAMY ENERGIĘ DO ZMIAN



Jesteśmy liderem w produkcji
energii odnawialnej w Polsce.

www.zapewniamyenergie.pl



Drodzy Czytelnicy,

zachęcamy do przesyłania listów do naszej rubryki. Korespondencję elektroniczną prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl

„Zagadka Szczerbca”, Waldemar Łysiak, „DRz” 49/2019

Szanowny Panie Redaktorze!
[...] w swoim felietonie z cyklu „Łysa prawda” jego autor Waldemar Łysiak poruszył problem miecza koronacyjnego królów polskich, Szczerbca.

Pana doktora Waldemara Łysiaka czytam od dzieciństwa, jest on dla mnie wzorem, jak pisać o sztuce i historii. Niemniej chciałbym odnieść się do jego tekstu z polemiką czy też uzupełnieniem. Szczerbiec był przedmiotem moich badań, opublikowanych później w „Rocznikach Humanistycznych” KUL i na łamach portalu Historykon.org. Analizowałem w tych tekstach przede wszystkim jego znaczenie symboliczne jako miecza sprawiedliwości – gladius iustitiae, w kontekście inskrypcji i dekoracji, które zdobią nasze regalia.

Tutaj jednak chciałbym upewnić szanownego autora felietonu pt. „Zagadka Szczerbca” co do autentyczności przedmiotu eksponowanego obecnie w skarbcu wawelskim. To jest ten sam miecz, który trzymali podczas swojej sakry w 1320 r. Władysław Łokietek i jego następcy monarchowie.

Oczywiście ma rację pan Waldemar Łysiak, że Szczerbiec wraz z koronami i innymi regaliami podczas zawieruch dziejowych ukrywany był na zamku w Lubowli oraz w Warszawie w kościele Świętego Krzyża i na Jasnej Górze w Częstochowie. Jednak praktyka lustracji skarbcu i sporządzania protokołów przez opiekunów tego miejsca, podskarbirch wielkich koronnych, wyklucza możliwość podmiany miecza na kopię wykonaną w XVII w. Gdyby obecnie na Wawelu była ta kopia, bez wątpienia potrafilibyśmy to dostrzec. Artysta z XVII w. nie umiałby odtworzyć cech stylistycznych wizerunków oraz inskrypcji typowych dla sztuki późnorośniskiej. Ale ten argument jest nader łatwy do obalenia, można założyć istnienie takiego geniusza fałszerza. Jest inny dowód, opublikowany przez jednego z moich mistrzów uniwersyteckich, śp. prof. Jerzego Lilejkę w jego książce „Regalia Polskie”. Przytacza on mianowicie kolorowane rysunki, wykonane w 1764 r. przez Jana Krzysztofa Wernera,

który przygotowując się do wykonania portretu króla Stasia w stroju koronacyjnym, sporządził dokumentację regaliów, w tym Szczerbca, i odpisał wszystkie znajdujące się na nim inskrypcje. Porównanie owych rysunków z mieczem wawelskim nie pozostawia wątpliwości. To ten sam przedmiot! Pozostałe regalia, a przede wszystkim korona privilegiata, czyli koronacyjna, uległy zniszczeniu i między bajki należy włożyć legendy o ich ukryciu na Wołyniu i cudownym potem ocaleniu. Świadczenia rabunku skarbcu przez Prusaków są jednoznaczne, zniszczenie zaś przez nich korony czynem oczywistym, który dawał im symboliczną gwarancję pogrzebania Królestwa Polskiego.

Pozostaję z szacunkiem
dr Arkadiusz Adamczuk,
Biblioteka Uniwersytecka KUL

„Nie uciekniemy od polityki”, Tomasz Wiścicki, „DRz” 49/2019

Szanowna Redakcjo! Dziękuję za głos rozsądku. Całkowicie zgadzam się z panem Wiścickim. Jestem starą, 85-letnią, dawno emerytowaną lekarką – głęboko i radykalnie przeciwną aborcji. Pamiętam, jak u schyłku lat 50. ubiegłego wieku na zajęciach z ginekologii byłam obojętnym świadkiem aborcji. Do dziś widzę położną wpatrującą się w małosienkę, pokrytą przezroczystą błoną stworzonką o czerwonym, pulsującym sercu. Kiedy przestało bić, wyrzuciła je owinięte w kawałek gazy do kubła na śmieci. Jednak dobry Bóg dał nam nie tylko zasady, którymi trzeba się kierować, lecz także rozum. A on podpowiada, że strona tzw. liberalna z nieustającą nadzieją czeka, by na zastrzeżeniu przepisów aborcyjnych wprowadzić pełną dowolność aborcji i to niestety może im się udać.

Z wyrazami szacunku
Ewa Polańska-Wolak

Beacie Zubowicz
wyraży głębokiego współczucia
z powodu śmierci

ŚP.

Ojca

składają przyjaciele
z tygodnika „Do Rzeczy”

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan**, **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, **Piotr Gociek**, **Waldemar Łysiak**, **Krzysztof Masłowski**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemiakiewicz**

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, **Olivier Bault**, **Robert Bogdański**, **Joanna Bojańczyk**,
Grzegorz Brzozowski, **Ślawomir Cendekiewicz**, **Wiesław Chelminski**,
Dominika Ciolek (Bruksela), **Krzysztof Czabański**, **Piotr Gursztyn**,
Jacek Komuda, **Ślawomir Koper**, **Piotr Kowalczyk** (Rzym), **Jakub Kowalski**,
Grzegorz Kucharczyk, **Tomasz Lenczewski**, **Piotr Litka**, **Ewa Łosińska**,
Łukasz Majchrzyk, **Marcin Małkowski**, **Monika Małkowska**,
Karolina Marchlewska-Trzmiel, **Gabriel Michalik**, **Filip Memches**,
Agnieszka Niewińska, **Andrzej Nowak**, **Maciej Pieczyński**, **Katarzyna Pinkosz**,
Witold Repetowicz, **Agnieszka Rybak**, **Krzysztof Rybiński**, **Stefan Sękowski**,
Joanna Siedlecka, **Teresa Stylińska**, **Artur Szeremeta**, **Tomasz P. Terlikowski**,
Błażej Toralski, **Szewach Weiss**, **Piotr Włoczyk**, **Marcin Wolski**, **Tomasz**
Wróblewski, **Wojciech Wybranowski**, **Igor Zalewski**, **Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska**, **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak**, **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzry**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express”)

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański**,
Jacek Nadratowski, **Anna Sobieska-Wójcisz**, **Włodzimierz Zakrzewski**
Fotodysja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**, **Mazena Dobos**,
Agnieszka Wasilewska

Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krysztopa**
Okładka: „Półkon pasteryz” **Peter Paul Rubens**, fot. **Bridgeman Art Library**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, **Robert Pstrokoński**, **Ewa Rykaczewska**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż);

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu nakładu podstawowego 288829

Nr indeksu nakładu z filmem 296430

Nakład 73 350 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i w e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adjustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

**PRENUMERATA
2020 w cenie 2019**

TYGODNIK LISICKIEGO

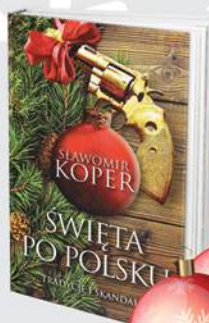
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ
W APLIKACJI

W PREZENCIE
KSIĄŻKA

SŁAWOMIR KOPER
„ŚWIĘTA PO POLSKU
- TRADYCJE
I SKANDALE”



~~619~~ zł

238,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ – 381 zł

OFERTA ŚWIĄTECZNA

ROCZNA PRENUMERATA

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA
ORAZ DOSTĘP DO
E-WYDAŃ W APLIKACJI

W PREZENCIE PAKIET

ROZPRAW POLITYCZNYCH:

PRACA ZBIOROWA POD PATRONATEM TYGODNIKA

DO RZECZY „LECH KACZYŃSKI. ODWAGA I WIZJA”

TOMASZ TERLIKOWSKI „REWOLUCJA FRANCISZKA”

MAREK MIGALSKI „PARAGRAF 44”

RAFAŁ ZIEMKIEWICZ „SANACJA CZY DEMOKRACJA”



~~693~~ zł

243,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ – 450 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl



NA PIERWSZY OGIEŃ

Obrazki z życia pod inną władzą



PIOTR SEMKA

Magazyn TVP „Alarm” przedstawił niedawno reportaż o kłopotach sióstr urszulanek w Poznaniu, które po latach prowadzenia prywatnego liceum wystąpiły o przyznanie ich placówce statusu szkoły publicznej. Władze Poznania osiem lat odrzucały wniosek, aż wreszcie po zmianie władzy nowy kurator zgodził się na zmianę statusu szkoły. Prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak odmawia wpisania szkoły od rejestru i wstrzymuje dotacje od samorządu, do której szkoła ma prawo. Nie pomógł nawet korzystny dla urszulanek werdykt Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego, który odrzucił zażalenie magistratu w tej sprawie. Prawo mówi wyraźnie, że po pozytywnej decyzji kuratora miasto musi wpisać szkołę do rejestru placówek publicznych. Musi, ale Jaśkowiak sobie z tego nic nie robi. A przecież chodzi nie o byle kogo, ale o kandydata w prawyborach Platformy Obywatelskiej na prezydenta Polski. I co z tego? I nic.

A teraz przenieśmy się do Sopotu, gdzie Jacek Karnowski, inny prezydent kojarzony z Platformą, spotkał się z mieszkańcami. Z oka-

zji do zadawania pytań skorzystał dziennikarz TVP Gdańsk Jacek Świdorski. Zaczął pytać prezydenta Sopotu o kontrowersje wokół przyszłości niezwykle atrakcyjnej działki w pasie nadmorskim. Karnowski, zamiast odpowiedzieć na pytanie dziennikarza, zaczął krzyczeć, że nie będzie odpowiadał „telewizji Kurskiego”. – Ja się do telewizji Kurskiego nie będę wypowiadał, jak pan wyłączy kamerę, do mieszkańców się wypowiem. Pan kłamie na co dzień w telewizji, oszukuje pan mieszkańców – mówił prezydent. Karnowski następnie przeprosił mieszkańców za swoje zachowanie, wyjaśniając, że to echo śmierci Pawła Adamowicza, za którą obwinia TVP, ale od pytania się wywinął.

Iwreszcie trzeci przykład, tym razem z Warszawy. Poseł PiS Sebastian Kaleta postanowił przeprowadzić poselską kontrolę, chcąc wyjaśnić, jak to się stało, że warszawski ratusz w ciągu ostatnich lat wydał 7 mln zł na akcje, które w ocenie posła Kalety związane były z „edukowaniem, jak zażywać narkotyki, promowaniem dewiacji czy uświadamianiem,

jak wyglądają kontakty seksualne połączone z przyjmowaniem substancji psychoaktywnych – tzw. chemseks”. Jak zareagowała przedstawicielka prezydenta Rafała Trzaskowskiego? „To kłamstwa, rozważamy kroki prawne” – poinformowała. Jednak na żaden konkretny zarzut Kaleta już nie odpowiedziała.

Czemu opisuję te trzy przykłady z Poznania, Sopotu i Warszawy? Bo dobrze pokazują poziom arogancji władców bastionów Platformy. Gdy dyskutuje się o patologiach władzy, zazwyczaj publicyści opisują wysoki ministrów i posłów z obozu PiS. Gdy ktoś próbuje coś ustalić na temat decyzji władców największych miast pod władzą PO, pada oskarżenie, że to kampania nienawiści i nagonka TVP. Czy ktoś z państwa czytał jakieś pełne emocji komentarze na temat którejś z tych trzech spraw w „Rzeczpospolitej”, „Dzienniku Gazecie Prawnej” czy „Polsce The Times”?

Arogancja Jaśkowiaka czy Trzaskowskiego to prognostyk, w jakim stylu Platforma będzie rządzić, gdy wróci do władzy. Miło nie będzie. ©©



FOT. DYLAN MARTINEZ/REUTERS/FORUM

WIELKA WYGRANA BORISA JOHNSONA

Po wyborach parlamentarnych w Wielkiej Brytanii 12 grudnia Partia Konserwatywna kierowana przez premiera Borisa Johnsona będzie mieć bezwzględną większość w nowej Izbie Gmin.

Konserwatyści niespodziewanie uzyskali najlepszy wynik od czasu ostatniego zwycięstwa Margaret Thatcher w 1987 r., a kierowana przez Jeremiego Corbyna opozycyjna Partia Pracy najgorszy od roku 1935. Trzecim co do wielkości ugrupowaniem w brytyjskim parlamencie pozostanie Szkocka Partia Narodowa. Żadnego mandatu nie zdobyła kierowana przez

Nigela Farage'a eurosceptyczna Partia Brexitu.

Na niespodziewanie dobre dla konserwatystów wyniki wyborów entuzjastycznie zareagowały globalne rynki finansowe: funt błyskawicznie umacniał się wobec innych walut, w tym złotego.

Taka decyzja wyborców oznacza bowiem, że wyjście Zjednoczonego Królestwa z Unii Europejskiej 31 stycznia 2020 r. jest już w zasadzie przesądzone. Bardzo prawdopodobne jest jednak również drugie referendum w sprawie niepodległości Szkocji. (jap) ©©



PGNiG z ofertą fotowoltaiczną dla firm

Rozwój technologiczny i rosnąca opłacalność inwestycji w instalacje fotowoltaiczne sprawiają, że zainteresowanie panelami solarnymi wśród polskich przedsiębiorców rośnie. Podążając za potrzebami rynku PGNiG Obrót Detaliczny uruchomiło ofertę partnerską pod nazwą „Fotowoltaika dla firm”, poszerzając tym samym paletę produktów ekologicznych. Przedsiębiorcy, chcący korzystać z energii słonecznej, mogą liczyć na kompleksową realizację inwestycji, atrakcyjną cenę i wsparcie dedykowanego doradcy.

Pozyskiwanie energii z promieni słonecznych jest wygodnym, trwałym i bezpiecznym rozwiązaniem, które jednocześnie przyczynia się do ochrony środowiska naturalnego. Zastosowanie tej technologii w firmie, oprócz pozyskiwania czystej energii, może również przynieść obniżenie rachunków oraz ograniczenie skutków wahań cen energii. Ponadto, nowoczesne systemy fotowoltaiczne są wydajne i przystępne cenowo, dlatego gwarantują krótki czas zwrotu z inwestycji. Przedsiębiorcy w Polsce coraz częściej dostrzegają potencjał systemów solarnych i chcą z nich korzystać, dlatego PGNiG

Obrót Detaliczny – spółka powszechnie kojarzona ze sprzedażą gazu, zdecydowała się na uruchomienie nowatorskiej, partnerskiej oferty fotowoltaicznej.

„Fotowoltaika dla firm” to oferta kierowana zarówno dla obecnych, jak i przyszłych klientów biznesowych PGNiG Obrót Detaliczny, zainteresowanych korzystaniem z energii słonecznej. Mogą oni liczyć, między innymi, na indywidualny dobór rozwiązania wraz z wymiarowaniem i montażem instalacji fotowoltaicznej.

Kompleksowa usługa na korzystnych warunkach to jedno. Powodów, dla których warto skorzystać z oferty PGNiG Obrót



**Henryk Mucha,
Prezes PGNiG Obrót Detaliczny**

– Firma, która na co dzień zajmuje się sprzedażą, nie może działać w oderwaniu od potrzeb i oczekiwań Klienta. Chcemy być również kreatorem nowych trendów. Dążymy do uzyskania korzystnej dla Klientów synergii w obszarze uzupełniających dla gazu ziemnego rozwiązań energetycznych. Z tego względu zdecydowaliśmy się na rozwój nowego produktu i promocję czystej energii słonecznej. Ta inicjatywa znakomicie wpisuje się w naszą szeroką strategię sprzedaży produktów ekologicznych.

Detaliczny, jest jednak znacznie więcej. Przede wszystkim oferta „Fotowoltaika dla firm” jest realizowana w modelu „pod klucz”. Chcąc zagwarantować klientom najwyższy komfort, na każdym etapie – począwszy od sprzedaży, a na montażu skończywszy – spółka zapewnia przedsiębiorcy fachowe wsparcie dedykowanego opiekuna. Klienci mogą również skorzystać z atrakcyjnych warunków finansowania inwestycji, w tym z pomocy w zakresie uzyskania dofinansowania z istniejących programów wsparcia oraz finansowania komercyjnego.

W celu zapewnienia najwyższej jakości produktu spółka zaprosiła do współpracy doświadczonych partnerów. Za realizację instalacji fotowoltaicznej, przyłączenie jej do sieci elektroenergetycznej i uruchomienie odpowiedzialna jest Polska Korporacja Fotowoltaiczna S.A., dystrybutor firmy Corab, będącej jedną z największych, polskich producentów fotowoltaicznych systemów instalacyjnych. Pozyskanie do współpracy sprawdzonych, polskich partnerów pozwala PGNiG Obrót Detaliczny na oferowanie najlepszej jakości produktu oraz kompleksowej usługi. ©©

Szczegóły oferty „Fotowoltaika dla firm” dostępne są na stronie internetowej:
www.pgnig.pl/fotowoltaika

Materiał promocyjny



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Industria

Za sprawą Stowarzyszenia „Twoja Sprawa”, po wielu latach od zablokowania jej wetem prezydenta Kwaśniewskiego, wraca do debaty publicznej inicjatywa ustanowienia prawa antypornograficznego. Dla człowieka, który ma o sprawie jakiegokolwiek pojęcie, rzecz powinna być oczywista. Swobodny dostęp do pornografii bez ograniczeń wiekowych jest równie nie do przyjęcia jak powszechny dostęp do darmowych narkotyków.

Problem polega na tym, że dla naszych mediów ekspertami od pornografii stały się te same co zwykle „autorytety” od wszystkiego, ze szczególnym uwzględnieniem rozrehotanych dziadów, którym słowo „pornografia” kojarzy się z przemycanymi do PRL eleganckimi fotkami roznieglizowanych dziewczyn

w „Playboyu”, a jakiegokolwiek jej zwalczanie z siemieżnością Gomułki i reżimami islamskimi. Za ich sprawą, zapewne nie bez dyskretnego sponsoringu „bladziowej industii”, jak nazwał ją jeden z bohaterów Sławomira Mrożka, jakiegokolwiek potępienie dla pornografii ośmieszono i sprowadzono do głupkowatych żarcików. Być może inaczej by reagowano, gdyby potępienie takie przyszło ze strony feministek, ale akurat polski feminizm, bardziej będący odruchem małpiej złośliwości wobec ojca, księdza i Jarosława Kaczyńskiego niż spójną ideologią, problemu tu nie widzi. Przeciwnie, teksty promujące „industrię” jako „normalny”, postępowy i wręcz pożyteczny biznes zamieszcza chętnie „Krytyka Polityczna”.

Aby wiedzieć, o czym w istocie mowa, trzeba przeczytać np. książkę Gail Dines

„Pornoland”, do bólu rzeczową i merytoryczną. Albo książkę guru amerykańskiej psychologii Philipa Zimbardo, wydaną u nas pt. „Gdzie ci mężczyźni”, dokumentującą bezmiar psychicznych i społecznych spustoszeń dokonanych w pokoleniu „Kac Vegas”, m.in. przez nawykowe obcowanie z pornosami od dziecka. Albo po prostu spytać psychologa, który wyjaśni, jak działają one na mózg i dlaczego wywołują uzależnienie analogiczne do narkotycznego i równie zgubne. Między fachowcami dawno już nie ma sporu, że z produktami tej „industii” jest tak samo jak z alkoholem. Kto zacznie go regularnie używać po 21. roku życia, ten ma pewne szanse popaść w nałóg i zapisać się na śmierć – ale kto zacznie przed 16., ten ma to praktycznie jak w banku. ©

WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Łowy na brodaczy

Joseph Heller, autor słynnego „Paragrafu 22”, łowca absurdów w armii amerykańskiej, gdyby żył, skreślałby się z zazdrości. Otóż sztychom Wojska Polskiego udało się przebić nawet literacką fikcję. Jak poinformowali nas żołnierze – w armii trwają łowy i sprawdzanie stanu owłosienia żołnierskich twarzy. Brodaci albo zarost usuną, albo stracą szanse na awans, no i – niezależnie od umiejętności – wyjazd na misję.

Ogolić się muszą nawet żołnierze Centrum Szkolenia Misji Zagranicznych, odpowiadający za współpracę cywilno-wojskową, którzy jadąc na Bliski Wschód, brody

„taktycznie” mieć powinni, żeby lokalsi traktowali ich serio.

Akcja to pokłosie czerwcowego okólnika gen. dyw. Tomasza Piotrowskiego, dowódcy operacyjnego Rodzaju Sił Zbrojnych, który zaleca w nim natychmiast „wyeliminować przypadki posiadania zarostu”.

Podsumowując: w polskim wojsku brakuje kamizelek taktycznych, kompozytowych hełmów, tzw. ślepej amunicji, sortów mundurowych, notorycznie psują się honkery i stary, ale dowództwo Wojska Polskiego prowadzi łowy na brodaczy. Żołnierz może być niedozbrojony, ale licem ma świecić gładkim jak dziewica.

Rozsądku, jak widać, generałów nie nauczyła groteskowa sprawa ppor. Krzysztofa Ch., bohatera misji w Iraku i Afganistanie (300 wyjazdów bojowych), którego w 2010 r. oskarżono o... niezgolenie brody. Facet wygrywał w każdej instancji, więc oskarżano go dalej, aż sprawa oparła się o Sąd Najwyższy, a ten – delikatnie mówiąc – bufonów z dowództwa wysłał na drzewo.

Jedno jest pewne. Święty Mikołaj do Dowództwa Operacyjnego RSZ przychodzić nie powinien. Nie dość, że brodaczy dość niechlujny, to w dodatku niejedną różgę mógłby połamać, zanim wybiłby te bez mała idiotyczne pomysły. ©



Sukces Morawieckiego na szczycie w Brukseli

Po trwających do późnych godzin nocnych zaciętych negocjacjach, 13 grudnia liderzy Unii Europejskiej porozumeli się co do osiągnięcia neutralności klimatycznej do 2050 r.

– Do konkluzji wpisany został wyjątek, czyli reguła, zasada, która musi być uwzględniana w procesie legislacyjnym – co jest zapisane w punkcie trzecim konkluzji, a mianowicie, że Polska będzie w swoim tempie dochodzić do neutralności klimatycznej – pochwalił się dziennikarzom premier Mateusz Morawiecki po zakończeniu pierwszego dnia szczytu UE w Brukseli.

To duży sukces negocjatorów. Polska to bowiem jedyny kraj Unii Europejskiej, który uzyskał zwolnienie z zasady stosowania polityki neutralności klimatycznej już w roku 2050. – Rozumiemy, że są kraje, które mają zupełnie inną sytuację gospodarczą, technologiczną, społeczną, ale Polska nie jest winna temu, że akurat jesteśmy w takim, a nie innym położeniu, jeśli chodzi o nasz system energetyczny –



FOT. BARIEK PETRUSZKA/PAP

tłumaczył szef polskiego rządu. Nasz kraj nie przedstawił ostatecznej daty dojścia do neutralności klimatycznej. I jak podkreślał premier Mateusz Morawiecki, „na razie nie mówimy o żadnej dacie”.

Szef rządu zapowiedział także, że Polsce przypadnie „znaczną część” wartego aż 100 mld euro Funduszu Sprawiedliwej Transformacji przeznaczonego na wsparcie transformacji energetycznej. © (jm)

REKLAMA

POBYTY Z ZABIEGAMI

w Ciechocinku „Pod Tężniami”

Leczymy m.in.:

- bóle kręgosłupa i dyskopatie
- bóle mięśni i stawów oraz zmiany przeciążeniowe
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- schorzenie zwane ostrogą piętową
- łokieć tenisisty i golfisty
- nietrzymanie moczu
- stany po udarach mózgu

posiłki bez limitu - bufet
25 zabiegów na 7 dni pobytu

- dwa badania lekarskie
- wstęp na basen oraz do zespołu saun do 90 min. dziennie
- seansy w Komnacie Solnej do 45 min. co drugi dzień
- wstęp na wszystkie imprezy kulturalno-rozrywkowe

Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie: **03.01 - 23.02.2020 r.**
Turnus Sylwestrowy **27.12.2019 r. - 03.01.2020 r.**



KLINIKA UZDROWISKOWA®
„Pod Tężniami”
im. Jana Pawła II

Klinika Uzdrowskowa
„Pod Tężniami” im. Jana Pawła II
ul. Warzelnińska 7, 87-720 Ciechocinek
www.podtezniami.pl

tel. **54 416 70 00**



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH

Kochani, pewnie wielu z was będzie wracało na zbliżające się Winter Holidays do rodzinnych małych ośrodków. Ponieważ żyjemy w rzeczywistości, w której wszystko wszystkich obraża, dyskryminuje i prześladuje, chcemy przedstawić wam praktyczny przewodnik po wszystkich potencjalnie przemocowych względem was elementach zimowych wakacji. Dzięki niemu będziecie mogli usystematyzować sobie wiedzę, w jakim zakresie poszczególne winterholidayowe zwyczaje, obrzędy i tradycje mogą was dotknąć, zepsuć wam samopoczucie i sprawić, iż będzie wam przykro.

ducha czasów i spędzić po prostu przyjemny bardzo długi zimowy weekend. Wy też, kochani, pewnie znajdziecie się w podobnej sytuacji w waszych małych ośrodkach, kiedy w Wigilię osoby płodzące i osobodziadkowie będą próbowali zaciągnąć was na pasterkę, wciągając do wspólnego śpiewania kolęd czy odwiedzania szopki.

Oczywiście macie prawo czuć się tym urażeni, iż wasze rodziny powinny respektować wasz światopogląd. Jeśli chcecie się poczuć urażeni jeszcze mocniej, to zaproponujcie alternatywną duchowo możliwość przeżywania Winter Holidays – zaprosicie rodzinę do

inka, odbywają się jarmarki nazywane „bożonarodzeniowymi”. Czy naprawdę nie można z tego zrezygnować?

Najpopularniejszym symbolem zimowych świąt, jak wiadomo, jest choinka. Tymczasem obecność prawdziwej, żywej choinki może obrazić i dyskryminować wiele osób o nastawieniu proekologicznym. Z kolei choinki sztuczne są dyskryminujące względem choinek prawdziwych, iż często wyglądają prawie tak samo. Na choinkach z kolei wieszamy łańcuchy, które w propagandzie katofashystoffskiej są symbolem grzechu, a komuś o zwiększonej wrażliwości mogą kojarzyć się z niewolnictwem i handlem ludźmi. Dlatego i z łańcuchów, i – przede wszystkim – z choinek należy zrezygnować.

W wigilijny wieczór nie może też zabraknąć takiego zwyczaju jak dzielenie się opłatkiem. Dla zwolenników demokracji jakiegokolwiek przejaw dzielenia w małych społecznościach lokalnych powinien być niedopuszczalny. Tak więc już sam fakt istnienia takiego obrzędu jest obraźliwy, dyskryminujący i godzi w uczucia wielu osób. A to dopiero początek. Opłatki bowiem zawierają gluten, a zatem ci z was, którzy pozostają na diecie bezglutenowej spowodowanej koniecznością psychologiczną lub modową, mogą się obrazić na najbliższych, iż nie zapewnili wam opłatka bezglutenowego lub po prostu – że nie zwolnili was z tego obyczaju.

Przy dzieleniu się opłatkiem, wiadomo, następuje składanie życzeń. Jeśli dostatecznie nie obrażyły was wcześniejsze czynności związane z dzieleniem się opłatkiem oraz zawarty w nim gluten, to już na pewno możecie się obrazić za właściwie dowolne przekazane wam życzenia. Po pierwsze, zawsze możecie stwierdzić, iż sobie czegoś wcale nie życzyte, a skoro ktoś wam tego życzy, to jednoznacznie daje do zrozumienia, iż jego zdaniem tego wam brakuje. A w końcu to wy wiecie najlepiej, czego wam brakuje i czy w ogóle. Po drugie, nawet jeśli życzenia oddają stan faktyczny, czyli rzeczywisty brak pewnego dobra w waszym życiu (np. z uwagi na niedoskonałą wciąż dystrybucję ze strony państwa), możecie się obrazić za uświadomienie wam braku,

Religijny, katolicki charakter Winter Holidays może być największym problemem dla osób, które starają się zachować świeckiego ducha czasów

Musicie bowiem pamiętać, iż zwyczaje Winter Holidays nie zostały zaprojektowane z myślą o szerokiej wspólnotocie obywatelskiej, lecz jedynie w wąskim gronie osób, które poszukują w czasie zimowych wakacji także transcendencji i oddają się wówczas intensywnemu churchingowi.

Jednakże, kaman, mamy już XXI w., co oznacza, iż powinniśmy iść ze świeckim duchem czasu i traktować Winter Holidays zdecydowanie bardziej inkluzywnie, tak aby osoby neutralne światopoglądowo mogły również czuć się zaproszone do wspólnej świeckiej celebracji i obchodów.

Tymczasem, dopóki nie osiągniemy tego porozumienia, którego fundamentem powinno być zrezygnowanie z katofashystoffskiego elementu zimowych wakacji, dopóty wciąż będziecie musieli mierzyć się z różnego rodzaju przykrościami.

KATOFASHYSM

Jak pewnie już zdążyliście się zorientować, to właśnie religijny, katolicki charakter Winter Holidays może być największym problemem dla osób, które starają się zachować świeckiego

buddyjskiej medytacji lub zaproponujcie, iż postawicie na stole chanukową świecę zamiast tej z Caritasu. Oburzenie gwarantowane, podobnie jak odpowiednio wysoki poziom wstydu za zaściankowość mieszkańców małego ośrodka oraz poczucie dyskryminacji w przypadku właściwie pewnej odmowy.

NAZEWNICTWO I SYMBOLE

Co prawda wy akurat jesteście tego świadomi, iż stanowicie elitę społeczeństwa tego kraju, ale warto przypomnieć tym, którzy dopiero niedawno porzucili małe ośrodki – nazwa „Boże Narodzenie” jest dyskryminująca i obraźliwa dla wszystkich mniejszości religijnych, które nie wyznają chrześcijaństwa, powinniśmy więc szczególnie w tym czasie zatroszczyć się o ich uczucia i zrezygnować z tradycyjnej świątecznej ornamentyki, symboli i ozdób. Rezygnacja w przestrzeni miejskiej z choinek, lampek, dekoracji i innych takich ostentacyjnych form promocji postaw katofashystoffskich pomoże mniejszościom czuć się dobrze w tym kraju. Po części to się może i dzieje, ale jednak zbyt słabo i za mało. Wciąż przecież są miasta, w których na centralnym placu stoi cho-



OŚRODKÓW

z którego wcześniej nie zdawaliście sobie sprawy. To w oczywisty sposób naraża was na dodatkowy stres i zmartwienia.

KOLACJA WIGILIJNA

Jeśli jakimś cudem przełknęliście opłatkowy gluten, to już na pewno nie dacie rady bez swanku dla psychiki znieść wigilijnej kolacji. Nie dość, że zgodnie z tradycją (na którą of kors nie mieliście wpływu i nikt was o zdanie nie pytał) dostaniecie 12 potraw, a więc tyle, ile zjadacie zgodnie z rozpiską od trenera personalnego w trzy dni, to jeszcze te dania będą zawierały składniki naruszające wasze dobre samopoczucie.

Przede wszystkim osoboryby, czyli np. najpopularniejsze w tym czasie osobokarpie, masowo mordowane, aby cieszyć podniebienia wąsatych januszów z małych ośrodków. Do tego jeszcze kapusty, grochy, pierogi (ale nie takie gluten free, wege z zieloną soczewicą, tylko robione ręcznie przez osobobabcię) i inne rzeczy, na które normalnie nie mieliście nawet ochoty spojrzeć, a tu cała rodzina będzie w napięciu obserwować i komentować, czy wam smakuje. Do tego pewnie jeszcze dojdzie kompot z suszu.

DYSKUSJE O POLITYCE

Czyli nieodzowny punkt wigilijnego wieczoru w polskich domach. Oczywiście nikt nie będzie chciał z wami rozmawiać na temat prześladowań opozycji, trybunału, o wolnych sądach i zagrożonej demokracji – to jest więc

pierwszy powód, z którego możecie poczuć się dyskryminowani i obrażeni.

Potem będzie tylko gorzej, iż musicie być gotowi na wysłuchiwanie kilkudziesięciu litanii do Kaczafiego, narzekania na Platformę i obaw o to, jak to opozycja będzie chciała przejąć władzę i zabrać „500+”. Dyskryminujący względem waszej wrażliwości będzie już sam dobór tematów. Można podejrzewać, że opinie będą wygłaszane hejterskim, agresywnie prawicowym tonem – czyli kolejny przejaw dyskryminacji.

PREZENTY

Czyli zwyczaj polegający na przypisywaniu sobie przez osoby prywatne redystrybucyjnej funkcji państwa, które najlepiej wie, czego komu i w jakiej ilości potrzeba. Prezent, który dostaniecie sami, oczywiście może być dyskryminujący (patrz punkt o świątecznych życzeniach). Gorzej dla waszej psychiki, jeśli w rodzinach są osobodzieci. Na 99 proc. wówczas osobochłopcy zostaną obdarowani jakimiś samochodzikami, klockami, piłkarzykami czy pistoletami, a dziewczynki dostaną lalki, zestawy do makijażu bądź zabawkowe garnki i akcesoria do sprzątania – iżby od małej poznawały, jakie miejsce przygotował dla nich na świecie patriarchat.

Of kors takie stygmatyzowanie prezentami ze względu na płeć jest niedopuszczalne. Możecie więc poszukać okazji, iżby porozmawiać z najmłodszym pokoleniem, wyjaśnić osobochłopcu, iż samochodek go dyskryminuje,

Imperium kontratakuje



i namówić, iżby wymienić się prezentem z osobosiostrą. Po początkowej fali płaczu i niechęci jest szansa, iż osobodzieci odnajdą się w nowej rzeczywistości.

KOLĘDY

Finalnym akordem wigilijnego wieczoru będzie wspólne odśpiewanie kolęd. Tutaj obrażony i zdyskryminowany może zostać wasz gust muzyczny i poczucie estetyki, a co więcej – możecie czuć się niepewnie, słysząc różne wyrazy, które prawdopodobnie pochodzą z języka polskiego, ale w waszym korpo już takim nikt nie mówi (np. „mizerna”, „licha”, „stajenka” czy „pospieszajcie”).

Jak więc sami widzicie, materiału na pełne oburzenia i poczucia krzywdy posty na fejsie lub listy do postępowych redakcji wystarczy wam zapewne do kolejnego Winter Holidays.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



**FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI
OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)**

PODSŁUCHANE

Nie

Marian, ostatni raz cię proszę.
W imieniu prezesa proszę: podaj się do dymisji!

Nie.

Marian, nie bądź taki. Nie widzisz, że partię matkę swoją niszczysz? Ojca swojego politycznego zawiodłeś!

Nie.

Marian, dogadajmy się. Przecież my nic nie chcemy darmo. Trochę

potrwa postępowanie przygotowawcze, może nawet zrobimy śledztwo, przyjdiesz parę razy do prokuratury, potem się wyciszysz sprawę i gra gitara. Rady nadzorcze, zarządy itd. Co ty na to?

Nie.

Marian, ty naprawdę nie rozumiesz, jaką krzywdę nam wyrządzasz?

Nie.

Marian, coś się tak uwziął?! Dostęp do informacji ci zabrali i nie oddadzą, bez niego będziesz sobie tak siedział w tym gabinecie i liczył muchy na suficie. Nie martwi cię to?

Nie.

Marian, mnie upoważniono, żeby ci powiedzieć, że my wiemy, co tym tam masz za uszami, i to ci wszystko nie ujdzie na sucho, a odwołać – i tak cię odwołamy, nie bój żaby. Ale lepiej dla ciebie, żebyś sam ustąpił, prawda?

Nie.

Marian, ja już nie wiem, jak z tobą gadać. Ja cię nie poznaję, a tyle lat się znamy...

... pani Zosiu, pani poprosi strażników. Mam tu jakiegoś natręta w gabinecie. Nie chce wyjść. © ©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Mówiąc o płodach i nazywając je ludźmi, dopuścił się pan nadużycia językowego”.

WANDA NOWICKA, posłanka Wiosny,
w rozmowie na antenie Polskiego Radia

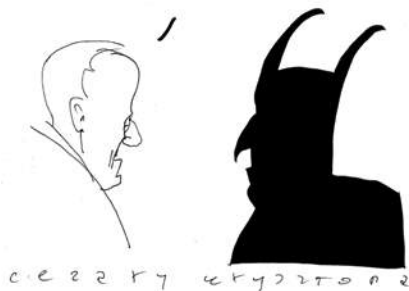
PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Bożonarodzeniowa
szopka według
postępowców

We Włoszech przed Bożym Narodzeniem postępowcy zawsze doświadczają ideologicznego wzmożenia i ruszają na rytualną wojnę z szopkami w szkołach. Walka z wielowiekową tradycją z powodu gwałtownych reakcji rodziców i płaczu dzieci idzie jednak opornie. I to mimo że teraz idzie już nie tylko o laicką, wypraną z wszelkich symboli religijnych szkołę, lecz także o rzekomo zranione uczucia religijne dzieci niechrześcijańskich imigrantów.

Nową partię rozumiem, ale chadecką? Oszalałeś?..



Szkopu! w tym, że – jak się wielokrotnie okazywało – tym dzieciom i ich rodzicom tradycje bożonarodzeniowe nie wadzą. Kilka lat temu delegacja islamskich rodziców prosiła dyrektorkę szkoły w Turynie, by nie rezygnowała z choinki i szopki, ale nabuntowana postępowka wiedziała lepiej.

Arogancja i ideologiczne zaślepienie postępowej

kobiety to nic w porównaniu z wybujałym kretynstwem w tej samej sprawie, którego dopuścił się kilka dni temu, i to na piśmie, znany historyk sztuki prof. Tomaso Montanari. Postanowił w żołnierskich słowach ustosunkować się do apelu odpowiedzialnej w Piemoncie za szkolnictwo Eleny Chiorino, która zwracała się do szkół z prośbą o „waloryzację szopek i jasełek, ponieważ są częścią naszej tożsamości kulturowej, a jej znajomość pomoże w pełnej integracji przybyszów z innych kultur”.

W odpowiedzi uczony mąż popełnił kuriozalny artykuł w dzienniku „Fatto Quotidiano” pt.: „Szkoła, szopka & co-techino [wieprzowa kiełbaska będąca na każdym włoskim stole w Nowy Rok – przyp. P.K.]: banalność rasizmu”. Niestety, związek tytułu z „banalnością zła” Hannah Arendt jest tyle idiotyczny, co nieprzygodkowy. Innymi słowy: „Zaczyna się od szopki w szkole, a kończy na Auschwitz”. Pan profesor w tekście przekonuje, że apel pani Chiorino to niewyobrażalny akt poczwórnej przemocy: wobec szkoły, konstytucji włoskiej, prawdziwych katolików i migrantów.

Profesor Montanari to błyskotliwy, wybitny znawca baroku, a zarazem żywy dowód na to, że ideologia potrafi siać spustoszenie w najpiękniejszych umysłach. ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Pawie i królowa

Nasza nowa noblistka otrzymała już

zasłużoną nagrodę i wygłosiła swój odczyt w Sztokholmie, dlatego na spokojnie możemy przeżyć te wielkie chwile raz jeszcze. „Przemówienie Olgi Tokarczuk było jak w świątyni. Ten jej głos, spokojny, ale brzmiący. Ten kosmos. Ziemia, holistyczne czucie świata w czasach, kiedy świat jest krojony na kawałki, na wynos. Krzesła, a na nich ludzie, którym zmieniają się miny, kiedy ona mówi. Ona była boginią” – relacjonowała na chłodno Katarzyna Skrzydłowska-Kalukin.

„Czytałam wczoraj mowę Pani Olgi Tokarczuk

rodzinie. Jestem oczarowana. Mądrze, czule i pięknie. Naprawdę warto usłyszeć, przeczytać i docenić refleksję nad światem” – dodała z umiarkowaniem Paulina Piechna-Więckiewicz. „Wczoraj wykład Olgi Tokarczuk i majowe wystąpienie Donalda Tuska – to dwa najważniejsze polskie głosy w tym roku. Oderwane od naszej dusznej polityki. Polacy, którzy mają świata coś ważnego do powiedzenia” – nieśmiało zauważyła Joanna Mucha.

Niestety, nie wszyscy potrafili w skupieniu docenić słowa noblistki.

Byli też tacy, którzy ją ignorowali. „Polka mówiąca piękną polszczyzną. Polka pisząca piękną polszczyzną. Polka, która jest noblowskim ambasadorem Polski. Dla Polaków duma! Przestańcie mówić o patriotyzmie, ci, którzy się jej wstydzicie i ją ignorujecie” – przestrzegł Marek Kacprzak.

Czy można się zatem dziwić, że dając ludziom dar słowa, którym niektórzy wzgardzili,

stało się później to, co się stało? „Czy i wy dostaliście od noblistki, która tak pięknie mówi o wolności słowa i demokracji, przewencyjnego bana, choć nigdy jej nie obserwowaliście ani tym bardziej nie wchodziliście w żadne interakcje?” – poinformował Cezary Gmyz. Otóż dziwić się nie należy. „Twitterowi bonzowie nie pojmują, że Olga Tokarczuk nie może prowadzić sama Twittera, bo ma inne sprawy na głowie. I co rusz któryś Krzysztof Bosak się podnieca, że noblistka ich zablokowała. Panowie, ona jest Królową, a wy pawiami!” – wyjaśniła Klementyna Suchanow. W duchu otwartości i dialogu oczywiście. ©

Już wkrótce nowa seria wydawnicza

Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy



Nie można opowiadać dziejów Polski, pomijając ogromną rolę literatury, bez niej są one kalekie i uboższe. Ambicją twórców serii „Literatura i Pamięć” jest ukazanie szerokiego gronu czytelników najwybitniejszych autorów i dzieł, które w czasach komunistycznej cenzury nie miały szans na pełne zaistnienie w świadomości społecznej.

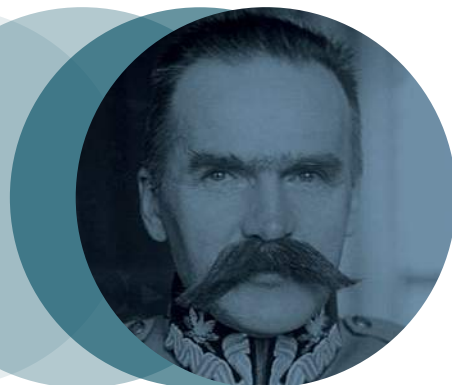
Wojciech Kudyba

- **PAMIĘĆ I GODNOŚĆ**
O poezji Jana Polkowskiego



Agnieszka Kowalczyk

- **JÓZEF PIŁSUDSKI**
PISARZ



- **DZIEJE NAJNOWSZE**
W LITERATURZE POLSKIEJ
Szkice o współczesnej poezji i prozie



Szukaj w księgarniach IPN
i punktach sprzedaży w całej Polsce
ipn.poczytaj.pl
Spotkaj nas na Facebooku: @ksiegarnia.ipn

**PROGRAM
WSPIERANIA
PAMIĘCI
NARODOWEJ**



Fundacja Rozwoju Systemu Edukacji



**INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ**



20 STADIONÓW LUDZI

Swoim wielkim sukcesem postanowiła pochwalić się także Julia Wieniawa. Można zaryzykować stwierdzenie, że to był jej rok. Przynajmniej pod względem popularności i ilości zarobionych pieniędzy. „Z końcem roku 2019 wybiło mi na Instagramie 1,4 mln obserwatorów. Wow!” – pochwaliła się młoda celebrytka. „Na początku nie czułam tego ogromu, ale jak sobie uświadomiłam, że przecież to jest mniej więcej 20 stadionów narodowych prawdziwych ludzi, to naprawdę zaparło mi dech w piersiach”. Zastanawiamy się, czy mówić Julii, że część (większość?) z tych kibiców obserwuje jej profil dla beki albo by mieć dowód na to, że każdy może zrobić karierę w show-biznesie, i stwierdzamy, że jednak nie. Nie będziemy psuć zabawy. Ani jej, ani sobie.

CO JEST, KURCZĘ?

Skoro jesteśmy już w temacie instagramowej popularności, to o tę właśnie popularność martwi się bardzo Kasia Tusk. Nie, nie o swoją, lecz o popularność noblistki Olgi Tokarczuk. Córką byłego premiera bardzo ubolewa nad faktem, że świeżo założone konto pisarki ma stosunkowo niewielu obserwujących. „Jestem w szoku, bo nasza noblistka Olga Tokarczuk założyła swój Instagram już tydzień temu i ma zaledwie 13 tys. obserwujących [liczba ta wzrosła do ponad 33 tys. obserwujących – przyp. red.]. Co jest, kurczę?! Moim skromnym zdaniem taka osoba powinna mieć co najmniej 100 tys. obserwujących po jednym dniu, a nie 13 tys. po tygodniu” – oburza się Kasia. „Nie sądzę, by dla Pani Olgi był to jakiś problem, ale mi jest szkoda, że nie korzystamy z takiej szansy. Kilkanaście lat temu ludzie daliby się pokroić za to, by móc wysłać prywatną wiadomość do noblistki albo zobaczyć, co robiła rano, albo być na bieżąco ze wszystkimi jej wystąpieniami” – pisze dalej Tuskówna. Chociaż zaznacza też przy okazji, że „doskonale zdaje sobie sprawę, jakimi prawami rządzi się Instagram i że bardzo często jest tak, że osoby, które nie wnoszą zbyt dużo do naszego życia, mają bardzo dużo obserwujących”. To prawda. Kasia Tusk np. ma ich 345 tys. Tak, tysięcy.

NIC SIĘ NIE WYDARZY?

Monika Zamachowska, odkąd straciła pracę w „Pytaniu na śniadanie”, szuka nowego zajęcia. A jako że średnio jej to wychodzi, to właśnie poinformowała, że zamierza od tego wszystkiego odpocząć. „Otóż zakończyłam tegoroczne »bywanie na salonach« – oznajmiła na Instagramie. „Nie było tych eventów ani więcej, ani mniej niż co roku przed świętami. Ale czuję, że zapotrzebowanie na fake newsy z moim udziałem jest tak ogromne, że zaraz przeczytałam, że wszłam w konflikt z własnymi butami, bo nie widziały mnie w roli prowadzącej” – poskarżyła się. „Tak że znikam, wyjeżdżam w miłe miejsce, wysłę fotkę albo dwie z pozdrowieniami [...], nic nowego do końca roku się nie wydarzy” – obiecuje. Ale dlaczego tylko do końca roku? Tak czy siak trzymamy kciuki. Zawsze to coś.

BYĆ JAK ELIZABETH

Wielki, oszałamiający wręcz sukces Weroniki Rosati! Została właścicielką kolczyków Elizabeth Taylor! Ale od początku. Miłość i podziw Rosati do legendarnej aktorki jest znana w show-biznesie. Jej największym przejawem jest chyba to, że Weronika nazwała swoją córkę jej imieniem, czyli Elizabeth (nie Elżbieta ani Ela, jak sama podkreślała). Kiedy na jednej z aukcji pojawiły się do kupienia kolczyki idolkę Weroniki, ta ruszyła do licytacji. „Ten moment, kiedy wygrasz na aukcji kolczyki należące do Elizabeth Taylor i je nosisz, aż ci uszy odpadną” – pochwaliła się Rosati na Instagramie. I tak oto tymi uszami w kolczykach Weronika zamyka usta wszystkim niedowiarkom! Niechże ktoś kiedyś jeszcze śmie zapytać ją o zawodowe sukcesy! ☺



FOT. RADOSŁAW NAWROCKI/FOTUM

FOT. RENEZ GORDON

Odnawiamy kultowe miejsca

Gdyńskie Centrum Filmowe – wcześniej betonowa pustynia, dziś perełka na kulturalnej mapie Polski. Hala Koszyki w Warszawie – kiedyś podupadła, dziś tętniąca życiem wizytówka miasta. A do tego nowoczesny gdański Stary Maneż – wszystkie odzyskały blask dzięki wsparciu Banku Gospodarstwa Krajowego.

Bank Gospodarstwa Krajowego poprawia jakość życia Polaków m.in. finansując rewitalizacje miejsc kultowych i takich, które mają potencjał, by nimi się stać.

Gdynia jeszcze bardziej filmowa

Odnowione Gdyńskie Centrum Filmowe (GCF) szybko stało się nie tylko wizytówką Trójmiasta, ale też jednym z najważniejszych miejsc na filmowej mapie Polski. To tu uczą się studenci, a mieszkańcy regularnie oglądają filmy.

GCF to położona w sercu miasta świetnie skomunikowana alternatywa dla komercyjnych kin, tyle że bez zapachu popcornu. Jest za to miejscem spotkań z twórcami, aktorami, przestrzenią do dyskusji o kinie. Wraz z pobliskimi: Teatrem Muzycznym, Centrum Rozrywki i Kultury Gemini, Muzeum Miasta Gdyni i Muzeum Marynarki Wojennej tworzy estetyczną, przyjazną przestrzeń publiczną.

Wielki świat na „Koszykach”

Rewitalizacja Hali Targowej „Koszyki” w Warszawie to kolejny przykład inwestycji wspartej przez BGK, która tchnęła w to miejsce nowe życie. Hala, zwana też „Bazarem Ludowym”, powstała w latach 1906-1908. Jesienią 2016 r. wróciła do Warszawy jako wyjątkowy punkt towarzyski i kulinarny, pełen restauracji, barów i sklepów. Jest miejscem, gdzie warto być i spotykać się po pracy. Dzięki tej inwestycji, Warszawa dołączyła do największych światowych



wych metropolii, gdzie w halach targowo-restauracyjnych pod jednym dachem tętni życie kulturalne i spotykają się smaki z całego świata.

Koszary w nowej odsłonie

Czy ze zdegradowanego terenu po byłych koszarach wojskowych może powstać przyjazna mieszkańcom przestrzeń miejska? Tak. Udało się to w Gdańsku Wrzeszczu, gdzie budynek Starego Maneżu zyskał nową energię. Dziś mieści się tam nowoczesnie zaprojektowany Garnizon Kultury – ciekawa przestrzeń miejska otwarta na ludzi i kulturę, miejsce warsztatów, wernisaży, pokazów czy spotkań z artystami.

Odnowione Gdyńskie Centrum Filmowe gości m.in. Festiwal Polskich Filmów Fabularnych. Na jego terenie w trzech salach wyświetla się ok. 300 filmów rocznie.

Zrewitalizowane, dziś już kultowe miejsca, mogły powstać m.in. dzięki pożyczkom unijnym, których udzielił Bank Gospodarstwa Krajowego.

Anna Ciastoń



FOT. PIOTR WÓJNIAKIEWICZ

Gintrowski w Teatrze Polskim



Małgorzata Puzyr

Podczas 10., jubileuszowego koncertu „Gintrowski, a jednak coś po nas zostanie...” wystąpiły takie gwiazdy jak Sebastian Karpiel-Bułecka, Michał Szpak, Natalia Nykiel czy Krystyna Prońko. W trakcie koncertu wręczono Nagrodę im. Przemysława Gintrowskiego „Za wolność w kulturze”

Projekt „Gintrowski, a jednak coś po nas zostanie...” powstał, aby uczcić pamięć legendarnego barda Solidarności, kompozytora, pieśniarza, autora niezapomnianych songów stanu wojennego Przemysława Gintrowskiego. „Artysta – dla jednych nieugięty, niepokorny pieśniarz wyrażający bunt przeciwko złu, dla innych głęboki analityk i piewca ludzkiej duszy. Dziś chcemy zbliżyć się do tego, kim był naprawdę. Chcemy go odkryć poprzez jego własne słowa i refleksje oraz dzięki muzyce, którą stworzył” – mówił o Przemysławie Gintrowskim prowadzący koncert dziennikarz muzyczny Artur Orzech.

NIEŁATWE PIOSENKI

Widowisko w Teatrze Polskim w Warszawie rozpoczęło się wspólnym wystę-

pem wszystkich artystów w utworze „Jeśli ocalę w sobie ciebie”. Piosenka, do której tekst napisała Justyna Holm, rozbrzmiała głosami Aleksandry Gintrowskiej, Darka Łapińskiego, Skubasa, Janusza Radka, Krystyny Prońko, Sebastiana Karpiela-Bułecki, Patrick The Pan, Natalii Nykiel, Julii Gintrowskiej i Michała Szpaka. Wokalistom akompaniowała orkiestra na żywo, a w tle, na dużych ekranach, przewijał się film z udziałem komponującego Przemysława Gintrowskiego. Efekt potęgowały niezwykle oprawa wizualna i gra światła. Wykonanie robiło duże wrażenie i zostało nagrodzone przez widownię gromkimi brawami.

Po wspólnym wykonaniu „Jeśli ocalę w sobie ciebie” przyszedł czas na solowe występy poszczególnych artystów. Można było usłyszeć: „Modlitwę o wschodzie słońca” (słowa: Nataniel Tenenbaum) w przejmującym wykonaniu Sebastiana Karpiela-Bułecki, fenomenalnego Michała Szpaka w „Śmiechu” Krzysztofa Marii Sieniawskiego, Krystynę Prońko we wbijającym w fotel wykonaniu „Murów” Jacka Kaczmarskiego, wzruszającą „Tylko kołysankę” śpiewaną przez Julię Gintrowską w duecie z wyświetlanym na ekranie ojcem, przepięknie wykonanego przez Aleksandrę Gintrowską i Darka Łapińskiego „Astrologa” Jacka Kaczmarskiego, „Nike, która się waha” Zbigniewa Herberta w ciekawej interpretacji Janusza Radka, „Autoportret Witkacego” Jacka Kaczmarskiego fantastycznie zaśpiewany przez Natalię Nykiel, energiczne wy-

konanie „Wróżby” przez Patrick The Pan, a także piękny głos Julii Marcell w utworze „Powrót” Jacka Kaczmarskiego.

Gdy Krystyna Prońko skończyła wykonanie „Murów”, zgromadzoną w Teatrze Polskim publiczność oficjalnie powitała prezes Fundacji im. Przemysława Gintrowskiego Katarzyna Gintrowska. „Przemysław Gintrowski był wielkim bardem wolności, ale jednocześnie nikogo nie udawał. Nie szukał kamer, blasku i sztucznego zainteresowania. Najwyższą wartością dla niego była niezależność i wolność. Twórczość Gintrowskiego to nakaz, jak żyć, aby być sobą, człowiekiem, patriotą” – mówiła. „Ten wieczór napelni nas wspianą energią, ale zanim to się stanie, popatrzcie na osobę, z którą przyszlizie – żonę, męża, mamę, tatę, przyjaciela, przyjaciółkę z wyrazem szczerej, prawdziwej, wolnej miłości. Bo – jak mówił Artysta – człowiek wolny to człowiek, który kocha i jest kochany, a dom jest tam, gdzie chcą, żebyś został dłużej. Miłości, Kochani!” – zachęcała.

W interpretacjach utworów Przemysława Gintrowskiego, wykonywanych przez poszczególnych artystów, pojawiło się wiele ciekawych brzmień. Każdy z wykonawców został doceniony przez publiczność brawami. Niektóre piosenki porywały widownię do wspólnego śpiewania, inne wywoływały łzy wzruszenia. Scenografia do wszystkich utworów utrzymana była w duchu ukochanego przez artystę złotego wieku cywilizacji starożytnej, a wizualizacje nawiązywały do największych rzeźb



W tym roku nagrodę „Za wolność w kulturze” otrzymał Muniek Staszczuk

FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

tego okresu: „Dawida”, „Temidy”, „Nike”, „Herkulesa”, „Kory” czy „Hekate”. Zachwyty budziła także gra światła.

W przerwach między wystąpieniami gwiazd rozbrzmiewał głos śp. Przemysław Gintrowskiego zapisany we fragmentach wywiadów, można było dzięki temu poczuć jego realną obecność w murach Teatru Polskiego. „Ja jestem takim, można powiedzieć, prostym chłopakiem, ja jestem taki herbertowski”; „Wyniosłem z domu wielki szacunek do rodziny, bo widziałem, jak bardzo kochali się moi rodzice, jak robili wszystko, by te uczucia trwały. I to jest dla mnie też taka ważna rzecz, bo ja już tu w żartach powiedziałem, że jestem nieszcześliwy, kiedy muszę wyjść z domu”; „Te piosenki, które ja śpiewam, to nie są łatwe piosenki. Żeby zrozumieć poezję Herberta, trzeba mieć pewną bazę intelektualną w głowie, bo bez tego się nie da”; „Nie je-

stem kompletnie od nikogo zależny, tylko mogę robić to, co chcę” – dało się słyszeć z głośników.

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

Podczas oficjalnej części koncertu prezes Fundacji im. Przemysław Gintrowskiego Katarzyna Gintrowska oraz żona Przemysław Gintrowskiego – Agnieszka Gintrowska – wręczyły Nagrodę im. Przemysław Gintrowskiego „Za wolność w kulturze”. W tym roku otrzymał ją Muniek Staszczuk. Współzałożyciel zespołu T.Love został tym samym czwartym w historii laureatem tego wyróżnienia.

„Tegoroczny Laureat w swoich piosenkach opowiada prawdę o człowieku, który po prostu chce pozostać wierny sobie, żyć po swojemu, kochać po swojemu – oddychać wolnym powietrzem. Niechętnie używa wielkich słów. Śpiewa o uniwersalnych uczuciach. Potrafi też celnie zdiagnozować

społeczeństwo. Sprzeciwić się realiom, czasami wypominając nasze błędy. Zachował w sobie wolność artysty. Nie traci przy tym wrażliwości i nie przestaje uważnie przyglądać się światu. Przemysław Gintrowski uznał go za barda współczesnej Polski” – mówiła o Muńku Katarzyna Gintrowska.

Muzyk podziękował za, jak sam to określił, szczególne dla niego wyróżnienie. – Połowa lat 90., ulica Czarnomorska, warszawskie Stegny, upał. Stoi Przemek z Jackiem Kaczmarskim, ćmią sobie fajeczki. Przybiliśmy sobie piątki, zaczęliśmy tak sobie rozmawiać, jak to chłopaki na ulicy, i tak sobie pomyślałem wtedy: niesamowita historia, w jakiej fantastycznej drużynie stoję na tej ulicy. Niech ta nagroda będzie stemplem w tej całej sytuacji – mówił, odbierając nagrodę. – Dziękuję serdecznie, piękna rzecz, postawię w szacownym miejscu – dodawał.

Po wręczeniu nagrody ze sceny Teatru Polskiego popłynęły słowa najnowszego przeboju Muńka Staszczuka – „Pola”, który zaśpiewała Julia Marcell w towarzystwie zespołu artysty.

Na zakończenie koncertu publiczność usłyszała jeszcze mocny w przekazie utwór Zbigniewa Książka „Czy poznajesz mnie, moja Polsko?” w wykonaniu Skubasa, a na bis wyszła raz jeszcze Krystyna Prońko, by „Murami” Jacka Kaczmarskiego pożegnać publiczność.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

**CZYTAJ TAKŻE ROZMOWĘ
Z MUŃKIEM STASZCZUKIEM
O PRZEMYSŁAWIE GINTROWSKIM**

**NA STR. 52
NA STR. 92**

DZIĘKUJEMY PARTNEROM ZA POMOC W ORGANIZACJI KONCERTU

Mecenasi Koncertu



Partnerzy Koncertu





Cuda, cuda ogłaszamy! Ze względu na wyjątkowo udany rok, podczas którego wszyscy sami obdarowywali się bez opamiętania, nasza świąteczna lista prezentów będzie skromna. No bo cóż można podarować z jednej strony ludziom, którzy powygrywali wybory, ale i tak są nieszczęśliwi, z drugiej zaś ludziom, którzy wybory przegrywali, ale i tak są szczęśliwi, że odnieśli sukces.

Wychodzi na to, że jedynym prezentem, do którego powinniśmy podejść na poważnie, jest upominek dla prezydenta Andrzeja Sebastiana, gdyż on jako jedyny ma w przyszłym roku do wygrania wybory. Długo myśleliśmy co, ale już wiemy. Andrzej Sebastian dostanie od nas komplet dzieł Bronisława Wąsatego-Komorowskiego. Wystarczy, że wczyta się w nie uważnie, a potem zrobi wszystko odwrotnie, niż właśnie przeczytał. Wtedy druga kadencja murowana!

Dla całego PiS mamy w prezencie drewnianą skrzynkę z przemytu. Znajomy Mikołaj przerzucił ją z Naddniestrza. W środku są pancernofausty. Mało używane, pachnące oliwą. Jedyna broń, której jeszcze nie wypróbowano wobec pancernego Banasia. Uwaga, w skrzynce brakuje jednej sztuki, o czym więcej nieco dalej.

Dla Jarosława Kaczyńskiego mamy w prezencie zestaw „Mały chirurg”. Będzie za jego pomocą mógł wykonać na niesfornych podwładnych dowolną operację. Kolana albo łokcia, choć najbardziej oczywiście niektórym przydałaby się operacja głowy lub przynajmniej ośrodków mowy.

Dla premiera Mateusza – zestaw „Mały biolog”. Posłuży on do sklonowania Michała Dworczyka, bo paru jeszcze by się w kancelarii premiera przydało.

Dla ministra aktywów państwowych Jacka Sasina – wciągarka łańcuchowa. Nie macie pojęcia, jak czasem trzeba się namęczyć, żeby oderwać od stanowisk prezesów rozmaitych spółek, za które teraz odpowiada.

Dla PeŁo wyszykowaliśmy dalekowschodni zestaw nadmuchiwanego kandydata na kandydata na

Po nadmuchaniu sztuczny kandydat przez blisko trzy godziny wypuszcza przez usta powietrze, imitując mowę

prezydenta. Mało kto wie, że produkują takie na Filipinach. Po nadmuchaniu sztuczny kandydat przez blisko trzy godziny wypuszcza przez usta powietrze, imitując mowę. Zatem przed kolejną debatą trzeba kandydata nadmuchać ponownie. Wszystko po to, by gdy znów komuś w PeŁo przyjdzie do głowy organizować prawybory, wyglądały one nieco poważniej od tych tegorocznych.

Dla Grzegorza Schetyny zostawiliśmy właśnie tego pancernofausta wyciągniętego z antybanasiowej skrzynki z Naddniestrza. Przyda mu się coś na Donalda Tuska.

Dla Donalda Tuska mamy elegancki kołonoatnik z numerami telefonów do najlepszych brytyjskich ghostwriterów, żeby następnym razem skorzystał z fachowej pomocy, bo jego książki „Szczerze” nie da się niestety czytać.

Skoro już o książkach – na Olgę Tokarczuk czeka pod choinką pudło dzieł zebranych Maria Vargasa Llosy, Tomasza Manna, Williama Faulknera i Gabriela Garcíi Márqueza. Uważamy, że

dwaj panowie



FOT. ROBERT LARDZIŃSKI

nigdy nie jest za późno na lekturę ludzi, którzy otrzymali literackiego Nobla za coś godnego uwagi.

Inna sprawa, że dla Tuska mamy tak naprawdę dwa prezenty. Ten drugi to mała, nieużywana nowa partia, która nie jest Platformą. Partię kupiliśmy w japońskiej fabryce pocztówek trójwymiarowych. I tak jak trójwymiarowe pocztówki wygląda inaczej w zależności od tego, jak ją przechylimy i z której strony popatrzymy. Z jednej strony wydaje się, że jest lewicowa i europejska, gdy spojrzeć z drugiej strony – jest umiarkowanie konserwatywna i mruga do nas społeczną nauką Kościoła.

Szymon Hołownia też coś dostanie. Zestaw „Mały pielęgniarz”. Już podpowiadamy, jak z niego skorzystać. Najpierw szukamy żyły, potem wkłuwamy w nią wenflon, który podpinamy do dużego opakowania płynnej skromności. Dawkę i tempo podawania preparatu ustalimy po osobistej konsultacji medycznej.

Przyszykowaliśmy też coś dla prześladowanych sędziów. To zestawy „50 twarzy Greya”. Korzystając z zawartych w nich gadżetów, można przygotowywać się odpowiednio do występow w zachodnich mediach. Nic tak dobrze nie wygląda jak otarcia po kajdankach i ślady po chłoście, które powstały w zaciszu domowej sypialni, a które można obnosić jako ślady PiS-owskich tortur.

Sędzia Małgorzata Gersdorf dostanie dodatkowo abonament na parkowanie w Warszawie, przy Wiertniczej. Ważny od maja 2020 r. Ciężko tam zaparkować, a przecież gdy się jej skończy w kwietniu kadencja w Sądzie Najwyższym, gdzie będzie spędzać poranki, przedpołudnia, popołudnia i wieczory, jeśli nie w siedzibie TVN?

Władysław Kosiniak-Kamysz dostanie aparat fotograficzny robiący trójwymiarowe zdjęcia. Wszystko dlatego, że będzie jakieś potrzebne na tę trójwymiarową kartkę z nową partią, która nie jest Platformą, a którą dostanie Donald Tusk.

Dla lewicy prezent skromny, gustowny i pożyteczny. Rezerwacja auli w gmachu głównym Politechniki Warszawskiej. Przecież w przyszłym roku lewicę czeka oficjalne zjednoczenie,



a jakież miejsce może być ku temu lepsze od tego, gdzie w objęcia padli sobie Bolesław Bierut i Józef Cyrankiewicz.

Dla Konfederacji – sejmowa strzelnica. Kaplica już przy Wiejskiej jest. Tylko szkołę Grzegorz Braun będzie musiał założyć samodzielnie. Wtedy w pełni zrealizowany zostanie jego program „Kościół, szkoła, strzelnica”. Przy okazji prosimy, by strzelnicę udostępniono posłom PiS na próbne strzelanie podczas nauki korzystania z antybanasiowych pancerfaustów.

Dla wszystkich niewymienionych z nazwiska ministrów oraz wiceministrów przyszykowaliśmy ten sam prezent. Podwyżkę. Niestety, czy zostanie wręczona, tego nie wiemy. Decyzję musi bowiem podjąć prawdziwy św. Mikołaj, czyli ten z Nowogrodzkiej.

Dla wszystkich niewymienionych z nazwiska posłów przygotowaliśmy gustowne ekspresy do kawy. Jak pokazuje doświadczenie poprzedniej kadencji, trzeba być przygotowanym na długie nocne głosowania. A nic nie

Selag... Znowu będą pytać:
kto urodził
się w to
Boże Narodzenie?"



wskazuje na to, by coś się miało zmienić w tej kwestii podczas nowej kadencji.

Dla senatorów wręcz przeciwnie. Zamiast kawy i niepotrzebnej ekscytacji – coś do zabijania nudy. Chodzi o to, żeby jakoś zagospodarować sobie czas podczas każdorazowej 30-dniowej obstrukcji, kiedy tylko Sejm coś przyśle do rozpatrzenia. Proponujemy konsole Nintendo Switch. Odpala człowiek „DOOM-a” i czas od razu jakoś szybciej mija, zwłaszcza że można sobie wyobrazić, iż łazimy po podziemiach Sejmu opanowanego przez PiS. Uwaga! Byle nie wejść na strzelnicę Brauna, bo wtedy kaplica!

Dla wszystkich niewymienionych z nazwiska europosłów żadnych prezentów nie będzie. Za tę brukselską

kasę, kochani, to wy powinniście wszystkich obsypywać prezentami. A my, nieśmiało zauważamy, jeszcze żadnego nie dostaliśmy.

Ponieważ jesteśmy mimo wszystko szczodrzy, przygotowaliśmy też jeden uniwersalny prezent dla wszystkich bohaterów naszej rubryki. W każdym razie wszystkich, którzy zajmują się polityką. To piękne srebrne plakietki z wygrawerowanym motto. Motto zaczerpnęliśmy z jednego z satyrycznych opowiadań Stanisława Lema. Brzmi ono „Na szczyt można wejść, ale wszystkie drogi ze szczytu prowadzą w dół”.

Najważniejsi są w tym wszystkim i tak nasi wierni czytelnicy, więc dla nich mamy prezent najwspanialszy. To my. Dwaj panowie G. Podarunki otrzymujecie od nas w każdy poniedziałek na łamach „Do Rzeczy”, a niektórzy częściej, jeśli tu i ówdzie dostrzegą na wizji nasze nienaganne fizjonomie lub usłyszają gdzieś nasze aksamitne głosy. Cóż moglibyśmy Wam podarować ekstra? Tylko te słowa: błogosławionych świąt Bożego Narodzenia! A dalej jakoś już pójdzie. ©©

Ubezpiecz

mieszkanie

od pożaru, zalania

i innych zdarzeń losowych

już od **122 zł**
rocznie!

Sprawdź
22 444 44 44

www.link4.pl lub zapytaj Agenta

Składka 121,22 zł: mieszkanie własnościowe 50 m², Orzechowo, lata budowy 1970-1990, brak szkód w ostatnich 3 latach. Ubezpieczenie od zdarzeń losowych - suma ub. murów i el. stałych mieszkania 204 tys. zł, mienia ruchomego 10 tys. zł. Cena zawiera zniżkę za zakup przez Internet. Oferta dla nowych Klientów LINK4. Szczegóły i wyłączenia znajdziesz w OWU.

REKLAMA



REKLAMA

LINK 4



Z ks. abp. prof. Markiem Jędraszewskim, metropolitą krakowskim
rozmawiają Paweł Lisicki, Maciej Szymanowski i Wojciech Wybranowski

Walec rewolucji można zatrzymać w Polsce

„DO RZECZY”: Nie sposób nie zacząć rozmowy od pytania o słynną już wypowiedź księdza arcybiskupa o „tęczowej zarazie”, która zastąpiła „czerwoną zarazę”. Czy ksiądz arcybiskup spodziewał się, że to wystąpienie wywoła aż tak burzliwą reakcję?

ABP MAREK JĘDRASZEWSKI: Nie spodziewałem się aż takiej nagonki, której jednym ze szczytowych punktów było wydarzenie w Poznaniu, gdzie lalce mającej mnie symbolizować poderżnięto gardło, jakby dokonując na mnie czegoś w rodzaju rytualnego mordu. I to w moim Poznaniu! Nie spodziewałem się tego, zwłaszcza że o sprawach związanych z ideologią LGBT mówiłem już wielokrotnie wcześniej, m.in. podczas procesji Bożego Ciała na Rynku Głównym w Krakowie. W tej uroczystości wzięło udział kilkanaście tysięcy ludzi, którzy klaskali, wyrażając aprobatę tego, co mówiłem, i wówczas media mainstreamu milczały. Z czego wynikała ta sierpniowa agresja i nagonka? Nie wiem. Moje słowa padły pod wpływem chwili, nie miałem wcześniej przygotowanego tekstu wystąpienia, choć oczywiście, nosiłem się z zamiarem wypowiedzenia wtedy kilku krytycznych słów wobec ideologii LGBT, mając zwłaszcza na uwadze wcześniejsze wydarzenia z Białegostoku. A samo sformułowanie „tęczowa zaraza”? Zrodziło się ono podczas homilii na zasadzie skojarzenia z wierszem Józefa Szczepańskiego „Ziutek”, którego fragmenty wówczas cytowałem [chodzi o wiersz „Czerwona zaraza” Józefa Szczepańskiego ps. Ziutek – przyp. red.].

Natychmiast część mediów ogłosiła, że ksiądz arcybiskup znieważył ludzi innej orientacji seksualnej, jak to się dziś mówi politycznie poprawnie – nieheteronormatywnie.

Jestem i zawsze byłem bardzo daleki od piętnowania poszczególnych ludzi,

natomiast – zgodnie z nauką Kościoła – nie można zgadzać się na zło, zwłaszcza wtedy, gdy przyjmuje ono postać destruktywnej dla całych społeczności ideologii. Pod tym względem niezwykle inspirująca jest dla mnie postać sługi Bożego księdza kardynała prymasa Stefana Wyszyńskiego, niedługo już błogosławionego. Nie zgadzał się z komunizmem, niekiedy czynił to otwarcie, zwłaszcza wtedy, gdy stał się autorem słynnego „Non possumus” z maja 1953 r. Dlatego został przez władze komunistyczne internowany, przechodząc przez bardzo trudne warunki odosobnienia, zwłaszcza na początku: w Rywałdzie i Stoczku Warmińskim. Tymczasem kiedy w marcu 1956 r. dowiedział się, przebywając w Komańczy, o nagłej śmierci Bolesława Bieruta, głównego sprawcy jego prześladowania, po raz kolejny mu przebaczył i odprawił w intencji jego zbawienia mszę świętą. Te fragmenty „Zapisków więziennych” kardynała są dla mnie szczególnie przejmujące.

Takim wielce niebezpiecznym złem jest dzisiaj ideologia LGBT. Proszę zwrócić uwagę na to, co napisał „Ziutek” Szczepański w swoim wierszu, przedstawiając niezwykle dramatyczną sytuację powstańców warszawskich pod koniec sierpnia 1944 r. Doskonale wiedział o dokonanej przez Niemców rzezi Woli – sam przecież walczył na Woli w oddziałach „Parasola”. Tam też napisał słynny tekst „Pałacyk Michła”. W wierszu „Czerwona zaraza” Niemcy byli dla niego ową „czarną śmiercią”. Walcząc później na terenie Starówki, wraz z innymi powstańcami daremnie oczekiwał pomocy ze strony armii radzieckiej, z rozkazu Stalina patrzącej z cynizmem na dymy broniącej się Warszawy. Sowiecka Rosja jawiła się mu jako kolejne wielkie zło – jako „czerwona

zaraza” – które mimo wszystko mogło przynieść uwolnienie od „czarnej śmierci”. „Czerwona zaraza”, szalenie niebezpieczna, ale – tak jak każda epidemia – dająca jakieś nadzieje, że uda się ją przeżyć, przynajmniej nielicznym. Natomiast „czarna śmierć” takich nadziei w ogóle nie dawała. Dla mnie nie ulega wątpliwości, że ideologia LGBT jest taką „zarazą”, która atakuje serca i umysły ludzi, podobnie jak przed laty serca i umysły ludzi atakowała ideologia bolszewicka, marksistowska. I to zwycięsko, przynajmniej na jakiś czas, atakowała także umysły ludzi naprawdę wybitnych. Myślę tutaj o Leszku Kołakowskim, wówczas członku PZPR, i o jego publicznym donosie w marcu 1950 r. na prof. Władysława Tatarkiewicza, którego oskarżał on o wystąpienia „o charakterze wyraźnie wrogim budującej socjalizm Polsce”, co skończyło się tym, że prof. Tatarkiewicz został pozbawiony prawa do prowadzenia zajęć akademickich. Myślę również o pierwszej książce z 1955 r. Kołakowskiego, zatytułowanej „Szkice o filozofii katolickiej”, będącej swoistym kompendium języka ideologii stalinowskiej w pigułce.

A może ostra reakcja była wywołana tym, że ruch LGBT w ostatnich latach tak bardzo się w Polsce wzmocnił? Czyli że owa grupa jest dziś tak silna, iż jest już w stanie zainspirować medialną nagonkę.

Zgadzam się z panami co do tego, że ideologia LGBT jest w Polsce rzeczywiście coraz silniejsza i że dotarła już do wielu środowisk. W sierpniu tego roku jej przedstawiciele poculi się aż tak bardzo silni, że uznali, iż mogą się wszędzie pokazywać podczas tzw. parad wolności i że wolno im bezkarnie atakować nawet największe dla katolików świętości, cynicznie domagając się od nich tolerancji, czyli de



facto akceptacji tego wszystkiego, czego publicznie się dopuszczali. Chodziło im zatem o zaistnienie w Polsce owej duchowej uległości, o której w innym kontekście kilka lat temu pisał Michel Houellebecq w słynnej książce pod tym właśnie tytułem – „Uległość”. Jednakże w chwili, kiedy stwierdziłem, że ideologia LGBT jest zarazą, tym samym powiedziałem: to jest pewna choroba, którą trzeba właściwie zdiagnozować, a następnie ją leczyć – tak jak każdą zarazę. W tym kontekście odwołam się do przykładu patrona mojego słynnego I Liceum Ogólnokształcącego w Poznaniu – do Karola Marcinkowskiego. Był wybitnym lekarzem, społecznikiem, później powstańcem listopadowym. Po upadku powstania wyemigrował na Zachód. We Francji doskonalił swą wiedzę lekarską związaną ze zwalczaniem cholery. Gdy w 1834 r. wrócił do Wielkopolski, został uwięziony przez władze pruskie właśnie za udział w powstaniu listopadowym i osadzony w twierdzy w Świdnicy. Tymczasem kilka lat później w Poznaniu wybuchła epidemia cholery. Wówczas nie tylko Polacy, lecz także władze pruskie wystąpiły z prośbą, aby Marcinkowskiego wypuścić z więzienia i aby umożliwić mu ratowanie istnień ludzkich. Dla nikogo wtedy nie ulegało wątpliwości, że w sytuacji powszechnego zagrożenia trzeba ludzi za wszelką cenę ratować. I tak też się stało: Marcinkowski wrócił do Poznania. Jeśli mówimy, że LGBT jest ideologią będącą rodzajem umysłowej zarazy, to tym samym stwierdzamy, że jest czymś, co nas atakuje oraz nam zagraża i przed czym trzeba ratować siebie, a także innych ludzi.

Skoro jest to choroba, to trzeba też postawić diagnozę. Skąd ta ideologia się wzięła?

Szukając odpowiedzi, nawiązałyśmy do rewolucji 1968 r., której głównym ideologicznym celem było fundamentalne przebudowanie człowieka i całych społeczności. Czyniono to zgodnie z popularną w ówczesnym świecie intelektualnym doktryną Herberta Marcusego, który był równocześnie neomarksistą i freudystą. Głównym celem ludzkiego życia była dla niego sama tylko przyjemność, przede wszystkim o charakterze seksualnym – i stąd archetyp Orfeusza zajmujący poczesne miejsce w jego książce „Eros i cywilizacja”. Równocześnie ta przyjemność powinna odnosić się przede wszystkim do samej tylko jednostki i stąd druga kluczowa postać tej książki – zapatrzonny



Arcybiskup Marek Jędraszewski

FOT. DAMIAN KLAMKA/EAST NEWS



Jedynie w sobie Narcyz. Jeżeli proponuje się zupełnie nową wizję człowieka – wizję ateistyczną, świadomie zrywającą z tradycją judeochrześcijańską – i jeśli pogoń za przyjemnościami cielesnymi uważa się za podstawowy cel ludzkiego istnienia, to szybko musiało dojść do tego, że nie wystarczały same tylko relacje o charakterze heteroseksualnym. Zaczęto szukać nowych źródeł tych przyjemności i tak zrodziła się owa powszechna w naszej współczesnej kulturze pochwalała związków o charakterze homoseksualnym. Później zaczęto wychwalać nawet pedofilię, czego najbardziej głośnym rzecznikiem stał się Daniel Cohn-Bendit, osobisty przyjaciel Joschki Fischera, jeden z przywódców paryskiego maja '68, reprezentujący do niedawna Partię Zielonych parlamentarzystą europejski. W tej atmosferze kulturowej powstała ideologia gender, a następnie ideologia LGBT. Nawet nie zdążyliśmy się spostrzec, jak bardzo zawładnęły one współczesnym światem. Dzisiaj okazuje się, że jesteśmy przez nie prawdziwie tłamszeni, co więcej, aby osiągnąć bardziej znaczące stanowisko w życiu społecznym, a na uniwersytetach przeliczane na pieniądze granty, trzeba uznać swoistą ich wszechwładzę. W przeciwnym razie czeka nas los owego drukarza łódzkiego sprzed kilku lat lub krakowskiego pracownika IKEA, który w maju bieżącego roku nie chciał się włączyć w zarządzane przez tę firmę obchody Miesiąca Dumy LGBT.

W 2000 r., kiedy w Rzymie po raz pierwszy odbył się Marsz Równości, padły bardzo krytyczne wobec niego słowa Jana Pawła II. Powiedział wówczas, że mamy do czynienia z pogwałceniem Roku Świętego, z nieliczeniem się z tradycją, z miejscem. Tyle że później równie mocnych głosów, także ze strony Kościoła, w związku z narastaniem tego ruchu często brakowało.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że ten marsz był oczywistym naruszeniem tego wielkiego święta, które wtedy trwało przez cały rok w Rzymie. Była to celowa prowokacja środowisk LGBT. Nie tylko było to uderzenie w świętowanie katolickich wartości, lecz także w samego człowieka. Rok 2000 miał być świętowaniem przez Kościół prawdy o człowieku, którą najbardziej objawił sobą Syn Boży, który, rodząc się z Maryi Dziewicy, stał się człowiekiem. Tę właśnie prawdę głosił Jan Paweł II od samego początku swojego pontyfikatu – jako ludzie nie rozumiemy siebie bez Chrystusa. Cały wysiłek dusz-

pasterski Jana Pawła II zmierzał właśnie w tym kierunku – by pokazać prawdę o człowieku w świetle Jezusa Chrystusa. I nagle ta prawda podczas świętowania Wielkiego Jubileuszu Roku 2000 została znieważona, obrażona i wyszydzona przez środowiska LGBT. Nie dziwnym się więc słowom św. Jana Pawła II Wielkiego. On wtedy bronił nie tylko samych podstaw doktrynalnych Kościoła – on bronił najbardziej fundamentalnych prawd dotyczących samego człowieka. Czy później Kościół milczał? W moim przekonaniu – nie. Do tego problemu nawiązywał Benedykt XVI jeszcze jako kardynał prefekt watykańskiej Kongregacji Nauki Wiary. Wiemy też, jak brutalnie był on wtedy krytykowany, wręcz odrzucany, także przez niektórych teologów niemieckich, jako tzw. panzerkardinal. Wskazywał on m.in. na to, że jedną z przyczyn kryzysu Kościoła w Niemczech jest to, iż ten Kościół właśnie w 1968 r. nie przyjął encykliki Pawła VI „Humanae vitae”, w której papież odrzucił oddzielanie prokreacji od podstawowych celów aktu małżeńskiego, a w konsekwencji wskazał na niemoralny charakter antykoncepcji. Zdaniem kard. Ratzingera / Benedykta XVI odrzucenie tej encykliki otworzyło drzwi do tego, co się dzieje obecnie: w pogoni za samą tylko przyjemnością o charakterze seksualnym zaczęto przekraczać kolejne bariery związane z prawdą o człowieku stworzonym na obraz i podobieństwo Boże – o człowieku, który jest powołany do pięknej,

To bardzo ważne pytanie, ale też niełatwo dać na nie prostą odpowiedź. Na to, co się teraz u nas dzieje, trzeba spojrzeć w perspektywie historii, która trwa w Polsce od całych dziesięcioleci. Na pewno od 1945 r. przeszliśmy przez ateistyczny walec światopoglądu marksistowskiego, który oficjalnie przetaczał się przez nasz kraj do 1989 r. Nie sądźmy jednak, że jeśli nastał czas przemian, to od razu w polskich duszach skończył się komunizm. Zauważył to również sam Jan Paweł II, dostrzegając pewien duchowy opór, z jakim spotkało się jego przesłanie podczas pielgrzymki do Polski w 1991 r., kiedy przemierzał naszą ojczyznę, zdążając śladami Dekalogu. Okazuje się, że komunizm – oczywiście już nie w czystej formie, ale w mutacjach – jest ciągle mocno zakorzeniony, na co wskazują także ostatnie wybory do naszego parlamentu. Do tego dochodzi jeszcze neomarksistowski walec z Zachodu w postaci ideologii gender i LGBT, prawdziwy „marsz przez instytucje” – jak to zaplanował Antonio Gramsci. Jest to walec, którego niszczycielskie działania dotyczą już szkół podstawowych, nie tylko wyższych uczelni. Do tego dochodzą przemiany związane z nowymi mediami, zwłaszcza społecznościowymi. Dzieci wchodzi w rzeczywistość, która naprawdę jest rzeczywistością wirtualną, ale która dla nich jest światem realnym. Niektóre z nich są już całkowicie od niej uzależnione – tak jak od narkotyków. Stąd prawdziwe relacje z innymi ludźmi, nawet

Okazuje się, że komunizm – oczywiście już nie w czystej formie, ale w mutacjach – jest ciągle mocno zakorzeniony, na co wskazują także ostatnie wybory do naszego parlamentu

szlachetnej i ofiarnej miłości, będącej darem z siebie dla innych, miłości, która też daje życie innym. Zaprzeczenie tej prawdy otworzyło drzwi m.in. do ideologii gender i ideologii LGBT.

Niedawno instytut Ordo Iuris alarmował, że coraz częściej mają sygnały o ściąganiu – czy to na żądanie rodziców, czy nauczycieli – krzyży ze ścian w klasach. I to wszystko dzieje się w przededniu XXXV rocznicy strajku włoszcowskiego, gdy młodzież szkolna, wsparta przez ks. Marka Łabudę, dwa tygodnie okupowała budynek szkoły i mimo groźby interwencji ZOMO protestowała przeciwko usunięciu krzyża ze szkoły. Co się stało z Polską?

z najbliższymi im osobami, stają się dla nich wielkim problemem. A cóż dopiero mówić o ich relacji z Panem Bogiem? Pewien kryzys religijny, który dostrzegamy w Polsce, wiąże się, w moim przekonaniu, zarówno z ciągle żywą w pewnych środowiskach spuścizną po komunizmie, co odnosi się do ludzi należących do starszego i średniego wieku pokolenia, jak i z przemianami mentalnościowymi młodego pokolenia, związanego z uzależnieniem od nowych mediów.

Wspomnił ksiądz arcybiskup o walcu, który jedzie przez Europę. Te zmiany są coraz bardziej



widoczne: akceptacja aborcji i nawet radykalizacja tych żądań, zmiana podejścia do śmierci, śluby homoseksualne, adopcja dzieci przez pary homoseksualne. Jak ten walec zatrzymać?

Jak wiadomo, każdy walec musi mieć swoją siłę napędową. Zgodnie z prawami fizyki każdy walec można też w jego ruchu zatrzymać. Stąd jestem bardzo daleki od tego, by zgadzać się na istnienie jakiegokolwiek determinizmu. Jeszcze stosunkowo niedawno taki determinizm był jednym z podstawowych dogmatów ideologii komunistycznej. Ostatecznie został on skompromitowany w 1989 r., choć jego wyznawcy z przedziwnym samozaparciem, niekiedy wbrew oczywistym faktom, ciągle twierdzili, że jest on przejawem tzw. światopoglądu naukowego. Nie zgadzam się więc na żaden determinizm dziejowy i odrzucam przekonanie, że od tego, co się obecnie dzieje, nie ma już odwrotu. Wierzę natomiast w Bożą Opatrzność. W moim przekonaniu za mało krytycznie, a zatem ciągle zbyt powierzchownie patrzymy na upadek komunizmu w naszej części świata, wykluczając z tego działanie Pana Boga. Pamiętam doskonale wybór Jana Pawła II i związane z tym faktem komentarze pojawiające się wtedy w zachodniej prasie. Z jednej strony pojawiały się zachwyty nad nowym papieżem, a z drugiej objawiał się lęk przed tym, co przyniesie światu jego pontyfikat. Zachodnie elity intelektualne i polityczne zdawały sobie sprawę z tego, że jego obecność w jakiejś mierze naruszy dotychczasowy ład pojałtański. W myśl ówczesnych przekonań naruszenie tego ładu miało się wiązać z nieuchronnością wybuchu wojny atomowej. Takie przekonanie wyrażał np. wybitny ówczesny polityk włoski Giulio Andreotti. Pierwszy zapis Gustawa Herlinga-Grudzińskiego na temat wyboru naszego papieża został przez niego uczyniony dopiero blisko pół roku po 16 października 1978 r. i wiązał się z jego spotkaniem z gronem włoskich intelektualistów, jego kolegów, którzy przewidywali bliską już katastrofę w Europie. Takie było wtedy dość powszechne przekonanie. I co? Była wojna? Nie! Ale na pewno skończył się pewien zbrodniczy system.

A gdy ksiądz arcybiskup mówi o wojnie cywilizacyjnej, widzi też Polskę jako miejsce, gdzie jest opór wobec tego walcu rewolucji światopoglądowej, bastion, który jako pierwszy się temu walcowi przeciwstawi, czy raczej jako państwo, które jest atakowane w coraz większym stopniu przez tę nową wizję człowieka i świata?

To, że Polska jest obecnie atakowana, dla każdego niezależnie myślącego człowieka jest po prostu faktem. Nie znaczący to jednak, że musimy tę walkę przegrać. Nie wolno nam zapomnieć o tym, że w 1939 r. Polska, zaledwie po 20 latach od 1918 r., czyli od momentu wydobycia się z politycznego niebytu po 123 latach

Trwanie przy autentycznych chrześcijańskich wartościach jest dla nas czymś koniecznym i niezbędnym. Właśnie one nas ocalą

niewoli, miała w sobie tę moc ducha, aby jednemu i drugiemu totalitaryzmowi powiedzieć zdecydowane „nie”. Wprawdzie zapłaciła za to ogromną cenę, ale ostatecznie wyszła z tej dziejowej próby zwycięsko, pociągając ku wolności także inne narody.

Trwanie przy autentycznych chrześcijańskich wartościach jest dla nas czymś koniecznym i niezbędnym. To one przecież dają nam poczucie tożsamości. Co więcej, jestem głęboko przekonany, że właśnie one nas ocalą. Po wtóre, nie wyobrażam sobie, by św. Jan Paweł II Wielki, który tak wiele dla Polski zrobił, powiedziałby teraz, gdy jest już w niebie: „Już się teraz Polską nie zajmuję”. Tym bardziej nie wyobrażam sobie, by mogła się od nas odwrócić nasza Królowa, Najświętsza Maryja Panna.

Walka światopoglądowa niestety coraz częściej przyjmuje wymiar fizyczny. Niedawno grupa nastolatków pobiła księdza, do podobnego zdarzenia doszło w Szczecinie, we Wrocławiu kapłan został pchnięty nożem...

Co gorsza, po tych wydarzeniach można było odnieść wrażenie istniejącej tzw. milczącej aprobaty ze strony niektórych środowisk lewicowo-liberalnych. Wszystko natomiast pokrywa jedno słowo – „tolerancja”. W imię tzw. tolerancji wyraża się zgodę na przemoc. Tylko trzeba by też postawić pytanie: A gdzie tu jest państwo polskie, które ma określone zapisy prawne, gwarantujące wolność i bezpieczeństwo dla wszystkich swoich obywateli? Niestety, wraca w nowej odsłonie Orwellowskie rozróżnienie na równych i równiejszych...

Skoro rozmawiamy w przededniu świąt Bożego Narodzenia, to nie sposób nie wspomnieć o innej sprawie. Koncern IKEA wydał zakaz używania określenia „Boże Narodzenie”. W promocji produktów okołoswiątecznych choinka jest określana jako „sztuczna roślina do umieszczenia wewnątrz pomieszczenia”. Ten walec, o którym ksiądz arcybiskup wspominał, przechodzi też przez korporacje funkcjonujące w Polsce.

Nie wierzę, żeby wszyscy Polacy uwierzyli w marksistowski dogmat, że „byt kształtuje świadomość”, a zatem iż wszystko w naszym myśleniu o sobie i o świecie zależy wyłącznie od warunków ekonomicznych. Nie ma czegoś takiego jak proste przełożenie między warunkami ekonomicznymi a socjalnymi a sposobem myślenia przeciętnego Polaka. Wiara, że takimi metodami wygra się wojnę światopoglądową w Polsce, jest, w mojej ocenie, przejawem pewnego lenistwa intelektualnego. O takie lenistwo intelektualne oskarżał marksistów już Jean-Paul Sartre w 1960 r. Żle się dzieje, że taka postawa znajduje swoich kontynuatorów wśród niektórych przedstawicieli tych środowisk, które z góry odzęgują się od lewicowości.

Po wtóre, jest w nas, Polakach, pewna przekora. Proszę spojrzeć na to określenie choinki, które pan przed chwilą zacytował. Walka z naszą tradycją, choćby ze świętami Bożego Narodzenia, jest ubrana w tak jawny neomarksistowski język, w tak śmieszna nowomowę, że od razu będzie budziła żarty i drwiny. A jeżeli coś się wyśmiewa, to nie ma to szansy na dłuższe istnienie. Osobiście nie widzę szans, aby walka lewicowych rewolucjonistów, prawdziwych orwellowskich inżynierów ludzkich dusz, rodem z Francji, Wielkiej Brytanii i Niemiec, dla których straszne już jest samo nazwanie choinki choinką, ze świętami Bożego Narodzenia, tak głęboko osadzonymi w polskiej tradycji, mogła się powieść. Jeszcze przecież stosunkowo nie tak dawno, w czasach stalinowskich, fundowano nam Dziadka Mroza, w miejsce św. Mikołaja, i jego wnuczkę Śnieżynkę. A tymczasem w polskich domach niezmiennie z ogromną tęsknotą czekano na Wigilię, ze wzruszeniem łamano się białym opłatkiem i z ogromną wiarą i radością śpiewano staropolską kolędę „Bóg się rodzi, moc truchleje...”.

Dusza polska ciągle bowiem wierzyła i wierzy, że wobec Boga, który przychodzi na świat, aby stać się człowiekiem, nie ostoja się żadna Herodowa moc...



Arcybiskup Zygmunt
Szczęsny Feliński
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA





Grzegorz Kucharczyk

Współnototwórcza siła polskiego Kościoła ujawniała się przez całe wieki

We wspomnieniach św. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego znajduje się opis jego udziału (jako człowieka świeckiego) w antypruskim powstaniu w Wielkopolsce w dobie Wiosny Ludów. Przyszły arcybiskup warszawski znalazł się w oddziale, do którego „przyłączyło się kilku młodych ziemskich właścicieli na dzielnych wierzchowcach i z butną miną”. Było nawet „dwóch emigrantów z Towarzystwa Demokratycznego, którzy radzi by przewodniczącą odegrać rolę”. Jednak większość żołnierzy stanowili chłopci z okolicznych wsi, którzy – jak pisał Feliński – zdominowali powstańczą formację nie tylko pod względem liczebnym, lecz także duchowym: „Duchem zaś tym, co ożywił całą masę ludowego powstania, był duch gorącej wiary i niezłomnego przywiązania do Kościoła. Cały patriotyzm włościan skupiał się w tych dwóch pojęciach: Polak – to katolik, Niemiec – to luter; lutrzy przesładują Kościół – a więc precz z Niemcami!”.

Zygmunt Szczęśny Feliński dodawał, że chłopci w czasie wielkopolskiego powstania z 1848 r. „szli chętnie, ufając zwłaszcza księżom”. Bez oporu godzili się na dowodzenie przez oficerów szlacheckiego pochodzenia, „ale swą katolicką chorągiew tak śmiało wywieszali, że nie ścierpieliby nawet, gdyby ją zechciano usunąć, a inną, chociażby narodową, na jej miejsce postawić”.

Marsz powstańczego oddziału z daleka przypominał pielgrzymkę. Chłopscy żołnierze cały czas śpiewali pobożne pieśni, „gdy zaś spotykaliśmy po drodze krzyż lub kapliczkę, wnet cały oddział, nie czekając komendy ani pytając o pozwolenie, klękał dokoła i odmawiał litanię do Pana Jezusa lub Matki Boskiej”.

Przyszły arcybiskup warszawski zanotował przy tej okazji bardzo symptomatyczny incydent z udziałem „owych dwóch demokratów”, którzy „nie smakując w pobożnych pieśniach, a pragnąc raczej obudzić w ludzie patriotyczne uczucia, zaintonowali »Jeszcze Polska nie zginęła«,

w czym szlachta im dopomogła, ale ani jeden głos z ludu nie połączył się z nimi, tak że nie ponowili próby. Gdy zaś we wsi jakiejś cały oddział padł na kolana dokoła stojącej na wygonie figury Zbawiciela, nasi zaś demokraci sami jedni nie przyklekli, lud począł patrzeć na nich tak groźnie, że kolana im mimo woli się ugięły”.

KOŚCIÓŁ – BRAMA DO POLSKOŚCI

Opisane wydarzenia miały miejsce niewiele ponad 50 lat po trzecim rozbiórze Polski. Przypadały więc niemal dokładnie na sam środek okresu rozbiorowej niewoli, a dwa lata po dramatycznych wydarzeniach galicyjskiej rabacji, gdy z poduszczenia austriackich urzędników doszło do rzezi polskiej szlachty rękami polskich chłopów. Ten kontekst historyczny jest ważny, ponieważ po-

Niewiele, poza ogólnikowymi obietnicami „opieki rządowej”, o chłopach mówiła Konstytucja 3 maja. Gdy więc podpisywano ostatnie konwencje rozbiorowe w 1795 r., dla znakomitej większości mieszkańców polskiej Rzeczypospolitej państwo, które zostało wymazane z map Europy i miało zostać wymazane z pamięci Europejczyków (dodatkowo konwencja z 1797 r. o solidarnym unikaniu przez zaborców używania słów „Królestwo Polskie”), jeśli nie było obce, to było obojętne.

Dla tych, którzy w latach 1796–1797 śpiewali za Alpami, że „będziem Polakami”, oznaczało to przede wszystkim odbudowę utraconej na skutek obcej przemocy wspólnoty politycznej – państwa. Jednak dla milionów, które mieszkaly nad Wisłą i Wartą, bramą do

Kantyczki zamiast „Mazurka Dąbrowskiego”

zwala spojrzeć na tytułowe zagadnienie w dłuższej perspektywie czasowej.

Gdy pod koniec XVIII w. Rzeczpospolita zniknęła z map Europy, wśród jej kilkunastu milionów mieszkańców tylko część była ludnością polską, a w niej maksymalnie 10–12 proc. można potraktować jako w pełni świadomych własnej tożsamości narodowej i kulturowej Polaków. Chodziło o pozbawiony własnego państwa szlachecki „naród polityczny”. Bo to było przede wszystkim jego państwo, jego res publica. „Kmiotkowicie” i „chamy” do narodu Sarmatów nie byli zaliczani, mimo że co światlejsze umysły (ks. Piotr Skarga) jeszcze w okresie świetności Rzeczypospolitej przestrzegały przed katastrofalnymi konsekwencjami takiego wąskiego, powodowanego egoizmem stanowym, traktowania obywateli wspólnego państwa Polaków.

polskości był Kościół katolicki. Jesteśmy katolikami, będziemy Polakami – tak to wyglądało pod koniec XVIII w. i tak było – jak widzieliśmy w opisie św. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego – ponad pół wieku po ostatnim rozbiórze Polski.

RATOWANIE WSPÓLNOTY POLAKÓW

Wspomnianych dwóch demokratów „nie smakujących w pobożnych pieśniach” śpiewanych przez lud, można potraktować jako prefigurację wszystkich późniejszych krytyków tzw. ludowej (maryjnej) pobożności i krytyków tych pasterzy polskiego Kościoła, którzy ją pielęgowali i do niej się odwoływali. A przecież to właśnie ta ludowa pobożność zarówno w okresie Wiosny Ludów, Bismarckowskiego kulturkampfu, jak



„Modlitwa wieczorna rolnika”,
obraz Artura Grottgera z 1865 r.

FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

■ i komunistycznego zniewolenia była największą siłą polskiego Kościoła w XIX i XX w. Siłą i zasługą.

Wielkopolscy chłopci nabożnie klękali przed przydrożnymi krzyżami i figurkami Jezusa i Maryi. Nie klękali przed takimi czy innymi produktami modnych, „postępowych” teologów, którzy w okresie opisywanym przez Felińskiego dawali już poznać swoją destrukcyjną siłę po obu stronach Renu. Odporność polskiego Kościoła, zwłaszcza „na dole”, w parafiach, na modernistyczne ukąszenia była warunkiem sine qua non zaistnienia tej największej w sensie stricte społecznym siły polskiego Kościoła.

Strategicznym celem zaborców było doprowadzenie do rozbitcia polskiej wspólnoty narodowej. Na polskiej szlache (ziemiaństwie) postawiono krzyż, stwierdzając jej wyrobioną tożsamość narodową, co wykluczało jakąkolwiek asymilację do dominującej w poszczególnych państwach zaborczych kultury. Cała nadzieja była więc w polskich włościanach. Jak mówił Bismarck, chodziło o to, aby doprowadzić do wytworzenia milionowych rzeszy polskojęzycznych, lojalnych poddanych króla pruskiego, a od 1871 r. i cesarza niemieckiego. Podobny cel przyświecał polityce rosyjskiej (zwłaszcza po upadku powstania styczniowego), a i Austriacy – jak pokazywał dramat rabacji – nie stronili od podobnych prób.

To, że ten scenariusz się nie ziścił, było wielką zasługą codziennej pracy tysięcy nieznanych dzisiaj z imienia polskich księży i zakonników, którzy dzięki swojej gorliwej służbie Bogu i Kościołowi (to najpierw) byli autentycznymi autorytetami zarówno dla polskiej wsi, jak i dla

polskiego dworu. W ten sposób – już w sensie ściśle świeckim, socjologicznym – byli spoiwem łączącym wspólnotę Polaków.

KSIĄDZ WYŁUMACZY

Dwa lata po Wiośnie Ludów za tajne fundusze pruskiego ministerstwa spraw wewnętrznych rozpoczęto w Poznaniu wydawanie polskojęzycznej gadzinówki adresowanej do polskich chłopów. Gazetka nazywała się „Przyjaciel chłopów”, a tytułowym bohaterem był – jak przekonują opłacany przez Prusaków redaktor Eugeniusz Breza – król pruski, który „na podobieństwo Kazimierza Wielkiego był królem polskich chłopów”. To on ich uwolnił od „samowoli polskich panów”, przeprowadzając wbrew ich woli akcję uwłaszczeniową.

Po roku władze pruskie zdecydowały się ocenić rezonans tego wydawniczego przedsięwzięcia. Zachowane raporty landratów urzędujących w poszczególnych powiatach Wielkiego Księstwa Poznańskiego nie pozostawiały wątpliwości: cała akcja z polskojęzyczną gazetką okazała się stratą pieniędzy. Polscy chłopci, nawet jeśli umieli czytać, otrzymawszy bezpłatny egzemplarz „Przyjaciela chłopów”, szli z nim do miejscowego proboszcza, aby „im wytłumaczył, o co w tym wszystkim chodzi”. Recenzje zaś przygotowane przez polskich proboszczów – podkreślali landraci – były takie, że efekt całego przedsięwzięcia okazał się dokładnie odwrotny od oczekiwanego przez centralę w Berlinie.

Być może część z chłopów, którzy w ten sposób radzili się, co robić ze swoim nowym „przyjacielem”, uczestniczyła w wydarzeniach opisanych przez

św. Zygmunta Felińskiego. Incydent związany z pruską gadzinówką pokazywał jednak po raz kolejny, że droga polskich chłopów do polskości wiodła przez Kościół. Kolejne uderzenia, które nań spadały ze strony władz zaborczych, jeszcze bardziej przyczyniały się do konsolidacji jego autorytetu wśród milionów budzących się do swojej polskości włościan. Taki był efekt Bismarckowskiego kulturtkampfu i prześladowania Kościoła na ziemiach zaboru rosyjskiego po 1864 r. Propaganda zaborców mogła przekonywać o dobrodziejstwach uwłaszczenia, ale gdy ludzie nie mogli przez całe miesiące pochować swoich bliskich albo ochrzcić swoich dzieci, ponieważ nie było na miejscu księży, wtedy wszystkie te dezinformacyjne wysiłki brały w łeb.

PRZED WSZYSTKIM WIERNOŚĆ

Ale dlaczego nie było księży? Dlatego że byli wierni Kościołowi i jego pasterzom, więc odmawiali podporządkowania się laicyzacyjnej polityce realizowanej przy wsparciu liberałów z całej Rzeszy w monarchii Hohenzollernów, w tym w zaborze pruskim. Bo tym w istocie był kulturtkampf. Francuscy lewicowcy – w rodzaju teoretyka anarchizmu Pierre’a-Josepha Proudhona – mogli zachwycać się przeprowadzanymi na dużą skalę przez rząd rosyjski po powstaniu styczniowym kasatami klasztorów w zaborze rosyjskim, łykając bez najmniejszego oporu tezy carskiej propagandy o tym, że polskie domy zakonne „szerzyły moralną zarazę”. Jednak dla tysięcy polskich chłopów w Królestwie Polskim czy na „ziemiach zabranych” te antykatolickie posunięcia Petersburga nie były kolejną odśłoną jakiejś polityki modernizacyjnej, ale uderzeniem w ich najgłębszą tożsamość.

W ten sposób sami zaborcy falsyfikowali swoją propagandę, a miliony Polaków ze wszystkich warstw społecznych „liczyło się” na szlakach pielgrzymich na Jasną Górę, do Ostrej Bramy i Gietrzwałdu. Także demokraci opisywani przez Felińskiego wyciągnęli wnioski i po Wiośnie Ludów narodowe manifestacje uzupełniali o pieśni religijne. Trwająca na początku lat 60. XIX w. „rewolucja moralna” w zaborze rosyjskim i pruskim odbywała się przy wtórze hymnu „Boże, coś Polskę” oraz innych pieśni religijno-patriotycznych wykonywanych w kościołach warszawskich i poznańskich – co skrupulatnie odnotowywały raporty



policyjne – zarówno przez włościan, czeladników, jak i polskich ziemian.

NOWOCZESNOŚĆ Z TRADYCJĄ

Również inny sposób dochodzenia Polaków do niepodległości, drogą samomodernizacji i budowania własnymi siłami „towarzyskości społecznej” (Karol Marcinkowski), wbrew pozytywistycznej legendzie odbywał się przede wszystkim dzięki wsparciu polskiego Kościoła. Dziesiątki księży społeczników były fenomenem najbardziej kojarzonym z zaborem pruskim, ale przecież wielu odpowiedników księży Wawrzyniaków, Szamarzewskich czy Stychlów żyło i pracowało na przełomie wieków w dwóch pozostałych zaborach. Ponownie warto przy tej okazji podkreślić, że byli to księża modernizatorzy, a nie księża moderniści. Nieprzypadkowo Jan Koźmian, który jako publicysta konserwatywnego „Przeglądu Poznańskiego” ukuł w 1848 r. pojęcie „roboty organiczne”, wstąpił później do zakonu zmartwychwstańców, określanego w środowiskach liberalnych jako zgromadzenie „ultramontańskie” (w liberalnym wokabularzu tamtej epoki synonim wierności nauczaniu Kościoła i tradycji).

„NARÓD PRZYKOŚCIELNY”

Ta wspólnototwórcza siła, ale i jednocześnie zadanie polskiego Kościoła z jeszcze większą mocą ujawniła się w dramatycznym XX w., gdy naród polski stanął na krawędzi biologicznego istnienia (druga wojna światowa) i potem, gdy reżim komunistyczny próbował przerebić pozbawiony swoich elit naród polski w „naród peerelowski” (R. Legutko).

Jak pisze autor „Eseju o duszy

polskiej”: „Kościół stawał się centrum, wokół którego tworzyła się szeroka wspólnota. Był jedyną alternatywą dla pochodów pierwszomajowych, internacjonalizmu proletariackiego, ideologii partii jako siły przewodniej, naukowego marksizmu-leninizmu, realnego socjalizmu i wszystkiego, co

konstituowało społeczność peerelow-ską”.

Zamiast „narodu peerelowskiego” dzięki takim tytanom ducha jak Prymas Tysiąclecia, kard. Stefan Wyszyński, powstał w Polsce po 1945 r. „naród przykościelny”. To dzięki Kościołowi poznawał prawdy wiary, otrzymywał pewne wskazówki w drodze do zbawienia, a jednocześnie, niejako przy okazji, dostawał pakiet ratunkowy dla swojej kulturowej tożsamości.

STRATEGIA PRZEJŚCIA PRZEZ MORZE CZERWONE

Dlaczego Gomułka tak histerycznie zareagował na list polskich biskupów do biskupów niemieckich z 1965 r.? Nie należy wierzyć reżimowej propagandzie, że chodziło o fragment jednego zdania („przebaczamy i prosimy o przebaczenie”). Kamieniem obrazy było to, że cały list (kto go dziś jeszcze czyta?) był wielkim przypomnieniem, że Polska w sensie cywilizacyjnym należy do Zachodu, że jej oblicze kulturowe zostało ukształtowane przez chrześcijaństwo i że jej historia nie zaczęła się z chwilą publikacji w Polsce wydrukowanego w Moskwie Manifestu PKWN z 22 lipca 1944 r.

Z podobnych przyczyn tak nerwowo komunistyczne władze reagowały na obchody milenijne 1966 r. i decydowały się na tak aberracyjne zachowania jak aresztowanie kopii cudownego obrazu Jasnogórskiej Królowej Polski. Na spotkaniach z jej wizerunkiem na szlakach milenijnych doszło do pierwszego wielkiego liczenia się Polaków – wbrew władzy komunistycznej. Drugie nastąpiło podczas pierwszej pielgrzymki św. Jana Pawła II do Polski. Rok później, w sierp-

niu 1980 r., „naród przykościelny” pokazał swoją siłę. Ale nie byłoby jej, gdyby nie wcześniejsze sięganie do „głębi tego tysiąclecia”, z której dochodziło wołanie polskiego biskupa Rzymu o zstąpienie Ducha na tę ziemię.

Interrex „przykościelnego narodu”, prymas Wyszyński, też miał swoich „demokratów”, którzy „nie smakowali w pobożnych pieśniach”, kręcili nosem na odwoływanie się przez kardynała do „ludowego, maryjnego katolicyzmu” i zaniebdywanie implementacji w Polsce z porównywalnym do niemieckiego, holenderskiego czy francuskiego wigorem reform posoborowych. Swoją strategię oporu budował niezłomny prymas na narodowych ślubach królowej Polski (1956) i na narodowych rekolekcjach rozłożonych na dziewięć lat (Wielka Nowenna 1957–1965).

SIŁA „RYGORYSTÓW”

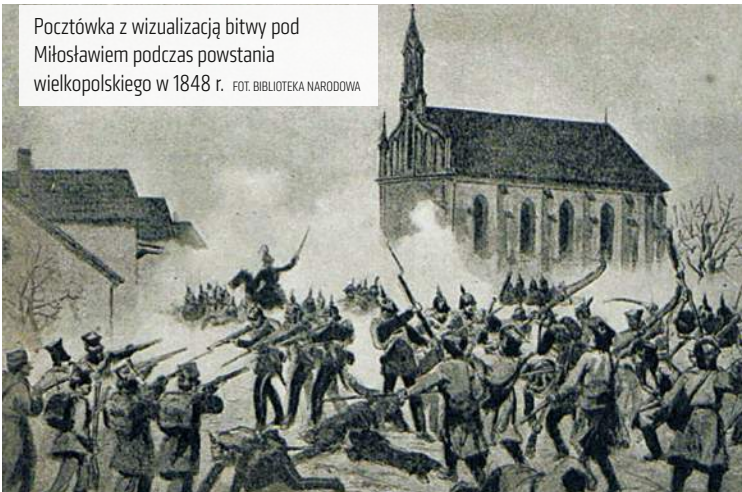
Z dość dużą dozą prawdopodobieństwa można powiedzieć, że gdyby jakimś cudem ktoś dzisiaj w Kościele powszechnym chciał realizować taki program, zaraz by został okrzykany przez współczesnych „demokratów” zagnieżdżonych w ważnych kościelnych strukturach (od samego szczytu na Watykanie), że jest niemilosiernym „rygorystą”, który nie liczy się z potrzebami „współczesnego człowieka” (ontologicznie różniącego się według nich np. od człowieka wieku XIX).

A przecież takim „rygorystą” był inny – a od śmierci prymasa Wyszyńskiego jedyny – duchowy przywódca polskiego „narodu przykościelnego”, św. Jan Paweł II. W 1991 r. przyjechał z programem budowania trzeciej niepodległości na skale dekalogu. Gdy trzeba było, krzyczał.

A nowe pokolenie „demokratów” stwierdziło, że „papież nie rozumiał polskiej demokracji”.

Jednak wbrew takim czy innym „demokratom” trzeba – w trybie pilnym – powrócić do tego zarzuconego programu papieża z Polski. To jest warunek tego, że Kościół w Polsce zachowa swoją moc. Nie jako dodatek czy substytut, ale jako siła, która przemienia. Zachodnia cywilizacja wyrosła jako produkt uboczny ewangelizacyjnej pracy Kościoła. Tak wyrosło wszystko to, co stanowi o nas. Letniość wiary w Kościele zmroziłaby całe nasze życie.

Pocztówka z wizualizacją bitwy pod Miłosławiem podczas powstania wielkopolskiego w 1848 r. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA





TOMASZ D. KOLANEK: Większość źródeł podaje, że chrześcijaństwo dotarło do Japonii w 1549 r., kiedy po raz pierwszy swoją stopę postawili tam portugalscy misjonarze. Dlaczego tak późno?

PROF. JAKUB POLIT: To prawda, że rok 1549 jest powszechnie przyjmowany w literaturze jako data przybycia misjonarzy do Japonii. Fakty są jednak takie, że po raz pierwszy chrześcijanie, a konkretnie załoga jednego z portugalskich statków, dotarli do brzegów Kraju Kwitnącej Wiśni kilka lat wcześniej, w 1542 r. Wtedy to też Europejczycy stworzyli pierwszy opis tego kraju.

Jednak przecież znane są opisy Japonii z czasów Marca Polo...

Opisy sporządzone przez Marca Polo opierały się na relacjach innych

że lądu na Ziemi jest więcej, a oceanu do przebycia – mniej.

Wróćmy do roku 1549. Kto odpowiadał za misję chrystianizacji Japonii?

Święty Franciszek Ksawery. To właśnie jego pojawienie się w Japonii jest punktem zwrotnym i dopiero od tego momentu możemy mówić o rzeczywistym początku chrystianizacji tego kraju.

Pytał pan, dlaczego tak późno. Odpowiedź jest prosta: ponieważ Japonia nie leżała na uczęszczanych szlakach, tylko na obrzeżach świata chińskiego, do którego też nie od razu Europejczycy zapukali. Ponadto Japonia od wielu lat uchodziła za kraj chroniący się przed wpływem obcych.



Z prof. Jakubem Politem, historykiem, wykładowcą Uniwersytetu Jagiellońskiego rozmawia Tomasz D. Kolanek

Prześladowani, wyszydzani, (nie)pokonani

ludzi, może nawet samych Japończyków wziętych do niewoli przez Mongołów na dworze Chana Kubilaja. Sam wenecki kupiec i podróżnik nigdy do Japonii nie dotarł.

Co ciekawe, przygotowane przez niego opisy Japonii miały duże znaczenie w perspektywie późniejszych odkryć geograficznych. Na przykład Krzysztof Kolumb albo z chęcią, albo z wyachowania, chcąc zmienić rozmiary Ziemi na sporządzanych przez siebie mapach, zamieszczał szczególnie powiększoną Japonię. Chciał w ten sposób pokazać,

Jak to się stało, że w pierwszych latach działalności misjonarzy w Japonii chrześcijaństwo odniosło tak spektakularny sukces?

Na to pytanie nie jest łatwo odpowiedzieć w kategoriach naukowych. Można sięgać do metafizyki, wpływów nadprzyrodzonych i woli Pana Boga.

Przez lata udzielono na ten temat przeróżnych odpowiedzi. Najczęściej wskazywano, że Chiny i Japonia, przynajmniej potencjalnie, były krajami znacznie lepiej nadającymi się do ekspansji chrześcijaństwa niż np. Indie, w których barierę stanowił system kastowy.





Misjonarze z Portugalii przybywający do Japonii w okresie Nanban (1594–1618) FOT. G. DAGLI ORTI/DE AGOSTINI/FORUM

Religie panujące w Japonii, podobnie jak w Chinach, uchodziły za luźny system wierzeń przypominający jezuickim misjonarzom pogański system w Cesarstwie Rzymskim, czyli z jednej strony intrygujący intelektualnie i filozoficznie, ale pod wieloma względami dość miątki.

Jak wyglądała akcja chrystianizacji Japonii?

Należy podkreślić, że liczba misjonarzy w Japonii nigdy nie przekroczyła kilkudziesięciu, a mimo to w latach 70. XVI w. w tym 20-milionowym kraju było już ponad 30 tys. chrześcijan. Ponadto źródła podają, że na przełomie XVI i XVII w. w Japonii było 6 tys. nawróceń rocznie, i to przeważnie w warstwach wyższych, wśród tzw. elit, co jest najbardziej znaczącą różnicą między Japonią a Chinami. O ile w Chinach nawracał się głównie lud, o tyle w Japonii jedna trzecia nawróconych pochodziła z rodzin samurajskich, których liczebność nie przekraczała 3 proc. ogółu.

Dlaczego tak było?

Niejednokrotnie się nad tym zastanawiałem. W mojej ocenie jest to zasługa ówczesnego otwarcia na świat. W tamtym czasie Japończycy byli bardzo mocno zainteresowani światem zewnętrznym, wielu z nich wyrażało chęć czytania obcych książek etc. Trzeba podkreślić, że św. Franciszek Ksawery i inni jezuici robili wszystko, aby jak najszybciej przetłumaczyć Pismo Święte na język japoński. Było to niezwykle ważne, ponieważ w XVI w. w Japonii procent ludzi potrafiących czytać i pisać był zdecydowanie wyższy niż w Europie.

Ponadto najważniejsze dogmaty religii chrześcijańskiej stanowiły swego rodzaju wyzwanie intelektualne dla ówczesnych elit.

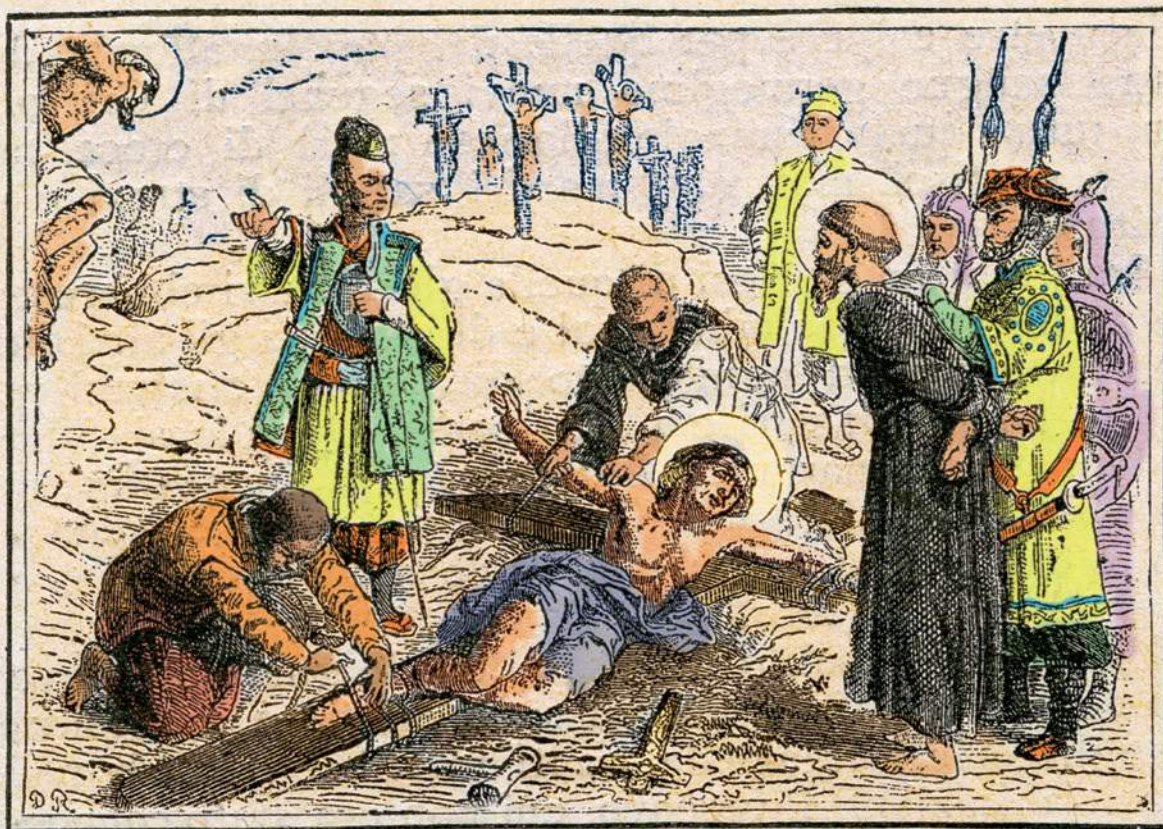
Ten trend utrzymał się do dziś. Obecnie w Japonii chrześcijaństwo to ok. 1 proc. populacji tego kraju. Chrześcijaństwo wśród elit jest znacznie bardziej popularne niż w wielu innych krajach.

Dlaczego mimo początkowych sukcesów w szerzeniu wiary chrześcijańskiej w Japonii w pewnym momencie tamtejsi szoguni podjęli decyzję o rozpoczęciu prześladowań, a nawet eksterminacji chrześcijan?

To też dobre pytanie. Wiele wskazuje, aczkolwiek jest to bardzo nieładna odpowiedź ze strony historyka, że wynikało to z przypadku, a konkretnie z takiej, a nie innej osobowości rządzących wówczas Japonią przywódców.



Il 5 febbrajo.



Santi Martiri del Giappone.

(† 1597)

Męczennicy ukrzyżowani w 1597 r.

w Nagasaki FOT. FOTOTECA GILARDI/GETTY IMAGES

Trzeba powiedzieć, że w wieku XVI, kiedy do Japonii przybył św. Franciszek Ksawery, kraj ten był politycznie rozproszkowany i rozbity. Pojawiały się wprawdzie kandydatury na bardzo agresywnych i ekspansywnych zjednoczycieli, których nazwiska jednak nie powiedzą zbyt wiele czytelnikom: Nobunaga Oda, Hideyoshi Toyotomi, Ieyasu Tokugawa.

Żeby jednak zobrazować ich potęgę i wpływ, przywołam opinię jednego z historyków, który powiedział, że sytuacja w Japonii w XVI w. była mniej więcej taka, jakby w Europie Juliusz Cezar, Aleksander Wielki i Napoleon Bonaparte żyli jednocześnie.

Wyobraża sobie pan taką sytuację?

Nie...

No właśnie, a w Japonii miała ona miejsce – trzech najwybitniejszych żyło w tym samym pokoleniu.

Co to oznaczało?

Że zmiana – ba! ogromna zmiana – również w podejściu do chrześcijaństwa jest nieunikniona.

Cały problem polegał na tym, że św. Franciszek Ksawery oraz jego następcy wyobrażali sobie, że nawrócenie Japonii będzie wyglądało tak jak wyglądało, nawrócenie Cesarstwa Rzymskiego, Chlodwiga w Galii czy Mieszka I w Polsce, czyli dotrzemy do władcy, nawrócimy go i za jego śladem pójdą poddani.

Święty Franciszek Ksawery próbował się dostać do japońskiego „syna nieba”, czyli do cesarza, który znajdował się w Miyako – czyli Kioto. Kiedy mu się to wreszcie udało, był wstrząśnięty, ponieważ zobaczył, że pałac cesarski jest ogrodzonym rozpadającym się płotem budynkiem, a cesarz nie ma właściwie żadnej władzy.

Dlaczego?

Ponieważ samo słowo cesarz w przypadku Japonii było mylące. Gdyby nie tradycja, to należałoby najważniejszą w Japonii postać określić innym tytułem.

Misjonarze z Europy poszukiwali postaci wspartej na szabli, z którą można by porozmawiać o wojnie i polowaniach na grubego zwierza, a znaleźli kogoś przypominającego bardziej papieża. Był to raczej szafarz koron, sponsor kultury i sztuki, interpretator starożytnych ksiąg i kaligrafii, który jednak żadnej władzy nie posiadał, mimo że tylko on mógł rozdysponować i nadać „klucze królestwa”.

Okazało się więc, że cesarz Japonii jest postacią symboliczną, że ma zaledwie cień władzy, a istnieje i jest nietykalny tylko dlatego, że stanowi „symbol jedności państwa”. Jedynym realnym działa-



niem, które mógł podjąć, było mianowanie szoguna, czyli wielkorządcy.

Musiałoby minąć sporo czasu, zanim misjonarze zdali sobie sprawę, że ewentualne nawrócenie cesarza niewiele pomoże i dlatego muszą trafić do szoguna. Problem polegał jednak na tym, że w drugiej połowie XVI w. nawet jego nie było, ponieważ często funkcję tę sprawował jeden czy drugi 16-latek, którego władzą była równie symboliczna jak władza cesarza.

W końcu na szczęście zrozumiano, że Japonia jest rozbita niczym Polska w XIII w. i realną władzę sprawują w niej lokalni książęta. Do wielu z nich udało się trafić i nawrócić na chrześcijaństwo.

Tragizm całej tej sytuacji polegał jednak na tym, że ci, którzy w końcu Japonię zjednoczyli mieczem, chrześcijanami nie byli i w pewnym momencie doszli do wniosku, iż chrześcijaństwo stanowi zagrożenie dla kraju i dla nich samych.

O ile Nobunaga Oda był dla chrześcijan postacią dość życzliwą, o tyle już jego następca Hideyoshi Toyotomi miał do chrześcijan stosunek ambiwalentny – raz ich popierał, raz ich zwalczał. Wreszcie przyszedł Ieyasu Tokugawa, który po początkowych wahaniach zdecydowanie opowiedział się za prześladowaniem chrześcijan.

Jak by pan wytłumaczył okrucieństwo, w którym spotkali się pierwsi Japończycy chrześcijanie ze strony władz?

Tym, że XVI-wieczna Japonia była krajem niebywale okrutnym. Można powiedzieć oczywiście, że były to inne czasy, że w Europie kwalifikowana kara śmierci obowiązywała wszem wobec, ale nie można pomiędzy tymi dwoma światami stawiać znaku równości.

Pierwsi misjonarze, którzy dotarli do Japonii, wskazywali, że zabicie człowieka, zwłaszcza dla samuraja, to żaden problem, ponieważ czynią to oni w gruncie rzeczy bezrefleksyjnie. Ponadto zwracali uwagę, że samurajowie są okrutni wobec siebie samych.

Jak japońskie władze postępowały z misjonarzami? Niektóre źródła podają, że dawano im wybór: albo się stąd wyniesiecie, albo zginiecie...

Była jeszcze trzecia opcja – apostazja – i niestety wielu misjonarzy skorzystało z tej możliwości.

Chciałbym w tym miejscu powiedzieć o największym błędzie Europejczyków. W ciągu tych ponad 50 lat misji, które

można nazwać spokojem przed burzą, prawie nie wyświęcano, przynajmniej w masowy sposób, księży japońskich.

Jasne jest, że Europejczycy z racji samego wyglądu rzucali się w oczy i przez to nie mogli się przemieszczać w sposób niepostrzeżony.

Wydaje się pewne, że gdyby przesładowania nastąpiły o pokolenie później albo wcześniej rozpoczęto masowe wyświęcanie księży japońskich, to podziemny Kościół w Japonii nie tylko przetrwałby, lecz także rozwinąłby się, ponieważ tylko księża mogli odprawiać mszę świętą i udzielać sakramentów. Skoro jednak ich fizycznie wytępiono, to np. wśród japońskich chrześcijan ogromną popularność zdobyła umiejętność wzbudzenia w sobie doskonałej skruchy. Chrześcijanie w Japonii doszli bowiem do wniosku, że skoro nie ma kapłanów, a co za tym idzie – nie mogą ich wypowiadać, to muszą wzbudzić w sobie „żał doskonały” i w ten sposób przeprosić stwórcę za grzechy i przewinienia.

Problemów było jednak dużo więcej. Nie można było odprawiać mszy świętych, nie można było zawierać katolickich małżeństw ani odprawiać pogrzebów.

Wszystko wskazywało na to, że w takich warunkach wiara musi skostnieć, przybrać formę skamieliny, a następnie zniknąć. Tak się jednak nie stało. Chrześcijaństwo w Japonii przetrwało. Istniało wiele wsi, w których przeważali wyznawcy Chrystusa. Byli oni jednak zdominowani przez mentalność dyktoidalną, ponieważ musieli funkcjonować w podziemiu i w pełnym zaufaniu.

Władze co pewien czas, właściwie do końca XVII w., ponawiały zarządzenia antychrześcijańskie. Później rzecz była na tyle utajniona i uwsteczniiona, że już nie było to potrzebne.

Jak pana zdaniem zareagowałby japoński rząd, gdyby cesarz Naruhito powiedział: „Jestem katolikiem”?

Byłby to dla nich na pewno problem. Przede wszystkim dlatego, że znaczna część polityków tzw. klasy dyskutującej postawiłaby na porządku dziennym pytania: Kim jest cesarz? Czym jest monarchia? Czym jest państwo?

Obecna konstytucja Japonii nigdzie nie mówi jasno, że cesarz jest głową państwa. Można nawet wywnioskować, przy odrobinie złej woli, że w gruncie rzeczy tak nie jest. Jest tam wprawdzie

napisane, że cesarz jest symbolem państwa i jedności narodu, jednak powstały np. takie problemy, czy cesarz ma prawo przyjmować listy uwierzytelniające od ambasadorów (a przyjmuje...), skoro w gruncie rzeczy głową państwa w sensie technicznym nie jest.

Na pewno zastanawiano by się, czy cesarz chrześcijanin mógłby dokonywać wszystkich obrzędów szintoizmu. I tak mamy problem: W czym robi to imieniu? Czy są to uroczystości państwowe, czy też jego prywatna działalność?

Jak wygląda obecnie sytuacja zwykłych chrześcijan w Japonii? Mam tu na myśli wyznawców Chrystusa spośród ludu, spoza tamtejszych elit.

W pana pytaniu jest zawarta sprzeczność, „zwykłym japońskim chrześcijaninem” bowiem jest zazwyczaj osoba z tamtejszych elit. Przeważnie wśród Japończyków chrześcijaństwo to nie są próśki pracownicy systemu usług, to nie są próśki rybacy, to nie są próśki wieśniacy.

Powiem jeszcze inaczej: w ciągu ostatnich stu lat było w Japonii ośmiu premierów chrześcijan. Jest to liczba nieproporcjonalnie duża wobec liczebności chrześcijan w Japonii. Niestety, chrześcijaństwo w Japonii w żaden sposób na tym nie zyskało.

Na pewno są to ludzie traktujący swoją wiarę bardziej serio niż zwykły mieszkaniec Japonii, a nawet Europy Zachodniej. Dzieje się tak dlatego, że codziennie poprzez oddawanie czci Chrystusowi pokazują, iż są inni niż pozostali Japończycy. Co ciekawe: przeciętny Japończyk nie zdaje sobie sprawy z ich istnienia w społeczeństwie.

Córka pokazała mi kiedyś wywiad wideo, w którym dziennikarz pytał japońskie dziewczęta, jakby zareagowali ich znajomi, gdyby związały się z chrześcijaninem. Ze wszystkich wypowiedzi wynikało, że poprzez związek z chrześcijaninem rozumieją one związek albo z Amerykaninem, albo z Europejczykiem. Nie przychodziło im do głowy, że chrześcijaninem może być ich sąsiad czy kolega ze studiów.

Dla przeciętnego Japończyka chrześcijaństwo jest czymś, nie chciałbym powiedzieć niepojętym, ale na pewno znajdującym się poza ich uniwersum.

Nie zmienia to tego, że chrześcijaństwo w Japonii na swój sposób trzyma się mocno. Niestety, nie idzie ono naprzód, nie zdobywa nowych wiernych ani terytoriów.



Cztery plus cztery Piotra Semki



Piotr Semka

Jakie były największe majstersztyki i wtopy w polskiej polityce 2019 r.?



MAJSTERSZTYK NR 1, czyli eurowybory

Po pierwsze:
wygrana PiS
w wyborach do
europarlamentu.
Tego głosowania

partia z Nowogrodzkiej mogła obawiać się najbardziej. Tradycyjnie wybory do parlamentu w Brukseli były domeną obozu liberalnego. Nie bez powodu. To głównie nowoczesny elektorat wielkomiejski interesował się tematyką europejską. Po względnie remisowych wyborach samorządowych z października 2018 r. eurowybory miały być w planach Koalicji Obywatelskiej odbiciem do wygranej jesienią i prezydentury. Receptą na sukces miało być zjednoczenie wszystkich sił opozycyjnych od SLD do PSL w jednej Koalicji Europejskiej. Patronem tego starcia po stronie opozycji miał być Paweł Adamowicz, zamordowany przez szaleńca

w Gdańsku. Chętnie nawiązywano do tej tragedii jako metafory starcia idei proeuropejskich z „obozem nienawiści”.

A jednak cicha mobilizacja elektoratu prawicowego odwróciła wektory. Duże miasta okazały się stosunkowo bierne, za to Polska powiatowa i wiejska poszła do urn w nieproporcjonalnie dużym procencie. Dlaczego? Padają różne wyjaśnienia. Od wskazywania na słynną wypowiedź Leszka Jażdżewskiego o „świniach lubiących walkę w błocie” do profanacji w marszach równości wizerunku Matki Boskiej. Bardzo trafne okazały się analizy socjologiczno-wyborcze prof. Waldemara Parucha. Wygrana dla PiS, który pokonał PO w stosunku 45,38 proc. do 38,46 proc. była jak kontaktowa bramka. Bez niej wybory jesienne poszłyby znacznie gorzej. Sukces w eurowyborach uśpił jednak też partię Jarosława Kaczyńskiego i mimo zakłęb liderów wbił ją w samozadowolenie.



MAJSTERSZTYK NR 2, czyli efektowne obchody 80. rocznicy agresji Niemiec na Polskę

Opozycja od
początku roku
złośliwie wróżyła, że

powtórzy się sytuacja z 11 listopada 2018 r., gdy do Polski na setną rocznicę odzyskania niepodległości nie udało się ani prezydentowi, ani rządowi ściągnąć nikogo znanego. Porażka, jak można podejrzewać, skłoniła ekipę dobrej zmiany do solidnego odrobienia tamtej lekcji. Głównym gościem miał być prezydent USA Donald Trump, który jednak w ostatniej chwili odwołał swój przyjazd. Tę absencję zrównoważyło jednak przybycie zarówno prezydenta RFN Franka-Waltera Steinmeiera, jak i kanclerz Angeli Merkel. Głowa państwa niemieckiego złożyła wyrazy ubolewania za masakrę w Wieluniu. Ważna była też obecność 17 głów państw z regionu. Niemcy uznali, że



MAJSTERSZTYK NR 4, czyli PSL z Kukizem

Czwartym majstersztykiem okazała się decyzja walczącego o przetrwanie PSL o starcie z własnej listy w wyborach parlamentarnych i pójściu do wyborów razem z Pawłem Kukizem. Po ciężkich stratach ludowców na rzecz PiS w wyborach samorządowych i mało udanych wyborach do europarlamentu – w czerwcu Władysław Kosiniak-Kamysz opuścił Koalicję Obywatelską. Jeśli PSL nie przekroczyłyby progu – to partii groziłaby anihilacja. Intuicja WKK okazała się trafna. W wyborach do Sejmu PSL odwojowała trochę sceny politycznej, skorzystała na fuzji z Pawłem Kukizem i uszczknęła nawet PiS nieco elektoratu centrowego.

Równie szczęśliwy, choć mniej efektywny, okazał się sukces Konfederacji w jesiennych wyborach. PiS miał nadzieję, że skoro Konfederaci nie weszli do parlamentu w eurowyborach, to tym bardziej nie wejdą do Sejmu. Chociaż trwało to parę lat, to jednak Marsz Niepodległości okazał się zwiastunem wyłonienia się nowego typu elektoratu – młodych, dla których PiS jest za miękki.

I jeszcze na marginesie tych sukcesów minimajstersztyk, czyli wejście na plecac Platformy do europarlamentu zwartej grupy weteranów PZPR: Leszka Millera, Marka Belki i Włodzimierza Cimoszewicza. Grzegorz Schetyna dał tej grupie czerwonych dinozaurów bardzo dobre miejsca, licząc na poparcie listy Koalicji Europejskiej przez elektorat PZPR-owsko-milicyjno-ormowski. Operacja się udała, ale Leszek Miller z kolegami szybko odwrócił się plecami do PO i dołączył w Brukseli do grupy socjalistów i demokratów. Ich sukces mógł tylko z uczuciem goryczy obserwować Kazimierz Marcinkiewicz. Gdy 1 lutego podpisywano w Warszawie deklarację byłych premierów i marszałków Sejmu wzywającą do stworzenia szerokiej koalicji opozycji na eurowybory z jego udziałem – był pewien przeprowadzki do Brukseli. Niestety, awantury o alimenty, które robi mu wciąż niegdyś ukołochana przezeń Isabel, wszystko zepsuły. Schetyna uznał, że Marcinkiewicz może być obciążeniem dla listy, i pechowego „Kazia” skreślił. Europarlament byłby premier może dziś podziwiać tylko w telewizji.

dla wzmocnienia swojej pozycji w sporze o reparacje warto mocno bić się w piersi za zbrodnie agresji w 1939 r. Okazji do prezentacji polskiego spojrzenia na losy ostatniej wojny nie zmarnował też prezydent Andrzej Duda, który wygłosił jedno z najlepszych przemówień w swojej kadencji. Słowem, spory sukces.

po majowym sukcesie i zbyt słabo przygotował się do batalii w Senacie. Zaniedbano sprawdzoną taktykę wystawiania znanych postaci z obozu PiS, co tak pomogło rządzącej partii wiosną. Przykładem była tu Warszawa, gdzie kandydatami PiS były tak mało znane postaci jak teolog Cezary Jurkiewicz, lekarze Marek Rudnicki i Piotr Zbigniew Radziszewski czy Lech Jaworski, jeszcze całkiem niedawno czynny polityk Platformy. Wskutek wyniku wyborów PiS utracił większość w Senacie. Jakby tego jeszcze było mało, po wyborach w niezbyt mądry sposób zapowiadali, że ich partia może odbić parę miejsc. Niezdarne negocjacje w celu skaperowania paru senatorów opozycji były ujawniane i nie przyniosło to korzyści PiS. Platforma i PSL mogły odegrać show pt.: „Próbowano nas kupić, ale my jesteśmy nie do kupienia”. A Senat pod wodzą ambitnego senatora PO Tomasza Grodzkiego kreowany jest przez Platformę na opozycyjny Piemont.



MAJSTERSZTYK NR 3, czyli wspólny start opozycji

Majstersztykiem opozycji okazał się z kolei pomysł jednolitej listy do

Senatu. Był to symboliczny odwet za wiosenną porażkę. Pomysł paktu opozycji na rzecz wyboru jednego kandydata w poszczególnych okręgach wyborczych do Senatu nagłośnił Donald Tusk. W większości okręgów taktyka ta się sprawdziła. Jak już wspominałem, PiS zbyt osiadł na laurach



**WTOPA NR 1,
czyli zygzaki Tuska**
Najciekawszą wtopą
były polityczne losy
Donald Tuska
w mijającym roku.

Były już obecnie szef Rady Europejskiej pośrednio wpłynął na porażkę PO w wyborach do europarlamentu. Albo zaplanował wystąpienie Leszka Jażdżewskiego na Uniwersytecie Warszawskim 3 maja br., albo nie ustalił na czas tej kwestii. Jażdżewski obraził ludzi wierzących i – jak już pisałem – mógł to być jeden z impulsów do mobilizacji prawicy w eurowyborach. Na dodatek mowa Leszka Jażdżewskiego skradła show Tuska.

Po tej porażce Tusk – w typowym dla siebie niejasnym stylu – zaczął aluzyjnie wspominać o tworzeniu pod swoim patronatem na jesienne wybory bloku samorządowców i osób gotowych bronić demokracji. Plany te powiązał z 30. rocznicą solidarnościowych wyborów z 1989 r. Gdy magiczna data 4 czerwca nadeszła, na wiecu w Gdańsku nawet nie zająknął się na temat powołania nowego ruchu. Wreszcie do końca października nie rozwiewał plotek na temat swojego startu w wyborach prezydenckich. Gdy wreszcie 6 listopada ogłosił, że nie wystartuje, zawiódł dużą część obozu PO. Cały ten zygzak bałamutnych sugestii i potem wycofywania się z nich niezwykle skomplikował Platformie jej działania w 2019 r. Teraz Tusk rozwija kolejną kuszącą wizję własnego ruchu politycznego i gromko ogłasza: „Nie abdykowałem!”. Nie wyjaśnia tylko, jakiego tronu nie chce opuszczać.



**WTOPA NR 2,
czyli Wiosna Biedronia**
Robert Biedroń
zaczynał ten rok
efektowną konwen-
cją na warszawskim
Torwarze. To tam

proklamował istnienie ruchu Wiosna. Efektowny sztafaż, socjotechniczne chwyt i energetyczne wystąpienia wprawiły w zachwyt środowiska nowej lewicy. Biedronia postrzegano jako lidera partii, która stanie na czele wielkiego obozu progresywnego z resztówkami po SLD. Wiosnę widziano już w roli trzeciej siły politycznej po PiS i PO. Jednak w eurowyborach partia Biedronia uzyskała słabiutki wynik 6,06 proc. W mediach drukowano

teksty o awanturach wewnętrznych w ruchu. Jeden z aktywistów oskarżył partię o mobbing. Sam Biedroń dodatkowo odmówił oddania mandatu w Brukseli, mimo wcześniejszych deklaracji, że zwróci go zaraz po wyborach.

Okazało się, że rację mieli ci, którzy od początku wieszczili, że prawdziwe aspiracje byłego prezydenta Słupska to lukratywny mandat dla siebie i swego partnera Krzysztofa Śmiszka. Do europarlamentu Śmiszek nie wszedł, ale do Sejmu już tak.

Od tej chwili Biedroń przestał się interesować swoją partią. Bez żalu zgodził się na wejście Wiosny do SLD i stracił nawet zainteresowanie startem w wyborach prezydenckich. Teraz może już realizować swoje hobby – podróżować ze swoim partnerem po egzotycznych krajach.



**WTOPA NR 3,
czyli „premier”
Kidawa-Błońska**
Wtopą nr 3 okazała
się kandydatura
Małgorzaty Kidawy-
-Błońskiej na

premiera w wyborach do Sejmu. M.K.B. nie ma predyspozycji do bycia frontmanem, nie potrafi znaleźć własnego programu (dosłownie i w przenośni), ma kłopoty z wystąpieniami bez kartki od swego promotora. Mimo porażki PO Kidawa-Błońska znów została kandydatem tej partii – tym razem prezydenckim. Jej debata z kontrkandydatem Jackiem Jaśkowiakiem była po prostu nudna. Na mało kim zrobiło wrażenie, że M.K.B. jest prawniczką prezydenta Stanisława Wojciechowskiego i premiera Władysława Grabskiego. Mimo tak nieszczególnych prognoz wszystko wskazuje, że jeszcze do maja 2020 r. pani Małgorzata będzie walczyła o naszą uwagę.



**WTOPA NR 4,
czyli Marian Banaś w NIK**
Pozycja czwarta to
sprawa Mariana Ba-
nasia – megawtopa
związana z Prawem
i Sprawiedliwością.

Błędnie przy niej inna PiS-owska afera związana z działalnością w sieci grupy wysokich urzędników z Ministerstwa Sprawiedliwości z hejterką znaną szerzej jako Mała Emi.

Postać Banasia do dziś otoczona jest w PiS aurą nieudomówień. Jak to się stało, że dawny działacz opozycji, a po 1989 r.

**Najciekawszą wtopą były
polityczne losy Donald Tuska
w mijającym roku. Pośrednio
wpłynął on na porażkę PO
w wyborach do europarlamentu**

urzędnik bardzo wysoko oceniany przez Lecha Kaczyńskiego, mający spore zasługi w ściganiu patologii, mógł tolerować prowadzenie bardzo podejrzanych praktyk w domu, który otrzymał od zmarłego AK-owca. Czy Banaś najpierw był ślepy na wyczyny swego syna i jego kolegów? Dlaczego podejrzane osoby powoływały się na znajomość z Banasiem seniorem? A może przypadki mijania się z prawem Banasia zdarzały się już wcześniej? Tak czy inaczej PiS znalazł się w trudnej sytuacji. Banaś nie ma zamiaru odchodzić, a opozycja nie przyłożyła ręki do jego odwołania. Prezes NIK będzie dla PO, PSL, Lewicy i Konfederacji wygodny dla wskazywania upadku moralnego PiS. Nie będzie łatwo go usunąć. Pierwszy to chyba apel Jarosława Kaczyńskiego o dymisję, który został tak jawnie i boleśnie dla prezesa PiS zignorowany.

Dla Prawa i Sprawiedliwości – partii lubiącej niegdyś określać się jako ugrupowanie czystych rąk – będzie to poważna kula w nogi.



KANDYDAT NA 2020 R.
Poza kategoriami
„Majstersztyki
i wtopy roku” sytuuje
się przypadek
Adriana Zandberga.

Po porażce w wy-
borach sejmowych

w 2014 r., gdy jego partia Razem nie przekroczyła progu wyborczego, lider lewicy wyciągnął wnioski i wystartował z list SLD, do której dołączyła osobno Wiosna. Teraz może brylować z sejmowej mównicy, ale nie ma dostępu do pieniędzy z dotacji, które otrzymuje SLD. Na lepsze dla Razem czasy poczekać też muszą próby zbudowania lewicy bez paktu z postkomunistami. Teraz Zandberg unika konfliktów z Sojuszem. Nie wystartuje też w wyborach prezydenckich jako kandydat lewicy. Czarzasty i Biedroń wolą szukać kandydatki z puli kobiet feministek. Taka kampania może być już kandydatem do rankingu sukcesów i wtop roku 2020.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Z Witoldem Waszczykowskiem, europosem PiS,
byłym ministrem spraw zagranicznych
rozmawia Kamila Baranowska

Rząd PiS wzmacnia Unię



KAMILA BARANOWSKA: „NATO jest i pozostanie fundamentem naszego bezpieczeństwa, zaś Stany Zjednoczone naszym głównym sojusznikiem” – podkreślał podczas exposé premier Mateusz Morawiecki. Coraz częściej jednak słychać głosy, że rząd PiS zbyt mocno postawił na sojusz z USA, zaniedbując relacje w ramach Unii. Jak pan to widzi?

WITOLD WASZCZYKOWSKI: Podpisuję się w pełni pod słowami premiera. To jest nasza stała doktryna bezpieczeństwa, zaś o której mówimy już ponad 20 lat. Sojusz Północnoatlantycki był i jest podstawą naszego bezpieczeństwa, poza oczywiście naszymi własnymi zdolnościami obronnymi, które musimy rozwijać i unowocześniać. W ramach sojuszu naszym najważniejszym sprzymierzeńcem są Stany Zjednoczone i nie dlatego, że darzymy je jakąś nieracjonalną miłością, ale jest to pewna kalkulacja. To po prostu najbardziej wiarygodny partner z całego sojuszu, państwo, które odpowiada na wszystkie sojusznicze wątpliwości, które ma własne globalne interesy i akurat w naszej części Europy te interesy współgrają z interesami polskimi. Byłoby zupełnie czymś niezrozumiałym, gdybyśmy nie chcieli z tego skorzystać i podpisać się pod te interesy, namawiając USA, żeby i nasze interesy były bronił. To się nam udało już wiele lat temu. Dwadzieścia lat temu weszliśmy do NATO i, co warto odnotować, do 2016 r. Polska była tylko politycznym członkiem sojuszu, nie mieliśmy wiarygodnych obronnych planów naszej części Europy. Po 2016 r. również NATO weszło do nas, do Polski. To prawda, że ta doktryna, o której mówił premier i z którą się zgadzam, była podważana przez poprzednie rządy, niektórych ekspertów uważających, że trzeba się bardziej zwrócić w kierunku Europy. Historia zachowań NATO i USA powoduje, że jeśli chodzi o kwestie bezpieczeństwa, to w porównaniu z tymi zachowaniami opcja europejska jest i pewnie długo jeszcze będzie dość mglista.

Co nie zmienia tego, że najlepiej mieć w odwodzie obie opcje.

Dlatego też, o czym warto przypominać, Polska równolegle, kiedy zaczęła starać się o członkostwo w NATO, zabiegała także o członkostwo w UE. Staramy się od lat być aktywnym członkiem Unii. To właśnie rząd PiS wzmacnia Unię, odbudowując niektóre struktury, takie jak Grupa Wyszehradzka, czy koncepcje

Trójmorza, które to są przecież tworzone w ramach Unii. Owszem, nieco inaczej patrzymy na UE, nie chcemy, by Unia była zarządzana przez trójkąt Bruksela – Paryż – Berlin, a reszta, w tym my, była gdzieś na peryferiach. Chcemy, żeby Europa oddychała dwoma płucami, jak to ujął kiedyś Ojciec Święty, i aby to nasze płuco było równie rozwinięte jak Europa Zachodnia i znaczyło tyle samo. To się z fundamentem Unii nie kłóci, to się kłóci jedynie z pewną ideologiczną koncepcją Unii, budowaną w feudalny sposób. My, wbrew pozorom, mamy bardzo demokratyczne podejście do Unii.

A jakie podejście ma Unia? Czy to, że PiS wygrał wybory europejskie, a potem parlamentarne, zmieniło coś w stosunkach Bruksela – Warszawa?

Rzeczywiście, w czasie trwania pierwszej kadencji można było zauważyć u części elit brukselskich oczekiwanie, że można to wszystko przeczekać, że być może PiS jakimiś sztuczkami czy obietnicami zdobył władzę, ale niebawem będzie znów, jak było. Okazało się, że PiS w sposób zdecydowany ponownie wygrał wybory i będzie rządził drugą kadencję, mając własnego prezydenta, który ma wszelkie szanse wygrać te wybory nawet w pierwszej turze. Świat i Europa powoli się przyzwyczajają do tego, że to jest kierunek, który może trwać. I tu nie chodzi wyłącznie o Polskę i PiS, ale o pewien dyskurs polityczno-ideologiczny, który obowiązywał przez parę ostatnich dekad w Europie i który zmierzał do tego, by udowodnić, że jedyną drogą rozwoju demokracji zachodniej cywilizacji jest droga lewicowo-liberalna, będąca de facto zaprzeczeniem demokracji, bo wyklucza z dyskursu prądy konserwatywne, tradycyjne. Okazało się, że nie tylko w Polsce, lecz także w innych kilku krajach ten bardziej konserwatywny dyskurs zaczął się wzmacniać. I wreszcie uznano, że to jest normalność, i do niektórych powoli zaczyna docierać, że nienormalnością była próba zwichnięcia demokracji w kierunku jednej opcji ideologicznej.

Czy to, o czym pan mówi, plus nowy skład Komisji Europejskiej może przełożyć się na zakończenie sporu z Polską o praworządność?

Jeszcze będąc ministrem spraw zagranicznych, jasno wyrażałem opinię,

że cała procedura sprawdzania praworządności w ramach Unii Europejskiej jest bezprawna. Nie ma żadnego dokumentu prawnie wiążącego, a tym bardziej żadnego zapisu traktatowego, który by definiował praworządność, w którym definiowano by strukturę i funkcjonowanie Trybunału Konstytucyjnego, Sądu Najwyższego itd. To wszystko było od lat powierzone państwom członkowskim. I w każdym z państw są to kwestie inaczej rozwiązywane.

W 2014 r. Komisja Europejska stworzyła sobie procedurę badania praworządności, która – co warto przypomnieć – była także kwestionowana przez poprzedni polski rząd, czyli rząd Donalda Tuska. Kiedy tę procedurę zaczęto uruchamiać, najpierw nieformalnie, potem formalnie, należało jasno powiedzieć, że się na to nie zgadzamy. Niestety, zgodziliśmy się na tę grę i pewnie w niej ustępstwa, i teraz mamy ten paszтет. Przy czym rzeczywiście ostateczne orzeczenie TSUE jest dla Polski korzystne, co daje pewne nadzieje na przyszłość. Jeśli chodzi o nową Komisję Europejską, to jestem optymistą. Oczywiście są tacy, którzy narzekają, że na czterech najważniejszych stanowiskach unijnych nie ma nikogo z naszej części Europy, ale jest pani Ursula von der Leyen, która jest z Niemiec i jako była minister obrony tego kraju zna pewne uwarunkowania i wrażliwość, jeśli chodzi o sprawy bezpieczeństwa naszej części Europy. Gdy mowa o praworządności, również podkreśla, że trzeba wszystkich mierzyć równą miarą, a nie stygmatyzować wyłącznie jeden kraj czy dwa, co też jest z naszego punktu widzenia pozytywne.

Jak pan odbiera coraz bardziej widoczne tarcia między kanclerz Merkel a prezydentem Francji i co z tego dla Polski wynika?

Jako tarcia pomiędzy dwiema odmiennymi koncepcjami rozwoju Unii Europejskiej. Gospodarka niemiecka jest silniejszą gospodarką i zupełnie inaczej postrzega przyszły rozwój, w którym dużą rolę odgrywa i będzie odgrywać współpraca z Europą Środkowo-Wschodnią. Wymiana towarowa między Niemcami a Polską jest większa niż wymiana między Niemcami a Rosją, a wymiana między Niemcami a całą Grupą Wyszehradzką jest większa niż między Niemcami a Francją. Kto by sobie to wyobrażał jeszcze kilkanaście



lat temu? Mając tak doskonałe relacje gospodarcze, Niemcy inaczej postrzegają Unię niż prezydent Macron. Francuska gospodarka z różnych powodów jest w pewnej stagnacji, a sam Macron, nie potrafiąc sprostać rywalizacji gospodarczej, próbuje się uciekać do instrumentów protekcyjnych, takich jak ograniczanie swobody przepływu towarów, usług, ludzi czy pomysły tworzenia coraz większej strefy euro z odrębnym budżetem i instytucjami. Niemcy, co zrozumiale, nie chcą żyrować problemów Francji, stąd te rozbieżności i tarcia. Z naszego punktu widzenia korzystne jest to, że ktoś skutecznie stawia tamę francuskim pomysłom, a jeszcze lepiej, że są to Niemcy, z których zdaniem wszyscy w Unii muszą się liczyć.

Zwłaszcza kiedy prezydent Macron mówi, że największym wyzwaniem dla NATO jest terroryzm, a nie Rosja.

Ważne, że szybka akcja prezydenta Andrzeja Dudy przed ostatnim szczytem NATO doprowadziła do tego, iż jednak sojusz potwierdził, że bezpieczeństwo naszego regionu jest ważne i należy nas objąć zmodyfikowanymi planami obronnymi i myśleć o zwiększaniu bezpieczeństwa, tworząc siły wsparcia i podnosząc stopień gotowości niektórych oddziałów NATO. A co do samych słów Macrona – to są dwa różne natury niebezpieczeństwa. Terroryzm czy nowoczesny terroryzm to zjawisko, którego na pewno nie można lekceważyć, może wyrządzić ogromne szkody, ale nie doprowadzi do upadku tego czy innego państwa. Również wielkie fale imigrantów mogą doprowadzić do wielu problemów kulturowych czy społecznych, ale nie doprowadzą do upadku naszych państw. Natomiast imperialne zachowanie Rosji może doprowadzić państwa do wielkich problemów, co pokazują przykłady Gruzji i Ukrainy. Jeśli Rosjanie zaczęliby prowokować mniejsze państwa, to – jeżeli się weźmie pod uwagę różnicę potencjałów i determinację rosyjską – ich polityka może doprowadzić do upadku tego czy innego państwa w Europie. Jeśli Rosjanie prowadzą ćwiczenia wojskowe na poziomie 100 tys. żołnierzy, a ostatnie ćwiczenia na Dalekim Wschodzie angażowały ich ponad 300 tys., to nie są to już ćwiczenia obronne. To są ćwiczenia o charakterze zaczepnym, inwazyjnym. I na taki scenariusz Europa też musi być przygotowana.

Polityka zagraniczna będzie mocną stroną kampanii prezydenckiej Andrzeja Dudy? I skąd u pana to przekonanie, że realna jest wygrana w pierwszej turze?

Chciałbym, byśmy przyjęli z góry założenie, że trzeba wygrać w pierwszej turze, bez tych wszystkich dywagacji, z kim byłoby najlepiej zmierzyć się w drugiej. Poza tym druga tura oznacza niebezpieczeństwo, że zaczną się różne ruchy tworzenia wspólnych frontów i merytoryczne zasługi prezydenta Dudy mogą zejść na dalszy plan. Rozwinie się narracja w stylu niedawnych słów niegdyś wielkiego opozycjonisty, który wyłożył, co trzeba robić z „pisiorami”. Boję się, że wtedy wśród części klasy politycznej zapanuje jakiś amok, z którego nic dobrego nie wyniknie.

Z naszego punktu widzenia korzystne jest to, że ktoś skutecznie stawia tamę francuskim pomysłom, a jeszcze lepiej, że są to Niemcy, z których zdaniem wszyscy w Unii muszą się liczyć

Uważam za to, że Andrzej Duda ma wiele atutów, które mogą dać mu zwycięstwo w pierwszej turze. Po pierwsze, jest bardzo popularny, gdziekolwiek pojedzie, zbiera tłumy. Wykorzystał czas swojej prezydentury, zjechał cały kraj i wszędzie jest dobrze przyjmowany. Po drugie, to polityk, który wbrew temu, co twierdzą nieprzychylnie mu media, nigdy nie był ślepym wykonawcą woli PiS, bo w kilku kwestiach zajął stanowisko odmienne – chodzi np. o ordynację wyborczą czy sądownictwo. I, po trzecie, bez wątpienia jego najmocniejszą stroną będzie polityka zagraniczna i szeroko rozumiane kwestie bezpieczeństwa. To on rozwinął współpracę regionalną: Grupę Wyszehradzką, dziedziatkę bukareszteńską, Trójmorze. Do tego dodajmy bardzo dobre relacje z USA i dobre relacje z najważniejszymi politykami europejskimi. To wszystko trzeba będzie w kampanii dobrze pokazać.

Wiadomo już, że przeciwnikiem Andrzeja Dudy nie będzie Donald Tusk. Jak wygląda jego obecna pozycja w strukturze unijnej?

Myślę, że jego pozycja jest żadna. Przede wszystkim emanacją EPP jest klub EPP w Parlamencie Europejskim, gdzie Tuska nie ma. Poza tym gdyby zapytać nawet dobrze znających się na polityce międzynarodowej Polaków

czy ekspertów, kto był poprzednikiem Tuska w roli szefa EPP, mało kto będzie wiedział, że był to francuski polityk. Jedyne, do czego Tusk może wykorzystać tę synekurę, bo tak to trzeba nazwać, to jakieś krajowe rozgrywki, ponieważ w Europie już raczej nie zaistnieje. Po pięciu latach Tusk odchodzi bez jakichkolwiek sukcesów. W naszej części Europy zostanie zapamiętany jako polityk, który grzmiał przeciwko własnemu krajowi, nawoływał do puczu w grudniu 2016 r., straszył karami za odmowę przyjmowania imigrantów. Wielokrotnie mówiłem, że jadąc do Brukseli i obejmując stanowiska międzynarodowe, politycy nie stają się kosmopolitami. Oczywiście mają obowiązek dbać o wspólnotowe dobro, ale

zawsze dbają też przy okazji o interesy swoich krajów, czasem robiąc to wręcz beczelnie. Chodzi przede wszystkim o promocję własnego kraju, ludzi ze swojego kraju i informowanie rządu w kraju o tym, co się dzieje w instytucjach unijnych. Tusk żadnej z tych trzech rzeczy nie robił, bo ani nie promował Polski, ani ludzi z Polski na ważne stanowiska – poza wąską garstką swoich współpracowników – i nie informował władz o tym, co się dzieje.

Myślę, że Polacy nie mają pamięci złotej rybki i pamiętają jego wypowiedzi, że on nigdy nie zamieni fotela premiera na stanowisko międzynarodowe, pamiętają, że następnie wykorzystał to stanowisko do wtrącania się do polityki krajowej, pamiętają te szopki i wiece podczas przyjazdów na przesłuchania do prokuratury. Tak nie zachowuje się polityk, który ma służyć interesom własnego kraju. Proszę zobaczyć, czy Juncker, Mogherini albo Tajani zachowywali się w ten sposób? Czy wykorzystywali swoje funkcje do rozgrywki politycznej we własnych krajach? Nie, tak się nie działo. Myślę, że reputacja Tuska jest w Polsce zniszczona przez niego samego. Co pokazali mu Polacy w sondażach, po których zapewne zrezygnował z działalności w Polsce.



Chociaż sprawami społecznymi zajmował się właściwie od zawsze, to do polityki wkroczył późno. W wieku 44 lat, już jako rektor założonej przez siebie prywatnej uczelni i naczelny miesięcznika „Znak”, objął mandat senatora z ramienia Platformy Obywatelskiej. Przeszedł niemal przez wszystkie szczeble – od ministra przez wicepremiera do kandydata na szefa, a ostatecznie przewodniczącego własnej partii. Dzisiaj Jarosław Gowin i Porozumienie – przy kruchej większości PiS – zyskują na znaczeniu.

POLITYCZNE DORASTANIE

Jedna rzecz przebijająca się jak mantra z rozmów, które przeprowadziłem z byłymi lub obecnymi współpracownikami Jarosława Gowina na jego temat – umiejętność konsekwentnego budowania własnego środowiska. Chociaż niezbyt liczne, często jeszcze od czasów krakowskich lojalnego wobec patrona. Jedną z nich jest obecna minister rozwoju. – Jarka znałam z książki „Kościół po komunizmie” jeszcze z czasów studenckich, ale działaczą zaczęliśmy razem, gdy zaprosił mnie w roli wykładowcy do zakładanej przez siebie uczelni. Zamarzyło nam się zbudowanie polskiego Oksfordu. Nie wiem, czy wtedy myślał już o partii, ale chciał być aktywny. Od roli publicysty do uczestnika polityki miał niewielki krok do wykonania – mówi „Do Rzeczy” Jadwiga Emilewicz. Według niej najpierw start z list, a później wstąpienie do Platformy Obywatelskiej nie było dla nikogo zaskoczeniem. Różnice między PiS a PO były, w porównaniu z dzisiejszymi, niewielkie, a obydwie partie miały wspólnego wroga – postkomunistyczny SLD. – Owszem, liczyliśmy na polskie CDU-CSU, może naiwnie, ale pamiętajmy, jaka to była wtedy Platforma. Mówimy o partii, do której Gowina wprowadzał przyjaciel, Jan Maria Rokita, a liderami byli Maciej Płażyński czy Zyta Gilowska – dodaje Emilewicz.

Z podobnych kręgów wywodził się wówczas również Sławomir Nitras, który dziś jest po drugiej strony politycznej barykady. – W 2005 r. uważałem się za młodego przedstawiciela nurtu konserwatywnego w PO. Rokita był dla mnie naiwnym, ale ważnym punktem odniesienia, a Gowin jednym z jego bliskich współpracowników. To ciekawy intelektualnie, kulturalny człowiek, którego – już wiem, że błędnie – postrzegałem jako pieśzczoła krakowskiego katolickiego establishmentu – opowiada

polityk. Jego zdaniem wicepremier na dobre wkroczył do życia partyjnego dopiero w 2007 r., gdy z jedyńki z Krakowa na liście PO w aurze skandalu zrezygnował Rokita, a Donald Tusk przestraszył się braku równowagi w swojej formacji. – Tusk zastanawiał się, czy my też odejdziemy. Sądził, że możemy zrobić wspólnie bardziej konserwatywną wersję Platformy, i dlatego zaproponował nam ściślejszą współpracę. Gowin miał zastąpić „premiera z Krakowa”, choć nie chcieliśmy się pogodzić z decyzją Rokity. To dzisiaj wydaje się śmieszne, ale byliśmy gotowi stoczyć bój z Tuskiem o to, aby Rokita startował do Senatu – twierdzi Nitras, który w latach 2007–2009

o tym, z czym się borykał rząd Donalda Tuska. Gowin był zwolennikiem likwidacji wielu instytucji i sądów rejonowych, a ja przynosiłem mu uwagi krytyczne, przekonując go, że kwestie zawodów regulowanych to ostrożna sprawa, którą łatwo rozregulować. Dyskutowaliśmy jak ludzie z dwóch brzegów, ale darzący się szacunkiem – wspomina Miller.

SKRZYDŁO KONSERWATYWNE

Gowin z czasem zaczął się czuć coraz mniej komfortowo we własnej partii, której zarzucał odejście od fundamentów ideowych, postpolityczność i skręt w kierunku liberalnym. Jeszcze jako poseł w czerwcu 2011 r. stwierdził, że

Ten, który się nie cieszył



Marcin Makowski

Mimo późnego startu w politykę dotarł do najwyższych urzędów w państwie. Czy Jarosław Gowin marzy o własnej sile politycznej, która przejmie rząd?

pracował z Jarosławem Gowinem w zarządzie partii. Ich drogi rozeszły się, gdy Nitras dostał się do europarlamentu, a Jarosław Gowin w 2011 r. został ministrem sprawiedliwości.

W tym czasie poznał go również Leszek Miller, który w rozmowie z „Do Rzeczy” zdradza, że często to właśnie w gabinecie Gowina opozycja spotykała się z przedstawicielem rządu w celu przedyskutowania projektów ustaw. Bywało również, że i minister przychodził do biura ówczesnego szefa SLD, przedstawiając plany reform. – Wydawało mi się, że jest otwarty, słucha argumentów, modyfikuje stanowisko. Rozmawialiśmy nie tylko o samych ustawach, lecz także

„nie dojrzał i nigdy nie dojrzeje” do proponowanej przez SLD ustawy o związkach partnerskich, a gdy w styczniu 2013 r. jako minister sprawiedliwości miał zaopiniować zgłoszony przez posła PO Artura Dunina projekt legalizujący związki partnerskie, zagłósował przeciw. Wbrew woli Donalda Tuska powołał się na opinię Sądu Najwyższego oraz linię orzecniczą Trybunału Konstytucyjnego, przekonując, że związki partnerskie otwierają drogę do niekonstytucyjnych z perspektyw art. 18 ustawy zasadniczej małżeństw homoseksualnych.

– Chociaż nie jest mi po drodze z jego konserwatywnym podejściem ideolo-



gicznym, to Jarosław Gowin, jeszcze jako współlider krakowskich struktur partii, często mówił również o kwestiach obywatelskich. Przedsiębiorczości, sprawach stowarzyszeń, trójpodziale władzy, państwie prawa. Kojarzyłem go jako człowieka, który podzielał wartości republikańskie, promował samorządność, oddolność, doceniał ludzi aktywnych. Tak go w Platformie postrzegało i za to ceniło wielu, nie tylko konserwatystów. Już wtedy spotykałem się jednak z pojedynczymi opiniami, że to maska i środek do celu, a nie realne poglądy – mówi poseł Aleksander Miszański, szef PO w Małopolsce. Co jeszcze stanowiło o jego ówczesnej pozycji w partii? – Gowin był człowiekiem na pewnym poziomie, a konserwatyści PO mieli problem z wizerunkiem. Poseł Raś czy Biernacki nie byli tego formatu, a Gowin to dawał – dodaje jeden z jego ówczesnych współpracowników.

Jarosław Gowin, zanim w 2013 r. przegrał wybory na przewodniczącego, a później po opuszczeniu szeregów PO założył Polskę Razem, przeszedł jednak okres politycznego zbliżenia z Donaldem Tuskiem, który – jak przekonuje mój rozmówca z kręgów Platformy – „mocno mu wtedy zaufał”.

Więcej światła na tę relację rzuca Sławomir Nitras. – Donaldowi brakuje pewnej wrażliwości chrześcijańskiej ze względu na doświadczenie rodzinne, ale ma świadomość społeczną i umie dobierać ludzi, którzy go uzupełniają. Gowin stanowił w tej układance ważny element, który utrzymywał Platformę u władzy – mówi Nitras. – Ciekawie było obserwować moment, w którym Jarosław odkrył w Tusku brutalnego, ale skutecznego polityka, a Donald odkrył w Gowinie przewidywalnego partnera, na którego można liczyć. Nastąpił między nimi wzajemny, krótkotrwały zachwyt – uważa. Do dzisiaj, w Platformie i poza nią, decyzja o opuszczeniu szeregów stronnictwa i rzuceniu wyzwania Donaldowi Tuskowi – przy równoczesnym prowadzeniu rozmów z Jarosławem Kaczyńskim – traktowana jest jako zdrada. – Jarek rzucił wyzwanie Tuskowi w momencie jego szczytowej popularności, nie był to zatem wybór koniunkturalny. Nie zdradził PO, bo po prostu PO się zmieniła nie do poznania. To była próba, która miała powiedzieć „sprawdzam” – tłumaczy jednak Jadwiga Emilewicz.

– Dziwiłem się, że rzucił rękawicę Tuskowi, gdy było wiadomo, że nie wygra. Musiał mieć już wtedy świadomość, że od tej decyzji nie ma odwrotu i zbuduje coś swojego. Wydawało mi się, że Gowin się spokojnie mieści w konserwatywnym skrzydle PO. Gdyby nie startował na lidera, pewnie nadal byłby w partii – spekuluje jednak Leszek Miller.

CZY GOWIN ZDRADZI?

Dzisiaj, po doświadczeniu przegranych wyborów europejskich w 2014 r., mozolnego budowania Zjednoczonej Prawicy z Solidarną Polską, negocjacji z PiS oraz przekształceniu swojej partii w 2017 r. w Porozumienie, Jarosław Gowin jest politycznie w zupełnie innym miejscu niż w 2013, a nawet 2015 r. Krucha większość prawicy w Sejmie i utrata większości w Senacie, przy 18 wprowadzonych parlamentarzystach i dwóch senatorach, pozwala Gowinowi na nieco energiczniejsze „rozpychanie się łokciami”. Złośliwi do dziś wypominają mu jednak utratę innej części ciała – kręgosłupa. Zdaniem wielu polityków i komentatorów Gowin miał go metaforycznie stracić, gdy pożegnał się z byciem ideowcem w polityce i w zamian za jedność koalicji kilkakrotnie „zagłosował za, ale się nie cieszył”. Niektórych polityków PiS takie hamletyzowanie Gowina od dawna irtuje. – Wszyscy na prawicy uważają, że prędzej czy później może wywinąć to, co wywinął Platformie. Gdy przyjdą gorsze czasy, będzie pierwszym, który odejdzie. Gowin jest nie lubiany w partii bardziej niż politycy Solidarnej Polski. To widać na posiedzeniach komitetów koalicyjnych. Rozpycha się, a nie jest w głównym nurcie PiS. Jadwigę Emilewicz uważa się tam za ukrytą opcję PO – mówi „Do Rzeczy” jeden z ważnych polityków partii.

– Lepiej, gdyby nie powiedział, że głosował „za”, ale się nie cieszył. Politycy rzadko mają problemy, że czegoś nie powiedzieli, ale mają problemy



FOT. ANDRZEJ IWANCIUK/REPORTER



■ przez to, że coś powiedzieli, można mówić, że za dużo powiedział – dodaje Miller.

Jednocześnie część moich rozmówców niechętna Gowinowi docenia jego taktykę polityczną. Twierdzi, że gdy potrzebuje, potrafi dogadać się z koalicjantami oraz wejść w sojusz z Solidarną Polską, aby utrzymać najlepszą pozycję negocjacyjną z Prawem i Sprawiedliwością. Dodają, że często do nich dzwoni, wiele się w polityce nauczyły, konsultuje swoje decyzje i „ma cechy politycznego lidera, który ma ambicje na zostanie premierem”. Czasami jest jednak zbyt wyrozumiały dla ludzkich słabości i potknięć. Niektórzy potrafią to wykorzystywać przeciw niemu. Ziobro gra ostrzej – mówi mi jednak anonimowo jeden ze współpracowników wicepremiera.

– Nasz system parlamentarno-gabinetowo-nowogrodzki to świat bardzo skomplikowany. Naprawdę dobrze się w nim poruszać umie tylko kilka osób w Polsce, w tym Gowin – twierdzi równocześnie jeden z posłów Zjednoczonej Prawicy.

Katarzyna Zawada, rzeczniczka Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, która bierze udział prawie we wszystkich podróżach swojego szefa, uważa, że jego siła leży jednak nie tylko w rozumieniu personalnych niuansów PiS, lecz także przede wszystkim w budowaniu sojuszy i dążeniu do samodzielności. – Premier ceni Władysława Kosiniaka-Kamysza, ma sojuszników spoza środowisk politycznych, nie pali mostów, nie ma zaciekłych wrogów i raczej się nie mści ani nie odgrywa. Zmierza do tego, aby jego partia była silniejsza. Porozumienie to jego oczko w głowie, chce się liczyć w polityce – słyszę. Tyle że zupełnie inaczej o Porozumieniu mówią ci politycy, którzy z nazwiska podpisać się nie chcą. – Politycznie i zewnętrznie Porozumienie ma bardzo mały potencjał. Ludzie Gowina chowali na ulotkach swojego lidera i logo typ partii. Ciekawe dlaczego? – ironizuje jeden z moich informatorów. Przekonuje, że Gowin nie podziela koncepcji obozu dobrej zmiany, co widać szczególnie po reformach uczelni, gdzie „ludzie prawicy są traktowani gorzej, niż byli w przeszłości”.

– Gowin może zdradzić PiS. Nie chcę, żeby to zabrzmiało obraźliwie, ale raz to w PO zrobił. Startując na szefa partii, wiedział, że z niej wyjdzie i rozbije, a to jest nielojalne – mówi Sławomir Nitras, który również nie wierzy w podmiotowość Porozumienia.

– Nasza partia to projekt obliczony na wiele lat. Bez tej wrażliwości prawica nie ma szansy wygrywać w większych miastach. To my możemy mówić o roli kobiety w społeczeństwie, ekologii, urbanistyce i mówić o tych tematach racjonalnie i konserwatywnie. Jesteśmy reprezentantami „przedsiębiorców z krzyżykami na szyi” – odbija piłeczkę Jadwiga Emilewicz. A co z tym premierowaniem? – Każdy pełnokrwisty polityk ma jedno marzenie – zostać prezesem Rady Ministrów. Jarosław Gowin również nie miałby nic przeciwko temu, gdyby w sprzyjających okolicznościach objął tę funkcję. To inna liga, każdy do niej skrycie, czy też nie, aspiruje – uważa Leszek Miller. Tylko jak to zrobić, gdy poparcie wobec niego w Krakowie wyraźnie spada? Gowin zaczynał w Krakowie z mandatem rządu 160 tys. głosów w 2005 r., aby w ostatnich wyborach parlamentarnych zejść do 15 tys. wyborców. – Poparcie Gowina w Krakowie topnieje, bo początkowo był kojarzony z zupełnie innym stylem politycznym. Wydawał się w tym wiarygodny, a obecnie firmuje centralizację władzy, politykę niemal socjalistyczną w kwestiach gospodarki, łamanie praworządności. To rozczarowało wielu krakowian, bo nasze miasto wbrew pozorom nie jest mocno prawicowe. W środowisku Platformy i w środowiskach demokratycznych o Gowinie jest bardzo zła opinia, jest skończony – mówi Aleksander Miszalski.

„CZŁOWIEK ZE SPIŻU”

Samego zainteresowanego zdaje się to jednak specjalnie nie ruszać. Właściwie nigdy nie daje po sobie poznać emocji, grubą kreską odcina życie rodzinne od politycznego, nawet gdy przegrywa, nie traci nad sobą kontroli. – Jarek jest rozważny, spokojny, pryncypialny, ale po tischnerowsku kompromisowy. Jest też bardzo ambitny i kreatywny, ale nie w typie wiecznego optymisty, a tym bardziej sympatycznego wesołka. Rozmowy z nim są zajmujące, ale i wymagają skupienia. Z tym swoim ascetycznym stylem bywa wręcz nudny. Czasem zastanawiam się, czy nadaje się na polityka? Z pewnością świetnie rozumie, czym jest dobro wspólne, a to jest najważniejsza kwalifikacja. Nie ma za to najmniejszych skłonności do populizmu, nie jest ani trochę demagogiem, a to w dzisiejszych czasach dla polityka spore utrudnienie – podsumowuje swojego wieloletniego przyjaciela ks. Andrzej Augustyński, działający swego czasu razem

z Gowinem w krakowskim stowarzyszeniu SIEMACHA.

Co pozwala mu się odciąć na chwilę od polityki i przyklejonego niemal do ucha (tak twierdzą ludzie z jego otoczenia) telefonu? Kiedyś gra w piłkę i jazda na rowerze, dzisiaj czerwone primitivo, muzyka barokowa, festiwale muzyczne, lektura Orhana Pamuka, weekendowe długie spacer po Krakowie. – To najbardziej opanowany człowiek, jakiego znam. Znajomi mówili o nim, że jest człowiekiem ze spiżu, pomnikowym. Po latach jednak stwierdzam, że to człowiek z krwi i kości. Ma lekko sarkastyczne poczucie humoru i pewnie nawet potrafiłabym wskazać na tym posagu rysy – uzupełnia ten obraz minister Emilewicz. Ci, którzy Gowina znają, przekonują, że dzisiaj sen z powiek spędza mu tylko jedna myśl: Jak stworzyć partię, która kiedyś będzie mogła rządzić? Czy uda mu się wylansować liderów, którzy kiedyś przejmą władzę i zajmą jego miejsce? Nie wszyscy byli – i swego czasu dobrzy – znajomi równie romantycznie postrzegają obecność swojego dawnego mentora w świecie politycznych kompromisów.

– Staram się z różnych powodów nie mówić niczego na temat Jarosława Gowina. Tutaj musiałabym potworzyć klucz między zobowiązaniami zawodowymi a prywatnymi, bo nie lubię mówić o ludziach źle. Wolę wtedy nie mówić wcale – słyszę od jednego z rozmówców.

– Gowin jest człowiekiem zainteresowanym budowaniem swojego środowiska, to był stały motyw jego działalności. Pytanie: Czy chce w ten sposób zmieniać reguły gry, czy się do nich dostosować? To trudny balans, bo odrzucając chęć zmiany reguł, można uzasadniać stosowanie się do tych, które są, i odsuwać ich modyfikację na święte nigdy. To jest cały problem przy jego polityce – ocenia prof. Jarosław Flis, politolog z Uniwersytetu Jagiellońskiego.

– Lubię go jednak i szanuję jako człowieka za to, że nie podstawia nogi, jest twardym zawodnikiem. Gowin jest dla mnie przykładem, jak ludzie, którzy w 90 proc. mają takie same poglądy, a różnią ich niuanse, mogą być w innych formacjach. Ja pozwalam przeginać rzeczywistość w jedną stronę, on w drugą, ale nie chciałabym kiedykolwiek mieć poczucia, że robimy sobie krzywdę – kończy naszą rozmowę Sławomir Nitras.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Dojrzewanie Grzegorza Brauna



Wojciech Wybranowski

Grzegorz Braun z reżysera znanego z mocnych, niekiedy radykalnych opinii staje się koncyliacyjnym politykiem zdolnym do poważnej gry na polskiej scenie

Co powie Grzegorz Braun, reżyser, publicysta i jeden z liderów Konfederacji, która przebojem weszła do polskiego Sejmu, gdy przyjdzie mu przemawiać na mównicy sejmowej? – zastanawiali się komentatorzy i dziennikarze. I sami nieco ironicznie dodawali: „Szczęść Boże”, czyniąc aluzję do nazwy komitetu wyborczego i jego programu wyborczego (KWW Grzegorza Brauna „Szczęść Boże”) powołanego przez niego na wybory parlamentarne w 2015 r.

Wówczas komitet Brauna zdobył zaledwie 0,09 proc. głosów. Wcześniej w tym samym roku Braun bez powodzenia startował także w wyborach prezydenckich, zdobywając 0,83 proc. głosów. Hitem stał się natomiast jego spot wyborczy: „Wiara! Rodzina! Własność! Kościół! Szkoła! Strzelnica!”, skrótowo przedstawiający program kandydata. W nagraniu reżyser mówił charakterystycznym dla siebie mocnym głosem: „Nazywam się Grzegorz Braun. Jestem niezależnym



reżyserem. Nie należę do żadnej partii. Nie wierzę w demokrację, bo za jej fasadą rządzą mafie, służby i loże. Jestem monarchistą, bo cenię wolność i szanuję tradycję. Socjalizm to dla mnie kradzież, aborcja to zbrodnia. Normalna rodzina to podstawa. Nie dla promocji sodomii, podatki proste i niskie, kara śmierci dla morderców i zdrajców stanu. Polacy gospodarzami we własnym kraju, nie dla żydowskich roszczeń, dość finansowania partii z budżetu [...]”.

Bez powodzenia startował też w wyborach prezydenckich w Gdańsku, choć jako jedyny kandydat prawicy zdobył 12 proc. głosów. A w tym roku Grzegorz Braun, mimo deklarowanej niechęci do demokracji i partiokracji, ponownie wystartował w wyborach parlamentarnych z ramienia koalicji, w skład której wchodzi obecnie: Konfederacja Wolność i Niepodległość tworzona przez Partię KORWiN (Janusza Korwin-Mikkego), Ruch Narodowy i Konfederację Korony Polskiej – założoną przez samego Brauna – zdobywając ponad 31 tys. głosów i zarazem mandat posła na Sejm.

– Co można powiedzieć o Braunie? Jest człowiekiem o dokładnie takich poglądach, jakie prezentuje. A jednocześnie czasami zastanawiam się, na ile jest on w stanie je dostosować do potrzeb zmieniającej się sytuacji – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” jedna z blisko do niedawna współpracujących z nim osób (zerwała współpracę, gdy Braun wszedł do Konfederacji). Jest jedną z niewielu osób sprzed politycznej aktywności Brauna, która zgodziła się z nami porozmawiać. Kilka, tłumacząc to zaangażowaniem politycznym ich znajomego, odmówiło rozmowy.

Z kolei jego partner polityczny z Konfederacji, jeden z liderów Ruchu Narodowego, poseł Robert Winnicki, znający Brauna od 2005 r., nie kryje dla niego słów uznania i przedstawia go jako dojrzałego polityka wyznającego wartości, które sam głosi. – Jeden z najbardziej czytanych posłów w historii. Błyskotliwie inteligentny. I przez te wszystkie lata bardzo dojrzał politycznie – mówi Winnicki.

MISTRZ SŁÓW KONTROWERSYJNYCH

Kilka minut przed planowanym exposé premiera Morawieckiego na mównicę wchodzi Grzegorz Braun. Chce złożyć wniosek formalny. Ignorowany przez

prowadzącą obrady marszałek Witek nie opuszcza mównicy. Część obserwatorów już spodziewa się zadymy, pojawia się poseł Marek Suski. Niektórzy liczą nawet na to, że dojdzie do interwencji Straży Marszałkowskiej. Spekulują, że to początek – jak się spodziewają – widowiskowej aktywności polityków Konfederacji. Niespodziewanie Braun ustępuje i szarmanckim gestem zaprasza premiera na mównicę. Ostre słowa padają jednak chwilę później.

– Jesteście grupą rekonstrukcji historycznej sanacji – grzmi pod adresem polityków PiS. Wicepremierowi Glińskiemu wytyka, że w jego gabinecie nad biurkiem wisi portret Kostki-Potockiego, o którym mówi: „Z piekła rodem, wielki mistrz Wielkiej Masonerii w Polsce”. A zwycięskiemu obozowi zarzuca zdradę. „[...] Mówili tu o bezpieczeństwie narodowym ludzkie, którzy jego gwarancji upatrują w sprowadzaniu wojsk obcych

Ludzie z politycznego otoczenia Brauna mówią, że jako polityka widzą go inaczej niż wcześniej jako publicystę i reżysera

na terytorium Rzeczypospolitej. I to jest zdrada [...]” – wytyka. Chodzi o budowę baz NATO w Polsce i lokalizację wojsk amerykańskich w naszym kraju, czemu Braun jest zdecydowanie przeciwny. Mówił o tym m.in. w wywiadach dla kremłowskiego „Sputnika” będącego tubą propagandową Putina, w rozmowie z Leonem Swirydowem, rosyjskim dziennikarzem wydalonym z Polski w atmosferze zarzutów szpiegostwa. Kontakty Brauna z rosyjskimi mediami i niechętny stosunek do rozbudowy baz NATO w Polsce sprawiły, że część prawicowych wyborców niechętnych Konfederacji zaczęła określać środowisko Brauna mianem „ruskich onuc”.

Sejmowe wystąpienie Brauna, a zwłaszcza nawiązania do masonerii, mocne słowa o zdradzie spotykają się za to z olbrzymim uznaniem sympatyków Konfederacji, zwłaszcza tych młodych. Jego wystąpienie jest powielane na YouTube, „lajkowane”, rozpowszechniane w mediach społecznościowych.

– To mistrz słowa. Nie tylko mówi piękną polszczyzną, lecz także przyciąga tembrem głosu. Ma też świadomość, że młode pokolenie jest bardzo chłonne, bardzo podatne na mocne słowa, radykalne poglądy, więc skutecznie tym gra. Umie przyciągać w ten sposób uwagę podobnie jak Korwin-Mikke. Tylko znacznie lepiej – uważa jeden z polityków Konfederacji.

Rzeczywiście, mocnych słów i poglądów mogących być przez wielu uznawanych za kontrowersyjne w wystąpieniach Grzegorza Brauna nie brakuje. Chociaż ludzie z jego politycznego otoczenia, z którymi rozmawialiśmy, nazywają to nieco inaczej. – On po prostu nie owija sprawy w bawełnę – słyszymy.

Wyraziście Braun swoją opinię wyrażał np. na temat noblistki Olgi Tokarczuk, którą nazwał „kieszonkową noblistką Adama Michnika”. Jego zdaniem pisarka agituje na rzecz stawiania „zwierząt powyżej ludzi, stawiania niekatolików powyżej katolików i wszystkich nie-Polaków powyżej Polaków”.

Wiosną 2015 r. w przededniu wyborów prezydenckich, nawiązując do wcześniejszych słów Jarosława Kaczyńskiego o kondominium niemiecko-rosyjskim, mówił, że Rzeczpospolita to dzisiaj „kondominium rosyjsko-niemieckie pod żydowskim zarządem powierniczym”, a Polska ma funkcjonować jedynie na zasadzie indiańskiego rezerwatu.

W 2019 r. twórco rozwijał swoją myśl: „Nadchodzi czas wyborów. Czy będziemy wolnym narodem, suwerennym państwem czy skolonizowanym plemieniem w eurokołchozowym landzie. Czy będziemy decydować o własnych sprawach, czy już zawsze obcy będą nam mówić, co nam wolno we własnym domu. Ktoś musi wreszcie wyraźnie powiedzieć »nie« dla żydowskich roszczeń i banderowskich prowokacji. Tu jest Polska, a nie Polin”.

Z kolei jak informowały „Fakty TVN” w 2012 r., podczas spotkania w Klubie Ronina w Warszawie Braun miał sugerować rozstrzelanie dziennikarzy „Gazety Wyborczej” i TVN: „[to] jest kolejny przesąd polskiej inteligencji, paacyfizm. [...] No powiedzmy, wziąłbym tak z tuzin redaktorów »Gazety Wyborczej«, ze dwa tuziny pracowników drugiej gwiazdy śmierci, centralnej dzisiaj, TVN, nie wspominam oczywiście o etatowych zdrajcach i sprzedawczykach, którzy zawsze nimi byli [...], no jeżeli się tego nie



rozstrzela, co dziesiątego, to znaczy, że hulaj dusza, piekła nie ma”.

ŁOWCA AGENTÓW

Kilka lat wcześniej, podczas spotkania na KUL, Grzegorz Braun ostro oceniał aktywność abp. Józefa Życińskiego: „Józef Życiński jako uczestnik życia publicznego w Polsce był kłamcą i łajdakiem. Łajdactwem nazywam przyczynianie się do szerzenia zamętu wśród bliźnich i rodaków, zamętu w sprawach kluczowych w płaszczyźnie politycznej, społecznej, w świeckim wymiarze dziejów. Łajdactwem było perfidne oszukiwanie opinii publicznej w sprawach lustracyjnych” – stwierdził.

Reakcją na jego wystąpienie były zakaz wstępu na KUL i ostre słowa posła Stefana Niesiołowskiego, który oburzony perorował na łamach „GW”: „Cham, prostak. Jak tak można mówić o nieżyjącym biskupie Życińskim. [...] To powinno być przerwane, ten pan Braun, czy jak on tam się nazywa, wyrzucony”.

Reżyser i publicysta mówi też o Andrzeju Wajdzie w 2013 r. jako o „sowieckim [...] agencie wpływu w Polsce”, którego „wejście smoka” można było zaobserwować po „zamachu smoleńskim”.

Wcześniej, w 2007 r., w wywiadzie dla Polskiego Radia ujawnił także, że słynny językoznawca prof. Jan Miodek był współpracownikiem służb specjalnych PRL. Rzeczywiście, w materiałach archiwalnych IPN znajdują się dokumenty, z których wynika, że Miodek został zarejestrowany jako TW „Jan”, brak w nich jednak materiałów, które potwierdzałyby rozpoczęcie i charakter współpracy naukowca z esbecją. Miodek wytoczył Braunowi proces, żądając publicznych przeprosin oraz 50 tys. zł na cel społeczny. Procesy sądowe w Polsce zakończyły się porażką reżysera, ale Braun nie poddał się i oddał sprawę do Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu. Ten przyznał rację reżyserowi i ostro zgał polskie sądy za tłumienie wolności słowa. Strasburski trybunał wskazał wówczas, że informacje o współpracy Miodka z SB przekazane przez Brauna padły w istotnej debacie publicznej nad ważnymi kwestiami społecznymi, a reżyser jest jednocześnie historykiem specjalizującym się w lustracji. Europejski Trybunał Praw Człowieka nakazał wówczas wypłatę Grzegorzowi Braunowi odszkodowania tytułem niesłusznego skazania.

Obecny lider Konfederacji jest też reżyserem głośnego filmu „Plusy dodatnie, plusy ujemne” (2006), w których po raz pierwszy ujawnił dokumenty i świadków wskazujących na współpracę Lecha Wałęsy z SB. Film przez wiele lat oceniany przez Telewizję Polską przeleżał na półce niedopuszczony do emisji. Wątek współpracy byłego prezydenta z komunistyczną bezpieką pokazał także w zrealizowanym we współpracy z Robertem Kaczmarkiem filmie „TW Bolek”, w którym m.in. przedstawiono pracę dwóch historyków – Piotra Gontarczyka oraz Sławomira Cenckiewicza – nad ich książką „SB a Lech Wałęsa. Przyczynek do biografii”.

Wśród kilkudziesięciu ważnych filmów dokumentalnych, które ma na koncie Grzegorz Braun, są także: „Towarzysz Generał” zrealizowany wspólnie z Robertem Kaczmarkiem, ujawniający nieznane dotychczas fakty i materiały dotyczące gen. Wojciecha Jaruzelskiego i wskazujące na jego współpracę z sowieckim wywiadem. Emisja demaskatorskiego filmu w 2010 r. (obejrzało go 3 mln widzów) wywołała burzę i protesty środowisk postkomunistycznych, w tym samego Jaruzelskiego oraz „Gazety Wyborczej”. Telewizja pod polityczną presją na ponad sześć lat zablokowała emisję dokumentu. Pokazano go ponownie dopiero w 2016 r. decyzją Piotra Gursztyna, wówczas szefa TVP Historia. Braun jest także autorem głośnej serii „Errata do Biografii” – cyklu dokumentów filmowych pokazujących nieznane bądź mało dotychczas znane fakty o stosunku polskich literatów do Służby Bezpieczeństwa.

BRAUN W WERSJI 2.0

Czy etap publicystyczny i reżyserski Grzegorz Braun ma już za sobą? Na razie tak.

– Mam wrażenie, że po tym, jak został posłem, Grzegorz Braun mocno się zmienił. Stara się nie być postrzegany jako radykał, ale umiarkowany polityk konserwatywnej prawicy – mówi nam jeden z dawnych znajomych polityka.

Z kolei ludzie z politycznego otoczenia znanego reżysera, którzy współpracują z nim na co dzień, mówią, że jego jako polityka i działacza Konfederacji postrzegają go inaczej niż przez pryzmat wizerunku reżysera i publicysty.

– Miałem obawy, że przyjdzie nam współpracować z fanatykiem, oszołomem, który nie rozumie politycznych

trendów, jest zaślepiony i zamknięty na rzeczywistość – mówi nam jeden z polityków Partii KORWiN współtworzącej Konfederację. – Jestem teraz pozytywnie zaskoczony. Czasami pojawi się upór charakterystyczny dla ludzi o silnym charakterze, ale prawie zawsze, gdy ze sobą rozmawiamy, jest zrozumienie dla argumentów, szukanie porozumienia i konstruktywne podejście – dodaje.

Nie jest odosobniony w tym zdaniu. Jego klubowy kolega poseł Dobromir Sośnierz w rozmowie z „Do Rzeczy” mówi o Braunie: – Nie jest osobą, która za wszelką cenę narzucałaby swoje zdanie, mamy dobry kontakt.

Nasi rozmówcy z Konfederacji twierdzą też, że to Braun był jednym z tych polityków ich ugrupowania, który prowadził rozmowy z szefami innych klubów dotyczące współpracy nad poselskimi projektami ustaw czy prac w komisjach i – jak słyszymy – nie miał żadnych oporów, by negocjować czy to z PiS, czy ludźmi Czarzastego i Biedronia.

– Stał się człowiekiem, który jest zdolny do politycznej gry, i takim, który mimo swoich wyrazistych poglądów gotów jest z każdym rozmawiać. Nie ma problemu, żeby rozmawiać o ważnych sprawach z przedstawicielami wszystkich opcji – mówi Robert Winnicki.

Czy Grzegorz Braun zostanie kandydatem Konfederacji w wyborach prezydenckich? Niewykluczone. Na razie jest jednym z dziewięciu kandydatów, którzy w wewnętrznych prawyborach walczą o tę nominację. Mimo rywalizacji kandydatów jego główny konkurent Krzysztof Bosak chwali Brauna i mówi, że inaczej niż to jest np. między rywalami w PO, tutaj nie ma politycznych tarć ani animozji.

– Bardzo dobrze współpracuje mi się z Grzegorzem Braunem. Jest z jego strony bardzo konstruktywna postawa. Zawsze, gdy ze sobą rozmawiamy, jest zrozumienie dla argumentów. Szukanie porozumienia i konstruktywne podejście – mówi poseł Bosak.

Po pierwszych czterech zjazdach „prawyborczych” Konfederacji, które odbyły się do zamknięcia tego wydania „Do Rzeczy”, na razie liderem jest Bosak z wynikiem 331 głosów. Braun plasował się na trzecim miejscu z poparciem 153 „elektorów”. Ma odbyć się jeszcze 12 zjazdów wyborczych, a kandydata wybiorą elektorzy 18 stycznia.



KAROL GAC: 13 sezonów w NBA, ponad 800 meczów i gra w wielkim finale rozgrywek. Wystarczy?

MARCIN GORTAT: Na pewno, jednak brakuje mi jednego z dwóch wielkich osiągnięć: zagrania w drużynie gwiazd lub zostania zawodnikiem All-Star. Dwa razy byłem blisko. Raz powinienem w nim grać, ale nie dostałem się przez ówczesny system. Żałuję, bo to byłoby coś wielkiego. Być zawodnikiem formuły All-Stars to bardzo duże wyróżnienie. Dzięki temu mogłbym być kompletnym, szczęśliwym graczem, który byłby spełniony. Jednak nie narzekam, bo wydaje mi się, że przez 13 lat w NBA zrobiłem dużo.

Czyli Marcin Gortat oficjalnie kończy karierę sportową?

Wstrzymuję się z podjęciem tej decyzji, poczekam jeszcze kilka miesięcy. Na razie nie mam satysfakcjonujących, i chcę to podkreślić mocno – satysfakcjonujących mnie ofert. Wiele osób z NBA powiedziało mi, że rozumieją, bo odszedłem na własnych warunkach, z czego się cieszę. Nie byłem graczem, który się rozdrabniał. Odszedłem jako zawodnik pierwszej piątki i pasuje mi to. Nie żałuję tego.

Po raz pierwszy od sezonu 2007/2008 w amerykańskiej lidze NBA nie ma żadnego Polaka. Łza się w oku kręci?

Nie da się ukryć, że tak. Kończy się etap, który był dużą częścią mojego życia. Kończy się etap zawodowej koszykówki. To koszykówka stworzyła mnie – osobę, którą jestem, więc zrobię wszystko, żeby była popularna w Polsce. Będę ją nadal bardzo mocno promował i zachęcał dzieciaki do uprawiania tej dyscypliny sportu, bo jak widać na moim przykładzie, przynosi wymierne korzyści. Patrzę w przyszłość i jestem podekscytowany tym, co przyniesie.

Jakie zatem ma pan plany na najbliższą przyszłość?

Dalsza praca z moją Fundacją MG13 oraz rozwój Szkół Marcina Gortata to priorytet. Działam już bardzo mocno w biznesie i to będę też intensywnie rozwijał. To m.in. branża kosmetyczna i filmowa, gdzie będę tworzył oraz dofinansowywał różne projekty. Teraz odpoczywam, bawię się i żyję z tygodnia na tydzień. Na bank pojadę zimą na deskę czy narty. Nigdy nie byłem na stoku i nie wiem, jak to jest, bo nigdy nie mogłem tego zrobić.

Mogę w końcu robić to, na co do tej pory nie miałem czasu. To ekscytujący moment, bo chociaż robię różne rzeczy, to czuję się



Z Marcinem Gortatem, jedynym Polakiem, który awansował do finału NBA rozmawia Karol Gac

Tylko pod banderą Marcina Gortata



niepewnie. Dalej mam blokadę w głowie, że nie mogę czegoś robić, bo jestem zawodnikiem NBA. Muszę od nowa nauczyć się żyć: obchodzić święta, uroczystości, wrócić do normalnego stylu życia. Wcześniej liczyły się tylko treningi i mecze, a teraz wszystko się zmieniło. Czuję się z tym dobrze.

Po raz pierwszy od 17 lat spędzi pan święta z rodziną. Tego najbardziej panu brakowało w USA?

Musiałem to zaakceptować, bo takie jest życie sportowca. Dopiero z czasem człowiek zaczął to odczuwać i brakowało tego, by usiąść z rodziną. Po 17 latach będzie szansa, aby to zmienić. Już teraz zbieram pierwsze prezenty! Daję sobie rok transzycji pomiędzy zakończeniem gry w koszykówkę a kolejnym, życiowym wyzwaniem.

Skoro o wyzwaniach mowa. W ostatnim wywiadzie dla „Do Rzeczy” mówił pan, że fajnie byłoby spróbować się zrealizować w polityce. Nie odwiedzało się panu?

Odwiedziało mi się i wiem, że nie jestem na to gotowy. Marzę o tym, by mieć spokój i żeby nikt mnie o nic nie pytał. Jestem osobą, która ceni prywatność. Nigdy nie pokazywałem domu, nie mówiłem o swojej rodzinie, związkach. Jestem na to niezwykle wyczulony. Nie wyobrażam sobie, bym miał się teraz tłumaczyć ze wszystkiego, aby objąć jakieś stanowisko. Poza tym zawsze powtarzałem, że jeśli mam coś tworzyć, to tylko pod banderą Marcina Gortata. Obserwuję to, co się dzieje w polityce, i wolę skupić się na kolejnych projektach mojej fundacji MG13 Mierz Wysoko. Wspólnie staramy się pomagać innym i taka forma „wpływanego na życie innych” na razie w zupełności mi wystarcza.

Zmienimy temat. Od niedawna jest pan współwłaścicielem kliniki zajmującej się operacjami oczu. Chce pan pomagać dzieciom z dużymi wadami wzroku. Skąd ten pomysł?

Narodził się dwa lata temu. To mój pomysł biznesowy, ale w momencie, w którym pojawiła się możliwość, by powiązać to z akcjami charytatywnymi, to było dla mnie coś dużego. Staramy się łączyć nasze projekty. Pomagamy np. żołnierzom, którzy wracają z misji i mają problem z oczami. Wysyłamy ich wówczas do naszych klinik i kompleksowo leczymy. Badamy też wzrok dzieciom np. z naszych obozów sportowych i ze Szkół Mistrzostwa Sportowego. Łączymy projekty z inwestycjami biznesowymi. Nie ukrywam, że zarabiam na tym pieniądze, ale nieodzownym elementem jest dzielenie się nimi z innymi.

FOT. PIOTR KAWONKA/REPORTER



Niedawno był pan obecny na pierwszym spotkaniu Orlando w tym sezonie. Nie sam jednak, ale w towarzystwie zwycięzców tegorocznej edycji Marcina Gortata Camp.

To impuls dla dzieciaków, by parły do przodu. To nagroda za wygraną Campu w Polsce. Ośmioro dzieci przyleciało do Orlando i było to dla nich ogromne przeżycie. Obejrzały mecz NBA, pracownię NASA, Universal Studio, a na końcu wygłupialiśmy się na jeziorze. Cieszę się, że udało mi się kontynuować tę inicjatywę. Obecnie nie gram w NBA, więc niektóre drzwi się zamknęły, ale walczymy, aby takie wyjazdy wciąż się odbywały, aby tradycja była kontynuowana.

Fani z pewnością kojarzą „Noc dziedzictwa polskiego”, podczas której pokazuje pan Amerykanom, na czym polega polskość. Chociaż nie będzie już pana w NBA, to w połowie lutego „Noc” po raz drugi odbędzie się w Los Angeles.

To ósma edycja tej imprezy, ale po raz pierwszy odbędzie się ona w innej formie. Zawsze to był mecz NBA, na który fani mogli kupić bilety. Teraz będzie to miało formę balu. Jesteśmy ciekawi, jak to wyjdzie. Uchonorujemy żołnierzy, którzy byli na misjach. Będziemy mieli gości specjalnych: aktorów, sportowców, miliardera.

Chcemy pokazać Amerykanom, jak wygląda nasz kraj. Nie da się ukryć, że uczymy się od siebie kultury. Pokażemy, jak piękną mamy historię. Będą wątki nawiązujące do naszych tradycji, najlepszych Polaków. Będzie też dużo osób związanych z biznesem, co umożliwi nawiązanie kontaktów. Będzie to nie lada gratka dla uczestników, z których każdy znajdzie coś dla siebie.

Jak Amerykanie odbierają polską kulturę, historię i tradycję?

Zależy, z kim rozmawiamy. Jeśli mówimy o przeciętnym Amerykaninie, to on nawet nie wie, gdzie leży Polska. Takim osobom nie da się niczego przetłumaczyć, bo pracują od rana do wieczora, a potem idą spać. Z kolei osoba, która się bardziej udziela, wie, gdzie jest Polska i jaka jest nasza kultura, zna Tadeusza Kościuszkę, który ma w USA pomniki, Ignacego Paderewskiego, Andrzeja Wajdę, Andrzeja Gołotę czy Lecha Wałęsę. Jest wielu Amerykanów, którzy rozpoznają znanych Polaków. Musimy ich uświadamiać, że jesteśmy partnerami biznesowymi, ale i militarnymi.

Tymczasem od 11 listopada możemy podróżować do USA bez wiz, co powinno w tym pomóc.

Nie da się ukryć, że zniesienie wiz jest czymś wspaniałym. Czas najwyższy, bo

nie jesteśmy krajem Trzeciego Świata.

Jesteśmy partnerami. Musimy się wzajemnie szanować. Skoro Amerykanie mogli przyjeżdżać bez problemu do Polski, to i my powinniśmy lecieć do Stanów Zjednoczonych bez zbędnych formalności. Bardzo się cieszę, że udało nam się tego dokonać.

Widzi pan zmianę na lepsze, jeśli chodzi o postrzeganie Polski i Polaków?

Musi być kontynuacja tego, co było. To się nie wydarzyło przez ostatni rok. To mozolna praca od lat. Sportowcy, którzy przyjeżdżali do USA, tacy jak Tomasz Adamek, Andrzej Gołota, Sebastian Janikowski czy Mariusz Czerkawski, pokazywali, że Polska jest krajem bogatym w kulturę. Wszystkie inicjatywy, które podejmujemy, sprawiają, że wizerunek naszego kraju jest dużo lepszy. Nie da się ukryć, że wpływ na opinię o nas mają też sytuacje dnia codziennego. Każdy z nas jest ambasadorem naszego kraju. To, w jaki sposób mówimy o Polsce, wystawia potem o niej świadectwo.

Wróćmy do sportu. Reprezentacja Polski zajęła ósme miejsce na tegorocznych mistrzostwach świata. Biało-czerwoni byli jedną z rewelacji turnieju w Chinach. Spodziewał się pan takiego sukcesu?

Od wielu lat, bo ponad 50, nie graliśmy na mistrzostwach świata, więc oczywiste było, że był to sukces. Trzeba przyznać, że dostaliśmy się na turniej, bo nasi zawodnicy są coraz lepsi, ale też dlatego, że system został powiększony. Na MŚ pokonaliśmy Chorwację, co jest bardzo fajne, ale dzisiaj mistrzostwa świata są o wiele łatwiejsze niż mistrzostwa Europy. Na MŚ trafiasz na Wybrzeże Kości Słoniowej, Wenezuelę i Chiny, a na ME trafiasz na Hiszpanię, Francję i Czechy. Mimo wszystko małymi krokami idziemy do przodu i to jest najważniejsze.

Po meczu z Chinami, gdy napisał pan na Twitterze, że „oddano” nam mecz, spadła na pana krytyka.

Jeżeli zawodnik nie potrafi wyrzucić piłki z autu trzy razy z rzędu w czwartej kwarcie, to widz może zacząć się zastanawiać, dlaczego coś takiego się dzieje miejsce w tak ważnym meczu. Ja takim widzem byłem. Najważniejsze, że chłopaki zagraли bardzo fajnie, agresywnie, z sercem oraz zrobili wynik. Zasłużyli na niego i niczego im nie odbieram. Na pewno zwycięstwo z Rosją było dla mnie dużą niespodzianką. Puknęli ich bardzo ładnie. Walczyli wyrównanie z Hiszpanią i Czechami. Pokazali się z dobrej strony, ale dam porównanie.

Bardzo proszę.

Piłkarze jeszcze nie pojechali na Euro 2020, a na ulicach wiszą tysiące billboardów, reklam, a każdy z zawodników podpisuje kontrakty i jest na okładkach magazynów. Siatkarze wracają jako mistrzowie świata i od razu są zapraszani do programów, mają wywiady. A koszykarze przyjeżdżają z ósmym miejscem – wielkim sukcesem – i co? Nie mamy nic. Nie ma ani jednego koszykarza w mediach, nikt nie podpisuje kontraktów, żaden klub nie dostaje pieniędzy. Dalej jest plaża. Nie widzę, by ten sukces coś w Polsce uruchomił. I to jest słabe.

Stać nas w ogóle na więcej?

Graliśmy praktycznie najsilniejszym składem. Wielu chłopaków zagrało na dobrym poziomie. Czy jednak stać nas na więcej? Może odpowiem tak: nie rozumem jednej rzeczy – na świecie zawodników od 12. do 15. w drużynie bierze się młodych graczy, by pokazać im dorosłą koszykówkę, a my zabieramy jednego. Nasza kadra jest już bardzo leciwa. Pojechali de facto sami weterani. Czy mamy zawodników, którzy mogą odnieść większy sukces? Na razie tego nie widzę.

A widzi pan swoich następców? Zawodników, którzy mogliby podbić NBA.

Jest Aleksander Balcerowski, który jest bardzo perspektywiczny. Ma dobre warunki, ale czas pokaże. Nie mam kryształowej kuli, by to rozstrzygnąć. Dzisiaj chłopak w wieku 19–20 lat często nie widział niczego w dorosłej koszykówce i wiele może się u niego zmienić. Może nadejść moment, że odwidzi mu się gra. Może zderzyć się ze ścianą w dorosłej koszykówce albo się zdoluje i zostanie zjedzony przez innych. Dochodzą też inne aspekty: pieniądze, sława, zainteresowanie kobiet. To, że podpisujesz kontrakt, powinno cię motywować, by ciężiej zasuwać, a nie od razu zaczynać odcinać kupony. Przyznaję, że ciężko odpowiedzieć na to pytanie. Wszystko okaże się w kolejnych latach.

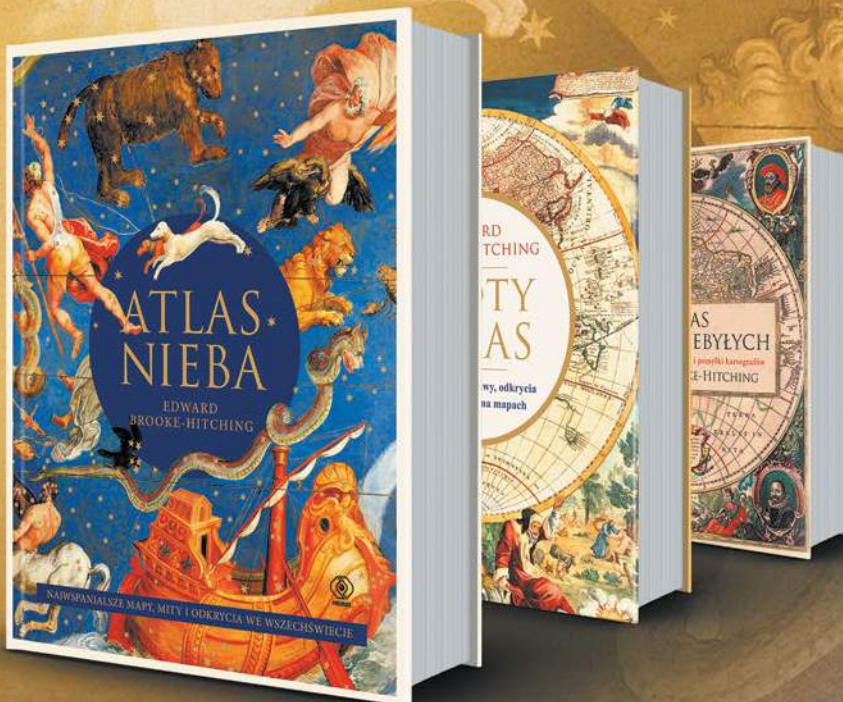
Dlaczego?

Z całym szacunkiem dla siatkarzy, ale niestety to oni pozabierali nam zawodników o najlepszych warunkach. Dzisiaj większość wysokich dzieciaków idzie na siatkówkę, a nie koszykówkę, bo jest popularniejsza. I to trzeba zmienić oraz pokazywać dzieciakom, jak fajną dyscypliną jest koszykówka.



**NOWA KSIĄŻKA
AUTORA
BESTSELLEROWEGO
ATLASU LĄDÓW
NIEBYŁYCH!**

**NAJWSPANIALSZE MAPY,
MITY I ODKRYCIA
WE WSZECHŚWIECIE**



**WSPANIAŁA I STOJĄCA
NA SKRAJU KATASTROFY...**

**NASZA PLANETA
TO NIEZWYKŁY ALBUM,
KTÓRY POWSTAŁ
NA PODSTAWIE SERIAŁU
PRZYRODNICZEGO
NETFLIXA**

znajdziesz w **empik** salony / online / aplikacja



Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.



www.rebis.com.pl



FB/REBIS

eprensa.pl aab8b401f7



Babcie, które latają

Pprzed widzami w przedszkolach, szkołach czy domach kultury najczęściej pojawia się w czarnym spiczastym kapeluszu, w pelerynie i z miotłą z brzozowych witek. – Jestem babcia czarownica / nie spadłam tu z księżycy / w ciemnym lesie mieszkam bowiem / a dokładnie gdzie, nie powiem... – recytuje Babcia Basia, czyli Barbara Maciejewska. To wierszyk, którym wita się z publicznością. Należy do grupy Babcie w Locie z Dziadkiem, którą tworzą łódzcy seniorzy – babcie i jeden dziadek. Od 10 lat „latają do dzieci” – jak nazywają wyprawy na występy. Sami tworzą prezentowane najmłodszym teksty, stroje, scenografię, sami reżyserują spektakle.

JEDYNI TACY

Dla Barbary Maciejewskiej przygoda z Babciami w Locie z Dziadkiem zaczęła się kilkanaście lat temu w pociągu relacji Łódź – Warszawa. W stolicy zamierzała zaprezentować swój projekt w konkursie dla seniorów. – W przedziale jechały ze mną dwie panie. Z ich rozmowy wywnioskowałam, że jadą na ten sam konkurs. Tak poznałam Urszulę Machcińską, która zgłosiła projekt „Babcia nadaje”. W jego ramach seniorzy na warsztatach miały nauczyć się pisanie wierszy i bajek dla dzieci. Oba nasze projekty zwyciężyły, ale kiedy mój dobiegł końca, zainteresowałam się tym, co robią koleżanki – wspomina Babcia Basia.



Agnieszka Niewińska

Babcie w Locie z Dziadkiem to łódzcy seniorzy, którzy piszą wiersze dla dzieci, szyją stroje i występują przed maluchami. Na emeryturze można być szczęśliwym – przekonują

Szybko dołączyła do grupy. – Zapaliłam się do tego jeszcze w pociągu, kiedy koleżanki przybliżyły mi projekt. Zawsze kochałam dzieci, kiedyś chciałam być aktorką. To, co robimy, jest realizacją moich marzeń. Najpierw tylko pisałyśmy, a potem wpadłyśmy na pomysł, że piszących jest dużo, ale takich, którzy piszą, robią dekoracje i latają do dzieci, nie ma wcale. Jesteśmy podobno jedyni w Europie, a kto wie, może i na świecie – zastanawia się Babcia Basia.

Nazwa grupy ewoluowała. Po „Babcia nadaje” były Latające Babcie. Kiedy dołączył dziadek – Latające Babcie z Plusem. – Kiedy zmarła Ula, pomysłodawczyni inicjatywy, nazwę zabrała ze sobą. Korzystamy z jej twórczości, recytujemy jej wiersze, ale dziś nazywamy się Babcie w Locie z Dziadkiem – tłumaczy Babcia Basia.

Grupę tworzy dziewięć seniorów. Osem babć i jeden dziadek. Obok Barbary Maciejewskiej – Elżbieta Boryniec, Anna Ubysz, Eleonora Karpuk, Nina Strzemieczna, Czesława Bednarek, Jadwiga Głazewska i Eugeniusz Dolat. – Ostatnio jednak

do dzieci lata nas pięćoro – sześćcioro. Nie wszystkim pozwalają na to zdrowie czy codzienne obowiązki. Występy przed dziećmi są wymagające, przygotowania zabierają dużo czasu. Szukamy nowych osób, które chciałyby zaangażować się w nasz projekt – mówi Elżbieta Boryniec.

Do Babć w Locie z Dziadkiem trafiła dzięki ogłoszeniu. – Byłam akurat na warsztatach dziennikarstwa obywatelskiego w Stowarzyszeniu Kobiety Łódź, kiedy przeczytałam o naborze do grupy Babć. Pomyślałam, że to coś dla mnie – opowiada. Starsze wnuczeta urodziły się i mieszkają za granicą. Dwoje najmłodszych mieszkało w Warszawie, były już odchowane, więc pojawiło się trochę wolnego czasu.

Przyznaje, że pierwsze występy nie były proste. – Uznałam, że będzie mi łatwiej, jeśli na scenie będę z koleżanką. Napisałam wierszyk w formie dialogu, który razem recytowałyśmy – wspomina. I choć zwraca uwagę, że Babcie w Locie z Dziadkiem w swój program muszą włożyć dużo



Babcie w Łodzi z Dziadkiem sami piszą teksty, tworzą scenografię i reżyserują spektakle dla dzieci

FOT. ARCHIWUM BABĆ W ŁODZI Z DZIADKIEM

i świętach. Zawsze możemy liczyć na ich humor, pozytywną energię, na szaleństwo – mówi Jolanta Bobińska, założycielka i prezes Fundacji „Dom w Łodzi”. – To bardzo ważne dla naszych dzieci, bo u nas rytm dnia wyznaczają zabiegi, rehabilitacja, wizyty lekarskie. Takie szalone chwile pozwalają oderwać się od codzienności. Dodają energii. No i dają to poczucie, że w tym świecie pełnym zmian są jednak stałe elementy. Są takie szalone babcie, jest dziadek. Pamiętają.

PÓŁ TYSIĄCA WNUCZĄT

– Wnuków mamy ponad 500 – śmieje się Barbara Maciejewska, która prywatnie ma jednego dorosłego już wnuka Michała. – W Przedszkolu nr 105 i w Szkole Podstawowej nr 70 w Łodzi, z którym jesteśmy zaprzyjaźnione, byliśmy pasowane na babcie – opowiada.

Jej rolę w grupie jest pilnowanie kalendarza, umawianie występów. Elżbieta Boryniec i Eugeniusz Dolat piszą wnioski o dotację. Jeśli seniorom uda się uzyskać fundusze, to organizują warsztaty literackie czy aktorskie. Gdy pieniędzy nie ma, nierzadko sami je wykładają – na nowe stroje, dojazdy do miejsc, w których występują.

Grupa wydała już dziewięć książeczek z wierszykami i bajkami dla dzieci. Ilustracje to rysunki dzieci wyłonione w konkursie. Powstała też książka dla dorosłych. Można w niej znaleźć teksty z kabaretowego programu „Herbatka u Jadźki”.

Na wydanie czeka 10. książeczka dla dzieci na jubileusz 10-lecia Babć, ale na razie brakuje na nią funduszy. – Mamy nadzieję, że może znajdzie się jakiś sponsor – wzdycha Babcia Basia. I przypomina, jak przy jednej z pierwszych książeczek brakowało kilku tysięcy, by wydrukować ją w kolorze. – Zajął miejsce koleżankom na jakiejś naradzie w Urzędzie Miasta Ło-

dzi i czekając na nie, nawiązałam rozmowę z panią, która usiadła obok. Wtedy wpadła rozżalona Ula i powiedziała, że nie będzie książeczki w kolorze. Dopiero co poznała pani Alicja zaproponowała, że dołoży brakującą kwotę. Okazało się, że jest właścicielką firmy bieliźniarskiej Alles. To nasza Alicja w Krainie Czarów, stale nas wspiera.

Kiedy pytam Barbarę Maciejewską, czy chciałaby wrócić do życia sprzed emerytury, nie zastanawia się długo. – Jest mi bardzo dobrze z tym, że jestem seniorem. Życie na emeryturze może być szczęśliwe i spełnione – mówi.

Emerytura w domu to jednak nie jej żywioł. Poza występami w grupie babć należy do Stylowych Seniorów, jeździ na pokazy mody, występuje w reklamach i serialach, jako ambasadorka „Głosu Seniora” walczy o poprawę sytuacji seniorów, dwukrotnie występowała w tej sprawie w Senacie.

Elżbieta Boryniec jest filologiem. Pracowała jako lektor języka angielskiego na Politechnice Łódzkiej. – Mogłabym dalej uczyć. Filologowie są poszukiwani, ale ja po przejściu na emeryturę nie chciałam robić tego samego. Potrzebowałam odmiany. Zapisalam się na Uniwersytet Trzeciego Wieku, biorę udział w wielu warsztatach literackich, rozsmakowałam się w tym. Uczestniczę także w innych zajęciach, które mnie interesują. Uczę się nowych rzeczy. Jestem zdania, że ciągłe uczenie się, spotkania z ludźmi są receptą na to, by nie nudzić się na emeryturze. Dla wielu seniorów to także sposób, by uniknąć stanów depresyjnych, poczucia osamotnienia – podkreśla.

Kto nie miał okazji poznać latających seniorów, ten może wybrać się na łódzki skwer im. Latających Babć z Plusem. Kiedy zakwitną magnolie, przy odrobinie szczęścia można ich tam spotkać na ławeczce.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Nie można opowiadać dziejów Polski, pomijając ogromną rolę literatury, bez niej są one kalekie i uboższe. Ambicją twórców serii „Literatura i Pamięć” jest ukazanie szerokiego gronu czytelników najwybitniejszych autorów i dzieł, które w czasach komunistycznej cenzury nie miały szans na pełne zaistnienie w świadomości społecznej.



Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy

Szukaj w księgarniach IPN
i punktach sprzedaży
w całej Polsce
ipn.poczty.pl
Spotkaj nas na Facebooku:
@ksiegarnia.ipn



PROGRAM
WSPIERANIA
PIAMIĘCI
NARODOWEJ



DZIEJE NAJNOWSZE

● W LITERATURZE POLSKIEJ
Szkice o współczesnej poezji i prozie



Wojciech Kudyba

● PAMIĘĆ I GODNOŚĆ
O poezji Jana Polkowskiego



Agnieszka Kowalczyk

● JÓZEF PIŁSUDSKI
PIISARZ

Już wkrótce nowa seria wydawnicza



Z Zygmunt „Muńkiem” Staszczukiem, muzykiem, wokalistą,
współzałożycielem i liderem T.Love
rozmawia Grzegorz Brzozowicz

Nieznane wcześniej poczucie wolności





GRZEGORZ BRZOWOWICZ: Wielu wykonawców rockowych twierdziło, że granie na scenie dawało im poczucie nieśmiertelności. Czy to potwierdzasz?

ZYGMUNT „MUNIEK” STASZCZYK: Nie wiem, czy jeszcze coś zostało z etosu sex, drugs and rock and roll. Nawet nie wiem, czy młodym coś mówi termin „rock and roll”. A rock and roll jest dziś iluzją, w którą my, muzycy, się bawimy. Stajemy się albo repliką Piotrusia Pana, tak jak Mick Jagger, albo udajemy artystę introwertycznego, który nie epatuje maksymą „forever young”. Do drugiej grupy należy Bob Dylan, który akurat jest autorem tej maksymy. Może nie miałem poczucia nieśmiertelności, ale żyłem niehigienicznie, sądząc, że nie muszę się ograniczać. Odwiedzając w szpitalach koleżanki i kolegów, byłem podbudowany tym, że sam jeszcze nigdy tam nie trafiłem. Odrzucałem taką ewentualność, bo panicznie bałem się szpitala. Teraz, po dwóch i pół miesiąca przebywania w szpitalu, przestałem się go bać. Oswoiłem się z nim, zadamowiłem się i teraz pokornie robię wszystkie badania, które lekarze mi zlecają. Leżałem na sali z ciężkimi „udarowcami”. Nieraz się razem śmialiśmy, mimo że ich jedynym marzeniem jest, by kiedyś wstać i móc chodzić.

Akceptacja ze strony publiczności powoduje, że łatwo popaść w samouwielbienie.

Na pewno byłem rozpierzczany. W zamian ten facet w czarnych okularach i ciężkich butach miał na scenie dawać czadu przez dwie i pół godzinny. Tyle że od pewnego czasu zacząłem odczuwać, że jest nas dwóch w jednym. Ten rzeczystwa, pięćdziesięcioparoletni Zygmunt Staszczuk i ulepiony przeze mnie Muniek – golem rock and rolla. Dlatego przed dwoma laty zawiesiłem T.Love. Miałem dosyć. Zwolniłem, uspokoiłem się, ale ciągle miałem nowe plany. Zacząłem grać solowe koncerty akustyczne, nagrałem płytę solową...

Aż w końcu przyszło bolesne otrzeźwienie.

To epatowanie młodością jest śmieszne. Od dawna chciałem się od tego uwolnić, zejść z tej drogi. Tylko że przez całe życie byłem zafascynowany chłopackością. Stąd właśnie zespół, kumple... Wierzyłem w rock and rolla, założyłem kapelę, stałem się gwiazdą. Chciałem nią być i zostałem. Sławę jadłem dużymi łyżkami. Mam naturę brata łąty, który wodzi rej przy stole, jest królem orkiestry. Z czasem zaczęła na szczęście dochodzić

do głosu moja natura kontemplacyjna. I nie chodzi o to, że powróciłem do Boga. Zawsze lubiłem czytać, rozmyślać, zawiesić się w sobie. Kontemplacja jest opozycją do pośpiechu, którego miałem w nadmiarze.

Czy twój wylew spowodował panikę wśród kolegów muzyków?

Mój przykład działał otępliwiająco. Kilku młodszych kolegów postanowiło zrobić sobie badania. Zaczęli mówić o swoich pierwszych objawach chorobowych. Powtarzam wszystkim, że graniczne ciśnienie to 140 na 90. Gdybym był na ich miejscu, to pewnie też bym się przestraszył. Jednak po przeżyciu sytuacji ekstremalnej strach zastąpiły rozsądek i wiedza o tym, że pewne rzeczy musisz robić. Pani ordynator ze szpitala przy ulicy Sobieskiego powiedziała mi: „Nie mogę panu dać stuprocentowej gwarancji, ale z medycznego punktu widzenia ten typ wylewu powraca rzadko. Ma pan żyć normalnie. Kieliszek wina czerwonego nigdy nikogo nie zabił”. Tylko ja nie piłem jednego piwka do obiadu, ale cztery albo pięć. Jak nie piłem rok, to tęskniłem za momentem, kiedy rzucę się w odmet.

W szpitalu odwiedził cię Kazik, który jest twoim rówieśnikiem.

Kazik pytał w SMS-ach, kiedy stwierdzono u mnie nadciśnienie. Nie jestem przyjaciółmi, tylko kumplami, ale ta moja sytuacja tak go ujęła i tąpnęła nim, że przegadaliśmy pięć godzin. W końcu wyrzuciła go salowa. Znamy się od 1981 r., kilkakrotnie upiliśmy się do upadłego, ale takiej rozmowy z nim nigdy nie miałem. Rozmawialiśmy o starych punkowych czasach, o pierwszych wyjazdach do Londynu, no i o nadciśnieniu, zawale, wylewie (śmiech).

W szpitalu autoryzowałeś książkę, wywiad rzekę, który przeprowadził z tobą Rafał Księżyk.

Jak czytałem o braniu amfy, picu, balowaniu w latach 90., to ciary mnie przeszły, mimo że to była moja własna opowieść. Czytając, miałem wrażenie, że oglądam znajomy film, ale nie mogłem uwierzyć, że ja w nim gram. To ja? I strach. Nie mogłem uwierzyć, że po jednej imprezie jechałem następnego dnia na kolejny koncert, a tam powtórka. Ile litrów płynów można wypić za jednym razem? Ja mieściłem w sobie cztery piwa w ciągu kilku minut. Jak ja technicznie to mogłem robić?

Nie uwierzę, że teraz będziesz tylko czytał książki i medytował.

Na razie nie ciągnie mnie do grania, ale zapewne kiedyś wrócę na scenę. Lekarze mówią, że najwcześniej za rok. W najbliższym czasie zagram małe akustyczne koncerty, na których zaśpię-wam pięć, sześć piosenek. Obiecałem to pacjentom w szpitalu na Sobieskiego i dzieciakom w moim liceum w Częstochowie.

Stopniowo wracasz do formy. Mówisz płynnie, nie zauważam, byś miał problemy z ruchem. A jak wygląda twoje życie codzienne?

Nie mam żadnych zobowiązań zawodowych, nie jestem związany żadnym kontraktem. Wychodzę do kina, spotykam się ze znajomymi, ale unikam tłocznych miejsc. Ludzie są do mnie nastawieni pozytywnie, ale męczą mnie pytania, nagabywanie. Dopiero w szpitalu w Londynie uświadomiłem sobie, że większość życia otaczały mnie hałas i pęd. Grałem setki koncertów. Na scenie huk, w garderobie chaos. Wszędzie full alkoholu, full ludzi, full podniet, bodźców. Jak w poczekalni dworcowej. A ja w dodatku byłem w centrum tego wszystkiego. Jaką ja miałem siłę, by to wytrzymać? Aby mieć paliwo, tankowałem, jarałem. Jechałem na kredyt, no i wyszło mi nosem. Dosłownie. Bo uratowało mnie właśnie to, że krew buchnęła nosem.

Nie masz wrażenia, że wykonywany przez ciebie zawód ma dla młodych ludzi o wiele mniejsze znaczenie niż dawniej?

Spotkałem się z przyjacielem, Pawłem Duninem-Wąsowiczem. Spytałem go, czy słyszał jakiś nowy band, który go zakręcił. Odpowiedział, że nie. Zrobiło mi się smutno, choć odpowiedź znałem już od 2011 r. W Londynie sprzedawca na moje pytanie, czy może mi polecić coś nowego, powiedział: „Wyglądasz na gościa, który szuka płyty, która zmieniłaby twoje życie. Takiej, jaką był »London Calling« The Clash. Nie, takiej już nie znajdziesz, idź lepiej do pubu”.

Zespół T.Love zawiesił się dwa lata temu.

Chciałem godnie rozstać się z zespołem. Poinformowałem chłopaków o swojej decyzji z dwuletnim wyprzedzeniem, tak by mogli znaleźć sposób na dalsze funkcjonowanie. Jak pępowina została odcięta, to pomyślałem, że warto by było coś zmienić we własnym życiu. Mając problemy z alkoholem, tak jak



I większość moich kolegów, postanowiłem zrobić roczną krucjatę trzeźwości. Chciałem być ascetyczny, czysty i to mi pasowało.

Po rozstaniu z zespołem nie przestałeś występować.

Zacząłem grać akustycznie koncerty w teatrach pod szyldem Muniek i Przyjaciele. Spodobało mi się. Tutaj dodam, że T.Love otrzymał jako pierwszy polski zespół propozycję od MTV, by zarejestrować koncert unplugged. Odmówiłem, bo nie chciałem podłączyć się pod modę. Z serii płyt spod znaku akustycznego grania podobał mi się jedynie koncert Nirvany. Płyta Claptona odniosła wielki sukces komercyjny, ale to, co na niej grał, to była dla mnie nuda. Uważałem, że T.Love jest bandem rockandrollowym, i nie chciałem robić tego, co wszyscy. Zamiast nas wystąpił Hey i sprzedał płytę w wielotysięcznym nakładzie. Lata mijały, a ja zacząłem grywać koncerty w małym składzie na pogrzebach przyjaciół, w więzieniach, kościołach, bibliotekach. Zauważyłem, że podczas takich występów ludzie słuchają tekstów. Okazało się, że można na tym zarabiać i jednocześnie cieszyć się muzyką.

Z T.Love to już sprawa zamknięta?

W rock and rollu najważniejszy jest wizerunek. Bycie ładnym, seksownym, fajnie ubranym, zgrabnym... Szczupły to już nigdy nie będę (śmiech). Dawniej ściemniałem, uwodziłem kobiety, pokażywałem, że jestem taki fajny. W końcu T.Love było nerwowo. Chłopaki zarzucili mi, że przerwałem coś, co „tak fajnie szło”. Po moim wypadku wrzód pękł i teraz mówią: „Rozumiemy gościa”. Nie wykluczam, że jeśli będę zdrowy, to zagramy jakiś duży, okolicznościowy koncert. Może nawet nagramy płytę, ale to są odległe sprawy.

W 2018 r., po rozwodzie z zespołem, przygotowałeś drugą płytę solową.

Tym razem zamiast uwodzić słuchaczy, chciałem powiedzieć coś ważnego od siebie. Jednocześnie zależało mi na tym, by muzycznie płyta była różna od tego, co robiliśmy w T.Love. Dlatego poprosiłem o utwory bardzo różnych wykonawców.

Jako pierwszą usłyszeliśmy „Polę”, która to piosenka błyskawicznie dotarła na szczyt Listy Przebojów Trójki.

Jak dostałem muzykę od Dawida Podsiadły, to słowa zaczęły mi same wy-

Zygmunt „Muniek” Staszczuk ma 56 lat, a od 37 lat występuje na scenie. Z zespołem T.Love nagrał ponad 20 płyt. 15 lipca 2019 r. podczas pobytu w Londynie doznał wylewu. Spędził dwa i pół miesiąca w szpitalu. Niedawno ukazały się jego druga solowa płyta „Syn miasta” oraz autobiografia „King!” FOT. JACEK POREMBA



skakiwać. Smutek muzyki mnie ujął i jako jedno z pierwszych wskoczyło mi imię Pola, a ono naturalnie połączyło się z Polską. Poczułem, że to będzie ważny utwór, i natychmiast napisałem dwie zwrotki.

*Pola, ty musisz z kolan wstać
Bo tu już nie ma z czego brać
W pociągach czujesz swąd domowej wojny
Chociaż nie jesteś najpiękniejsza
I na wybiegach masz gorsze miejsca
Na kontynencie czy jest ktoś tak samotny...*

Pojechałem do studia, gdzie pracowali Dawid i jego gitarzysta. Dużo młodszy ode mnie goście, a mega się wzruszyli. Szybko dopisałem trzecią zwrotkę i czułem, że lecę na takim haju jak przy pisaniu „Warszawy”, „Lucy Phere” czy „Wychowania”. W tekście nie było ściemy. Jeszcze nie miałem płyty, ale wiedziałem, że mam singla.

W utworze „Ta piosenka nie jest dla ciebie” nie tylko opisujesz ponurą rzeczywistość, lecz także dość szorstko obchodzisz się z samym sobą.

Deklamuję w nim tekst, który zapisałem w lutym 2018 r., kiedy zacząłem detoks alkoholowy. Jechałem samochodem, jak taksówkarz na kacu, przez Warszawę. Stałem i zacząłem pisać:

*Jest końcówka lutego
Miasto wygląda ohydnie*

*Jestem trzeźwy od dwóch miesięcy
Jadę samochodem przez centrum
Tęsknota, wielka tęsknota
Za tą rozjebką, za tym chaosem
Za czymś trywialnie marnym
Za destrukcją, depresją, jak zwał, tak zwał
Za błazeństwem, ekshibicjonizmem, estradowym porno
Beznadziejnym kotłowaniem się we własnym sosie
Za golemem rock'n'rolla
I za całą tą głupotą i udawaną niepustką
Nuda.*

Te dwie piosenki zbudowały kościec płyty.

W „Poli” z troską śpiewasz o ojczyźnie, a jednocześnie w „Edith Piaf” oświadczasz: „Ja służę tak społeczeństwu, że mu wcale nie służę”.

Ale też śpiewam: „Nie ufam sobie jak burej suce / A polityka zawsze przeszkadza sztuce”. Uważam, że angażowanie się artystów w służbie jakiegokolwiek idei jest wielkim błędem. Przeżyłem wiele mód związanych z głoszeniem idei. Ostatnio w cenie byli żołnierze wykłęci. Przekornie, tak na wspak, chciałem powiedzieć, że moja wartość polega na tym, że nie służąc żadnej idei, tym samym służę społeczeństwu. Martwić się to jedno, a słu-



żyć to drugie. „Pola” jest moją diagnozą. Napisałem ekumeniczny tekst. Piosenka ma 15 mln wyświetleń na YouTube, a jak sprawdzałem komentarze, to nie znalazłem bezmyślnego hejtu.

Łatwo jest się buntować za młodu. Gorzej, gdy ma się rodzinę i trzeba spłacać kredyty.

Czy etos rock and rolla można pogodzić z graniem za rządowe pieniądze? A coraz więcej wykonawców służy władzy – czy to tej z lewej, czy to tej z prawej strony. Pisałem piosenki, które nie miały pieczętka ani Solidarności, ani czerwonych, ani czarnych. Nie chcę nikogo kopać, ale należy myśleć samemu. Teraz co czwarty mój kolega wynajduje dziadka na Wołyniu. To jest groteska. Za komuny nikt nie grzebał się w rodzinnej przeszłości, a tu nagle mamy epidemię rockowego patriotyzmu.

Piosenkę „Ołów” odbieram jako współczesną wersję słynnej „Warszawy”.

Ciekawe spostrzeżenie, choć nie miałem takich intencji. Zainspirowała mnie córa Marysia. Sporo czasu spędza w Bergamo, gdzie mieszka jej włoski chłopak. Przyjechała w grudniu zeszłego roku, kiedy w Warszawie jest ten bezniegowy syf. Szliśmy przy Pałacu Kultury i ona mówi: „Ojciec, w Bergamo jest teraz ładniejsza pogoda, ale jak ja kocham ten zafajdany chodnik i tych żuli tutaj”. Jak to usłyszałem, to powiedziałem: „Córeczko, zainspirowałaś mnie do napisania piosenki”. W grudniu wielu znajomych wyjeżdża do ciepłych krajów. Pisali do mnie: „Masz tyle hajsu i siedzisz w tej obsranej Warszawie!”. A ja nie będę latał kompulsywnie na Goa-Sroa albo do Wietnamu, bo to jest teraz modne miejsce. Z drugiej strony tu było rzeczywiście ohydnie, więc zamiast plażowania napisałem piosenkę „Ołów”.

*Ja kocham to przeciążone niebo
W powietrzu ołów, oddycham nim na pewno
Przy twej jasności piękności świata tego błędną
Ja kocham ten zafajdany chodnik
A Ku Klux Klan nie musi tutaj rządzić
Jestem bandytą, uciekają z miejsca nowej zbrodni.*

Piosenka „Bo życie jest...” do muzyki Wojciecha Waglewskiego wyróżnia się na tle innych swym optymistycznym, wręcz hipisowskim wydźwiękiem.

To jest taki tekst afirmacyjny, który szczególnie po moim wypadku nabrał nowego wymiaru. Napisałem go latem 2018 r. po przyjeździe z mundialu. Podczas pobytu w Rosji nie wypilem

ani kropli. Koledzy popijali, a ja im dolewałem, pytając, czy wódeczka jest oleista. Byłem szczęśliwy, bawiłem się tą sytuacją. Śmigałem po petersburskich muzeach i miałem świetny czas. Po powrocie napisałem:

*Dobro wraca do ziemi
Tej, z której wyszedł był
Duch wraca do Ojca
Jak pogubiony młodszy syn
I choć wszystko marnościami
Nad marnościami jest
Prawdziwe jest prawdziwe
Prawdziwe jest to, co jest.*

Jak przestałem z zespołem jeździć w trasy i uczestniczyć w jatkach pokoncercowych, to nagle usłyszałem, że w moim ogrodzie śpiewają ptaki. Syn podsunął mi Księgę Koheleta ze Starego Testamentu. Znalazłem w niej fragment, który wykorzystałem na końcówce tej zwrotki. Idealnie pasował się do muzyki Wojtki. Ktoś mi powiedział, że to jest taki utwór, jakbym się prozacu najadł. Teraz bowiem sprzedają się smutne piosenki, które śpiewają smutni chłopcy do smutnych dziewczyn. To jest cool na tych wszystkich festiwalach, Open'erach i offach. A czy ja nie mogę zaśpiewać, że jestem szczęśliwy, że budzę się rano i jest mi fajnie?

Płyte „Syn miasta” kończy oskarżycielska piosenka „Kłamstwo”.

Siedziałem w hotelu i skakałem po kanałach. Patrzę, patrzę i nagle zdałem sobie sprawę, że w tym telewizorze non stop kłamią, i to wszystkie stacje. W programach politycznych kłamią. W blokach reklamowych kłamią, bo chcą od ciebie wyciągnąć kasę. W programach porannych gadają o żarciu, propagują jogę, a w tle lokują produkty sponsorów. Kłamią sprzedawcy ubezpieczeń na życie, kłamią propagatorzy zdrowych diet, kłamią terapeuci, politycy, artyści... Wbrew sobie stajesz się weganem, bo dzięki kłamstwu dostajesz iluzję nowego życia. No, może nie kłamią programy o zwierzętach. Doszło do mnie, że symbolem naszych czasów jest kłamstwo, a motorem tego wszystkiego jest pazerność. Kłamstwo jest poważnym towarem.

Nagrałeś też piosenkę „Krajobraz z wilgą i ludźmi” z repertuaru Marka Grechuty.

Od dawna chciałem ją nagrać, ale „nie siedziała” w klimatach T.Love. Pocho- dzi z mojej ulubionej płyty Grechuty „Droga za widnokres” z 1972 r. Teksty

na moją płytę układały mi się w wewnętrznej opowieści, a wiersz Tadeusza Nowaka idealnie mi pasował do całości. Utwór „Wszyscy umarli” jest oparty na Szekspirze, z kolei „Bo życie jest...”, jak wspominałem, na Starym Testamencie. To jest płyta dłuższych tekstów. Wiersz Nowaka jest niesamowity. Jest jak obraz Bruegla. Przenosisz się z nim w czasoniebyt, rodzaj realizmu metafizycznego. Dotykasz rzeczy, czujesz zapachy, widzisz przyrodę. Jest w nim niepokój, tęsknota za światem, którego już nie ma. To jest sztuka, a nie tworzenie pod dyktando mody i idei. Takie rzeczy mnie poruszają. Nie poruszają mnie teksty o tym, czy Babilon upadł, czy nie upadł. Rockowy Muniek nie zaśpiewałby tego wiersza, bo było w nim za dużo pozy.

Płyte nagrałeś po zakończeniu abstynencji, ale przed wyjazdem do Londynu na koncert Boba Dylana i Neila Younga.

Pod koniec okresu czystości korciło mnie do powrotu do dawnych czasów. Pojawiła się tęsknota za rozjebką, za chaosem. Jak minął rok, to uznałem, że jest ze mnie King Kong. Z oczyszczonym organizmikiem poczułem się jak młody Bóg i ruszyłem do boju. Pięć winek z kumplami i zajebiste żarcie w Włocha. Powróciłem do Starej Kochanki, aż film się urwał.

Urwał się w lipcu, w Londynie.

Nie było tam jakiejś dekadencji. Pojechałem tam grzecznie z przyjaciółmi na koncert w Hyde Parku. Dopiero w drodze powrotnej, na lotnisku Heathrow, oczekując przez osiem godzin na samolot, który w końcu został odwołany, wypilem jakieś sześć piwek. W hotelu w nocy miałem wylew. Znalazła mnie pokojówka po 13 godzinach.

Miałeś niebywałe szczęście...

Nawet więcej. Choroba pozwoliła mi zwrócić się ku sobie i dała mi nieznanie wcześniej poczucie wolności. Wbrew pozorom mój sposób życia nie doprowadził mnie do wylewu. Medycznie stwierdzono, że przyczyną było nadciśnienie. Po wylewie zmieniło się wszystko. I nie da się tego zbyć prostym stwierdzeniem – niegrzeczny był i spokojna! Efektem wypadku jest coś szerszego. Chcę teraz robić tylko to, na co naprawdę mam ochotę. Nigdy nie byłem tak szczęśliwy jak teraz! Oczywiście to w dużej mierze wynika z tego, że Bóg pozostawił mnie na tej planecie.



Opowieść wigilijna – nowa świecka tradycja

Kto nie zna „Opowieści wigilijnej” Charlesa Dickensa? Jestem całkowicie pewny, że i w tym roku na niejednym kanale telewizyjnym, w niejednym teatrze na świecie będzie można odświeżyć sobie tę historię. Oglądanie jej stało się rodzajem świeckiej tradycji bożonarodzeniowej, którą kultura współczesna celebrowała jak – pozwolę sobie na takie porównanie – noworoczne koncerty Filharmoników Wiedeńskich.

Czy poza tym, że historia opisana przez Dickensa stała się swego rodzaju rytuałem przejścia masowego przeżywania świąt Bożego Narodzenia, który należy do „magii świąt”, coś jeszcze jesteśmy w stanie zrozumieć z książki supergwiazdy literatury anglosaskiej XIX w.? Wybitny antropolog i zresztą katolik Victor Turner pisał, że rytuały przejścia odświeżają w nas źródłową narrację kultury, do



Tomasz Rowiński

Jeśli mamy gdzieś szukać początku procesu, który zamienił (zmienia?) Boże Narodzenie w Zimowe Świąta czy Świąta Choinki, to „Opowieść wigilijna” może być potraktowana jako mit założycielski nowoczesnego świętowania już nie narodzin Boga, ale społecznego błogostanu uczuć

której należą. Do jakiej kultury należy „Opowieść wigilijna”?

Według wyliczeń portalu Histmag.org mieliśmy w historii już ponad 120 ekranizacji „Opowieści wigilijnej”. Co więcej, różne jej wątki, np. skąpstwo bohaterów, a także skąpstwo przezwyciężone, nieustannie powracają w kinematografii. „Wskazanie choćby połowy adaptacji

teatralnych, książkowych czy komiksowych jest zadaniem niewykonalnym. Wiele współczesnych tytułów filmowych i telewizyjnych nawiązuje do dzieła Charlesa Dickensa, warto pamiętać choćby tytuły takie jak: »Opowieść wigilijna Muppetów«, »Opowieść wigilijna Flintstone’ów« czy »Opowieść wigilijna Myszki Miki«. Olbrzymi wpływ omawianej książki na popkultu-



Kadr z filmu „Opowieść wigilijna”
z 2009 r. w reż. Roberta Zemeckisa.
Na zdjęciu: Ebenezer Scrooge

FOT. ING COLLECTION/INTERFOTO/FORUM

rę dobrze obrazuje także postać Sknerusa McKwacza (ang. Scrooge McDuck), jednego z bohaterów kreskówki »Kaczor Donald«. Jego sylwetka bezpośrednio nawiązuje do głównego bohatera »Opowieści wigilijnej« – pisał Jakub Jagodziński, podsumowując 175-lecie wydania powieści Dickensa oraz tyle samo niebywale żywej obecności wigilijnej przygody Ebenezera Scrooge’a we współczesnej kulturze. Wpływ był tak wielki, że samo nazwisko tego (anty)bohatera nabrało w języku angielskim znaczenia słownikowego i opisuje właśnie skąpca.

EROZJA CHRZEŚCIJAŃSKIEGO ŚWIATA

Zanim spróbujemy zbliżyć się do zrozumienia fenomenu „Opowieści wigilijnej”, krótko przypomnijmy jej zawartość. Głównym bohaterem Dickensa jest wspomniany już Ebenezer Scrooge, przedsiębiorca, skąpiec o specyficznych poglądach, choć w pewnej mierze charakterystycznych dla swojej (czy tylko swojej?) epoki. Scrooge nie znosi Bożego Narodzenia, niegodziwie opłaca swojego pracownika Boba Cratchita (i nie dogrzewa jego biura), uważa, że święta to tylko niepotrzebna przerwa w pracy, a zatem okres braku zysków.

Ten duch brutalnego kapitalizmu z pierwszej połowy XIX w., a zatem mrocznych czasów rewolucji przemysłowej, przejawia się także w przekonaniach charakterystycznych dla darwinizmu społecznego skrzyżowanego z utylitar-

yzmem reprezentowanym przez Scrooge’a. Dickens pokazuje nam swojego skąpca w wyrazistych scenach, w których odprawia on zarówno małego kołędnika oczekującego jakiejś drobnej monety, jak i młodego mężczyznę zbierającego datki na wsparcie ubogich. By opisać świat i ludzi przedstawionych przez Dickensa – zresztą w wielu powieściach – aż ciśnie się na usta tytuł późniejszych o kilkadziesiąt lat, społecznych reportaży Jacka Londona „Mieszkańcy otchłani”.

Sam Scrooge jest częścią – może nawet ofiarą – tej otchłani, ale i jej współtwórcą. Daje temu wyraz, gdy wprost mówi, że lepiej jest, gdy ubodzy umierają, bo „zmniejszają nadmiar ludności”. Ten nadmiar stanowią szczególnie ci, którzy nie potrafią sobie poradzić w realiach społeczeństwa tworzonego przez takich drapieżników jak Scrooge. Nie jest on przecież przypadkiem jednostkowym, ale drastycznym obrazem tego, czym stało się XIX-wieczne społeczeństwo, które przeszło z epoki tradycyjnej i religijnej (której nie trzeba też idealizować) w epokę maksymalizacji zysku. Oczywiście ten świecki purytanizm, ta bezwzględna walka o grosz, kosztem zdrowia, życia i losu innych ludzi, jest efektem długiego procesu historycznego. Najpierw – właśnie szczególnie w kulturze anglosaskiej – razem z porzuceniem katolicyzmu odrzucono chrześcijańską postawę zdystansowania wobec własności, potem dobrobyt uznano wręcz za znak Bożego błogosławieństwa, a ubóstwo za objaw przekleństwa czy braku łaski. Wreszcie gdy zerwanie więzi sakramentalnej sprawiło, że poczucie oddalenia od Boga zamieniono na jego odrzucenie, samo bogactwo stało się bogiem.

Ten proces erozji anglosaskiego świata chrześcijańskiego, w którym radość z narodzenia Pańskiego nie jest przestępnieta innymi bożkami, dobrze widać już w XVIII-wiecznych przemianach obyczajowości i religijności. Jeszcze w 1833 r. w Anglii i Walii Boże Narodzenie nie było dniem wolnym od pracy, w Szkocji sytuacja taka trwała do roku 1858, a zatem wiele lat po wydaniu „Opowieści wigilijnej”. W Stanach Zjednoczonych – jeśli trzymać się szerszego horyzontu kultury anglosaskiej – dopiero w 1870 r. na poziomie federalnym przywrócono dni wolne od pracy na świętowanie narodzenia Pańskiego. W niektórych miejscach – np. w Nowej Anglii – obchodzenie Bożego Narodzenia było przez kilkadziesiąt lat zakazane, a nawet przez pewien czas praktykowanie tej tradycji

obciążone było karą grzywny. Jak uzasadniano te restrykcje prawne? Wypaczeniem czystości wiary: protestanci uznali, że Boże Narodzenie to niebiblijne pozostałości katolicyzmu w kulturze, czyli inaczej relikty pogaństwa. W ten sposób fundamentalizm biblijny, razem z postępującym zeświecczeniem kultury publicznej, doprowadziły do demontażu kultury chrześcijańskiej i utworzenia nieludzkiej kultury, w której większość społeczeństwa stała się nędzarzami, a mniejszość niewolnikami własnej pożądliwości – tu: chciwości.

Obrońcy kultury purytańskiej mogliby powiedzieć, że bardzo społeczne średnowieczne obchody Bożego Narodzenia, które w Anglii miały charakter publicznych festynów z grami zespołowymi czy tańcem – w praktyce także z festiwalami pijaństwa – nie prowadziły do niczego dobrego. Nietrudno wątpić w taką tezę, gdy spojrzysz się na krajobraz XIX stulecia pełen niereligijnych, nieczułych i pazernych Scrooge’ów, odrażających, aspołecznych i w sumie bezrozumnych indywiduów, zainteresowanych głównie pozyskiwaniem abstrakcyjnego dobra, jakim jest pieniądz – pomnażaniem majątków poza granice sensu. Angielscy badacze i komentatorzy uważają, że kultura protestancka skutecznie zabiła Boże Narodzenie jako tradycję społeczną i religijną, spychając te święta do domów. Unicestwiając zarazem – do spółki z procesami urbanizacji i uprzemysłowienia – rozumienie ich religijnego sensu. Dickens zaś jest uważany za jednego z tych, którzy tę tradycję odnowili. Teza ta – równocześnie kusząca, ale i wątpliwa – wymagać będzie weryfikacji.

ŚWIĄTECZNE ZJAWY

Wróćmy jednak na razie do historii Dickensowskiego pana Ebenezera, który poirytowany przedświąteczną radością własnego pracownika, a także innymi kontaktami z ludźmi oczekującymi Wigilii, wraca z biura swojego składu do domu. Towarzyszy mu podła i mglista pogoda. I wtedy – w takich właśnie okolicznościach – Scrooge spotyka zjawę, która okazuje się duchem jego zmarłego współnika, Jakuba Marleya. Marley przychodzi skutylanicuchami, które, jak mówi, są z zarobionych przez niego pieniędzy. Wyznaje, że po śmierci widzi, jak bezużyteczne było jego życie, jak bezpłodne i skupione na zdobywaniu majątku zamiast na pomaganiu innym i robieniu dobrego użytku z tego, co posiadał. Marley przychodzi ostrzec Scrooge’a – ten ostatni może



■ jeszcze zmienić swoje życie i uchronić się przed pośmiertnymi cierpieniami. Marley zapowiada też Ebenezerowi wizytę trzech innych zjaw. Scrooge, choć przerażony zająściami, gdy tylko znika duch Marleya, od razu traktuje je jako rodzaj przywidzenia. Wraca do stanu mentalnego, w którym go spotykamy na początku.

Jednak – wbrew oczekiwaniom Scrooge’a – zapowiedziane zjawy przycho-
dzą. Pierwsza nazwana Duchem Wigilijnej Przeszłości przypomina Sknerusowi samotne święta, które spędzał w dzieciństwie i młodości daleko od rodziny, przypomina śmierć jego siostry, która zostawiła małego synka, jego siostrzeńca, któremu nie poświęcał w ogóle czasu. Duch Wigilijnej Przeszłości pokazuje także pana Fezzwiga, u którego Scrooge terminował i który traktował swoich pracowników jak synów. Wreszcie widzi kobietę, którą kochał i z którą się rozstał, aby zdobywać majątek, widzi ją z gromadką dzieci, słyszy jej męża, który smuci się samotnością Scrooge’a. Te obrazy są dla Scrooge’a jak wyrzuty sumienia, jednak nie w duchu podsumowania win, niczym przed spowiedzią, ale w formie bolesnych uczuć.

Drugi duch odwiedzający Scrooge’a to Duch Tegorocznego Bożego Narodzenia. Pokazuje on naszemu bohaterowi uprzejmość świętujących ludzi, szczyry toast, który wznosi za niego jego bardzo źle opłacani pracownicy, Bob Cratchit. Scrooge widzi jego chromego, być może umiera-

nie ma dla nich jakiegos chronienia. Na co duch odpowiada znów szyderczym cytatem, ze słów samego Ebenezera, że jest tyle domów poprawczych i więzień, na pewno schronienie się znajdzie.

Duch Przyszłych Świąt Bożego Narodzenia pokazuje Scrooge’owi śmierć samotnego starca, którą przejęli się tylko jego wierzyciele, ponieważ zyskiwali nieco dni ulgi w konieczności spłaty. Scrooge zdaje sobie sprawę, że tym zmarłym jest on sam. I wtedy budzi się, już przemieniony moralnie. Kupuje świąteczną gęś dla ubogich Cratchitów, chłopcu na posyłki wręcza duży napiwek, spędza świąteczny obiad ze swoim siostrzeńcem. Zmiana jest trwała, czytamy, jak pomaga rodzinie Boba w opiece nad chorym synem, ignoruje tych, którzy drwią z jego przemiany. Osiąga „pokój serca”.

IMPULS OPowieści

To pobieżne streszczenie „Opowieści wigilijnej” – polecam całą książkę, jeśli ktoś nie czytał, bo mówi nam wystarczająco wiele o wizji Dickensa. Nie jest ona zachętą, by powrócić do dawnych czasów, ani pod względem społecznym, ani religijnym. Jedyne, co wskazuje nam, o narodziny którego boga może chodzić, jest moment, gdy Duch Tegorocznego Bożego Narodzenia mówi, że ma ponad 1,8 tys. braci, co sugeruje, że chodzi o lata epoki chrześcijańskiej. Nie mamy w powieści ani tajemnicy wcielenia, ani właściwie żadnych tradycji, które łączą się z chrześcijańskim świętowaniem. Także duchy są typowym dla epoki romantycznej retorycznym chwytem. Zresztą okazują się bardziej sennym widzeniem niż epifanią nadprzyrodzoności.

Czym zatem jest ta powieść? Można, myślę, uznać, że literacką – już liberalną – korektą do utilitarnego ducha epoki. Indywidualistyczny egoizm przedsiębiorczego utilitarysty zostaje zastąpiony rozszerzoną „użytecznością” społeczną. Mieszczą się w niej – już w świeckiej formie – niektóre cnoty chrześcijańskie. Szczególnie miłosierdzie. Nie jest ono tu jednak efektem rozpoznania zła przez rozum, ale wynika z uczuć, ze wzruszenia losem innych ludzi. Ten rodzaj liberalnego miłosierdzia – pozbawionego światła rozumu i łaski przychodzącej z góry – skupionego na tym, by nikomu nie było przykro, przebudował całkowicie etykę i moralność ludzi Zachodu. Dobrze znamy tego ducha, który „czucie” uznaje za główne kryterium oceny rzeczywistości.

Jednak w czasach Dickensa odzew na powieść był niebywały. W roku 1844, po jej

wydaniu, zanotowano niezwykle wzrost datków na cele dobroczynne, a także lokalnie i okresowo humanizowały się stosunki pracy. To właśnie w latach 40. XIX w. następuje proces odradzania się Bożego Narodzenia, ale już w znacznej mierze poza chrześcijaństwem. Książę Albert w 1841 r. sprowadza po raz pierwszy do Anglii świąteczne drzewko – jodłę, Henry Cole w 1843 r. „wynajduje” kartę świąteczną, a londyński cukiernik Tom Smith zaczyna piec świąteczne krakersy. Nowa świecka tradycja zyskuje swój rytuał. Kto wie, czy to nie nakład 6 tys. egzemplarzy „Opowieści wigilijnej”, który pojawił się w księgarniach 19 grudnia, czyli tuż przed świętami Bożego Narodzenia roku 1843, stał się pierwszym silnym impulsem do komercjalizacji zjawiska wręczania sobie prezentów. Przecież miały one być jednym z tych odruchów serca, które dają temu sercu pokój. Tak jak jałmużna czy dodatkowy dzień urlopu dla pracownika. Jeśli mamy gdzieś szukać początku procesu, który zamienił (zmienia?) Boże Narodzenie w Zimowe Święta czy Święta Choinki, to „Opowieść wigilijna” może być potraktowana jako mit założycielski nowoczesnego świętowania już nie narodzin Boga, ale społecznego błogostanu uczuć.

Powstanie „Opowieści wigilijnej” było zbiegiem kilku okoliczności, a okoliczności zwykle nie są tak całkiem przypadkowe. Składają się na nie stan kultury, umysłowy, czasem układ indywidualnych losów ludzkich. Dickens w 1943 r. znajdował się w twórczym kryzysie, osłabła jego młodzieńcza sława. Po sukcesie „Klubu Pickwicka” i „Oliwiera Twista” kolejne książki sprzedawały się gorzej. Tymczasem rodziły mu się kolejne dzieci i szukał wyjścia z sytuacji. Jednocześnie przeżywał frustrację z powodu braku efektów swoich wystąpień na rzecz poprawy sytuacji społecznej ubogich. Sam jako dziecko przeżył bankructwo i uwięzienie swojego ojca za długi. Za tym poszedł rozpad rodziny, a także życie w biedzie i konieczność pracy zarobkowej od najmłodszych lat. Te doświadczenia Dickensa wycisnęły niezatarte piętno na „Opowieści wigilijnej”, a sama opowieść na kulturze świętowania cywilizacji liberalnej.

Zachęcam do ponownego przeczytania historii Scrooge’a i zastanowienia się, czy ideał Dickensa nie jest ideałem wielu z nas, tylko w zmienionych warunkach historycznych. Warto się też zastanowić, czy nam, chrześcijanom, chodzi w Wigilię o to samo, o co chodziło Dickensowi.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Doświadczenia Dickensa wycisnęły niezatarte piętno na „Opowieści wigilijnej”, a sama opowieść na kulturze świętowania cywilizacji liberalnej

jącego synka, a duch zawstydza starca, wypowiadając komentarz będący szyderczym powtórzeniem jego własnych słów. Gdy malec umrze, „zmniejszy się nadmiar ludności na świecie”. Scrooge czuje wstyd, to dominujące uczucie tej wizyty. Widzi też swojego siostrzeńca mówiącego, że na jego wujaszku mszczą się same jego wady. Duch Tegorocznego Bożego Narodzenia zawstydza bohatera jeszcze raz, pokazując dwoje dzieci uosabiających nędzę i ciemnotę. Scrooge się nad nimi lituje i pyta, czy



MUZEUM KSIĄŻĄT
CZARTORYSKICH

OTWARCIE 20.12.2019

KOLEKCJA NASZEJ HISTORII

Leonardo da Vinci
Dama z gronostajem, ok. 1490

Obraz przedstawia alegoryczny portret Cecylii Gallerani, damy dworu i kochanki księcia Mediolanu Ludovica Sforzy, zwanego Il Moro. Ukazujące 16-letnią dziewczynę dzieło powstało na jego zlecenie. Trzymane przez Cecylię zwierzątko, zinterpretowane jako gronostaj, stanowi aluzję do Ludovica. W 1488 roku książę został uhonorowany przez króla Neapolu Orderem Gronostaja i odtąd zwano go Ermellino Bianco – Białym Gronostajem.

ul. Pijarska 15, Kraków

mnk
MUZEUM
NARODOWE
W KRAKOWIE





Ragnar Lodbrok, główny bohater pierwszych sezonów „Wikingów”, jest postacią pół fantastyczną, pół historyczną

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

To moja saga

Z Michaelem Hirstem, twórcą serialu „Wikingowie”, którego szósty i ostatni sezon pokazuje kanał History Polska



rozmawia Piotr Gociek

PIOTR GOCIEK: Dla wielu fanów serialu „Wikingowie” zaskoczeniem może być informacja, że jest pan scenarzystą jednego z filmów Krzysztofa Zanussiego. „Gdziekolwiek jest, jeśliś jest”. Później także pracował pan z Istvánem Szabó. Jak doszło do współpracy z twórcami z naszej części Europy?

MICHAEL HIRST: Całkowicie przez przypadek. To był początek mojej pisarskiej kariery. Z dzisiejszej perspektywy myślę, że nie było to tak dziwne, jak mogłoby się zdawać. Wchodziłem do zawodu inaczej niż typowi scenarzyści. Szykowałem się do kariery uniwersyteckiej, do studiowania literatury, to miała być moja przyszłość. Tak poznałem wielu pisarzy, a później, zrządzeniem losu, także reżyserów. Ciekawiła mnie Europa Wschodnia, a ludzie, których tu poznałem, widocznie dostrzegli we mnie coś, co ich zainteresowało. Pracowałem z Zanussim, z Szabó, a także w Klimowem w Rosji.

A podobno wszyscy chcieliby tylko trafić do Hollywood.

Wielu pisarzy i scenarzystów w Wielkiej Brytanii marzy o pracy w Stanach Zjednoczonych. W latach 90. mieszkałem z żoną w Los Angeles przez trzy miesiące, na próbę, ale choć okazji do pracy było sporo, czułem, że to nie jest moje miejsce. Nie chciałem tam zostać. A już na pewno nie chciałem zostać amerykańskim scenarzystą. Interesował mnie za to zupełnie inny kierunek. Powiedziałem swojemu agentowi, że chętnie popracowałbym w Europie, także w Europie Wschodniej. Działy się tu wtedy fascynujące rzeczy. Nieco wcześniej, kiedy pierwszy raz byłem w Polsce, rządził nią jeszcze Wojciech Jaruzelski, a ja spotkałem się z dopiero co zwolnionymi z więzień opozycjonistami. Na Węgry trafiłem w chwili, gdy system upadał.

Akademicka przeszłość wyjaśnia mi wiele w kwestii powstania serialu „Wikingowie”. Sagi o Ragnarze, saga o synach Ragnara to źródła, do których literaturoznawcy zagląдают częściej niż zwykli czytelnicy. Bardzo wiele motywów zapożyczył pan przecież właśnie stamtąd.



Sagi są wspaniałym źródłem inspiracji dla pisarza. Wikingowie nie spisali własnych dziejów, to, co o nich wiemy, pochodzi zwykle z zapisków chrześcijańskich kronikarzy. W sagach otwiera się przed nami fascynujący, barwny świat, w którym mieszają się historia, mitologia i owoce zwykłej fantazji. Zakochany jestem w sagach i zawsze bardzo mocno do mnie przemawiały. Pomogły mi w odtworzeniu pogańskiego widzenia świata, bez którego przecież nie dałoby się opowiedzieć historii Ragnara. Bez tego z kolei nie było możliwe pokazanie, jak wyglądało zderzenie tego świata ze światem chrześcijańskim. Byłem bardzo dumny, kiedy kilka lat temu przeczytałem w „The Huffington Post”, że „Wikingowie” to jeden z nielicznych seriali, który kwestie religii traktuje poważnie.

Nie mniej poważnie od innych przygotowań. Bogactwo świata w serialu „Wikingowie”, mnogość detali – to także różni wasze dzieło od zwykłej telewizyjnej rozrywki.

I widzowie z wielu krajów to docenili. „Wikingowie” to najpopularniejszy – po „The Walking Dead” – serial telewizyjny na świecie w serwisach „on demand”. Prze-

czytałem o wikingach wszystko, co było dostępne, dopytywałem o szczegóły historyków, bardzo pomógł mi też Justin Pollard, z którym konsultowałem kwestie historyczne i religijne. Jednak to sagi pomogły mi w odnalezieniu rytmu opowieści. Mogę powiedzieć, że scenariusz zawdzięcza więcej właśnie sagom niż radom historyków. To moja opowieść. Moja saga o Ragnarze.

Moim zdaniem da się to wyczuć szczególnie w pierwszych sezonach serialu. To dramatyczna, pełna przemocy, nieraz ponura i realistyczna opowieść, ale jednocześnie przenika ją duch niezwykłości, nadnaturalności. Niemal jak w okrutnej baśni.

Chociaż nie jest to serial fantasy i nigdy nie chciałem, by to była opowieść fantasy. Często jestem pytany o pierwszą scenę z premierowego odcinka, kiedy Ragnar i jego brat po bitwie widzą Odyna. Ludzie widzą w tym element fantastyczny. Odpowiadam: nie! Opowiadałem historię z punktu widzenia wikingów. Dla nich to zdarzenie jak najbardziej naturalne. Gdy widzowie pytają, a szczególnie często zdarza się to w Ameryce, mówię: Czy chrześcijanie uważają, że złożenie ukrzyżowanego przez Rzymian człowieka do grobu i odkrycie, że zmartwychwstał po trzech dniach, to

opowieść fantasy? Dla pogan ich bogowie zawsze byli blisko, objawiali się im przy rozmaitych okazjach, przybierali różne kształty. Chciałem to pokazać w serialu. Dlatego tak ważną postacią jest w nim Floki.

Jak wyglądał oryginalny pomysł, kiedy zaczynał pan pracę nad „Wikingami”? Nikomu nie śniło się przecież wtedy, że to będzie sześć sezonów. Czy chciał pan po prostu opowiedzieć dzieje Ragnara Lodbroka? I na ile odcinków planował pan całą historię?

Zacząłem się od luźnej propozycji studia MGM, pytań, czy interesuje mnie świat wikingów i czy chciałbym popracować nad takim serialem. Byłem zainteresowany, bo już wcześniej zebrałem sporo materiałów do serialu o Alfredzie Wielkim, który ostatecznie nie powstał. Szybko doszedłem do wniosku, że świetnie byłoby zacząć od zarańcy wikingów. Kto miał jednak być bohaterem? Jeden z moich współpracowników wskazał, że pierwszym wielkim wikingiem, który wyłania się ze świata mitów i jest postacią pół fantastyczną, pół historyczną, jest Ragnar Lodbrok. I z taką propozycją przyszedłem do kanału History. W pierwszej wersji scenariusza Ragnar ginął w 10 odcinku serialu.

REKLAMA

75 LAT

HOLIDAY ON ICE

NAJLEPSZA NA ŚWIECIE REWIA NA LODZIE

SHOWTIME

27, 28, 29 MARCA 2020

ARENA GLIWICE

BILETY: WWW.PRESTIGEMJM.COM

Prestige MJM

Arena Gliwice

wprost RZECZY onet STRÖER VIXON PRESS SERVICE pap



Miliony widzów są szczęśliwi, że tak się ostatecznie nie stało.

To jedna z zalet pracy dla telewizji. W kinie pokazujemy już ukształtowanego bohatera w chwilach dla niego przełomowych. Serial daje możliwość opowiedzenia szerszej historii, pokazania, co kształtuje bohaterów, jak rosną, jak się zmieniają. Kiedy się okazało, że „Wikingowie” są sukcesem, mogliśmy sobie pozwolić na szerszy oddech. Ostatecznie Ragnar ginie w połowie czwartego sezonu. Jednak ważna rzecz – od początku wiedziałem, że to musi być także historia jego synów, niezwykle postaci także uwiecznionych w sagach. I zakończenie serialu, które ujrzenie w sezonie szóstym, jest dokładnie takie, jakie wymyśliłem, kiedy zaczynałem pracę nad „Wikingami”. Od początku wiedziałem, jak będzie wyglądało.

Był moment zawahania, kiedy ostatecznie doszło do śmierci Ragnara? Czy da się dalej snuć tę opowieść bez głównego bohatera, który dla widzów był symbolem serialu?

Tak, wątpliwości pojawiały się szczególnie ze strony amerykańskich partnerów. Serial o Ragnarze bez Ragnara? Niemożliwe. Zabawna historia, jedną z osób przekonanych, że czeka nas katastrofa, był Travis Fimmel, odtwórca roli Ragnara. Jego agent przekonywał go, że bez niego kręcenie ciągu dalszego nie ma sensu. Travis zadzwonił do producentów po emisji pierwszego odcinka bez jego udziału, spodziewając się wiadomości o gwałtownym spadku oglądalności. Mocno się zdziwił, gdy usłyszał, że wyniki były jeszcze lepsze niż wcześniej.

Sam byłem pełen takich wątpliwości. I byłem zachwycony, kiedy w odcinku po śmierci Ragnara ujrzałem jego dorosłych już synów spierających się ze sobą. To dla mnie jeden z najpiękniejszych momentów serialu.

Mówiono mi: „Nie możesz tego zrobić, takie rzeczy robi się pomiędzy sezonami, nie można wykonać takiego karkołomnego skoku naprzód”. A dlaczego? Trochę eksperymentowałem wcześniej, w jednym odcinku dokonaliśmy takiego przeskoku, kiedy syn Ragnara, Björn, zamienił się z dzieckiem w nastolatka.

Dzisiaj, kiedy oglądamy już pierwsze odcinki ostatniego, szóstego sezonu, widać, w jak dużym stopniu „Wikingowie” są opowieścią o synu Ragnara, Björnzie Żelaznobokim. To jest postać, która spina całą fabułę. To jego podróż.

Ma pan rację, tak właśnie jest. I od razu powiem, że będzie pan zachwycony tym,



**„WIKINGOWIE”
(„VIKINGS”), SEZON 6
OGLĄDAJ W KAŻDY CZWARTEK O GODZ. 21
NA HISTORY POLSKA**

co czeka na Björna w szóstym sezonie. To będzie godne zwieńczenie jego drogi, wspaniały finał, zapewniam. Była to też niezwykle droga dla grającego tę postać Alexandra Ludwiga. Kiedy go poznaliśmy, był dzieckiem. Grając Björna, zmieniał się, dorastał, spójrz dziś na niego, to ktoś zupełnie inny.

Chociaż Kattegat pozostaje w centrum wydarzeń w serialu „Wikingowie”, to zawsze była to również opowieść o dalekich podróżach. Dokąd udamy się tym razem?

Ruś Kijowska, tam trafiamy już na początku sezonu. Ivar bez Kości spotyka tam Olega, władcę jeszcze okrutniejszego niż on sam, a dla mnie była to okazja, by opowiedzieć o innych niż dotąd wikingach, którym dwa pokolenia wystarczyły, by zbudować państwo. Co do innych miejsc, muszę być ostrożny, by nie zdradzić zbyt wiele...

**Po Islandii na odkrycie czeka Ameryka...
... nic więcej nie mogę powiedzieć!**

A ja prywatnie zdradzę, że tęsknię za bratem Ragnara. Gdzie się podział Rollo? Zobaczymy go jeszcze?

Znów będę bardzo ostrożny i sformułuję to tak: niech pan nie traci nadziei na to, że Rollo odegra jeszcze pewną rolę, ale nie w taki sposób, jakiego mógłby się pan spodziewać. Na pewno słyszał pan już o tym, że powstanie ciąg dalszy „Wikingów”.

**Serial, którego produkcję ogłosił Netflix.
„Wikingowie: Walhalla”.**

Jego akcja będzie rozgrywać się sto lat później, w czasach innych sławnych wikingów. Głównymi tematami będą starcie religii – pogańskich wierzeń wikingów i chrześcijaństwa – a także wpływ wikingów na osadników na ukształtowanie się królestw zachodniej Europy. Tam wątki, które zapowiadała historia Rollo, będą rozwinięte. Chciałbym, by finałem tej części opowieści była bitwa pod Hastings

w 1066 r., czyli punkt zwrotny w inwazji Normanów na Anglię. Nie będę w tę produkcję zaangażowany tak mocno jak do tej pory. Opowiedziałem już to, co chciałem opowiedzieć, nie widziałem możliwości rozszerzenia „Wikingów” o kolejne sezony. Nowy serial jest w pewnym sensie hołdem dla popularności mojego dzieła. Nic dziwnego, że producenci chcą kontynuować ten sukces.

W szóstym i ostatnim sezonie „Wikingów” polskich widzów czeka spora niespodzianka. Jak to się stało, że zaprosił pan do współpracy wrocławski teatr Pieśń Kozła i Annę Marię Jopek?

Trzy lata temu jeden z moich przyjaciół, który pomaga w organizowaniu festiwalu w Edynburgu, pokazał mi nagranie tej niezwyklej formacji z Polski. Wiedziałem już wtedy, że w ostatnim sezonie „Wikingów” śmierć zabierze wielu bohaterów mojej opowieści, i szukałem sposobów, by nadać tym pożegnaniom szczególne znaczenie, by je uwznioślić. Może właśnie odpowiednią muzyką? Obejrzałem taśmę i byłem zachwycony. Nie rozumiałem ani słowa, ale emocje były tak potężne, że pomyślałem: „To może być to!”. Spotkaliśmy się w Dublinie i ustaliliśmy szczegóły.

Jak będzie wyglądał ten występ? Zobaczymy polskich artystów na ekranie czy chodziło tylko o muzykę na ścieżkę dźwiękową?

Teatr Pieśń Kozła przygotował dwa utwory, które śpiewa Anna Maria. Jeden z nich będzie częścią sceny śmierci jednego z bohaterów, Anna Maria pojawiła się osobiście na planie i będzie można nie tylko ją usłyszeć, lecz także zobaczyć, jak śpiewa. Zaczęliśmy od planowania playbacku, jednak Anna zaproponowała, by zrobić to na żywo. Zgodziłem się. Nie powiedziałem o tym reszcie ekipy.

Gdy wyszła na środek wielkiej sali dworu Ragnara i zaczęła śpiewać, zrobiło to piorunujące wrażenie. Wszyscy mieli łzy w oczach, gdy kończyła. Rozmawiamy dziś dlatego, że zdecydowałem się przyjechać do Polski, by podziękować artystom z Pieśni Kozła za niezwykle wkład w naszą pracę. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Michael Hirst – autor scenariusza m.in. do filmu „Elizabeth” (za co był nominowany do nagrody BAFTA), serialu „Dynastia Tudorów”, współautor scenariusza do filmu „Jan Paweł II: Nie lękajcie się”.



Rozwijaj biznes razem z nami

Zapoznaj się z ofertą
długoterminowego
najmu łóż VIP
na PGE Narodowym

www.biznes.pgenarodowy.pl | skybox@2012plus.pl

2 maja	Finał Pucharu Polski
16 maja	2020 PZM Warsaw FIM Speedway Grand Prix of Poland
czerwiec	Mecz towarzyski reprezentacji Polski*
5 lipca	Koncert Iron Maiden Legacy Of The Beast Tour
17 lipca	Koncert Rammstein
25 lipca	Koncert Sting: My Songs
sierpień	Wydarzenie rozrywkowe*
22 sierpnia	Koncert Andrea Bocelli
wrzesień	Wydarzenie rozrywkowe*
26 września	Roztańczony PGE Narodowy

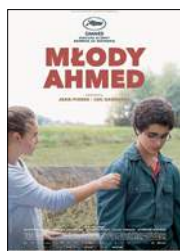
*terminy wydarzeń mogą ulec zmianie



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Krótko
i na temat

★★★★★
**REŻ. JEAN-PIERRE
 I LUC DARDENNE**
„MŁODY AHMED”
(„LA JEUNE
AHMED”)
BELGIA/FRANCJA
2019

wyst. Idir Ben Addi,
 Myriem Akheddiou,
 Olivier Bonnaud

Warto zrozumieć wroga, choćby po to, by skuteczniej go zwalczać. Wyjaśnieniem fenomenu muzułmańskiego terroryzmu zajmowali się już eksperci, politycy, publicyści i służby specjalne, lecz zwykłemu człowiekowi wciąż trudno pojąć, dlaczego synowie i wnukowie emigrantów z Bliskiego Wschodu oraz północnej Afryki ni z tego, ni z owego zaczynają objawiać mordercze instynkty. Urodzili się i wychowali na Zachodzie. Chodzą do tych samych szkół co Europejczycy z dziada pradziada. Grają razem w piłkę. Słuchają tej samej muzyki. Oglądają te same filmy. Nawet śmieją się z tych samych dowcipów, lecz Zachodu nienawidzą.

Co zrobić z nastolatkami, szukającymi w Internecie wskazówek,

jak domowym sposobem skonstruować bombę lub gdzie wbić nóż, by ofiara się szybko wykrwawiła? Lajkującymi filmiki, w których odcina się głowy „niewiernych”? Porzucającymi rodzinę, szkołę i przyjaciół, by ginąć za islamską utopię, budowaną na gruzach upadłych państw arabskich? Jak przekonać ich koleżanki, by nie zakrywały twarzy, ignorowały zaloty dżihadystów i nie rodziły im dzieci – przyszłych żołnierzy Proroka? Bracia Dardenne nawet nie próbują udawać, że znają odpowiedzi na takie pytania. Ich film jest deklaracją bezradności. 84 minuty – tyle tylko czasu potrzebują, by udowodnić, że na motywowanych religijnie fanatyków nie ma rady. Szczerość i zwięzłość godna pochwały.

Tytułowy Ahmed z gier wideo przeczucił się na wkuwanie wer-

setów. Szerokim łukiem omija psy i przestał podawać rękę kobietom. Język arabski uznaje tylko w wersji koranicznej. Ciągłe mycie rąk, bo otaczająca go zachodnia kultura i cywilizacja są ze swej natury nieczyste. Zarzuca matce, że za dużo pije, a siostrze – że ubiera się jak dziwka. Czci pamięć kuzyna, który poległ, walcząc za wiarę. 14-latek o urodzie cherubinka oczywiście sam tego wszystkiego nie wymyślił. Duchową zbroję wykuł mu ojciec zastępczy, imam zatruwający mózgi współwyznawców opowieściami o śmiertelnych wrogach – Żydach i „krzyżowcach”. Z Ahmedem odniósł sukces, który przerósł jego oczekiwania. Narwany podopieczny, zamiast czekać na sygnał, chce zacząć dżihad tu i teraz.

Po każdym zamachu pojawiają się oskarżenia o karygodną naiwność, brak czujności i refleksu. W przypadku Ahmeda wszyscy – od rodziny przez szkołę do służb – stają na wysokości zadania, lecz zdaje się to psu na budę. Radykała, przekonanego do słuszności tego, co robi, żadna prośba, groźba ani perswazja nie zepchną z wybranej ścieżki. Zrobić to może tylko czas. Rewolucjoniści po osiągnięciu wieku dojrzałego często stają się filarami systemu. ©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „SKYWALKER. ODRODZENIE”

Trzecia gwiazderna trylogia dobiega końca, a w zamykającym ją filmie czeka nas niespodziewany powrót imperatora Palpatine'a plus oczywiście konfrontacja obdarzonej coraz większą mocą Rey i coraz bardziej złowieszczonego Kylo Rena. Disney na razie ogłasza przerwę, nowego filmu kinowego z gwiazdnego cyklu nie

doczekamy się przed rokiem 2022. Koncern inwestuje za to w gwiazdnowojeenne serie: „Mandalorian” i osobną opowieść o Obi-Wanie Kenobim. © **Piotr Gociek**

• „Gwiezdne wojny: Skywalker. Odrodzenie”, reż. J.J. Abrams, wyst. Daisy Ridley, John Boyega, Adam Driver, Ian McDiarmid, USA 2019

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

• „Osierocony Brooklyn”, reż. Edward Norton, USA 2019

• „Zaśnij”, reż. Daniel J. Phillips, Australia 2019

• „Pan T”, reż. Marcin Krzyształowicz, Polska 2019

• „Futro za misia”, reż. Michał Miłowicz, Polska 2019



Tylko tekst zostanie

„Kod Dedala” zaczyna się nie-sympatycznie. Płonie księgarnia – widok przykry dla człowieka starej daty. Scena ta ma kluczowe znaczenie dla całej intrygi, więc przyczynę pożaru poznamy dopiero w finale. Jeśli ktoś przeczytał czy obejrzał w życiu więcej niż jeden kryminał, domyśli się wcześniej.

Pamiętając historię towarzyszącą premierze kolejnych części „Harry’ego Pottera” i powieści Dana Browna tudzież notoryczne problemy z zachowaniem poufności i wyciekami ultratajnych dokumentów, pomysł Francuzów możemy uznać za w miarę wiarygodny. Oto wydawca murowanego bestsellera w obawie przed niedyskrecją zamyka dzie-
więcioro tłumaczy

w schronie przeciwbombowym, odbiera im telefony i odcina od Internetu. Wolność odzyskują dopiero po zakończeniu pracy. O zgrozo, wszystkie środki ostrożności, łącznie z zatrudnieniem rosyjskich ochroniarzy, zawodzą.



★★★★★
REŻ. RÉGIS ROINSARD
„KOD DEDALA”
(„LES TRADUCTEURS”)
BELGIA/FRANCJA
2019

wyst. Lambert Wilson, Alex Lawther, Olga Kurylenko

Kimkolwiek jest szantażysta, grożący ujawnieniem treści ostatniego tomu trylogii „Dedal”, czujemy się w obowiązku mu kibicować. Wydawca bowiem nawet nie próbuje udawać miłego gościa. Scenarzyści deklarują wstręt do kapitalizmu i miłość do wielkiej literatury w stylu Jamesa Joyce’a i Marcela Prousta. Natchnienia woleli jednak szukać w książkach Agathy Christie. No cóż, nie oni pierwsi, nie ostatni. ©©

Wiesław Chełminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

BOSKI DIEGO

O miłości Maradony do piłki, neapolitańczyków do Maradony, o mafii, trudnym dzieciństwie, rodzinie – znakomity dokument Asifa Kapadii („Amy”, „Senna”) to fascynująca opowieść w całości złożona z archiwalnych ujęć. Nie ma tu żadnych gadających



★★★★★
REŻ. ASIF KAPADIA
„DIEGO MARADONA”
WIELKA BRYTANIA 2019,
DYSTR. M2 FILMS

głów, krótkie wspomnienia i komentarze podane są z offu. Na ekranie króluje boski Diego, a ramą filmu jest jego pobyt w Neapolu, do którego przechodził po dwóch nieudanych sezonach w Barcelonie, po ciężkiej kontuzji i nie do końca świadom, gdzie trafia. Tymczasem na pierwszej konferencji prasowej padło pytanie: „Czy wie pan, że tu wszędzie są pieniądze kamorry – także w piłce nożnej?”. Gra dla SSC Napoli to najpierw czas największych triumfów Diego (mistrzostwo Włoch, mistrzostwo świata z Argentyną, puchar UEFA), ale potem upadku legendy (nieślubne dziecko, kokaina). Jednak nawet zaćpany i otłuszczony grał lepiej niż inni, prowadząc klub do kolejnego mistrzostwa. Drugiego takiego futbol pewnie już nigdy się nie doczeka.

DO DECHY

Niektórzy widzieli niedawno dzieje tej rywalizacji w kinie, za sprawą emocjonującego filmu Jamesa Mangolda „Le Mans ’66”. Prawda była jeszcze bardziej emocjonująca i ciekawsza, a film „24-godzinna wojna” to jeden z najlepszych dokumentów ostatniej dekady. Zaczęło się od nieudanego interesu. Wczesne lata 60. Pograżony w kłopotach finansowych Enzo Ferrari był o krok od sprzedania swej firmy koncernowi Forda. W ostatniej chwili zmienił zdanie i wszedł w alians z Fiatem. Urażony magnat z USA postanowił rzucić Włochom wyzwanie i wynajął ekipę, której zadaniem było zbudowanie od podstaw nowego samochodu wyścigowego, który zdetronizuje Ferrari. A mówimy o czasach, gdy jeden na czterech kierowców rajdowych nie dożywał końca swej kariery albo doznawał ciężkich obrażeń. Od początku do końca „24-godzinna wojna” kipi adrenaliną i opowiada kawał niezwyklej historii sportu i motoryzacji. ©©



★★★★★
REŻ. NATE ADAMS, ADAM CAROLLA
„24-GODZINNA WOJNA”
USA 2016,
DYSTR. NETFLIX

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „POKEMON SWORD & SHIELD”

Pokemony wydawane na kultowego Game Boya ukształtowały całe pokolenie graczy, którzy na podstawie popularności japońskiej animacji zarywali godziny, aby „złapać je wszystkie”. Mechanika była prosta – jako początkujący trener wybieramy jedno stworzonko z trzech dostępnych,

następnie przemierzamy świat w poszukiwaniu „dzikich” pokemonów oraz walczymy z innymi trenerami o sławę. Czy coś się przez te ponad 20 lat zmieniło? Wszystko i nic. „Pokemon Sword & Shield” to nadal znajomy świat i historia, ale w lepszej grafice i z dynamiczniejszymi walkami. Sądząc



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

po wynikach sprzedaży, dla wielu tyle wystarczy. ©© **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** RPG/TPP
- **Platforma:** Switch
- **Producent, dystrybutor:** Game Freak/Nintendo
- **Klasyfikacja PEGI:** 7+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Jonaszowe kaprysy

Kiedy umierał 19 kwietnia 1988 r., nie miał skończonych 46 lat. Właściwie od początku lat 80. prowokował tę śmierć. Był chory, ale w istocie się nie leczył, do alkoholu, który go niszczył, powrócił i nie potrafił z nim zerwać. Znał wszystkich i wszyscy go znali. Już jego imię i nazwisko budziły zainteresowanie: Jonasz Kofta. Naprawdę zrobił się Jonaszem z Janusza, a w Koftę zmienił się jego ojciec, Mieczysław Kaftal, któremu w czasie okupacji hitlerowskiej na Wołyniu znajomy geometra Iwanow wyskrobał „l” i ogonek z pierwszego „a”, by nazwisko nie budziło skojarzeń semickich.

Co do Jonasa, to powiedział o sobie, że jest Żydem sefardyjskim. Oczywiście dworował sobie, w starym SPATiF, gdzie roilo się od „Żydów polarnych” czy „Żydów stepowych”, takie żarty nikogo nie obrażały. To, że jego pochodzenie (matka była Ukrainką, która jednak lepiej знаła polski od ukraińskiego, a od polskiego niemiecki) nie było dla niego wcale obojętne, dowodzi wydana właśnie książka (potężna rozmiarami) Piotra Derlatki.

Autor wykonał gigantyczną pracę, próbując przebadać nie tylko Jonaszowe życie, lecz także jego korzenie. Odbiło się to, niestety, na książce, której pierwsza część – podejrzewam – będzie strasna jedynie dla wąskiej grupy czytelników. Wcale się nie dziwię, że syn poety Piotr Kofta rzecz ujął tak: „Każdy człowiek jest zagadką. Jonasz Kofta też był zagadką. Ale teraz, jak się zdaje, już odrobinę mniej skomplikowaną niż wcześniej”.

Książka dedykowana jest czworgu wnuczętom Jonasa, ale ciekawa powinna być nie tylko dla nich. Tak że poza historiami rodzinnymi warte uwagi – choć



FOT. FORUMNACZKA.COM.PL / FORUM

mocno dyskusyjne – są dalsze ustępy „jego portretu”, dotyczące m.in. stosunku Kofty do władzy i do opozycji politycznej (bliźniaczy przypadek jak Osieckiej), relacji z Janem Pietrzakiem czy po prostu jego zachowań w życiu codziennym. Uważany, i słusznie, za duszę towarzystwa, w rzeczywistości był człowiekiem trudnym, kapryśnym, egocentrycznym. Ale był wspaniały.

Napisał ponad 600 tekstów. Chociaż podtrzymuję zdanie, że był lirykiem najczystszej wody i pozostawił po sobie arcydzieła piosenki polskiej, to przecież artystą się bywa, a nie jest się nim na okrągło, od świtu do nocy. Zwłaszcza wielkim artystą. Nic dziwnego, że np. Janusz Minkiewicz sławną „Radość o poranku” Kofty skwitował następująco: „[...] nagle niesłychanie serio, głośno, odczytał fragment: »Łaj di di di baj baj wstaje świt...«. – Łaj di di di baj baj – powtórzył w zamyśleniu. – No to wy dzisiaj macie dużo łatwiej. Przed wojną nie do pomyślenia”. A Wojciech Karolak, „jadąc samochodem z Jonaszem Koftą, głośno zastanawiał się nad kretynem, który napisał tekst piosenki »Do łezki łezka, aż będę niebieska«. Jonasz

oczywiście zarechotał i przyznał się, że to jego”. Ale, oczywiście, nikt rozsądny nie będzie kwestionował rangi takich utworów jak „Jej portret” czy „Samba przed rozstaniem”.

W jego dorobku są też sztuki i scenariusze teatralne. Przez autora omawianej książki potraktowane nadto łaskawie. Niestety, mająca w końcu swoją prapremierę w Niemczech „Wojna chłopska” była porażką, „Kompot” obronił się z powodów, niestety, pozaartystycznych, o „Wątrobie faraona” nie ma nawet co mówić, bo nie ma o czym. Kofcie bardzo zależało na tym, by wspiać się – jak myślał – o piętro wyżej, jakby awansować do innej ligi, w terminologii sportowej powiedzieliśmy dzisiaj – do Ligi Mistrzów. Ale do tego niepotrzebna była zmiana uprawianej formy literackiej; on w tej lidze był – jako tekstciarz właśnie.

Warto i trzeba uchronić przed zapomnieniem inne dokonania Jonasa Kofty – radiowe. Myślę tu o nagrywanych z jego przyjacielem Stefanem Friedmannem „Fachowcach”, o „Dialogach na cztery nogi”, o innych jeszcze przedsięwzięciach, które – być może – powinny znaleźć się w archiwach Trójki.

Na XV Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu, którego Kofta był kierownikiem artystycznym, pokazany został koncert „Nastroje, nas troje”, przypominany jeszcze przez TVP Kulturę. Tych troje to byli, oczywiście, Agnieszka Osiecka, Wojciech Młynarski i Jonasz. Piękna plejada piosenki polskiej, a pewnie i czegoś więcej.

Pasjonująca, prowokująca do polemiki, ale przede wszystkim smutna była dla mnie lektura książki Piotra Derlatki. W końcu Jonasz Kofta, gdyby żył, miałby dzisiaj 77 lat. A nie ma go z nami już tak dawno. ©©



★★★★★
PIOTR DERLATKA
„JEGO PORTRET.
OPOWIEŚĆ
O JONASZU
KOFCIE”
PRÓSZYŃSKI
I S-KA 2019



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Prezenty
staromodne

I ja znalazłem coś dla siebie na święta. Prezenty tym lepsze, że nieoczekiwane. Sylvain Tesson, znany dotąd z książek podróżniczych po Ukrainie i Rosji, objawił się z nienacką jako człowiek zakochany w Grecji, jeszcze mocniej zakochany w „Iliadzie” i „Odysei”, a w dodatku jako kolega po fachu, bo „Lato z Homerem” jest zapisem jego radiowych pogadanek o dwóch wspomnianych arcydziełach. Od czasów książek Jana Parandowskiego pożeranych za młodu nie pamiętam, by takie ciarki chodziły mi po plecach podczas czytania o Achillesie, Hektorze i Odyseuszu.

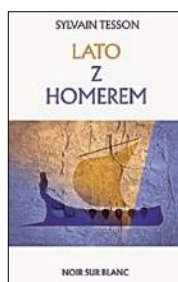
Tesson ładnie pisze (dlatego zapamiętałem jego „Berezyne”) i z wielką swadą argumentuje. A jego teza brzmi: nie tylko wszyscyśmy z Homera, lecz także w dziełach Homera zawiera się wszystko. Reszta historii literatury to tylko przypisy. Prowadzi nas więc przez kolejne pieśni, wskazując ponadczasowe treści, wytyka niepokojąco aktualne spostrzeżenia. Nurkuje w arcydziełach. Z nutką porządnego konserwatyzmu, gdy nie ma litości dla urzędników od edukacji wycinających klasykę z programów szkolnych i gdy polemizuje ze współczesnymi inżynierami dusz ludzkich śniącymi o naprawie

człowieka. Nie, odpowiada Tesson, spójrzcie na bohaterów Homera i na dzisiejszy świat. Człowieka zmienić się nie da.

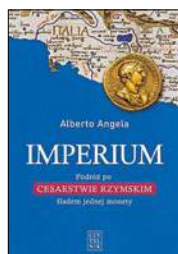
A oto i drugi prezent. Książka jednego z moich ulubionych popularyzatorów wiedzy o antyku. To Alberto Angela. Wydano u nas kilka lat temu jego uroczy „Jeden dzień w starożytnym Rzymie”, teraz czytelnik otrzymuje dzieło pełniejsze. „Imperium. Podróż po Cesarstwie Rzymskim śladem jednej monety” to kompendium wiedzy o czasach Rzymu „pięciu dobrych cesarzy” (Angela zabiera nas do ostatniego roku panowania Trajana). Znam wiele z miejsc, które opisuje,

znam fakty, które przywołuje, i cytaty klasyków, a mimo to uwiedziony jestem tokiem opowieści. Angela to znakomity gawędziarz, który cudnie wskrzesza starożytność, bawi, wzrusza, intryguje. Pisze o imperium niczym reporter, który był świadkiem wydarzeń, a przecież dzielą nas od „czasu i miejsca akcji” dwa tysiące lat. „Imperium” i „Lato z Homerem” doskonale się uzupełniają, dając nam wgląd w namietności, troski i radości tak podobne do współczesnych.

I Tesson, i Angela pewnie nieco zbyt przychylnie patrzą na obiekt swych badań, ale robią to w takim stylu, że łatwo wybaczyc. ©©



★★★★★
SYLVAIN TESSON
„LATO
Z HOMEREM”
NOIR SUR BLANC



★★★★★
ALBERTO ANGELA
„IMPERIUM”
CZYTELNIK 2019

NOWOŚCI POD CHOINKĘ

Nowy przekład uroczych świątecznych opowieści twórcy „Czarnoksiężnika z Krainy Oz” (poprzedni był dziełem Jolanty Mach, za ten odpowiada Mira Czarnańska). Piękna edycja z ilustracjami Leny Grzesik-Zysk.



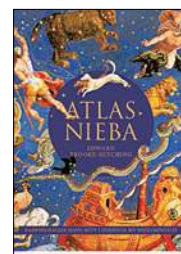
L. FRANK BAUM
„ŻYCIE
I PRZYGODY
ŚWIĘTEGO
MIKOŁAJA”
ZYSK I S-KA

Brytyjska klasyka wreszcie po polsku. Komplet opowiadań o rodzinie Armitage'ów, która przez sześć dni tygodnia wiecie w miarę zwyczajne życie, za to w poniedziałki przytrafiają się jej fantastyczne przygody.



JOAN AIKEN
„OGRÓD
DO SKŁANIANIA”
DWIE SIOSTRY

Nie jest to pomoc naukowa dla domorosłych astronomów zerkających w teleskop, lecz przepięknie ilustrowana opowieść o tym, jak niebo widzieli (i na papierze kreślili) nasi przodkowie, od starożytności do ery podboju kosmosu.



EDWARD BROOKE-HITCHING
„ATLAS NIEBA”
REBIS

Doskonale znany w Polsce autor świątecznych bestsellerów (m.in. „Chłopiec zwany Gwiazdką”) tym razem w zabawnej i pouczającej rymowanej opowieści o nietypowej wróżce. Plus kapitalne ilustracje Chrisa Moulda. ©©

poleca Piotr Gociek



MATT HAIG
„WRÓŻKA
PRAWDÓWKĄ”
ZYSK I S-KA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Remigiusz Mróz „Iluzjonista” (Filia)** – drugi tom serii, której bohaterem jest Gerard Edling (pierwszym była powieść „Behawiorysta”).
2. **Katarzyna Bonda „Miłość leczy rany” (Muza)** – początek nowej serii kryminalnej popularnej autorki. Tym razem zaczyna się w Kazachstanie.
3. **Lucinda Riley „Pokój motyli” (Albatros 2019)** – z importu i dla pań – powieść autorki popularnego cyklu „Siedem sióstr”.
4. **Adam Kay „Świąteczny dyżur” (Insignis)** – co się dzieje w przychodniach i szpitalach, gdy idą święta? Rzeczy tyleż zabawne, ile przerażające.
5. **Katarzyna Michalak „Uśmiech losu” (Znak)** – dwa w jednym: piąty tom lubianej serii mazurskiej o dworze Marcinki i romantyczna opowieść wigilijna.

(Najchętniej kupowane książki miesiąca w sieci salonów Świat Książki, z pominięciem wznowień i dodruków)



FOT. KAROL MAKURAT/REPORTER

Natalia Niemen, Kasia Wilk, Arka Noego, Marek Piekarczyk, Mietek Szcześniak. Towarzyszyć im będzie Międzynarodowy Zespół Muzyczny pod kierownictwem Jana Smoczyńskiego.

Dochód z trasy przeznaczony zostanie na lokalne cele i zaufane organizacje charytatywne, m.in. diecezjalne oddziały Caritas. Organizatorzy chcą, by pomoc jak najtrafniej odpowiadała na miejscowe potrzeby. Wsparcie akcję możemy również kupując album z kolędami za pośrednictwem strony ambasadormilosierdzia.pl, gdzie na każdego czeka prezent – udostępniony za darmo album „Kolędowanie na tysiące głosów”. To zapis wykonań kilku kolęd z poprzednich edycji trasy koncertowej. Doskonała okazja, by poczuć atmosferę Betlejem w Polsce. Więcej szczegółów i sprzedaż biletów na stronie: betlejemwpolsce.pl. ©©

Radosław Wojtas

„Cicha noc”, śpiewamy w jednej z najbardziej znanych kolęd. „To była głośna noc. Najgłośniejsza w dziejach świata... Potem nic nie było już takie jak wcześniej. Historia zaczęła pisać się na nowo” – piszą organizatorzy charytatywnej trasy koncertowej Betlejem w Polsce, Fundacja „Światło-Życie”. „Stworzymy razem największy w Polsce

chór kolędników, którzy niosą pomoc potrzebującym” – zapowiadają i zapraszają na jeden z 10 koncertów, które odbędą się w: Katowicach (28.12), Poznaniu (29.12), Toruniu (3.01), Szczecinie (4.01), Kaliszu (5.01), Warszawie (10.01), we Wrocławiu (11.01), w Kielcach (12.01), Gdyni (17.01) oraz Ostródzie (18.01).

W repertuarze tegorocznej trasy koncertowej „Głośna Noc – Betlejem w Polsce” będą nie tylko znane kolędy. „Artyści opowiedzą dzieje Bożego Narodzenia z osobistej perspektywy. Wyśpiewają swoje historie, w których odbija się pięknym refleksem ten wyjątkowy dla człowieka czas przyjscia na świat Bożego Syna”. Na scenie 20 wykonawców, a wśród nich:



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Nie wiek, ale postawa

Po 13 latach ukazał się nowy album brytyjskiego The Who. Wcześniej zespół sprzedał ponad 100 mln płyt, stworzył dwie opery rockowe, które trafiły na ekran i do teatrów, oraz zapełniał największe stadiony. Mimo to w Polsce był i jest grupą praktycznie nieznaną.

Tym razem na płycie nie ma jednego tematu, koncepcji czy historii takich jak w „Tommym” czy „Quadrophenii”, ale wciąż jest postawa, której Pete Townshend jest wierny od powstania grupy w 1964 r. W odróżnieniu od Rolling Stonesów, którzy stali się perfekcyjnym nostalgicznym cyrkiem, gitarzysta wciąż naiwnie wierzy w powinność rocka. Dlatego na tle fantastycznych gitaro-

wych riffów opowiada głosem Rogera Daltreya o humanitarnym horrorze w Guantanamo czy tragicznym spłonięciu wieżowca Grenfell w Londynie. Jednocześnie stać go na stwierdzenie: „Na koniec każdy lider staje się kłownem”.

Oczywiście The Who ma złote lata za sobą. Zapewne tą płytą nie zyska nowych fanów, ale ci, którzy są z zespołem od dziesięcioleci, otrzymali potwierdzenie, że rock nie upadł. Mimo że fakty są przeciw niemu.

W rockowym hymnie „My Generation” z 1965 r. Daltrey krzyczał: „Mam nadzieję, że umrę, zanim się zestarzeję”. Dzisiaj dwaj liderzy grupy mają wspólnie 149 lat i nikt nie żąda od nich, by zeszli ze sceny. ©©



★★★★★
THE WHO
„WHO”
POLYDOR



★★★★★
MAJA KLESZCZ
„OSIECKA DE LUXE”
MYSTIC

Retrowersje standardów Osieckiej na akustyczny, jazzowy kwintet i niebanalny głos Mai Kleszcz. Niebanalne aranżacje – brawa dla męża Wojciecha Krzaka – sprawiają, że przy płycie potężnymi i urońimy łezkę.



★★★★★
KAROLINA CZARNECKA
„CUD”
KAYAX

Mocny żeński głos o podzielonej Polsce. Czarnecka szepcze, rapuje, krzyczy i zderza nowoczesne brzmienia z folkową tradycją Podlasia, z którego pochodzi. Piętnując, kocha i wzywa: „Polska musi uwierzyć w miłość!”. ©©

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!
Szokujące kulisy
katastrofy
w Czarnobylu!



Tomasz Stańczyk – Jak AK zdobyła plany V-1 i V-2
Władysław Bułhak – Polski wywiad kontra III Rzesza
Jacek Bartosiak – Tannenberg 1914
Piotr Zychowicz – Strażnicy GUŁAG-u mówią
Andrew Nagorski – Dlaczego Hitler przegrał wojnę?
Sławomir Koper – Największa strzelanina II RP
Marek Gałęzowski – Pucz przeciwko Dowborowi
Nikołaj Iwanow – Obcięte uszy Stalina
Leszek Lubicki – Zbrodnie Konrada Mazowieckiego

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Rafał A. Ziemkiewicz

Obsesyjna potrzeba lewicowo-liberalnego salonu, by wykreować Tokarczuk na męczennicę, ma konkretny, polityczny cel

Sposób, w jaki lewicowo-liberalne salony przeżywają Nagrodę Nobla dla Olgi Tokarczuk, dowodzi ich głębokiej mentalnej dysfunkcji i zwykłego znikczemnienia. Byłoby to nawet bardzo śmieszne, gdyby nie to, że aberracyjne zachowania przejawiają ludzie z profesorskimi tytułami, pełniący nierzadko wysokie i odpowiedzialne funkcje.

„W sobotę w Sztokholmie w Sali Giełdy Akademii Szwedzkiej polska pisarka zaprezentowała swój noblowski wykład. Esej, który odczytała w języku polskim, zatytułowany jest »Czuły narrator«. Organizator nie udzielił zgody na transmisję telewizyjną...” – ta informacja pochodzi ze strony internetowej telewizji TVN24 i dla ludzi z branży zaskoczenia nie stanowi. Akademia noblowska z zasady nie pozwala na transmisje telewizyjne tego typu wydarzeń, chcąc zachować ich ekskluzywny charakter. Mimo to brak transmisji przemówienia w TVP stał się przyczyną spontanicznego wybuchu nienawiści salonu w Internecie. Hasło dał – wydaje się – dziennikarz „Gazety Wyborczej” Wojciech Czuchnowski, popełniając zresztą kompromitującą pomyłkę: uniósł się oburzeniem, że TVP nie transmituje wręczenia Polce Nagrody Nobla – mimo iż wręczenie nastąpić miało (i nastąpiło) dopiero trzy dni później.

Tego „drobiazgu” nie zauważyli także następni. „Polka dostaje Nobla, polska publiczna telewizja tego nie pokazuje. Tak wypełnia swoje obowiązki »polskie« – obowiązek nienawidzenia sukcesu innych, obowiązek budowania świata opartego na kłamstwie i zaprzeczeniu. W oczernianiu pierwsza, w prezentowaniu prawdy ostatnia” – zawtórował Czuchnowskiemu prof. Marcin Matczak, w ciągu dwóch godzin zbierając pod swoim twitterowym wpisem 1,5 tys. „lajków”. Do oburzenia na „PiS-owską” TVP dołączyła natychmiast cała plejada polityków opozycji i wspierających ją „autorytetów”. A Anne Applebaum wyniosła oburzenie na prześladowujący



FOT. TT NEWS AGENCY/REUTERS/FORUM

noblistkę PiS na szersze, międzynarodowe forum. Gdyby nie to, że był to akurat weekend, zupełnie niewykluczone, że mielibyśmy już kolejną załatwioną przez Roberta Biedronia rezolucję Parlamentu Europejskiego, tym razem potępiającą „nacionalistyczno-katolicki reżim rządzący Polską” za cenzurowanie wypowiedzi noblistki i uniemożliwienie społeczeństwu zapoznania się z jej wykładem.

AKCJA DEZINFORMACJA

Niewykluczone jednak, że taka rezolucja jeszcze powstanie. Media zachodnie ochoczo podchwyciły fake news, rzekome ocenowanie wykładu noblistki było częścią wielu relacji z wręczenia nagrody. Mimo natychmiastowych i wielokrotnie powtórzonych sprostowań fałszywa narracja jest bowiem przez salony podtrzymywana, w charakterystyczny zresztą dla budowania takich narracji sposób – osoby „z nazwiskami” nie formułują zarzutu

konkretnie, by nie narażać się na dementi, robią to za nich media i kanały społecznościowe „agregujące” ich wypowiedzi. A część mediów zagranicznych fake newsa o rzekomej odmowie transmisji powtarzała także już po niej. Dodajmy, że jednocześnie szwedzkie władze uniemożliwiły ekipie TVP zrelacjonowanie spotkania noblistki ze szwedzkimi czytelnikami.

W tej akcji dezinformacyjnej wziął udział też rzecznik praw obywatelskich, Adam Bodnar. Kilka dni po całym zamieszaniu, wiedząc już doskonale, jak sprawy się miały, wydał utrzymane na wysokim poziomie ogólności oświadczenie, w którym „żałuje, że nie transmitowano wykładu noblowskiego”, oznajmia, że „wręczenie nagrody i wykład noblowski są tak ważnymi uroczystościami, że całe społeczeństwo powinno mieć dostęp do transmisji” i sugeruje, że brak takowej jest naruszeniem „konstytucyjnego prawa dostępu do informacji”. Oświadczenie nie wskazuje, kto



Tokarczuk

– nowy totem i młot salonu

odmówił Polakom transmisji – ale sugeruje jednoznacznie, że tak czy owak jest to wina PiS i w oczach dziennikarzy zachodnich potwierdza wcześniejsze doniesienia.

To tylko część dyskursu, czyniącego z Tokarczuk prześladowaną przez „nacionalistyczny reżim” męczennicę. W oficjalnej laudacji, wygłoszonej na cześć laureatki w imieniu szwedzkiej Akademii przez Pera Wästberga, znalazł się *passus*, iż noblistka „nie ucieka od prawdy o polskim antysemityzmie i kolonializmie (tak!) nawet pod groźbą śmierci”. Od jakich kręgów nieszczęsny szwedzki akademik zaczerpnął wiedzę o tym, że w ciemnej, prawicowej Polsce nie tylko się noblistkę cenzuruje i utrudnia społeczeństwu obcowanie z jej twórczością, ale wręcz grozi jej tam, za pisanie prawdy o polskim kolonializmie i antysemityzmie, śmierć – można się domyślić.

To wersja na zagranicę, zbyt „hardkoro-wa”, by sprzedawać ją w kraju. Na użytek lewicowo-liberalnych salonów Tokarczuk

jest „tylko” ofiarą „prawicowej nienawiści”. „Stanowisko prawicy (i władz państwa) w sprawie Nagrody Nobla dla Olgi Tokarczuk będzie po latach jednym z najbardziej obrzydliwych przykładów małości tej formacji. Wejdą te dni do kanonu polskiej podłości na wieczną przestrogę” – ogłosił w Internecie były szef MSWiA Bartłomiej Sienkiewicz, i jego wpis był tylko ukoronowaniem niezliczonej liczby podobnych oskarżeń, które od momentu ogłoszenia decyzji noblowskiego jury posypały się w wywiadach i publikacjach przedstawicieli lewicowo-liberalnego „salonu”. Już pierwsze informacje o nagrodzie połączone zostały z ubolewaniem nad rzekomą wrogością „prawicy”, z której natychmiast uczyniono obowiązkowy element kreowanego mitu „naszej noblistki”.

WYKREOWAĆ MĘCZENNICĘ

W istocie na wiadomość o nagrodzie wszyscy, którzy powinni to zrobić,

natychmiast zareagowali gratulacjami. Osobnym listem złożył Oldze Tokarczuk powinszowania prezydent, zapraszając do Belwederu, w dniu wręczenia nagrody zarządzono specjalną iluminację Pałacu Prezydenckiego, minister finansów zapowiedział zwolnienie laureatki z podatku, a TVP nie tylko transmitowała wręczenie nagrody, lecz także przerwała program, by na żywo transmitować wygłaszany przez nią podczas oficjalnego bankietu toast. Nie sposób znaleźć w zachowaniu „władz państwa” jakiegokolwiek uchybienia, które nadawałoby cię sensu wypowiedzi byłego ministra.

Także tezy o rzekomym „problemie prawicy z noblem dla Tokarczuk” nie potrafią głosić je media podeprzeć żadnymi konkretnymi, poza cytowaniem anonimowych wpisów internetowych trolli. Jako przykłady „prawicowej nienawiści” podawane są więc wszelkie krytyczne uwagi na temat pisarstwa Tokarczuk albo wszelkie polemiki z tezami głoszonymi przez nią w wywiadach. W podsumowującym rzekome męczeństwo noblistki artykule Jacka Dehnela w „Gazecie Wyborczej” koronnymi dowodami oskarżenia jest nasza poświęcona Tokarczuk okładka oraz mój tweet przypominający, że literacki Nobel zawsze miał wymiar polityczny, i że np. Zbigniewowi Herbertowi nagrody odmówiono – podobnie jak Borgesowi czy obecnie Houellebecqowi – jako zbyt „prawicowemu”.

O tym, że Herberta zdyskwalifikowała noblowska kapituła ze względów pozaliterackich, mówił otwarcie nie kto inny, jak sam Marcel Reich-Ranicki, i nie gdzie indziej, tylko w wywiadzie dla tygodnika „Polityka”. A że na nagrodę nie ma szans Jarosław Marek Rymkiewicz, bo w fundacji noblowskiej „w cenie jest inny światopogląd”, powiedziała zaledwie kilka dni po artykule Dehnela w wywiadzie Roberta Mazurka krytyk i feministka Kinga Dunin. Co do tego, że stwierdzenia tego rodzaju, iż twórczość pisarki – która sama chwaliła się, że nie posłała swego syna do chrztu ani na religię, ale urządziła mu wraz z mężem inicjacyjną ceremonię postrzyżyn – jest utrzymana w duchu pogańskim i odrzuca wartości chrześcijańskie albo że jej autorska wizja dziejów sekty Jakuba Franka sprzeczna jest z prawdą historyczną, nie są żadnym „hejtem”, tylko po prostu odpowiadają rzeczywistości, nie ma chyba sensu się spierać.

Wywody Tokarczuk o rzekomej polskiej tradycji kolonializmu, niewolnictwa i antysemityzmu w bardzo mocnych słowach



■ (m.in. nazywając je „barbarzyńskimi”) potępił przecież swego czasu nawet jeden z liderów Forum Żydów Polskich, Paweł Jędrzejewski – co, ponieważ trudno zrobić z niego ONR-owca, salony starannie przemilczają.

Obsesyjna potrzeba lewicowo-liberalnego salonu, by wykreować Tokarczuk na męczennicę, ma kilka przyczyn. Po pierwsze – od wielu lat główną emocją spajającą tę stronę postkolonialnego podziału jest codziennie agregowane oburzenie „ludzi przyzwoitych i na pewnym poziomie” na „polski ciemnogród”. Zmyślony „prawicowy hejt” to ulubiony konstrukt tej socjotechniki. Powtarzane w nieskończoność kłamstwo, jakoby Kaczyński nazywał „inaczej myślących”, „gorszym sortem” albo „ZOMO”, dumne nazywanie się na każdym kroku „zdradzieckimi mordami” czy, dawniej, „wykształciuchami” – salony po prostu uwielbiają „na cierpień padać otomanę”, jak poetycko ujął tę ich ulubioną figurę „gęgaczy” śp. Janusz Szpotański (pisał też o ich „wdrapywaniu się na pluszowy krzyż”). Wyszukiwanie przez nie kolejnych „dowodów”, że polski motłoch nienawidzi ich, bo wie, że są lepsi, dawno już przekroczyło wszelkie granice absurdu i czeka na swojego Mrożka.

W tym nieznośnym jęczeniu i lamentach jest jednak też konkretny, polityczny cel: zawłaszczenie dla liberalnej lewicy i samej Tokarczuk nimbu, jakiego przysłała jej nagroda. Ten Nobel musi być własnością „Polski jasnej”, jak nazwał „swoją” połowę reżyser Pawlikowski – a nie „ciemnogrodu”. Uparto wmawianie prawicy rzekomej nienawiści do noblistki ma pozbawić „Polskę ciemną” moralnego prawa do tego sukcesu. „Żeby podważać taki dorobek”, wzmożył się w Internecie dyrektor szczecińskiej opery Jacek Jakiel, „trzeba być człowiekiem nikczemnym i bez honoru”. A że ludzie nikczemni i bez honoru nie mają prawa „podłączać się” pod Nobla i twierdzić, że to także ich radość i sukces – to już chyba oczywiste.

Nobel dla polskiej pisarki trzeba więc uczynić wyłącznym sukcesem oświeconych, osiągnięty wbrew złym PiS-owcom. Tokarczuk to nasza „bogini” i „królowa” (takie epitety naprawdę pojawiały się w pełnych zachwyty komentarzach liberalnej lewicy) i nasz młot na wrogów. Skoro ona, noblistka, z nami – któż przeciwko nam?!

Dobrze pokazuje to sprawa oficjalnego konta @Tokarczuk_Olga, które niedawno założyła noblistka na Twitterze. Kilkadziesiąt kojarzonych z naj-

szerzej rozumianą prawicą dziennikarzy, polityków i osób publicznych (takich jak np. Sławomir Jastrzębowski, Rafał Otoka-Frąckiewicz czy Marek Jakubiak, Robert Gwiazdowski czy znany fotograf Andrzej Hrechorowicz) stwierdziło ze zdziwieniem, że choć nigdy wcześniej nie próbowali wchodzić z pisarką w interakcję i nie tylko niczym jej nie obrazili, ale często wypowiadali się o jej twórczości z uznaniem i bronili jej przed różnymi zarzutami, zostali przewencyjnie pozbawieni możliwości obserwowania tego konta. Gdy zrobił się wokół tego w Internecie szum – rzecz jest bowiem, wedle kryteriów „netykiety”, wyrazem bezprzykładnej agresji – w kolejnych dniach lista „zbanowanych” wydłużyła się o wiele kolejnych nazwisk. Akurat w tym

Uparto wmawianie prawicy rzekomej nienawiści do noblistki ma pozbawić „Polskę ciemną” moralnego prawa do tego sukcesu

samym czasie, gdy noblistka w tradycyjnym wykładzie w pięknych słowach ubolewała nad tym, że „odwracając się od siebie, tracimy się nawzajem z oczu”, i dawała wyraz zasmuceniu zjawiskiem zamykania się ludzi, szczególnie w internetowych mediach społecznościowych, w izolujących ich od siebie „bańkach”, na własnym społecznościowym koncercie pracownicy wycinała kolejnych „prawicowców” według jakiejś przygotowanej wcześniej listy proskrypcyjnej.

Oczywiście, jak podnoszą obrońcy noblistki – mało prawdopodobne, żeby to ona sama osobiście zajmowała się prowadzeniem swojego konta. Ale to przecież ona musiała je powierzyć takiej, a nie innej osobie, wiedząc, z kim ma do czynienia i jakie działania podejmowane są w jej imieniu w Internecie.

MORALNY OBOWIĄZEK NOBLISTKI?

Prezes Gersdorf swego czasu wyznaczał z rozbrajającą szczerością „Gazecie Wyborczej”, że w chwili kryzysu wokół reformy sądownictwa uzgodniła z prezydentem Dudą kompromis – ale potem pewne osoby (można by je zresztą wskazać po nazwiskach, ale to inny temat)

przekonały ją, że „musi”, bo jest ostatnią nadzieją, ostatnią zaporą przed postępami „totalitaryzmu”, więc postanowiła zawarte ustalenia uznać za niebyle. Wydaje się więcej niż pewne, że od chwili ogłoszenia, jaki spotkał ją splendor, Olga Tokarczuk również stała się obiektem co najmniej równie usilnej pracy salonowych autorytetów i przekonywania, że ma moralny obowiązek użyć swej sławy do walki z „totalitaryzmem”, że musi się zaangażować, rzucić na szalę – i przy każdej okazji mówić w oczy Polakom to, co od zawsze ma im do powiedzenia salon: że są wstrętnei, że powinni się wstydzić, milczeć, słuchać mądrzejszych od siebie i gorliwie się od swej polskości odcinać.

Wiele wskazuje, że praca nie idzie na próżno. Przed wyborami Tokarczuk zaapelowała, by głosować „za demokracją, przeciwko totalitaryzmowi” i nagrała filmik wzywający na manifestację w obronie starego układu w sądach. Podczas pobytu w Sztokholmie w jednym z wywiadów powiedziała zaś, że „od wielu osób” słyszała, iż ten jej apel wpłynął na wynik wyborów i na odebranie przez „demokrację” „totalitaryzmowi” wyższej izby parlamentu.

Udzielała też innych wypowiedzi – na przykład takiej, że wstyd jej za to, iż Polska odmawia przyjmowania imigrantów. A przecież według statystyk Eurostatu, oficjalnych, autoryzowanych przez Unię Europejską, to Polska właśnie jest tym z krajów członkowskich, który w ostatnich latach przyjmuje najwięcej imigrantów.

Wskazuje to na to, że Olga Tokarczuk sama zamyka się, względnie pozwala się zamknąć w „bańce”, w wirtualnym świecie, stworzonym przez liberalno-lewicowe media i salony. Świecie, w którym władze państwowe ją szykanują, czego przejawem było niepokazanie przez TVP wręczenia jej nagrody, w którym ściga ją nienawiść prawicy „przechodząca do kanonu polskiej podłości” i w którym ujawniając prawdę o polskim kolonializmie i antysemityzmie, ryzykuje życie.

Niewykluczone, że będzie się tam dobrze czuła. Jej twórczość na pewno jednak na tym nie zyska. Ona sama też. Paradoksalnie ci, którzy właśnie przerabiają ją skutecznie na wojenny totem „oboza demokratycznego” i „młot na ciemnogród” – też nic nie zyskają, tak jak nic im nie dało użycie kiedyś w podobny sposób Czesława Miłosza, Wisławy Szymborskiej czy wspomnianego już oscarowego reżysera Pawlikowskiego.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Człowiek z cienia

Tyle się dzieje, że szybko zapominamy o bohaterach wydarzeń. Nasz rodak z Londynu, ten, co to poskramiał terrorystę, jeszcze przed chwilą ekscytował wszystkich, a zaraz potem zniknął z naszych radarów.

Zapamiętamy go jako postać tajemniczą. W końcu nie do końca wiadomo, czym atakował zabójcę. Czy to faktycznie kiel narwala? A jeśli tak, to skąd go miał? Czy może był to zupełnie inny przyrząd? Ale właściwie co to mogło być? I skąd to wziął? Pewności już raczej nie zdobędziemy, tak jak nie będziemy wiedzieć, czy faktycznie był kucharzem, jak podawano najpierw, czy może wykonuje zupełnie inny zawód, np. archiwista.

Nie dowiemy się, bo sam bohater tych wydarzeń nie chce, żebyśmy się dowiedzieli. Wiemy tylko, że ma na imię Łukasz, i znamy jego nazwisko. Jednak choć na cel wzięta go armia dziennikarzy brytyjskich, wspieranych przez polskich, Łukasz pozostał w cieniu. Twardo odmówił wyjścia z niego. Zażądał poszanowania dla swojej prywatności. A bohaterowi się przecież nie odmawia.

Podwójnemu bohaterowi. Bo to, że ten facet nie dał się złapać na medialny lep, świadczy o nim, że musi być faktycznie wyjątkowy. Bo co zrobiłby człowiek zwykły? Taki jak, powiedzmy, ja. Najpierw z pewnym zażenowaniem udzieliłby jednego wywiadu. Potem drugiego. Trzeciego. Spodobałoby mu się to. Przyjechałby więc do Polski, gdzie wystąpiłby w talk-show (chyba są jeszcze jakieś?) i został

zaproszony na spotkanie z premierem. Do tego czasu byłby już na jedynkach kilku gazet, a jego opowieści o dramatycznych momentach w Londynie powoli by pęczniały i byłyby wzbogacane o kolejne, coraz bardziej niezwykle elementy.

Łukasz może chciałby i z tym skończyć, ale nagle by poczuł, że to mu sprawia przyjemność. Że ludzie poznają go na ulicy, uśmiechają się do niego i chcą sobie z nim zrobić zdjęcia. Ładne dziewczyny chcą zaś się z nim umawiać i iść do łóżka. A znani ludzie uznają go za swojego i zapraszają na imprezy dla znanych, ewentualnie bogatych. Poznałby mnóstwo osobistości, o których wcześniej tylko czytał. Co więcej, zauważyłby, że może na tej swojej popularności coś zarobić. Tu jakaś propozycja reklamy. Ówdzie płatny wykład albo rola „ciekawego człowieka” na wyjeździe integracyjnym korporacji. W końcu jakaś rolka w serialu.

Z czasem popularność zaczęłaby przygasać. Z wieczornych show trzeba byłoby się przenieść do telewizji śniadaniowych. Bulwarówki znudziłyby się bohaterstwem i zaczęłyby grzebać w prywatnym życiu Łukasza. Może ma jakąś tajemnicę? Może źle potraktował matkę? Dlaczego wyjechał do Londynu? Czy miał żonę? A dzieci? A z kim ostatnio wyszedł z premiery ekskluzywnej linii dżemów?

Tak by pewnie było. Jednak nie będzie, bo pan Łukasz uciął wszystko na samym początku, postanawiając dalej żyć swoim życiem. Kapitałny facet. Aż bym go chętnie poznał. ©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Odliczanie przed zagładą

Coraz częściej dochodzę do przekonania, że największymi przeciwnikami zwierząt są ich najgorliwsi obrońcy. I nie chodzi mi tu o oszalałych wegan, atakujących ostatnio sklepy mięsne – wyrywają się nieco przed szereg – ich właściwy czas dopiero nadejdzie. Myślę o uregulowaniach prawnych kładących kres paru tysiącom lat tresury cyrkowej.

Zastanawiam się, czy pięknoduchy występujące w obronie zwierzątek zdają sobie sprawę, że tresura zawodowego żołnierza bywa często bardziej drastyczna niż szkolenie tygrysa. Zresztą koniec z tresurą w cyrkach to przecież dopiero początek procesu, którego nie da się zatrzymać. Bo co z hippiką, wyścigami konnymi? Konie z całą pewnością tego nie lubią. Wkrótce potem na celownik trafią ogrody zoologiczne. Rzadko w którym zwierzęta mają „godziwe” warunki bytowania. A w dodatku zwiedzający zakładają ich prywatność! Niedługo potem zakaz handlu zwierzętami, co będzie pierwszym krokiem do wyginięcia. Naturalne stadka pozostawione samym sobie szybko zdegenerują się genetycznie. Zakaz handlu dodatkowo zuboży i tak biedne rezerwy, które mogłyby handlować przychówkiem...

Ile czasu zabierze miłośnikom ostateczna likwidacja fauny? Sto lat? Sto pięćdziesiąt? Likwidacja zwierząt spożywczych łada moment pojawi się w programach Zielonych. A domowe czworonogi? Ktoś kiedyś uzna, że trzymanie psów i kotów w sztucznym dla nich środowisku to ewidentne okrucieństwo. Oczywiście pewne gatunki zostaną – szczury, karaluchy, komary – a nawet się rozmnożą. W każdym razie ten proces już się zaczął i nie słychać, żeby ktoś się sprzeciwiał.

Osobiście nie jestem miłośnikiem korydzy czy ginitwy za lisem, nie noszę futer, nie poluję, nie łowię ryb – ale zdaję sobie sprawę, że ludzkość bez tych wszystkich ekscesów będzie zdecydowanie uboższa. ©



Anarchia ocala



Łukasz Warzecha

Jeśli jest w warcholstwie coś bardzo polskiego, to poddając się biurokratom, regulacjom oraz przepisom, może przestaniemy być sobą?

Leży przede mną „Samuel Zborowski” Jarosława Marka Rymkiewicza. Z okładki patrzy Judyta z odciętą głową Holofernesa, namalowana przez Łukasza Cranacha Starszego. „Samuela Zborowskiego” można czytać jako wielką pochwałę polskiego umiłowania wolności, tak głębokiego, że zahaczającego o anarchię, co sam Rymkiewicz powiada wprost. Ta historia wpisuje się w rozgrywający się dzisiaj w Polsce spór między coraz mniej licznymi zwolennikami wolności a tymi, którzy chcą nas wtłoczyć w sztywny gorset regulacji, bo „tak jest na Zachodzie”.

Co ma do tego Zborowski? Wbrew pozorom niemało. Samuel Zborowski zapisał się w historii przede wszystkim jako zabójca Andrzeja Wapowskiego, kasztelana przemyskiego. Jedyną winą Wapowskiego było to, że podczas uroczystości koronacyjnych Henryka Walezego w 1574 r. próbował rozdzielić walczących ze sobą na wawelskim dziedzińcu Samuela Zborowskiego i niejakiego Karwata, dworzanina Jana Tęczyńskiego, kasztelana wojnickiego. Rozjemcza misja Wapowskiego nie spodobała się Zborowskiemu tak bardzo, że zdzielił go czekaniem w czaszkę. Wapowski zmarł.

Ten moment – gdy przed królem leży zakrwawiony Wapowski – utrwalił Jan Matejko na obrazie przez długi czas uznawanym za zaginiony.

Józef Szujski w swojej „Historii polskiej” pisze: „[...] gdy jeden z braci, Samuel, dopuścił się zabójstwa na Andrzeju Wapowskim, kasztelanie przemyskim, w bezpośredniej bliskości majestatu królewskiego, ukarał go król wygnaniem, nie naruszając czci jego, co ogólnie poczytanem było za stronnictwą słabość”. Zgodnie z prawem Zborowski za zabój-

stwo pod boki króla powinien dostać karę śmierci. Nie tylko jednak Walezy jej nie orzekł, lecz także skazując szlachetkę na wygnanie, nie skazał go zarazem na utratę czci.

Zborowski miał opinię awanturnika i zgodnie z nią się zachowywał. W kolejnych latach złamał zakaz powrotu do kraju, a wspólnie z Habsburgami spiskował przeciw królowi (już nie Walezemu, który tymczasem zmył się do Francji, żeby objąć tam tron, ale Stefanowi Batoremu). Oddajmy znów głos jednemu z wybitnych krakowskich stańczyków, Józefowi Szujskiemu: „Niebawem [1583] wyszły na jaw tajemne Andrzeja i Krzysztofa Zborowskich knowania, związki ich z dworem cesarskim, a nawet zamach na życie królewskie. Brat ich, Samuel, banita od r. 1574, jakiś czas hetman Zaporozców, zauchwałem bawieniem w Polsce i wyzywaniem sprawiedliwości, dał [kanclerzowi] Zamojskiemu powód do użycia całego rygoru prawa: przychwycony przezeń w obrębie krakowskiego starostwa, dał gardło (26 maja 1584). To wykonanie sprawiedliwości poruszyło kraj, sejmiki zawrzały burzą skargi i poduszczeń Zborowskich, sejm warszawski 1585 r. miał rozstrzygnąć sprawę między potężną rodziną i królem”.

Szujski niby tylko opisuje sytuację, a przecież nie mamy wątpliwości, po czyjej stronie się opowiada. Podobnie Jasienica. Tymczasem Słowacki, tradycyjnie traktujący polską historię raczej swobodnie, zrobił z zabijaki Zborowskiego polskiego męża opatrznościowego w nie-



dokończonym dramacie „Samuel Zborowski” z 1845 r. Zamoyski (Kancelarz) nie jawi się tam jako postać pozytywna. Mówi:

Mości panowie – to jest bardzo sroga Suplika na mnie – kto mię tu oskarża?

Jakiś buntownik... któremu łeb zdjęto, A to was wszystkich, jak widzę, przeraża I czyni błędnych. – Więc zaduszone święto Będą tryumfem mieli wicherzyciele?

Zborowski jest traktowany lekceważąco, jako jakiś tam awanturnik i wicherzyciel, któremu się zdjęcie łba należało. Tymczasem Zborowski odpowiada:

I oto, widzisz, jest przed Bogiem sprawa, I oto widzisz... bo nie o mnie chodzi, Ale o tę myśl, co narody rodzi, A była we mnie twoim mieczem ściętą.

Wszystko to dzieje się w akcie piątym dramatu, gdy przed Bogiem toczy się proces między Zborowskim a Zamojskim.

I tu wracamy do Rymkiewicza, a przez Rymkiewicza – do naszego całkiem współczesnego problemu. W swojej książce, w rozdziale „Samuel Zborowski, akt V, wersy 531–546”, stwierdza Rymkiewicz:

„Ponieważ Słowacki (dokładnie jak ja) sprzyjał Zborowskiemu i jego projektowi skrajnie anarchicznej wolności, proces przed Tronem Bożym poprowadził w ten sposób, żeby dla widza lub czytelnika było całkowicie jasne, kto w sporze między Zborowskim a Zamojskim miał rację, a kto jej nie miał. Każąc ściąć Samuela, kanclerz, zdaniem Słowackiego, popełnił straszliwą, najstraszliwszą zbrodnię – ściął bowiem, za jednym zamachem, Polskę i Chrystusa”.

Czytelnicy, mam nadzieję, wybaczą mi to długie wprowadzenie. Jest ono jednak



potrzebne, żeby zastanowić się nad metapolityczną perspektywą tego, co ma nas jako Polaków dzisiaj modernizować, unowocześniać, europeizować.

FETYSZE MODERNIZACJI

Teraz nastąpi przeskok pozornie nadmiernie karkołomny – od dramatycznej historii konfliktu między rodem Zborowskich i kanclerzem Janem Zamoyskim (uznawanym np. przez Jasienicę za jednego z najwybitniejszych polskich polityków wszech czasów) do segregacji śmieci. Co ma wspólnego jedno z drugim? W polskim publicznym dyskursie pojawiają się co jakiś czas postulaty, których spełnienie zostaje uznane za warunek ucywilizowania polskiej rzeczywistości. Te tematy niemal zawsze wiążą się z jakimiś zakazami lub nakazami. Kiedyś taką rolę odgrywało sprzątanie po psach. Problem psich kup został wyniesiony do rangi probierza zacofania lub awansu cywilizacyjnego Polski. Ale od tego czasu – a było to przynajmniej 10 lat temu – wiele się zmieniło. Zakres naszej wolności znacznie się zmniejszył, a zachowania i regulacje, które mają świadczyć o tym, czy zostaliśmy już wystarczająco zmodernizowani, obejmują znacznie większy zakres niż tylko banalne zbieranie kup po psach. To kwestie takie jak choćby wymuszona ustawą segregacja śmieci na absurdalne pięć frakcji. To również nieustający nacisk na wprowadzanie kolejnych regulacji uderzających w kierowców, ale i wiele innych kwestii. Kolejne rządy miały tu swoje fetysze. Odnajdziemy je w wystąpieniach wszystkich premierów ostatnich kilkunastu lat. Drogi, boiska, wyrównanie szans, samochody elektryczne czy hojny socjal – wszystko to są fetysze modernizacji.

Jeśli spróbujemy objąć szerszy obraz, to zobaczymy, że gdzieś w tle mający nam spór Zborowskiego z Zamoyskim, może bardziej w wersji Słowackiego niż historycznej. To spór o to, czy musimy umieszczać Polskę na Zachodzie poprzez przesuwanie jej w kierunku Zamoyskiego – uporządkowania, norm, przepisów, antywolnościowego porządku – czy też, robiąc to, wyzbywamy się istoty polskości, która i tak jest w swojej istocie zachodnia – jak mógłby argumentować Rymkiewicz.

Otwórzmy Google Maps i spójrzmy na historyczne centrum Zamościa. W obrębie dawnych umocnień obronnych zobaczymy regularną siatkę ulic.

Miasto zostało zaprojektowane przez jego założyciela w uporządkowany sposób od podstaw. Ten porządek jest symboliczny, także dla sporu, o którym mowa. W tym sporze rządzący i ogromna część Polaków wydają się dzisiaj akceptować „paradygmat Zamoyskiego”: modernizacja może się dokonać tylko poprzez wzięcie rozanarchizowanych wciąż Polaków za pysk przez mądrą, myślącą za nich władzę. Tylko wtedy i tylko w ten sposób staniemy się państwem prawdziwie zachodnim. Fraza „tak jest na Zachodzie” przewija się nieustannie we wszystkich podobnych dyskusjach – od tej o zakazie handlu przez tę o segregacji śmieci, o kwestiach ruchu drogowego, o kaukcji za plastikowe butelki do zagadnień takich jak zakres kompetencji służb.

Czy jednak faktycznie jest to stawianie po stronie uporządkowanego państwa Zamoyskiego przeciw anarchii i warchołowi Zborowskiemu? Czy Zamoyski bez mrugnięcia okiem podpisywałby dzisiaj rozporządzenia regulujące absurdalną selekcję śmieci, bo tak jest „europejsko”? Wątpię. Zamoyski nie miał kompleksów, tak jak zresztą nie miała ich żadna część polskiej późnoreniesansowej elity. Czy pochwalałby przekonanie, że dobra organizacja państwa wymaga, żeby Polaków na każdym kroku ograniczać, porządkować na siłę, brać za twarz setkami absurdalnych przepisów – bo na tym ma polegać modernizacja i tylko tak staniemy się nowoczesni? Nie sądzę.

EUROPEJSKOŚĆ

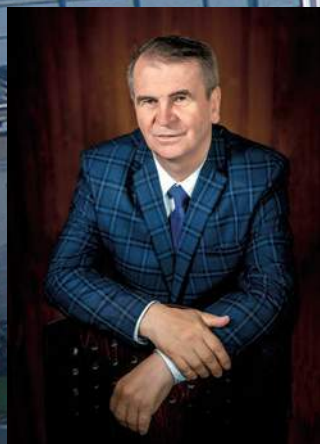
Świątną obronę przeciwko Rymkiewiczowemu atakowi na Zamoyskiego zawarł w swoim znakomitym tomie esejów „Północ i Południe” Marek A. Cichocki, w esaju „Rzecz o Czarnym Kanclerzu”. Czytamy: „Jarosław Marek Rymkiewicz opisał bardzo pięknie i sugestywnie historię egzekucji w swojej książce o Samuelu, ale co bardziej znaczące dał tam upust swej wyjątkowej niechęci do Zamoyskiego, przyłączając się tym samym do jego czarnej legendy. Rymkiewicz Zamoyskiego po prostu bardzo nie lubi, właśnie jako tego potwornego »opresora naszych wolności«. [...] Idąc więc dokładnie tropem Słowackiego, widzi Rymkiewicz w Zamoyskim nie tylko tyrana, lecz staje się on dla autora z Milanówka prefiguracją postawy tych wszystkich elit w Polsce, które będą w naszej historii wywyższać

się nad pozostałymi Polakami, nad ową bracią szlachecką”.

Cichocki przypomina, że Zamoyski był Europejczykiem całą gębą, sięgającym źródeł tożsamości naszego kontynentu, bijących nie na zachodzie, ale na południu, tam, gdzie dziedzictwo Rzymu. Że jako bardzo młody człowiek odwiedził Paryż, w Strasburgu uczył się w gimnazjum Jana Sturma, a następnie trafił na założony w 1222 r. szacowny uniwersytet padewski. Krótko mówiąc – jakkolwiek był modernizatorem na miarę swojego czasu, to jego działanie nie miało tak prymitywnego wymiaru jak nasze dzisiejsze „unowocześnianie” Polski, polegające na przenoszeniu jeden do jednego na tutejszy grunt rozmaitych rozwiązań „z Zachodu”, które zresztą niewiele mają wspólnego z zachodniością w sensie fundamentów naszej tożsamości. Przykładem modernizatora przypominającego tych dzisiejszych, polskich – z obu stron pozornej politycznej barykady – byłby raczej Piotr Wielki, który słynnym ukazem nakazał bojarom zgolić brody. Ten gest, wskazujący na kompleks wobec Europy, niezmieniający przecież nic na poziomie treści, odnoszący się tylko do formy, wygląda tak jak dzisiejsze nawoływania, żeby nakazywać i zakazywać kolejnych rzeczy, bo „tak jest na Zachodzie”.

A jak powinno być u nas? Teza, antyteza – synteza – choć Hegel to już całkiem inna bajka. Miotanie się pomiędzy archetypem Zborowskiego i Zamoyskiego wiele nam nie przyniesie. Obaj wyrosli z naszej tradycji i tożsamości, jakkolwiek by się od siebie różnili. Jeden pozostał symbolem państwowego porządku, który jest niezbędny, ale nie wyrasta przecież z poczucia niższości, nakazującego naśladować bezwzględnie innych, bez uwzględniania naszych zwyczajów, nawyków, potrzeb. Drugiego zapamiętano jako buntownika i warchołę, ale czy jednak nie ma jakiejś racji w intuicji Słowackiego i Rymkiewicza, że Zborowski w swoim warcholstwie przechowywał coś bardzo polskiego? Jeśli to utracimy, dobrowolnie i potulnie oddając się w niewolę piętrzonych w nieskończoność przez polityków i biurokratów regulacji oraz przepisów, to może przestaniemy być sobą?

Śpiewał Jacek Kaczmarski, trochę o sobie, a trochę o nas wszystkich: „*Warchoł! – krzycz. Nie zaprzeczam. Tylko własnym prawom ufam. Wolna wola jest człowiecza, pergaminów nie posłucha.*”



Rozmowa z prezesem zarządu Grupy
MLEKOVITA Dariuszem Sapińskim



MLEKOVITA stale umacnia

Jak wyglądała droga Mlekovity do pozycji lidera branży mleczarskiej w Polsce i największej grupy mleczarskiej w Europie Środkowo-Wschodniej?

DARIUSZ SAPIŃSKI: Historia Mlekovity liczy już ponad 90 lat. Zakład w Wysockim Mazowieckim powstał w 1928 r. i zajmował się wyłącznie produkcją serów i masła. W 1950 r. powołano Powiatowy Zakład Mleczarski, który zaczął wytwarzać kolejne produkty: śmietanę, twarogi i lody, a w 1957 r. utworzono Okręgową Spółdzielnię Mleczarską. Kluczowym punktem w rozwoju firmy były lata 90. To wtedy, w 1992 r., powstała nazwa MLEKOVITA i logo firmy. W 1994 r. uruchomiliśmy produkcję sera typu feta, a rok później pierwszą linię do produkcji mleka UHT w opakowaniach kartonowych. W 1997 r. do MLEKOVITY dołączyła spółka w Morągu.

Ponad 20 lat temu, w 1998 r., uzyskaliśmy certyfikat ISO 9001, dający podwaliny pod obecnie funkcjonujący Zintegrowany System Zarządzania, zgodnie z którym odbywają się wszystkie procesy produkcyjne w naszych zakładach. W tym samym roku powstał pierwszy oddział dystrybucyjny w Chrzanowie. W tym okresie możemy mówić o początku przekształcania się spółdzielni w najsilniejszą grupę mleczarską w Europie Środkowo-Wschodniej. W następnych latach realizowaliśmy kolejne ważne inwestycje, m.in. uruchomiliśmy linię do produkcji masła klarowanego, twarożków smakowych i serów konfekcjonowanych, utworzyliśmy pierwszą linię do produkcji serów w plastrach, później oddaliśmy do użytku fabrykę masła i miksów maślanych.

Z biegiem lat sukcesywnie uruchamia-

liśmy nowe linie produkcyjne, otwieraliśmy fabryki, m.in. przetwórstwa mleka i konfekcjonowania sera oraz przyłączyliśmy kolejne spółdzielnie mleczarskie do naszej grupy. W 2017 r. ukończyliśmy budowę największej inwestycji w historii firmy, czyli Fabryki Proszków Mlecznych w centrali Grupy MLEKOVITA w Wysockim Mazowieckim, która ma ogromne znaczenie dla rozwoju firmy na rynkach zagranicznych. W minionym i obecnym roku skupialiśmy się głównie na dalszym poszerzaniu portfolio naszych produktów, stawiając na rozwój nowych kategorii.

Mlekovita zdobyła zaufanie wielu zagranicznych konsumentów. W jaki sposób przekonuje ich do wyboru produktów ze swoim logo przy obecnym zalewie rynku wyrobami ogromnych międzynarodowych koncernów?

Jesteśmy obecnie największym eksporterem produktów spożywczych w Polsce. Nasze produkty podbijają serca i podniebienia światowych konsumentów już od 1989 r. To, że nasze produkty cieszą się popularnością na wszystkich kontynentach, jest zasługą utrzymywania najwyższej jakości oferowanych produktów, naszych wyjątkowych, sprawdzonych receptur oraz efektem umiejętności dostosowywania się do wymogów rynków zagranicznych i dbania o dobre relacje handlowe. Obecnie produkty mleczarskie Mlekovity trafiają do 159 krajów świata, w tym do 28 państw Unii Europejskiej i do 131 krajów spoza UE. Z eksportu pochodzi już ponad 40 proc. przychodów naszej firmy.

Mlekovita działa w bardzo kapitałochłonnej branży, gdzie automatyzacja i nowoczesne technologie odgrywają coraz większą rolę. Które z wdrożonych w swoich zakładach rozwiązań technologicznych uważa pan za przełomowe? Z którego z nich jest pan szczególnie dumny?

Wdrażanie zaawansowanych i innowacyjnych technologii jest niezwykle istotne dla rozwoju naszej branży, ponieważ dzięki temu rozwijamy jedną z najważniejszych współczesnych kompetencji: umiejętność dostosowania do zmieniających się oczekiwań konsumentów. Nieustannie poszukiwanie nowych składników, receptur i technologii pozwala tworzyć coraz doskonalsze produkty i wprowadzać asortyment odpowiadający na potrzeby konsumentów, a nawet je wyprzedzający. Systematyczne udoskonalanie procesów produkcyjnych w poszukiwaniu najlepszych mlecznych smaków, jak najpiękniej i najapetyczniej podanych, przy zachowaniu najwyższych standardów jakości służy satysfakcji naszych klientów. Dzięki wszystkim inwestycjom w rozwój i innowacje Mlekovita stale umacnia swoją pozycję rynkową jako lidera branży kreującego nowoczesny model biznesu mleczarskiego. Jednym z kluczowych kroków w tym kierunku była realizacja największej inwestycji w historii Mlekovity, czyli uruchomienie Fabryki Proszków Mlecznych. Dzięki niej mogliśmy znacząco rozszerzyć asortyment oferowany zarówno w kraju, jak i poza granicami Polski.

W ubiegłym roku na inwestycje, w tym na tę największą w historii firmy, budowę Fabryki Proszków Mlecznych w Wysockim Mazowieckim, Mlekovita wydała blisko 90 mln zł. Ministerstwo Gospodarki



pozycję lidera branży

zakwalifikowało nową fabrykę jako inwestycję o istotnym znaczeniu dla gospodarki polskiej na lata 2011–2020. O jakich konkretnych efektach rynkowych możemy tu mówić?

Mlekovita nieustannie ewoluuje i stale podnosząc poprzeczkę, stawia sobie najwyższe, ambitne cele. To nieuniknione, by utrzymać i wzmocnić już i tak silną pozycję marki – w dzisiejszym rozwijającym się w niesamowitym tempie świecie także technologie mleczarstwa muszą przystawać do coraz bardziej innowacyjnych i zaawansowanych realiów. Jednym z istotnych kroków poczynionych przez Mlekovitę w kierunku wzmocnienia pozycji lidera branży kreującego nowoczesny model biznesu mleczarskiego jest największa w historii firmy inwestycja: Fabryka Proszków Mlecznych. Objęła ona budowę całego zakładu produkcyjnego na 4,5-hektarowej działce znajdującej się ok. 200 m od istniejącego zakładu w Wysockim Mazowieckim. W fabryce zostało zatrudnionych ponad 100 osób, w ciągu doby zakład może przetwarzać 2 mln litrów mleka lub serwatki, a jego koszt wyniósł ok. 320 mln zł. Inspiracją do inwestycji w kategorię proszków mlecznych jest nie tylko to, że proszki mleczne są jedynym produktem mleczarskim obecnym na wszystkich światowych rynkach, lecz także przede wszystkim rosnące zapotrzebowanie na różnego rodzaju ich asortyment. Znaczący wzrost zdolności produkcyjnych dzięki uruchomieniu Fabryki Proszków Mlecznych sprawił, że łączna ilość sprzedanych proszków mlecznych w roku 2018 w porównaniu z wynikami sprzed dwóch lat wzrosła aż

o ponad 60 proc. i osiągnęła poziom 100 tys. ton.

Jakie są plany rozwoju Mlekovity? Czy firma planuje kolejne duże inwestycje?

Nasza długookresowa strategia rozwoju ukierunkowana jest na rynki międzynarodowe. Oczywiście niezbędny do tego jest rozwój na rynku polskim, czyli poszerzanie naszego portfolio o nowe produkty, odpowiadające coraz bardziej zróżnicowanym potrzebom konsumentów, oraz angażowanie się w innowacyjne projekty biznesowe, pozwalające oferować klientom produkty dotąd niespotykane na rynku polskim.

Jakie trendy rynkowe i wymagania konsumentów mają lub będą miały w najbliższej przyszłości największe znaczenie z punktu widzenia wyzwań dla podmiotów branży mleczarskiej? Jak w ich kontekście będzie wyglądała oferta produktowa Mlekovity?

Firmy z sektora mleczarskiego muszą się mierzyć ze zmieniającym się podejściem konsumentów do konsumpcji – tym, że klienci stają się coraz bardziej świadomi swoich żywieniowych wyborów, że poszukują produktów odpowiadających ich specyficznym potrzebom żywieniowym. Dla nas istotne będzie rozwijanie oferty produktów dla osób aktywnych z linii Super Body Active, oferowanie nowych produktów ekologicznych, wegańskich czy bez laktozy. Ciekawym kierunkiem rozwoju będzie także oferowanie produktów premium, takich jak np. nasza ekskluzywna linia serów długodojrzewających Diamenty Konesera.

Firma jest ważną siłą napędową dla 15 tys. polskich dostawców mleka wykorzystywanego w pro-

cesie produkcji wyrobów Mlekovity. Na jakie aspekty stawia przede wszystkim firma we współpracy z dostawcami?

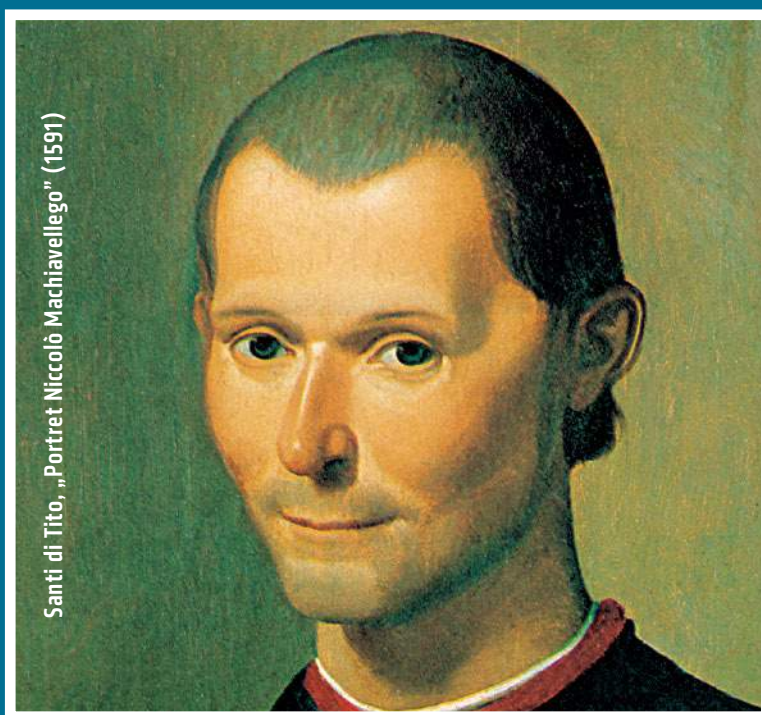
Dostawcy są siłą Mlekovity. To oni dostarczają nam mleko, czyli główny składnik wszystkich wytwarzanych przez nas produktów. Nasze wymagania w stosunku do polskich rolników są bardzo wysokie. Ich mleko musi cechować się konkretnymi parametrami dotyczącymi m.in. zawartości tłuszczu czy białka. Nie zostawiamy jednak dostawców samym sobie. Oferujemy im – zarówno tym aktualnym, jak i nowym – doradztwo ekspertów posiadających wieloletnie doświadczenie i znajomość branży produkcji mleka. Z myślą o dbałości o najwyższą jakość surowca wspieramy rolników w spełnianiu naszych oczekiwań, pomagając rozwiązywać wszelkie pojawiające się w tym kontekście problemy. Wspieramy ich, niejednokrotnie wspomagając modernizację i rozwój gospodarstw. Dzięki temu, że wymagając, jednocześnie pomagamy, nasze relacje z dostawcami są trwałe, oparte na partnerskich zasadach, wzajemnym szacunku i zaufaniu oraz lojalności. Bez zaangażowania obu stron: Mlekovity i dostawców w proces podnoszenia standardów, obopólny sukces, czyli dostarczanie konsumentom finalnych produktów najwyższej jakości, nie byłby możliwy.





Ten bezlitosny „Makiawel”

[550 LAT TEMU URODZIŁ SIĘ TWÓRCA
POLITOLOGII I PROPAGATOR BEZ-
WZGLĘDNEJ „RACJI STANU”]



Hans Magnus Enzensberger w jednym ze swoich wierszy (XX w.):
*„Mówiąc między nami, Niccolò, mamy wszelkie powody,
By cię podziwiać, ty zasuszony kołtunie,
Przeżarty swymi teoriami”.*



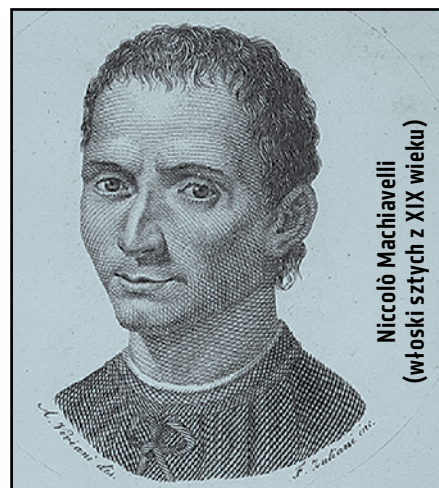
Waldemar Łysiak

Prawdę mówiąc — ten esej winien był ukazać się w maju, albowiem Niccolò di Bernardo dei Machiavelli urodził się 3 maja 1469 roku, jednakowoż Leonardo da Vinci zmarł 2 maja roku 1519, okragłe pół tysiąca lat temu, więc to jemu musiałem oddać moje comiesięczne prawo do jednego dużego tekstu (taką mam „dżentelmeńską umowę” z Lisickim). Wszakże jest faktem, że bieżącego roku mija 550 lat od urodzin innego geniusza Renesansu, wielkiego Florentyńczyka, zdążyłem tedy (lepiej późno niż wcale) złożyć mu (vide akapity poniższe) rocznicowy hołd.

Był politykiem, urzędnikiem, historykiem, prozaikiem, dramaturgiem, komentatorem polityczno-społecznym, i to ostatnie zapewniło mu miejsce (pomnikowe) w dziejach. Żył 58 lat (zmarł 22 czerwca 1527 roku). Przez 14 lat (1498–1512) pracował jako biurokrata, lecz nie tuzinkowy, tylko znaczący — jako sekretarz (czyli wiceminister) od polityki zagranicznej Republiki Florenckiej (formalnie pracownik rządzącej Kancelarii Dziesięciu, zwanej też Drugą Kancelarią), co zmuszało go do wielu podróży dyplomatycznych (Niemcy, Francja, Szwajcaria, państewka włoskie). Lata 1512–1513 przesiedział w ciężkim więzieniu (był nawet torturowany), gdyż ówczesna florencka karuzela walki o władzę między żywiołem republikańskim a rodziną Medyceuszów (Medici) wyniosła akurat do władzy Medyceusza. Machiavelli, jako republikanin, musiał się udać na wygnanie. Wrócił roku 1519 i balansując sprytnie pomiędzy sferą medycejską a sferą republikańską próbował odzyskać wpływy polityczne, bezskutecznie. Dzięki tym piruetom zyskał miano sprzedajnej kreatury, gotowej służyć każdemu silniejszemu. Życie uczyniło go bliznami, iż siła to czynnik przemijający, czasami szybko. Był naocznym świadkiem wstępu i upadku kilku dużych figur (Savonarola i in.); jego własny upadek nie stanowił dramatycznego wydarzenia, lecz Niccolò przeżywał odsunięcie go od władzy jako apokalipsę życiową (czyli cierpiał nie mniej boleśnie niż jego liczne kochanki kiedy z nimi zrywał).

By „zabić czas” chwycił w ostatniej dekadzie życia za pióro. Miał świetne wykształcenie humanistyczne, które zapewnił mu ojciec, prawnik Bernardo Machiavelli. A że ojciec był bibliofilem — syna od dzieciństwa otaczało mnóstwo woluminów. Czytał bardzo dużo. Do końca życia jego ulubioną lekturą będzie traktat Lukrecjusza „O naturze wszechrzeczy”, uważany za nieomal brewiarz przez wielu humanistów i monarchów. Gwoli miłości do tej książki Machiavelli przepisał ją całą własnoręcznie, stąd mógł z pamięci cytować duże fragmenty tekstu. Tekstu, który znalazł silne odbicie we własnych historiozoficznych i politologicznych pracach Florentyńczyka.

Drobne pisma publicystyczne Machiavellego (choćby tzw. „druki ulotne”) trudno byłoby zliczyć. Wzmiankuję niżej tylko główne dzieła. Napisał kilka komedii, z których zapewne pierwszą była „Andria” (1519?), ostatnią chyba „Clizia” (1525), a najgłośniejszą „Mandragola” (1521) czyli „Mandragora” (polskie wydanie dopiero 1924). Dużo większe znaczenie miały cztery jego historiozoficzne dzieła. Tu pierwszym był „Dialog o sztuce wojennej” („Dialogo dell'arte della guerra”, 1521), szybko przyćmiony renomą „Rozważań nad pierwszym dziesięcioksięgiem historii Rzymu Liwiusza” („I discorsi sopra la prima deca di Tito Livio”, 1531). Rok później ukazały się „Opowiadania florenckie” („Le istorie fiorentine”, 1532), lecz wszystko to zostało przyćmione potężniejszym z wieku na wiek rozgłosem „Księcia” („Il Principe”, 1532; polski przekład dopiero 1868):



Niccolò Machiavelli
(włoski sztych z XIX wieku)

„KSIĄŻĘ”

Anna Kłoskowska: „Dynamikę dziejów sprowadzał Machiavelli do wypadkowej dwóch czynników — losu («fortunà») i dzielności ludzkiej («virtù»)” (1965). To prawda, aczkolwiek lansując te dwa główne motory Niccolò „fortunę” widział po prostu jako szczęście (tzw. „fart”), zaś „virtù” u niego nie oznacza tylko dzielności, raczej siłę ducha, energię, moc. Jako historiozof szukał mechanizmów zjawisk, drażył naturę ludzką, jej cnoty i słabości, przyznając tym drugim sprawczy prymat, a za największy grzech uważał głupotę. Już „Rozważania...” pełne są tego typu refleksji i konstatacji, których rozwinięcie i brawurowa kulminacja nastąpi w „Księciu” — jednym z najważniejszych druków gatunku „homo sapiens”.

Czym jest „Książę”? Formalnie jest swoistą apologią utalentowanego i bez-





Cesare Borgia (portret pędzla Altobello Mellone'a, pierwsza ćwierć XVI wieku)

władzę lub utrzymać się przy władzy, musi być przebiegły jak lis, drapieżny jak lew, i nie bać się Boga. Wredność, kłamstwo, oszustwo, brak lojalności i brak skrupułów — wszystko to są metody, a nie grzechy. Człowiek musi być przekupny skoro umie liczyć, a także musi popełniać inne złe uczynki jeśli ma do tego sposobność (okazję). Podłe zwycięstwo jest dużo więcej warte od cnotliwej klęski. Prócz tych fundamentalnych reguł „**Książę**” zawiera też mnóstwo rad szczegółowych, exemplum: spiskować trzeba najwyżej we dwójkę (im większa liczba konspiratorów, tym większe prawdopodobieństwo zdrady), a gdy trzeba ubrudzić sobie ręce, to na całego, bez zakładania rękawiczek, żadnych rozwiązań połowicznych — te są najgorsze.

Amoralność Machiavellego, tłumaczona później przez jego apologetów patriotyzmem (rośl o zjednoczeniu Włoch), nie była u niego spowodowana jakąś psychobiologiczną atrofią ludzkich uczuć, tylko kultem skuteczności działania. Z etycznego punktu widzenia potępiał nikczemność, zbrodnie i okrucieństwo, jednak wychodząc z praktycznego/prakseologicznego punktu widzenia zalecał je

■ względnego renesansowego kondottiera, świetnego stratega, Cezara Borgii, księcia Valentinois (domniemanego syna papieża Aleksandra VI, szefa hiszpańsko-włoskiego klanu Borgiów), którego Machiavelli podziwiał, nie ukrywając, że to okrutnik, lecz tłumacząc, że okrutnik posługujący się przemocą racjonalnie. W istocie zaś „**Książę**” to fenomenalny traktat o pragmatycznej sztuce rządzenia/władania — pragmatycznej, bo „*przy oddzieleniu sfery polityki od sfery moralności*”. Philippe Simonnot: „*W «Księciu» Machiavelli sformułował ogólne reguły zachodniego sposobu rządzenia ludzkimi namiętnościami politycznymi*” (1985). Inaczej mówiąc: sformułował twarde zasady gry sił, perswadując, iż życie publiczne rządzi się własną moralnością, niekompatybilną z etyką Dekalogu. Vulgo: normy Dekalogu są nieprzekładalne na praktykę życia codziennego i gier politycznych, ten bowiem, kto chce zdobyć



Florencja w dobie Machiavellego
(na głównym placu egzekucja Savonaroli)



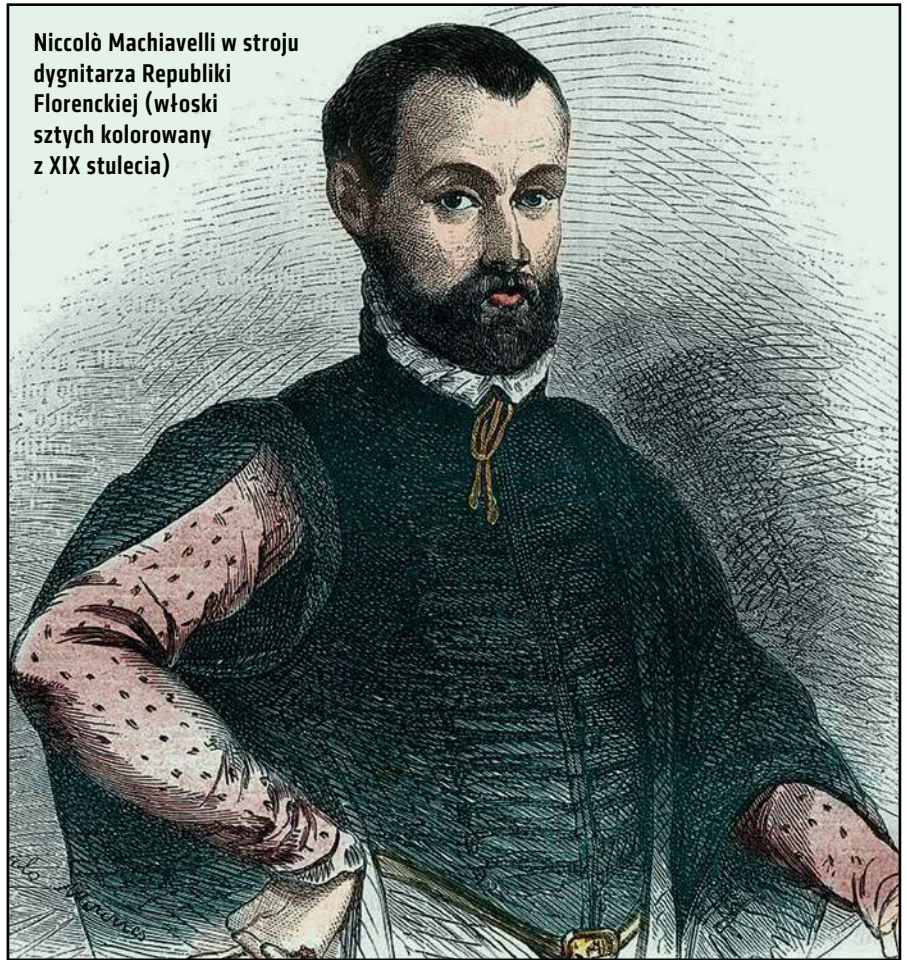
w działaniu politycznym jako najbardziej efektywne, najkrótszą drogą prowadzące do sukcesu. Przyznawał (rozdział XV „Księcia”), że cudowny świat, którym rządzą humanitaryzm, tolerancja, szczerść, honor, religijność, moralność i inne cnoty — byłyby do skutecznego, lecz tylko pod warunkiem, że wszyscy ludzie kierowaliby się dobrem, a tak nie jest i nigdy nie było (stąd zwano „Księcia” „nieocenionym, nadczasowym zwierciadłem, którym boski Niccolò ukazał prawdziwą duszę człowieka”).

Potępiając w czambuł wszystko co skutkuje polityczną nieefektywnością Machiavelli odnosił się głównie do budowy silnego państwa, które według niego władca („książę”) winien siłą stworzyć, później twardą ręką ugruntować (dbając, by rządzone społeczeństwo nie chciało lub nie mogło szkodzić władzy), wreszcie zaś oddać „ludowi” we władanie, zaprowadzając republikański (preferowany przez Machiavellego) ustrój. Wszelkie łamanie przezeń konwencjonalnej moralności podczas tego procesu usprawiedliwiał „necessità” (konieczność), czyli „ratio publicae utilitas” (słuszność pożytku publicznego). Czerpał tu Machiavelli ze znanych mu dobrze mądrości Antyku — już starożytni twórcy prawa rzymskiego pisali: „Necessitas legem non habet” (konieczność nie zna prawa). Czy czerpał też z innych źródeł, chociażby dalekowschodnich? Faktem jest, że miał prekursorów, m.in. chińskiego filozofa Han Fei-tsy (III wiek p.n.e.), który głosił: „Jeśli w sprawach państwowych stosować zasady moralne, to osłabia się wojsko i ziemia zarasta chwastami”. Tak tezy Chińczyka, jak i tezy Florentyńczyka, czynią bóstwem „rację stanu”:

„RACJA STANU”

Machiavellowska „ragione di stato” (racja stanu) uświęcała wedle niego wszelkie środki prowadzące do celu (stąd fraza popularna dzisiaj wśród pragmatyków, a według laików streszczająca całą zawartość „Księcia”). Pisał: „Kiedy na szali waży się losy kraju — nie można zezwolić, by prymat osiągnęły czcze rozważania o prawie i bezprawiu, gładzenia o humanitaryzmie i okrucieństwie, dywagacje o sławie, cnotcie i braku honoru, ważne jest bowiem wówczas tylko jedno: jak zapewnić suwerenność i przetrwanie państwa”. Po czym dodał puentującą vel konkluzyjnie: „Kto chce się dostać do raju, musi wpięrcz poznać drogę do piekła, aby umieć ją ominąć”. Jako znawca i wielbiciel Antyku (typowe dla wczesnorenesansowych

Niccolò Machiavelli w stroju dygnitarza Republiki Florenckiej (włoski sztych kolorowany z XIX stulecia)



myślicieli) wszelkie swoje tezy wspierał odwołując się do starożytnych (często mitologicznych) casusów, choćby twierdząc, że założyciel Rzymu, Romulus, miał słuszność mordując swego brata Remusa w imię racji stanu.

Przekaz „Księcia” jest wystarczająco jasny, by można go było kilkudzaniowo streszczać/lapidaryzować. Wiktor Osiatyński: „Regeneracja państwa zepsutego, zjednoczenie ojczyzny i założenie idealnej republiki zwalnia z wymogów moralności — pisał Machiavelli” (1973). Trzysta lat wcześniej (1687) Hiszpan Juan Alfonso Lancina tak ujął na kartach swych „Comentarios politicos...” Machiavellowską „ragione di stato”: „Racja stanu czyni godziwymi rzeczy, które przy innych okolicznościach byłyby potępienia godne. W niebezpieczeństwie byłoby szaleństwem działać według cnotliwych zasad. Pierwszym obowiązkiem państwa jest czuwać nad własną egzystencją i kiedy jest to konieczne sięgać po niewybredne środki dla osiągnięcia celu”. Do dzisiaj badacze przyznają — exemplum niemiecki historyk prawa Michael Stolleis — że „jako myśliciel jest Machiavelli twórcą racji stanu”, takiej

„racji stanu”, która „jest ważniejsza od moralności”, co oznacza, iż „dobrze pojęty interes państwa uświęca środki najbardziej brutalne” (2010).

Machiavellowską analizę cech człowieka (z tezą, że złe cechy u ludzi dominują), rozwiniętą przezeń w analizę cech ludzkiej zbiorowości, czyli społeczeństwa (tego obywatelskiego-republikańskiego, budującego państwo mniej lub bardziej demokratyczne, raczej hierarchiczne) — zwano już „antropologią filozoficzną”. Konstanty Grzybowski: „Machiavelli zapoczątkował analizę zbiorowych cech moralnych i psychologicznych poszczególnych warstw społecznych, zrelatywizował dawny mit o nieuchronnym degenerowaniu się i ponownym odradzaniu społeczeństw, w końcu wreszcie przekształcił antyczny mit o wychowawczej funkcji państwa, wiążąc go nie z nauczaniem abstrakcyjnej moralności, lecz z tworzeniem stosunków społecznych i politycznych, w ramach których człowiek będzie «istotą społeczną», a nie egoistycznym głupcem” (1969). Wybitny brytyjski politolog XX-wieczny, Isaiah Berlin: „Machiavellim bez reszty oświecała pragmatyczna — wyzbyta abstrakcji,



Niccolò Machiavelli
(sztych z XVIII wieku)

■ kazuistyki i kompromisów z obiegową moralnością, zawsze prowadzących do porażki — wizja społeczeństwa, w którym wszystkie talenty efektywnie współdziałają dla wspólnego celu, jakim jest potęga państwa” (1979).

Z powyższych opinii sęczy się podziw, ale „Księżę” od wieków budził tyle samo zgorzsenia co podziwu, brawa równoważyły się z chórem przekleństw. Potomni oskarżali autora o amoralizm i propagowanie systemów tyranicznych, lecz też cenili jako myśliciela politycznego (Monteskiusz, Rousseau, Romantycy, wszelacy XIX-wieczni spiskowcy i rewolucjoniści, choćby karbonariusze). Zderzały się argumenty i kontrargumenty, często kuriozalne — Valeriu Marcu: „O żadnej innej książce nie wypisywano tylu głupot co o tym genialnym dziele będącym szkołą władzy” (1925). Jednocześnie polityczny pragmatyzm też Florentyńczyka zmuszał

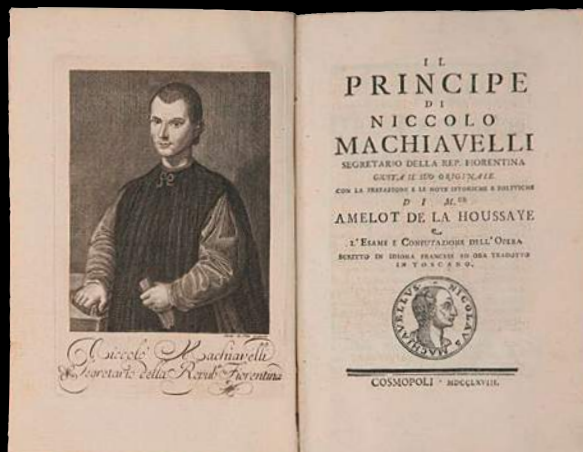
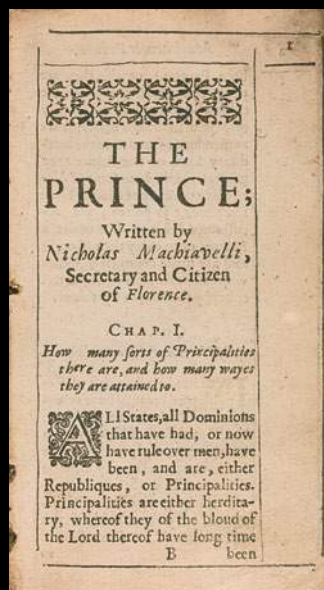
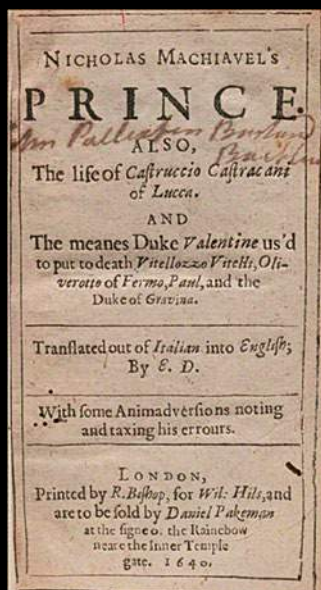
do propagowania jego traktatu jako lektury obowiązkowej, nawet sułtan turecki kazał przełożyć dzieło. Jean-Jacques Rousseau polecał „Księcia” jako katechizm republikańców, Lenin pisząc swą „Dziecięcą chorobę «lewicowości» w komunizmie” (1920) zalecał swym wyznawcom lekturę „Księcia” jako truciznę na głupotę, Benito Mussolini uważał tę książkę za „vademecum dla mężów stanu”, a Bertrand Russell za „podręcznik dla gangsterów”. Uważano, że Hitler, Stalin i Pol Pot musieli się w nim rozczzytywać.

KRYTYKOWANIE MACHIAVELLEGO

Wierchołkiem krytycznego stosunku wobec też Machiavellego było stworzenie popularnego i dziś określenia „makiawelizm”, które ma zdecydowanie pejoratywny wydźwięk, oznacza bowiem cynizm, przewrotność, realizację zamierzeń „po trupach” i sugestię, że ludzie dążących do władzy lub będących u władzy obowiązuja inne imperatywy moralne aniżeli resztę społeczeństwa. Oraz że „Księżę” to podręcznik działania bez skrupułów. We francuskim (renomowanym globalnie) „Słowniku Larousse'a” hasło „makiawelizm” („machiavelisme”) brzmi: „conduit deloyale et perfide” (postępowanie nielojalne i perfidne). Polskie leksykony „międzywojenne” tłumaczą ów termin jako „podstępność, obłudność, krętactwo, nie przebieganie

w środkach” („Słownik Ilustrowany Języka Polskiego” Wyd. M. Arcta 1929) lub jako „chytrość, przebiegłość, przewrotność, podstępność” („Słownik Wyrazów Obcych” Wyd. Trzaska, Evert i Michalski 1939), a powojenne jako „postawę nacechowaną wyrachowaniem, przewrotnością, brakiem skrupułów przy osiągnięciu celu” („Słownik Wyrazów Obcych” Wyd. PWN 1980; „Słownik Współczesnego Języka Polskiego” Wyd. Reader's Digest 1998).

Piętnowanie „Księcia” trwa już prawie pół tysiąca lat. A.D. 1559 potępił dzieło papież Paweł IV, trzy lata później Sobór Trydencki zatwierdził to, zaś A.D. 1564 książka trafiła do watykańskiego „Indeksu Dzieł Zakazanych” bezterminowo. Pod koniec tego samego stulecia (XVI) Machiavelli został zbesztany przez jezuitów jako „mistrz perfidii i zepsucia”, przez protestantów jako „duchowy nauczyciel jezuitów”, a przez Williama Szekspira jako „zbrodniarz” (w „Henryku IV” 1598). Sławni francuski edytor i drukarz XVI-wieczny, Henri Estienne, pisał, że był Niccolò „hańbą Florencji, bo otworzył szkołę dla tyranów, i to nie tylko współczesnych mu, ale i tych, którzy mieli dopiero nadejść” (1590). Liczne naonczas broszury hugenockie przypisywały Machiavellemu odpowiedzialność za





Przyszły król Prus Fryderyk II Wielki, sportretowany przez znakomitego francuskiego malarza Antoine'a Pesne'a w roku 1736 jako 24-letni następca tronu (właśnie w tym roku Fryderyk zaczął pisać „Anti-Machiavella”)

Wolter kpił na starość, iż pisząc paszkwil wymierzony przeciwko Machiavellemu Fryderyk II „napłuł w swój ulubiony tort”.

Jeśli już dotknęliśmy Prus — zostaniemy na germańskich terenach. Oświeceniowy niemiecki filozof Johann Gottlieb Fichte uważał tezy Machiavellego za „*antychrześcijańskie*” (podobnie twierdziło sporo uczonych XX wieku, np. Giuseppe Prezzolini i Hiram Haydn). XIX-wieczny niemieckojęzyczny kulturoznawca szwajcarski Jakob Burckhardt mianował Machiavellego „*zdolnym zbrodniarzem*” („*begabter Frevler*”). XX-wieczny niemiecki historyk Gerhard Ritter zwał rady Machiavellego „*straszliwymi*”. No i nie należy zapominać, że XIX-wieczny antyMachiavellowski

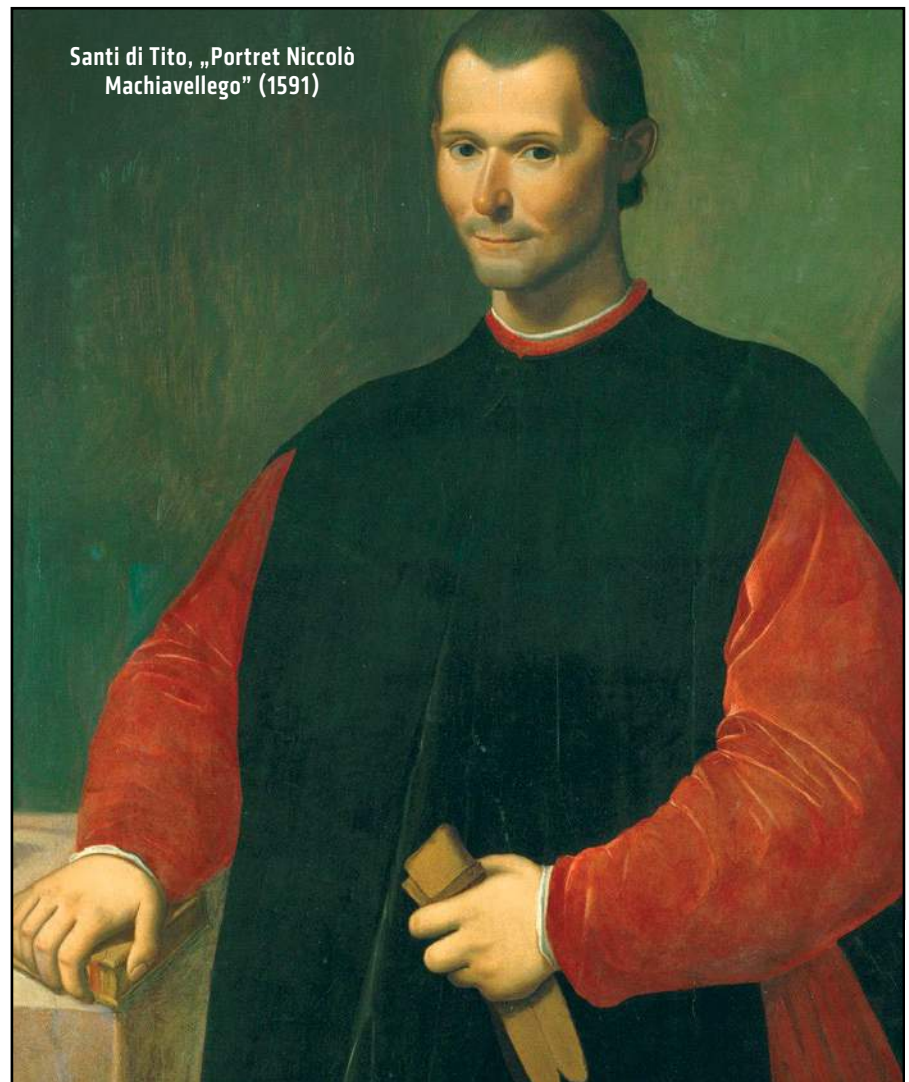
pamflet „*Dialog w piekle między Machiavelem a Monteskiuszem, czyli polityka Machiavellego*” (Bruksela 1864) stał się bazą do wyprodukowania przez carską Ochranę antysemitów „*Proto-kołów Mędrców Syjonu*” (1901), które zaowocowały milionami ofiar.

CHWALENIE MACHIAVELLEGO

Piętnowaniu towarzyszyło gloryfikowanie, zrazu nieliczne, mniej głośnie, lecz później z każdą dekadą śmielsze, aż wreszcie sięgające brązownictwa. Chwalono Machiavellego za zdarcie masek hipokryzji z twarzy wszystkich tych,

sławną sierpniową rzeź paryską 1572 roku, zwaną Nocą św. Bartłomieja.

Przez kolejne stulecia batożenie autora „*Księcia*” trwało w najlepsze. Mógłbym przytoczyć wiele tych smagnień, lecz starczy jedno podobne do wszelakich innych — Louis-Mayeul Chaudon (autor dykcjonarza biograficznego): „*«Il Principe» to najpaskudniejsze dzieło wydane kiedykolwiek. Jest to księga oszustów i złoczyńców, traktat nauczający zbrodni, obrzydliwe pismo, dające lekcje jak zabijać i truć*” (1782). Modne było twierdzenie, że „*ten włoski prowokator chce wodzić dobrych ludzi ku zgubie za podszeptem szatana*”. A wśród władców było modne wyklinanie „*Księcia*” — popisywał się tym nawet taki zwyrodnialec jak król Anglii Henryk VIII. Szczególnie się tu zasłużył król Prus Fryderyk II zwany Wielkim, który jako następca tronu machnął tekst pt. „*Obalenie «Księcia» Machiavellego*” (1736–1739). Zrobił to pod wpływem swego przyjaciela, Woltera, ganiącego „*amoralność i cynizm*” Florentyńczyka. Tekst był nieco koślawy, więc Wolter go literacko podrasował i wydano rzecz pt. „*Anti-Machiavelli*” w 1740 roku. Wkrótce Fryderyk sam objął tron i wówczas zaczął (z roku na rok intensywniej) stosować polecenia Machiavellego. Słowem: będąc młodym pluł nań jako na „*wroga ludzkości*”, a dojrzewając i starzejąc się oddawał mu hołd nie tylko czynem, lecz i werbalnie, przyznając po długich latach władania i wojowania: „*Bardzo mi przykro, ale jestem zmuszony uznać, że Machiavelli miał jednak rację*”. Z kolei



Santi di Tito, „Portret Niccolò Machiavellego” (1591)



■ którzy powołują się na konwencjonalną (dekalogową) moralność, co nie przeszkadza im grzeszyć ile wlezie. Wnikliwsi chwalili go za wytyczenie i uprecyzynienie złowrogich mechanizmów skutecznego rządzenia. Historiografia myśli społeczno-politycznej dopiero po stuleciach deifikowała Florentyńczyka jako wybitnego myśliciela, nauczyciela politycznego realizmu/pragmatyzmu, ideologa odrodzenia narodowego Włoch, światłego historyka i badacza natury człowieka oraz natury mas ludzkich, wreszcie odkrywcę, który wynalazł naukę o nazwie politologia. Oddaje się też dzisiaj Machiavellemu, iż dobrze przezeń umotywowana pogarda wobec ludzi miała, ma i zawsze będzie miała „*znaczenie strategiczne*” jako sygnalizator potencjalnych zagrożeń we wszelkich grach politycznych i społecznych.

Giulio Ferroni (na łamach „*Corriere della Sera*”, 1998): „*Chociaż twórca nowej polityki, oderwanej od moralności (co Benedetto Croce nazwał «autonomią polityki») piętnowano zrazu jako głosiciela działań cynicznych, bezwzględnie efektywnych i okrutnie racjonalnych, nastawionych wyłącznie na praktyczną funkcjonalność — to nie umniejsza fascynującej wartości jego przenikliwych tez rzucanych z literackim poławem i brawurową wyobraźnią, daleko wykraczających poza zwykły pragmatyzm i tuzinkowy realizm, mających wręcz analogię z medycyną dzięki diagnozowaniu tudzież leczeniu zbiorowych chorób (nękających państwa i społeczeństwa) wskazaniemi właściwych kuracji dla tych organizmów*”.

Pionierskie gromkie zachwyty Machiavellim wywodzą się z pierwszej połowy XVI wieku — europejski mocarz, cesarz Karol V, znał na pamięć całe rozdziały „*Księcia*”. Francis Bacon, głośny angielski filozof i mąż stanu (XVI/XVII w.), wysoce cenił Machiavellego za pisanie „*jacy ludzie są, a nie jakimi powinni być*”. Sławny holenderski myśliciel Baruch Spinoza (XVII w.) zwał Florentyńczyka „*najmądrzejszym, najbardziej doświadczonym i najprzenikliwszym z pisarzy*”. Nasz doskonały barokowy poeta, Wespazjan Kochowski (XVII w.), uważał za „*prostaka*” każdego, „*kto w szkole choć raz nie będzie u Machiavella*”. Francuscy giganci Oświecenia (XVIII w.) też zdejmowali czapki przed Włochem. Charles-Louis de Montesquieu (Monteskiusz), chociaż zwał Machiavellego łobuzem („*le fripon*”), to i „*wielkim człowiekiem*”, wzorem Florentyńczyka radząc opierać analizy życia politycznego „*nie na własnych przesądach,*

lecz na naturze rzeczy”, zaś Rousseau przyznał tytuł „*obrońcy wolności*” autorowi „*Księcia*”. Cesarz Napoleon stwierdził, że „*ze wszystkich dzieł politycznych jedynie te autorstwa Machiavellego warte są czytania*” (1818). Tak samo cenił Włocha Leopold Ranke (1824), znakomity historyk niemiecki. Adamowi Mickiewiczowi przypisuje się, że motto swojego „*Konrada Wallenroda*” (1828) — iż broniąc ojczyzny trzeba być lwem i lisem równocześnie — zaczerpnął od Machiavellego. Stendhal był pewien (1835), że „*Machiavelli dał nam poznać naturę człowieka*”. Friedrich Nietzsche, chluba filozofii niemieckiej, gwiazdor „*immoralizmu*” (druga połowa XIX stulecia), uwielbiał Machiavellego.

Wiek XX przyniósł Florentyńczykowi lawinę hołdów, od kultu, jakim darzył go

humanistycznego/scjencyznego dorobku ludzkiej rasy.

* * * * *

To, że Niccolò zyskał już trwałe miano politologa królewskiej rangi, nie zmienia faktu, że zdarzają się jeszcze obrazurcy (nawiedzeni ultramoralistami, strażnicy etyki purytańskiej, lub zwyczajni autoreklamiarze szukający rozgłosu bulwersowaniem sensacją), którzy próbują ściągnąć go z cokołu negowaniem jego dokonań, alias: przekonywaniem, że nie są one warte porzekadłowego „*funta kłaków*”. Przykładem może tu być profesor Jacques Heers, wykładowca historii średniowiecznej w jednej z filii Uniwersytetu Paryskiego, który opublikował (1985) rozprawkę kwestionującą nimb Machiavellego i wartość jego prac, perorując m.in.: „*Całe generacje politologów dały się nabrać na rzekomą wielkość tego Włocha, który w żadnym razie nie był geniuszem nauk politycznych i wynalazcą nowoczesnych metod rządzenia, to znaczy politykiem zdolnym udzielać rad klasie rządzącej niezależnie od czasu i ustroju. Był to podrzędny biurokrata, arywista i oportunist, który za życia i tuż po nim miał krótką chwilę sławy wyłącznie dzięki komedii «Mandragora», itp., itd. O „Księciu” Heers wyraził się z pogardą, zwał go „wypracowaniem na zamówienie”, „utworem okolicznościowym” i „owocem serwilizmu*”. Cóż, można te sorbońskie brednie skomentować tylko starym powiedzonkiem: „*Głupich nie sieją, sami się rodzą*”. ©©



założyciel Komunistycznej Partii Włoch, Antonio Gramsci (uznał on proletariat vel „*klasę robotniczą*” za „*Il Principe nuovo*”, czyli za „*nowego Księcia*”), i pod tym hasłem propagował swą doktrynę kulturowego neomarksizmu), przez amerykańskiego filozofa Michaela Walzera („*Machiavelli miał słuszną rację, że politycy są albo nieudolni, albo niemoralni*”), do berlińskiego politologa Herfrieda Münklera, który tak pisze w swej monografii poświęconej Machiavellemu: „*Jako że ludzie, chcemy tego czy nie chcemy, są niewdzięczni, zmienni, chciwi, kłamliwi, często nikczemni, a już w polityce zwłaszcza — trudno winić Machiavellego, że przyjął, iż ludzka podłość jest wartością stałą, oraz że wykazywał pesymizm antropologiczny uznając, iż jednostka kierująca się dobrem musi ulec ludzkom złym*” (1982). Archaiczne odium kontrMachiavellowskie zostało zatem definitywnie zdjęte — wpuszczono go trwale na salony



Pomnik przy florenckiej ulicy Uffizi

SOLIDARNOŚĆ

NIGDY JEDEN PRZECIW DRUGIEMU



Demonstranci na wrocławskim Rynku, maj 1983 r.

FOT. ANDRZEJ MIGNIEWICZ; ZE ZBIORÓW OŚRODKA „PAMIĘĆ I PRZYSZŁOŚĆ”

PARTNER DODATKU:



centrum
historii
zajezdnia

eprasa.pl aab8b401f7



Strajk w zajezdni autobusowej,
sierpień 1980 r.

FOT. ZE ZBIORÓW OŚRODKA „PAMIĘĆ I PRZYSZŁOŚĆ”

Zaczęło się w zajezdni



Agnieszka Niewińska

Wrocławską Solidarność narodziła się w autobusowej zajezdni nr 7 przy ulicy Grabiszynskiej. To miejsce znaczy dla wrocławian tyle, ile Stocznia Gdańska dla gdańszczan

Zwykle gwarno robiło się już przed godziną piątą rano. Specjalne autobusy zwoziły kierowców wrocławskiego MPK do zajezdni, by ci ruszali na trasy, gdzie na przystankach czekali wrocławianie spieszący się do pracy czy szkoły. Jednak 26 sierpnia w zajezdni nr 7 przy ul. Grabiszynskiej nie słychać było warkotu silników miejskich autobusów zaparkowanych równo jeden obok drugiego. Tego dnia kierowca Tomasz Surowiec do zajezdni przyjechał z bibułą ze strajkującego Gdańska z wypisanymi 21 gdańskimi postulatami.

Choć Stocznia Gdańska strajkowała już blisko dwa tygodnie, w oficjalnych mediach próżno było szukać informacji o przebiegu strajku, jego rozmiarze, kolejnych przyłączających się do niego zakładach, postulatach strajkujących. W radiu czy telewizji można było usłyszeć co

najwyżej o „przerwach w pracy”. Prawdziwe informacje podawali sobie działacze opozycji, szukało się ich w Radiu Wolna Europa. Kierowca MPK Tomasz Surowiec, który zapoznał się z sytuacją w Gdańsku, postanowił podzielić się tymi informacjami z kolegami z zajezdni na Grabiszynskiej. Wśród kierowców zawrzało.

SOLIDARNI Z GDAŃSKIEM

– Trudno mi teraz powiedzieć, kto rzucił hasło: „Strajk!”. Być może ja, być może ktoś inny. Tam było kilkudziesięciu kierowców. W każdym razie podjęliśmy decyzję o strajku solidarnościowym z Wybrzeżem – wspominał po latach w rozmowie zarejestrowanej przez Ośrodek „Pamięć i Przyszłość” zmarły w 2016 r. Tomasz Surowiec.

Kierowcy zastawili bramę wjazdową do zajezdni autobusami i wysłali delegatów do pozostałych zajezdni. Do południa we Wrocławiu stanęły autobusy i tramwaje, i to pomimo że wielu kierowcom za plecami stawiano milicjantów albo funkcjonariuszy SB. Tłoczący się na przystankach mieszkańcy wiedzieli, że nie bez powodu nic nie jeździ.

Do zajezdni ciągnęli więc ludzie, którzy chcieli zasięgnąć informacji. Strajkujący z kolei zabierali się do redagowania komunikatów, prasy, które były dystrybuowane wśród mieszkańców.

Do strajku przyłączały się kolejne zakłady – z Wrocławia, a następnie z całego Dolnego Śląska. PKS, Hutmen, Stocznia Remontowa i Wrocławska Stocznia Rzeczna, FAT... Szybko powołano Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. Jego centralą była zajezdnia nr 7.

Władzy nie na rękę było kolejne ognisko strajków. Surowiec wspominał, że partyjni dygnitarze, którzy do nich przyjechali, byli gotowi obiecać strajkującym wszystko – podwyżki, lepsze zaopatrzenie, nawet mięso i kurczaki – żeby tylko przerwali strajk. Strajkujący poparli 21 gdańskich postulatów i żądali łączności ze Stocznia Gdańska.

Tymczasem pod siatkowym płótnem zajezdni na Grabiszynskiej gęstniał tłum. Zajezdnia nr 7 stała się dla Wrocławia tym, czym Stocznia Gdańska dla Gdańska. Mieszkańcy dostarczali strajkującym żywność, materace, śpiwory. Bramę zajezdni dekorowali kwiatami. Na placu między zaparkowanymi autobusami wystąpili artyści z wrocławskiej Opery. Uczestnicy tamtego strajku wspominają ogromną solidarność wrocławian.

29 sierpnia w zajezdni legendarny wrocławski duszpasterz ks. Stanisław Orzechowski, zwany Orzechem, odprawił mszę świętą. Po latach w książce „Wrocław walczy o wolność” ks. Orzechowski tak wspominał tamte wydarzenia: „Ksiądz



Msza św. na terenie zajezdni autobusowej nr 7 przy ul. Grabiszyńskiej podczas strajku solidarnościowego z robotnikami z Wybrzeża, 1980 r. FOT. ZE ZBIORÓW OŚRODKA „PAMIĘĆ I PRZYSZŁOŚĆ”

Tadeusz Rybak (przyszły biskup legnicki) mówił, żeby nic od siebie nie mówić, tylko przeczytać list pasterski. Był chyba o spowiedzi, na pewno miał wyłącznie religijny charakter. Ale ja czułem, że ludzie czego innego oczekują. Jak zobaczyłem jezuitów z alei Pracy, którzy w autobusach spowiadali ludzi, ten tłum za płotem zajezdni, chyba z 20 tys. ludzi, to aż w gardle mnie ścisnęło. Chciałem, żeby ci za płotem i ci w zajezdni byli razem. Żeby strajkujący wiedzieli, jak ogromne mają poparcie. Powiedziałem: »Nie zginiecie. Będziemy o was pamiętać. Jeśli ktoś ma jakiś grosz, niech przerzuci go przez płot«.

Na zajezdni spadł deszcz pieniędzy. Zebrane do puszek były początkiem majątku dolnośląskiej Solidarności.

Na Dolnym Śląsku zastrajkowało w sumie blisko 180 zakładów. Mimo zapewnień władz, że Szczecin porozumienia już podpisał, a Gdańsk zaraz to zrobi, na Grabiszyńskiej nie podjęto decyzji o zakończeniu strajku tak długo, jak długo strajkujący nie mieli informacji z pierwszej ręki. Do Gdańska wysłali własną delegację. Strajk zakończyli, gdy wróciła ona z egzemplarzem porozumień gdańskich poświadczonych własnoręcznym podpisem Anny Walentynowicz. 1 września 1980 r. autobusy i tramwaje wyjechały na ulice Wrocławia, a uczestnicy strajku zabrali się do tworzenia wolnych związków zawodowych.

WROCŁAWSKA PODRÓŻ W CZASIE

Zajezdnia na Grabiszyńskiej służyła wrocławskiemu MPK do 2015 r. Budynek przeszedł gruntowny remont i zamienił się w nowoczesną przestrzeń edukacyjno-wystawienniczą. We wrześniu 2016 r. otwarte zostało Centrum Historii Zajezdni poświęcone powojennej historii Wrocławia. Prowadzi je Ośrodek „Pamięć i Przyszłość”. – Wcześniej na mapie Wrocławia nie było takiego miejsca. Pokazujemy, jak przebiegał proces przybywania



Msza św. na terenie zajezdni autobusowej nr 7 przy ul. Grabiszyńskiej podczas strajku solidarnościowego z robotnikami z Wybrzeża, 1980 r. FOT. ZE ZBIORÓW OŚRODKA „PAMIĘĆ I PRZYSZŁOŚĆ”

do Wrocławia ludności polskiej po drugiej wojnie światowej, jak to miasto się tworzyło, a potem jak w roku 1980 na nowo odzyskiwało swoją tożsamość. Jeśli ktoś chce poznać i zrozumieć Wrocław, jego zwiedzanie powinien zacząć właśnie od Zajezdni – mówi Jan Garnecki z Centrum Historii Zajezdni.

Wystawa główna jest podzielona na osiem rozdziałów. Dzięki zbudowanej scenografii zwiedzający mogą przenieść się w czasie, zobaczyć, jak dawniej wyglądały ulice Wrocławia. – Centrum to miejsce zarówno dla mieszkańców Wrocławia, turystów z Polski, jak i gości zagranicznych. Zapraszamy odwiedzających, aby przenieśli się w czasie i przeżyli przygodę. Wystawa jest zorganizowana jak miasto – z ulicami, dworcem kolejowym, sklepem mięsnym, czytelnia, kioskiem i labiryntem. Można zejść też do podziemia, gdzie opowiadamy o opozycji antykomunistycznej. Nasz odbiorca może się poczuć jak ktoś, kto przyjeżdża do Wrocławia zaraz po wojnie, i w godzinę przeżyć 70 lat. Ekspozycja jest przygotowana tak, że zainteresuje zarówno młod-

szych, jak i starszych zwiedzających. Młodzież chętnie sięga po multimedia, dzięki rozbudowanej scenografii może niemal dotknąć Wrocławia, jakim był przed laty. Starsi goście, przemierzając wystawę, powracają pamięcią do dawnych lat swojego życia, wiele pamiątek, które przekazali nam wrocławianie, oddziałuje na ich wspomnienia – zwraca uwagę Jan Garnecki.

Centrum Historii Zajezdni gromadzi także w formie audiowizualnej opowieści wrocławian, którzy przybyli do miasta po wojnie, organizuje konferencje naukowe, spotkania ze świadkami historii, projekcje filmowe. Młodzi ludzie mogą skorzystać z zajęć edukacyjnych. – Nasza oferta edukacyjna jest bardzo bogata. Proponujemy młodzieży różne ścieżki. Mogą poznawać Wrocław, podążając drogą choćby działających na Dolnym Śląsku żołnierzy Armii Krajowej, opozycjonistów, artystów – wlicza Jan Garnecki.

Centrum Historii Zajezdni od dnia otwarcia odwiedziło już pół miliona zwiedzających.



AGNIESZKA NIEWIŃSKA: W roku 2020 będziemy obchodzić 40. rocznicę strajków sierpniowych. Centrum Historii Zajezdni przypomni o strajku w zajezdni na Grabiszyńskiej.

DR MAREK MUTOR: 26 sierpnia 1980 r. kierowcy z zajezdni na Grabiszyńskiej za namową Tomasza Surowca zablokowali wyjazd z zajezdni i rozpoczęli strajk solidarnościowy z robotnikami z Gdańska. Strajk szybko się rozprzestrzenił na całe miasto i w porównaniu z innymi sierpniowymi strajkami był bardzo specyficzny. Wrocławianie nie sformułowali własnych postulatów strajkowych, jak to zrobiły Szczecin czy Jastrzębie. Zdecydowali, że poprą robotników z Gdańska, i wysunęli te same postulaty. Pokazali tym, że wszyscy strajkują w jednej sprawie i władza nie może rozgrywać każdego strajku osobno. To był bardzo ważny moment w historii Solidarności. Za przykładem Wrocławia poszły inne ośrodki.

Chcemy, aby obchody, które zaplanowaliśmy na przyszły rok, stały się okazją do tego, by Polacy byli razem – tak jak 40 lat temu. Zapraszamy nie tylko wrocławian, lecz także całą Polskę do zgromadzenia się wokół Zajezdni przy Grabiszyńskiej. To okazja do pokazania współczesnego wymiaru solidarności; takiego, jaki wskazywał Jan Paweł II, mówiąc, że solidarność to jeden i drugi, nigdy jeden przeciw drugiemu.

Jakie działania i wydarzenia znajdą się w kalendarzu obchodów?

Już teraz rozpoczęliśmy projekt badawczy, który ma na celu stworzenie listy wszystkich osób strajkujących w sierpniu 1980 r. w zajezdni. To będzie bardzo trudne zadanie, ale bardzo zależy nam na tym, żeby wszystkie te osoby uhonorować. Siłą tego strajku wynikała z tego, że ludzie, którzy często nigdy wcześniej i nigdy potem nie byli zaan-

Chcemy być razem jak 40 lat temu



Z dr. Markiem Mutozem, dyrektorem Centrum Historii Zajezdni we Wrocławiu rozmawia Agnieszka Niewińska



FOT. M. BUDROŃSKI

gażowani, wtedy postanowili być razem, strajkować w imię swojej godności i wolności. Bardzo chcielibyśmy do nich wszystkich dotrzeć.

W czerwcu w Centrum Historii Zajezdni zorganizujemy kongres, na który zaproszeni zostaną intelektualiści, historycy. Będzie to okazja do dyskusji na temat fenomenu Solidarności. W sierpniu zapraszamy na wystawę „Zajezdnia strajkuje”. To multimedialny spektakl, który pozwoli przenieść się w czasie do tamtych sierpniowych dni 1980 r. w zajezdni. Zwiedzający będą mogli poczuć tamten klimat, poznać wiele historii związanych ze strajkiem. W planach mamy także wielki koncert rockowy, który będzie okazją do radosnego świętowania.

Podczas oficjalnych uroczystości chcielibyśmy uhonorować wszystkich tych, którzy strajkowali 40 lat temu.

Przygotowywane przez nas wydarzenia będą ciekawym doświadczeniem kulturalnym.

Ten, kto zna Centrum Historii Zajezdni, wie, że realizujemy wiele projektów o wysokiej wartości artystycznej.

Czy w Zajezdni na Grabiszyńskiej będzie szansa na to, żeby spotkać się z uczestnikami tamtych wydarzeń?

Podczas uroczystości sierpniowych będzie okazja do takich spotkań. Zaprosimy do Zajezdni nie tylko tych uczestników strajku, którzy w dalszym ciągu mieszkają we Wrocławiu, lecz także osoby spoza Wrocławia i spoza Polski.

Dla starszych wrocławian te obchody będą okazją do wspomnień. A czy młodzież wie, jakie znaczenie miały wydarzenia z 1980 r.?

Bardzo chcemy, żeby ta rocznica była momentem, w którym opowiemy najmłodszym mieszkańcom o historii. Wystawa „Zajezdnia strajkuje” zostanie otwarta w sierpniu i będzie dostępna w Centrum Historii Zajezdni przez kilka kolejnych miesięcy. Wokół niej

powstanie program edukacyjny z lekcjami dla szkół. To bardzo dobra okazja nie tylko do tego, żeby przypomnieć tamte czasy, lecz także żeby skłonić młodych ludzi do refleksji na temat tego, co znaczy słowo „solidarność”. Dzisiaj bardzo nam potrzeba solidarności w stosunkach między ludźmi zarówno we Wrocławiu, w Polsce, jak i w Europie. Od tych bohaterów sprzed 40 lat chcielibyśmy nauczyć się tego, co to znaczy być razem wokół jakiejś ważnej sprawy.

Budynek na zajezdni przy Grabiszyńskiej bardzo się zmienił od 1980 r. To prawda, że został tylko jeden autobus?

Rzeczywiście, mamy w swoich zbiorach jeden autobus – starego Jelcza nazywanego ogórkciem. Właśnie takie autobusy jeździły po Wrocławiu w latach 70. i 80., tworząc pejzaż miasta. Takim autobusem rozpoczęto strajk w zajezdni, blokując nim bramę wjazdową. Autobus, który jest symbolem Centrum Historii Zajezdni, jest w tej chwili w remoncie. We współpracy z Politechniką Wrocławską, zakładami Jelcz, Miejskim Przedsiębiorstwem Komunikacyjnym i Solidarnością staramy się poddać go renowacji, tak by mógł wozić ludzi na trasach turystycznych. Będziemy się starać, by w sierpniu był już gotowy.

Czy na wrocławskie obchody już trzeba rezerwować bilety?

Wcześniejsze zapisy będą dotyczyły czerwcowego kongresu, ale więcej szczegółów podamy w marcu. Na pozostałe punkty programu zapraszamy wszystkich. Dla każdego znajdzie się miejsce. To będzie wspaniała przygoda i dobry sposób na spędzenie wolnego czasu, a przy okazji spotkanie z Wrocławiem. Historia naszego miasta jest niesamowita i chcemy się nią podzielić.



AGNIESZKA NIEWIŃSKA: Jak to się stało, że pan – historyk, pracownik Ossolineum – znalazł się we wrocławskiej zajezdni MPK, kiedy 26 sierpnia 1980 r. wybuchł tam strajk?

KRZYSZTOF TURKOWSKI:

Zaprowadziła mnie tam działalność w opozycji przed-sierpniowej, w KOR, w SKS. Zatrzymywany przez bezpiekę byłem od 1975 r. Opozycja przedsierpniowa nie była liczna, ale marzyliśmy o tym, by przełamać problem z lat 1968, 1970. Najpierw protestujący studenci zostali sami, potem osamotnieni byli protestujący robotnicy. Nadszedł 1976 r. – strajki w Ursusie, Płocku i Radomiu. Zawiązał się KOR, który miał na celu pomoc represjonowanym robotnikom. W tamtym czasie we Wrocławiu nie byliśmy jeszcze zorganizowani. Dopiero zaczynał się nasz długi marsz do Sierpnia '80. Kiedy w zajezdni wybuchł strajk, byliśmy już razem.

Wiedział pan, że akurat 26 sierpnia 1980 r. w zajezdni przy Grabiszyńskiej zacznie się strajk?

Nic podobnego. Kiedy w 1980 r. przyszedł lipiec, zaczęły się strajki kolejarskie w Lublinie. Kolejarze byli trochę osamotnieni. Jednak potem stanęły Gdańsk i Szczecin...

Mijały kolejne dni, a Wrocław się do strajku nie dołączał. To prawda, że pociągi z Gdańska do Wrocławia miały wymalowane odezwy do wrocławian – „Ukraińcy, ruszcie się”?

Kredą na pociągach przyjeżdżających z Gdańska wypisywane były nawet bardziej dosadne słowa. We Wrocławiu czuliśmy, że coś się szykuje, bo kiedy coś się w kraju działo, bezpieka zamykała opozycjonistów. Na krótko przed strajkiem z moim przyjacielem Aleksandrem Gleichgewichtem byliśmy umówieni z kierowcami z MPK. Ja się na to spotkanie spóźniłem, Olka zwinęła bezpieka. Moja żona powiedziała, że w takiej sytuacji my też się musimy zwi-

Do strajku poszła cała moja rodzina

Z Krzysztofem Turkowskim, historykiem, działaczem opozycji demokratycznej i uczestnikiem strajku w zajezdni przy ul. Grabiszyńskiej

rozmawia Agnieszka Niewińska



jać. Przenieśliśmy się do domu zaprzyjaźnionego profesora. Kiedy zaczął się strajk, ruszyłem do zajezdni. Kierowcy MPK stanęli, paraliżując komunikację w mieście, ale to my mieliśmy farbę drukarską, ramki, papier. Trzeba było zacząć drukować, powiadomić ludzi o strajku. To były inne czasy. Nie było wolnych mediów, co najwyżej można się było czegoś dowiedzieć z Wolnej Europy.

W zajezdni zaroilo się od drukarzy i autorów podziemnej prasy?

Na strajk przybyli wszyscy drukarze podziemia. Uczyliśmy robotników drukowania. To były bardzo prymitywne metody druku, z użyciem ramek. Kornel Morawiecki, który znał się na technice drukarskiej, na początku strajku stwierdził, że będzie drukował na zewnątrz, bo jakby nas spacyfikowali, to on mógłby dalej drukować. Wielokrotnie wracał jednak do zajezdni.

Do strajku poszła cała moja rodzina. Teść swoim samochodem dostarczył nam farbę i papier. Do pomocy zgłaszało się wielu ludzi. Zdarzyło się właśnie to, o czym wcześniej najwyżej marzyliśmy. Młodzi robotnicy szybko zintegrowali się z młodymi dysydentami. Nawiazaliśmy natychmiastową więź. Wielu z nas, młodych, spotkało się na strajku. Tam poznałem zarówno Władysława Frasińskiego, jak i Jarosława Kaczyńskiego, który przyjechał do nas z Warszawy, został wysłany przez KOR.

Mnie w zajezdni – jak napisali ubecy – bardzo mocno zaakceptowano jako swojego. Dopuszczono mnie do ścisłego kierownictwa strajku. Rzuciliśmy hasło, by nie zgłaszać własnych postulatów, ale poprzeć te, które wystosował Gdańsk, bo one były polityczne. Przemawiałem do strajkujących rano i wieczorem. Nikt nie wiedział, co to są

wolne związki zawodowe, jak to by miało wyglądać.

Na archiwalnych zdjęciach z niedzielnej mszy w zajezdni widać nieprzebrane tłumy.

To był wyjątkowy moment. W rozmowie z Mackiem Ziębą, dziś dominikaninem, rzuciłem, że trzeba zorganizować mszę. Dookoła bezpieczeństwa, doszliśmy do wniosku, że nikt inny nie zgodzi się nam jej odprawić, tylko ks. Staszek Orzechowski. Ustawiliśmy dwie połączone ze sobą lory, na nich robotnicy zaczęli układać ołtarz, znalazło się jakieś nagłośnienie. Kiedy tuż przed mszą zobaczyłem to morze ludzi, to był to dla mnie najkrótszy kurs szkoleniowy z miłości do miasta. Ludzie tam tak płakali, że można by było fosę zrobić.

Do strajku solidarnościowego z Gdańskiem przyłączyliście się późno. Jak to się jednak stało, że w ciągu tych kilku dni stanęło przeszło 100 zakładów?

Dokładnie 178. Byliśmy większym strajkiem niż Szczecin. Wiele razy w rozmowach z przyjaciółmi staraliśmy się ocenić Wrocław, odpowiedzieć na pytanie, czy to Lwów. Lwowiacy to była największa grupa, ale do Wrocławia przyjechało też wielu ludzi z Armii Krajowej, bo na nowych terenach łatwiej było się schować. We Wrocławiu osiedli ludzie z Wilna, z Wołynia, z terenów od Tarnopola do Stanisławowa, ale też z Kielc, z Mazowsza. Moje pokolenie już urodziło się we Wrocławiu, ale w tym mieście i tak każdy był skądś. To, co dla mnie i dla wielu innych było największym przeżyciem tych kilku dni strajku, to to, że wchodząc do niego, każdy był skądś, ale wychodziliśmy z niego jako wrocławianie. Dzięki tysiącom ludzi, którzy stali wokół zakładów i wspierali strajkujących, mieliśmy poczucie, że jesteśmy u siebie, to przyciągało do strajku. Od tamtej pory Wrocław już był nasz.



FOT. M. BUDNOŃSKI

Projekt „Justice 2.0”

*dr Łukasz Kamiński (prezes PEMC),
dr Paweł Ukielski (członek Komisji Rewizyjnej PEMC)*

26 listopada w Pradze wszczęte zostało śledztwo przeciwko trzem najwyższym żyjącym przedstawicielom reżimu komunistycznego. Śledztwem objęci są: były sekretarz generalny Komunistycznej Partii Czechosłowacji Milouš Jakeš, były premier Lubomír Štrougal oraz były minister spraw wewnętrznych Vratislav Vajnar. Zarzuty dotyczą zabójstw na granicy osób próbujących przedostać się na drugą stronę „żelaznej kurtyny”

Postępowanie przeciwko prominentnym reprezentantom komunistycznych władz Czechosłowacji stało się możliwe dzięki olbrzymiej pracy dokumentacyjnej i informacyjnej wykonanej przez Platformę Europejskiej Pamięci i Sumienia, która od lat, w ramach projektu „Justice 2.0” prowadzi badania, wskazuje na pełną wiedzę najwyższych czynników partyjnych i państwowych o popełnianych zbrodniach oraz dba, aby wiedza, często niechciana, przebiegała się



do publicznej świadomości. Sukces ten był możliwy również dzięki umiędzynarodowieniu problemu – bazując na inicjatywie Platformy podobne śledztwa toczą się już w Niemczech i Polsce.

Platforma Europejskiej Pamięci i Sumienia (Platform of European Memory and Conscience, PEMC) powstała w październiku 2011 r. jako odpowiedź na rezolucję Parlamentu Europejskiego z 2 kwietnia 2009 r. Jej polskimi współzałożycielami były Instytut Pamięci Narodowej i Muzeum Powstania Warszawskiego. Dzisiaj PEMC skupia 62 instytucje państwowe i organizacje pozarządowe z 20 krajów. Głównym celem jej działalności jest upowszechnianie wiedzy o systemach totalitarnych, ich ofiarach i sprawcach, a także dążenie do zrównoważenia europejskiej pamięci XX w., w szczególności do zawarcia w niej doświadczenia totalitaryzmu komunistycznego. Mimo braku stałego i stabilnego finansowania Platforma jest silną siłą swoich członków oraz konkretnych, zaangażowanych w jej działania osób.

Pamięć historyczna w Europie wciąż jest bardzo podzielona – świadomość zbrodni komunistycznych na jej Zachodzie jest wciąż niewystarczająca. Stąd duża część działań Platformy nakierowana jest na edukację i upowszechnianie wiedzy o zbrodniczym charakterze dwóch totalitaryzmów. PEMC przygotowuje wystawy (ekspozycja „Totalitaryzm w Europie” została pokazana dotychczas w 23 miejscach w Europie i Ameryce), wydaje publikacje naukowe i edukacyjne (m.in. podręcznik „Aby pamięć przetrwała” opublikowany dotychczas w siedmiu wersjach językowych czy gra „Across the Iron Curtain”), organizuje konferencje naukowe i wydarzenia publiczne (m.in. w Parlamencie Europejskim i parlamentach poszczególnych państw). W 2018 r. rozstrzygnięty został konkurs na projekt europejskiego pomnika ofiar systemów totalitarnych, który ma stanąć w Brukseli. W ostatnich latach PEMC została także partnerem Festiwalu Filmowego „Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci”, co nadało mu międzynarodowy charakter (w tym roku po raz pierwszy przyznana została nagroda w konkursie międzynarodowym). Niedawno, we współpracy z wrocławskim Ośrodkiem Pamięć i Przyszłość, rozpoczęto prace nad stworzeniem bazy ofiar żelaznej kurtyny (zabitych, ranionych i więzionych).

Działania te, które można nazwać pozytywną pracą u podstaw, przynoszą efekty również na polu świadomości. Oczywiście, wyniki te wciąż nie są satysfakcjonujące, napotykają również na opór ze strony zwolenników marksistowskiej wizji historii oraz współczesnych komunistów. Ostatnia rezolucja Parlamentu Europejskiego z 19 września w sprawie znaczenia europejskiej pamięci historycznej dla przyszłości Europy, przyjęta przytłaczającą większością (535 głosów „za” przy zaledwie 66 „przeciw”), jest jednak kolejnym silnym sygnałem, że wykonywana przez Platformę i każdego z jej członków z osobna praca ma sens i przynosi owoce.

Wspomniany wyżej projekt „Justice 2.0” jest sztandarowym działaniem Platformy. Jego celem jest wykazanie, w oparciu o zasady prawa międzynarodowego, że ściganie zbrodni komunizmu jest wciąż możliwe. W ramach „Justice 2.0” prowadzone są badania archiwalne i analizy prawne, w wyniku których zespół ekspertów pod kierunkiem prof. Albina Esera wskazuje drogi działania. Z tym większym zadowoleniem przyjęliśmy tzw. apel Bukowskiego – ogłoszone po śmierci wybitnego sowieckiego i rosyjskiego dysydenta wezwanie do stworzenia „Norymbergi dla zbrodni komunistycznych”. Wraz z jego drugim inicjatorem, włoskim prof. Renato Cristinem wskazują, że taki trybunał może i powinien zaistnieć. PEMC nie tylko w pełni wsparła tę inicjatywę, ale jest też jedyną instytucją mającą doświadczenie, wiedzę i możliwości, by apel ten wcielić w życie.

W ostatnich dziesięcioleciach rozwiązania na wzór Międzynarodowego Trybunału Wojskowego w Norymberdze (i analogicznego Trybunału dla Dalekiego Wschodu) zastosowano kilkakrotnie. Powołano Międzynarodowy Trybunał Karny dla byłej Jugosławii, Międzynarodowy Trybunał Karny dla Rwandy, Sąd Specjalny dla Sierra Leone i Trybunał Specjalny dla Libanu. Mandat dwu ostatnich jest dużo bardziej ograniczony. Wszystkie te instytucje powołano na podstawie rezolucji Rady Bezpieczeństwa ONZ. W przypadku osądzenia komunizmu ta droga jest zamknięta, z uwagi na prawo weta ze strony Chin i Rosji. Podobnie nie można wykorzystać powołanego w 2002 r. Międzynarodowego Trybunału Karnego, władnego osądzać zbrodnie prawa międzynarodowego (m.in. ludobójstwo i zbrodnie

przeciwko ludzkości). Zajmuje się on tylko zbrodniami popełnionymi po swoim powołaniu, a jego jurysdykcji nie uznają m.in. Rosja i wszystkie istniejące dziś państwa komunistyczne (Chiny, Korea Płn., Kuba, Laos i Wietnam).

Trudno sobie także wyobrazić, że trybunał taki można by powołać na podstawie umowy międzypaństwowej – sygnatariusze musieliby przyznać, że nie byli w stanie sami uporać się z problemem, ponadto wewnętrzna sytuacja polityczna w poszczególnych państwach nie zawsze sprzyja takim inicjatywom. Nie znaczy to jednak, że nie ma już prawnych możliwości ścigania zbrodni komunizmu. Dobrym przykładem wykorzystania prawa krajowego jest Polska, gdzie dzięki działalności IPN każdego roku do sądów trafiają nowe akty oskarżenia. W Rumunii wprowadzenie kilka lat temu zbrodni przeciwko ludzkości do kodeksu karnego umożliwiło postawienie przed sądem dawnych komendantów więzień. W tym roku w stan oskarżenia postawiono także byłego prezydenta Iona Iliescu i jego współpracowników.

Obok presji na krajowe systemy wymiaru sprawiedliwości pozostaje jeszcze jedna możliwość. Związana jest ona z zasadą uniwersalnej jurysdykcji w przypadku niepodlegających przedawnieniu zbrodni prawa międzynarodowego. Każde państwo ma nie tylko możliwość, lecz także de facto obowiązek ich ścigania, niezależnie od miejsca ich popełnienia. Przykład zastosowania tej reguły w praktyce daje Holandia, która po roku 2000 osądziła kilku sprawców zbrodni komunistycznych popełnionych w Afganistanie i Etiopii.

Droga prawna dotyczy jednak tylko żyjących sprawców, z związku z tym dziś nie jest już możliwe osądzenie większości z nich. W tej sytuacji niezbędny jest trybunał o symbolicznym charakterze. Pozwoliłby on na przedstawienie ogromu komunistycznych zbrodni popełnianych od 1917 r. do dziś na całym świecie, oddałby głos ofiarom, a także umożliwił całościową ocenę komunizmu w świetle prawa. Wyniki prac profesjonalnie zorganizowanego trybunału stanowiłyby niezwykle mocną przestrożę przed komunizmem i innymi totalitarnymi ideologiami, które mogą pojawić się w przyszłości. Platforma Europejskiej Pamięci i Sumienia wkrótce przedstawi szczegółowe założenia takiego trybunału.



39 minut magii

Koncert Przemysław Gintrowskiego
we Wrocławiu, 2012 r. FOT. ZE ZBIORÓW OŚRODKA „PAMIĘĆ I PRZYSZŁOŚĆ”

Miałem olbrzymi zaszczyt zorganizować pierwszy z tych koncertów – 12 lutego 2012 r. we Wrocławiu. Pracując we wrocławskim Ośrodku „Pamięć i Przyszłość”, wymyśliłem konkurs na piosenkę o Armii Krajowej, którego laureaci wystąpili na wspólnej gali finałowej, a gwiazdą wieczoru był właśnie Przemysław Gintrowski. Koncert zaczął się od występów młodych artystów, opowiadających historię Armii Krajowej właściwymi sobie środkami wyrazu – publiczność rozgrzewała się przy dźwiękach rocka, reggae, a nawet dubstepu. Po tej ciekawej, dość wybuchowej mieszance na scenę wszedł on. Skromny, ubrany na czarno, tak, jakby nie chciał swoją osobą odwracać uwagi od przesłania, które niosła jego twórczość. Recital rozpoczął tak samo jak bodaj wszystkie swoje koncerty – „Modlitwą o wschodzie słońca”. Wyjątkowo nastroj zbudowały piękne

Grzegorz Kowal

Przemysław Gintrowski swoje dwa ostatnie recitale zagrał w ramach uroczystości upamiętniających bohaterów polskiego podziemia niepodległościowego. Trudno o bardziej symboliczne zwieńczenie życia niezłomnego barda

interpretacje wierszy Zbigniewa Herberta – „Odpowiedź”, „Do Marka Aurelego” i „Nike, która się waha” – a także prześzywające serce „Birkenau” do słów Jacka Kaczmarskiego. Następnie wybrzmiały jeszcze: „Jaki miły i mądry facet”, „Modlitwa o szarfę i trunek”, „Kanapka z człowiekiem” oraz „Powrót”. Wieczór zamknął Herbertowskimi „Wilkami”. Łącznie 39 minut muzyki. 39 minut magii.

Przy tym ostatnim utworze Gintrowski ledwo ukrywał wzruszenie. Podobnie jak ledwo zauważalne było drżenie jego rąk, które tylko u najbardziej spostrzegawczych widzów mogło wzbudzić jakiś niepokój. Czy był to

zwiastun śmiertelnej choroby? A może już jej objaw? Czy ktoś na widowni przypuszczał, że jest świadkiem przedostatniego koncertu w życiu tego wielkiego artysty?

Kiedy byłem mały, moja mama słuchała Gintrowskiego tak często, że jego muzyka stanowiła właściwie swoistą ścieżkę dźwiękową dla moich dziecięcych zabaw. Nie Majka Jeżowska, nie Fasolki, tylko właśnie Gintrowski i jego zachrypnięty głos odtwarzany ze zgranych kaset magnetofonowych. Mały brzdąc, którym wówczas byłem, nie mógł oczywiście zrozumieć tej twórczości, ale ziarno zostało zasiane. I kilkanaście lat później chłonałem już całą dyskografię

zupełnie świadomie. W końcu, w 2009 r., zdarzyła się pierwsza okazja, aby posłuchać go na żywo. Koncert był doskonały. Gintrowski zdecydowanie nie szczędził głosu. W dodatku nie dość, że po występie udało mi się uścisnąć jego dłoń, to jeszcze zapytał, co sądzę o utworach, które nagrywa na kolejną płytę. On, wielki bard, pytał mnie, studenciaka z Wrocławia, o zdanie! Zrobiło to na mnie niesamowite wrażenie. Podobnie jak to, że dwa i pół roku później, podczas „mojego” wydarzenia, jego jedynym specjalnym życzeniem było, aby w garderobie znalazła się popielniczka. Tylko to. Tylko popielniczka. Będąc żywą legendą, nie miał w sobie absolutnie niczego z gwiazdy.

Przemysław Gintrowski ostatni raz na scenie wystąpił 1 marca 2012 r. w Warszawie, w dniu tak bliskich mu żołnierzy wyklętych. Zmarł pod długiej i ciężkiej chorobie, 20 października tego samego roku. Cześć jego pamięci!



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Wielki antykomunista

Józef Mackiewicz jest pisarzem mojego życia. Uważam, że nigdy wcześniej i nigdy później nie mieliśmy w naszej prozie talentu na jego miarę. Kto nie wierzy, ten niech przeczyta „Sprawę pułkownika Miasojedowa”, „Lewą wolną” lub „Nie trzeba głośno mówić”. Wielkie epickie powieści Józefa Mackiewicza można zestawiać tylko z klasykami rosyjskiej powieści XIX w. A więc z najwybitniejszą literaturą w dziejach ludzkości.

Józef Mackiewicz zawsze interesował mnie również jako człowiek. Uznawałem i uznaję go za niedościgniony wzór do naśladowania. Bezkompromisowo broniący swoich poglądów, idący pod prąd opinii własnego narodu. Za najbardziej pryncypialnego z naszych antykomunistów. A jednocześnie liberała, obrońcę wolności słowa. Żarliwego patriotę Wielkiego Księstwa Litewskiego, ojczyzny moich przodków. Dobrego, przyzwoitego człowieka.

Tym, którzy chcieliby zapoznać się bliżej z tą arcyciekawą postacią, polecam wznowioną właśnie przez wydawnictwo LTW książkę Grzegorza Łukomskiego. Autor w ciekawy sposób przedstawia

życiorys i poglądy Józefa Mackiewicza. Przede wszystkim jego walkę z bolszewizmem. Zarówno szablą – Mackiewicz bił się w wojnie 1920 r. – jak i piórem. Czy też raczej: maszyną do pisania.

Bardzo ciekawe są również dokumenty, które znalazły się w aneksie książki. Choćby taki list na temat działalności AK wysłany w 1954 r. do Jerzego Giedroycia:

„Dziś w moim przekonaniu współpraca z Niemcami przeciwko bolszewikom, jaką podjęły wszystkie narody na wschodzie Europy, z wyjątkiem Polski i Czech, byłaby z punktu ludzkiego bardziej moralną niż współpraca z bolszewikami, którą uprawiało AK. Żałuję z całego serca, że Wehrmacht nie rozgromił Czerwonej Armii w drobny mak, razem ze wszystkimi jej poputczykami. [...] Sowietci nigdy nie zwracali się ani do rządu polskiego, ani do AK o żadną pomoc ani przyjaźń. Natomiast AK obłąpywało ich za kolana,

narzucało się w najbardziej poniżający sposób ze swymi usługami. [...] Głosiłem, że Niemcy w naszym kraju powinni być „strzelani” jako zaborca, natomiast z chwilą, gdy było wiadomo, że Niemcy wojnę przegrają, nie wolno wspomagać bolszewików w ich zwycięstwie nad Wehrmachtem”. ©©



★★★★★
GRZEGORZ
ŁUKOMSKI
„JÓZEF
MACKIEWICZ
(1902-1985)”
LTW



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Sowieci we Lwowie

Wehrmacht dotarł pod Lwów w drugim tygodniu września 1939 r., a kilka dni później Armia Czerwona zamknęła pierścień okrażenia. Dalsza walka była bezcelowa i dowodzący obrońcą gen. Władysław Langer uznał, że nie może „narażać w dalszym ciągu mieszkańców Lwowa na śmierć, a miasta na zniszczenie”.

Załoga poddała się Armii Czerwonej, a warunki kapitulacji były honorowe. Agresorzy zagwarantowali oficerom wolność i nietykal-

ność osobistą oraz prawo do opuszczenia obszaru okupacji sowieckiej. Słowa nie dotrzymali, większość oficerów trafiła do obozów jenieckich i kilka miesięcy później padła ofiarą zbrodni katyńskiej. Część kadry nie zaufała jednak sowieckim obietnicom i po zrzuceniu mundurów pozostała w mieście. To właśnie z tego grona miały rekrutować się szeregi lwowskich organizacji podziemnych, co raczej źle rokowało na przyszłość. Tożsamość wielu oficerów nie była dla lwowiaków tajemnicą, byli osobami powszechnie znanymi w mieście i na efekty takiego stanu rzeczy nie trzeba było długo czekać. Chociaż już w pierwszych dniach okupacji Sowietci popełniali zbrodnie (rozstrzelanie grupy polskich policjantów i żołnierzy), to powszechnie uważano ich za mniej groźnych od Niemców. Armia Czerwona nie sprawiała wrażenia poważnej siły zbrojnej: żołnierze bez butów i z karabinami na sznurkach, oficerowie nieznający elementarnych osiągnięć cywilizacyjnych. Sowietci masowo wykupywali kanki do lewatyw, uważając je za luksusowe cygarniczki, płacili też każdą sumę za zegarki, a na „kiełbasę i inne smaczne rzeczy rzucali się jak dzicy ludzie”. Symbolem bolszewickich porządków nad Pełtwią stała się pewna uroczysta gala z udziałem żon oficerów, panie pojawiły się ubrane w „halki i koszule nocne uznane za toalety wieczorowe i ekskluzywne”. Masowemu wykupowi towarów sprzyjał wprowadzony czasowo parytet rubla i złotówki (realna siła nabywcza wynosiła 1 do 5), co spowodowało, że luksusowe produkty nieznane za Zbruczem były dla okupantów stosunkowo tanie. W efekcie Sowietci hurtowo nabywali wszystko: „od damskiej bielizny i innych części garderoby aż do łyżek, widelców czy la-tarek elektrycznych”. Sytuacja zmieniła się, gdy 21 grudnia 1939 r. na terenach okupowanych przez ZSRS oficjalnie wycofano z obiegu złotówkę. Zezwolono na wymianę 250 rubli na osobę pracującą, reszta pieniędzy utraciła swoją wartość. Jednak pomimo tego dalej uznawano okupację sowiecką za mniej groźną niż niemiecką, niebawem okazało się, jak bardzo wszyscy się mylili. ©©

Już w pierwszych dniach okupacji Sowieci popełniali zbrodnie

ność osobistą oraz prawo do opuszczenia obszaru okupacji sowieckiej. Słowa nie dotrzymali, większość oficerów trafiła do obozów jenieckich i kilka miesięcy później padła ofiarą zbrodni katyńskiej.

Część kadry nie zaufała jednak sowieckim obietnicom i po zrzuceniu mundurów pozostała w mieście. To właśnie z tego grona miały rekrutować się szeregi lwowskich organizacji podziemnych, co raczej źle rokowało na przyszłość. Tożsamość wielu oficerów nie była dla lwowiaków tajemnicą, byli osobami powszechnie znanymi w mieście i na efekty takiego stanu rzeczy nie trzeba było długo czekać.

Chociaż już w pierwszych dniach okupacji Sowietci



Jacek Komuda

„Polacy jak tabliczka z wosku, na niej Niemiec, Francuz, malują, co im się żywnie podoba”. Nie, to nie słowa dzisiejszego publicysty! Powiedział je pół tysiąca lat temu Stańczyk, błazen-rycerz, a zarazem komentator bez trwogi opowiadający Zygmuntowi Staremu o tym, co bolało współczesnych

Historia wesołków



Człowiek średniowiecza, zagrożony przez plagi żywota: wojny, głód i zarazy, potrzebował jako lekarstwa śmiechu, wesela i żartów. Ponieważ jednak nie każdego bawiły proste żarty dla ludu, pojawiły się grupy artystów, którzy krążyli, zabawiając możnych w zamkach, a prosty lud na jarmarkach. Opowiadając żarty i historie, żonglując, chodząc po linie, dając przedstawienia lub występując ze zwierzętami. Zwano ich rozmaicie: histrionami, ioculatorami, szpilmanami, skoczkami, tancerzami, mimami. Jeśli występowali z niedźwiedziami, to określano ich jako Rusinów.

O pierwszym w historii Polski wesołu wspomina już Wincenty Kadłubek, pod rokiem 1195, kiedy w czasie bitwy pod Mozgawą jeden z kleryków przebrał się za błazna i przekradł przez szeregi wroga. Kłopot w tym, że kronikarz nie określał go mianem „błazna” ani nawet histriona, lecz łacińskim słowem „scurra”, które oznaczało szaleńca lub głupka.

W 1311 r. jeden ze szpilmanów kupił kamienicę w Krakowie. W 1365 r. występowali oni na weselu Kazimierza Wielkiego. Od tego czasu owi ioculatorzy pojawiają się stale na dworach możnowładców i królów Polski. W 1388 r. jeden z nich rozśmiesza gości podczas uczy u Władysława Jagiełły. W 1441 r. Rusin Rafał pojawia się u wojewody krakowskiego Mikołaja Serafina z Barwałdu. Z kolei Władysław Jagiełło miał swego ioculatora Wacława i kuglarza Mikołaja, który okazał się tak dobrym artystą, że król obdarzył go dożywotnim utrzymaniem na zamku w Przedborzu.

Tych pierwszych wesołków zwano kuglarzami (od 1392 r.), od niemieckiego słowa „gaukeln” – żonglować, pokazywać sztuczki, a także od 1420 r. – wiłami. Pochodzenie tego słowa jest wybitnie słowiańskie, niegdyś oznaczało demony – niewiasty sprowadzające na ludzi obłąd, później po prostu szaleńców. Słowo „błazen” pojawiło się dopiero w 1460 r., oczywiście w kazaniach, gdzie autor wypomina i piętnuje chrześcijan, że zapraszają na uczy weselne muzykantów, błaznów i innych artystów, z czego wynika zgorszenie. Natomiast pierwszym nadwornym błaznem jest Bieniasz służący w 1492 r. u króla Jana Olbrachta.

Skąd się wzięło to słowo? Małgorzata Wilska w pracy „Błazen na dworze Jagiellonów” podaje jego dwojaki

źródłosłów. Po pierwsze słowiański, z ruskiego błazniciel, błasnik z dalmackiego i bośniackiego, błazynek, błaznijuk z czeskiego. A także niemiecki, od słowa „blauben”, które oznaczało wydymanie policzków, chociaż w Rzeszy błazna określano jako: narr, geck albo tor. Tak czy owak od końca XV w. stał się on już nie tylko artystą czasowo goszczącym na dworze, lecz także jego stałą częścią. Sługą feudalnego pana lub władcy, i to postacią wcale nie byle jaką!

BŁAZEN, JAKI JEST, KAŻDY WIDZI

W „Antyfonarzu” Adama z Będkowa z 1450 r. zachował się najlepszy wizerunek dworskiego błazna. Wiła ma na sobie kukłę, to jest czapkę lub kaptur z czubami, rogiem i uszami. Kształt tego nakrycia głowy był wielce pobożny, bo – jak podaje Geo Widengren – wywodził się od czapek pielgrzymów i pustelników. Już jednak dodatki pozostawały w sprzeczności z pobożnością. Osłe uszy – długie i zwisające – symbolizowały seksualną rozwiązłość, bowiem osioł był w średniowieczu synonimem bezbożnej chuci. Dodatkowo, jak pokazuje „Graduał” Jana Olbrachta, miał błazen na czapce koguci grzebień i liczne małe dzwoneczki, np. Bieniasz odmalowany na miniaturze Stanisława Samostrzelnika nosi suknię z kapturem ozdobioną dzwoneczkami i sterzczącą w górę osłą uszy.

Strój był połączeniem dostojności i niefrasobliwości. Dzwoneczki symbolizowały zbliżanie się kogoś ważnego, koguci grzebień był symbolem odwagi, a więc waleczności i w przypadku błazna – umiejętności mówienia prosto w oczy nieprzyjemnej i złośliwej prawdy. Jednak w rękę nosił zawsze drewniane berło – łaskę zwaną także cepem, a w staropolszczyźnie wierciochem – będące zaiste błazeńską kpina z berła króla lub cesarza.

Suknia błazna – zwykle kończąca się w okolicach kolan – uszyta była jednak z dobrego sukna i zazwyczaj kupowana przez władcę. Na przykład król polskich błaznów – Stańczyk – w 1544 r. dostał od Zygmunta Starego osiem łokci, czyli ponad 4 m białego sukna łubńskiego na strój.

Błazeńską suknię przepasywano pasem – szerokim i nabijanym kulkami – który przytrzymywał materię przy ciele, co pomagało w wykonywaniu skoków i figlików. Szaty błazna były zwykle pstrokate – czerwone i białe, lecz także

Jednym z najznamienitszych błaznów był Stanisław Stańczyk (na obrazie Jana Matejki z 1862 r.) FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE



■ żółte i błękitne. Staś Gąska, błazen krakowski chodził w stroju biało-czarnym, inni preferowali czerwono-błękitne lub biało-czerwone.

Charakterystyczną cechą błazna było to, że był gładko ogolony. W dawnej Polsce mężczyzna nienoszący wąsów ani brody – oznaczającej stateczność i wojaskowe doświadczenie – był często przyrównywany do trefnisa. „Golą się po błazeńsku” – pisał Marcin Kromer. W XI w. kronikarz z Cluny Radulf Globber pisał, że pielgrzymi, którzy przybyli z Owernii: „Byli ogoleni na kształt błazna”.

ŻYWOTY WIŁ POLSKICH

Władysław Jagiełło miał dwóch błaznów. Podobnie Jan Olbracht. Zygmunt August utrzymywał siedmiu, a jego ojca – Zygmunta Starego – zwać można władcą błaznów, bo utrzymywał ich aż 10!

Na dworze Jagiełły działał Mikołaj Twar opisany w „Formularzu Wilanowskim” jako nobilis Nicolaus Twar, był więc rycerzem. Prawdopodobnie kolejnym przedstawicielem tego stanu był Olesko. Błazen uczony i bywały, król bowiem używał go do misji dyplomatycznych. Wysłał go np. w poselstwie do Świdrygiełły, ze względu na to, że znał ruski, a przy okazji, aby pozyskał względy księcia i być może przekazał jakąś poufną wiadomość.

Nieco wcześniej gościł u księcia Witolda niejaki Henne, którego wielki mistrz krzyżacki Paul von Russdorf „pożyczył” władcy Litwy na wyprawę pskowską. Człowiek ten był tak naprawdę szpiegiem; własnoręcznie pisał do mistrza listy, co w połowie XV w. świadczyło, że miał nie byle jakie wykształcenie. Niespodziewanie na dworze Witolda po-przewracało mu się w głowie i odmówił wykonywania pracy – chcąc pozostać tylko rycerzem. Ponieważ jednak był dobry w swoim fachu, Witold po prostu zagroził mu chłostą i zmusił go do błazenady. Kazał też uszyć dla niego odpowiedni ubiór. Odtąd Henne każdego ranka był zwykłym rycerzem, a po południu prze-bierał się w „fałdzistą suknię z czapką uszatą i pełnił rolę błazna”, miał zatem podwójny status – wesołka i rycerza.

Jednym z długowiecznych błaznów późnego średniowiecza był Hanusz Rycerz służący na dworze Kazimierza Jagiellończyka, a potem u kolejnych władców: Jana Olbrachta, Aleksandra i wreszcie Zygmunta Starego. Pochodził z Niemiec i także był rycerskiego stanu,

co potwierdzają akta koronne z 1505 r. Biernat z Lublina podaje zresztą jeden z żartów, być może związany z Hanuszem. „Przyszedł jeden wiła w Nowe Lato do biskupa Łakomego, prosząc, aby mu dał złoty na kolędę. Ten mu rzekł: iż szkoda złotego błaznowi. Potem ów (błazen) rzekł: więc daj mi grosz. Rzekł biskup: a coś mi zrobi? Zatem wiła: dajcie mi naj-pierw pieniądze. Rzekł biskup: sromota biskupowi dać. Tedy błazen: dajcie mi zatem, księżę miłosierny swoje pożegna-nie na kolędę!”.

W paragon z Hanuszem szedł błazen nadworny Jana Olbrachta – Bieniasz. Na starość był na dożywociu u kanclerza Szydłowieckiego. Pewnego razu, kiedy dworzanie okrutnie z niego szydzili, zrobił minę wielkiego pana i powiedział: „Znaj-cie waszmości, iż nie lada ze mnie pan, większy od kanclerza, gdyż on ma jednego błazna, a ja mam ich tylu, ilu was jest”.

ZYGMUNT STARY, KRÓL BŁAZNÓW

Król Zygmunt przepadał za błazna-mi, można by powiedzieć, że wówczas, w pierwszej połowie XVI w., ukształtował się w Polsce typ „błazna rycerskiego”. Podczas gdy na Zachodzie na dwór brano kaleki, karłów i psychicznie chorych, aby się z nich naśmiewać, u nas błaznami bywali szlachcie, czasem bardziej statystyci polityczni niż siemiężni opowiadacze plebejskich żartów. Wiła polski był do-rodny mężczyzną. Jak pisze Małgorzata Wilska, ówczesna ikonografia „pokazuje nam błazna jako człowieka o normalnej budowie ciała i słusznym wzroście, nieod-biegającego od innych postaci. Nie ma więc powodu sądzić, że zawód ten pełnili ludzie mający jakieś defekty fizyczne, garbaci lub karłowatego wzrostu”. Jak wspominali-śmy, wielu z nich, jeśli nie większość, było rycerzami; co może stanowić zaskoczenie. Stańczyka określano jako gloriosus miles, tak samo Hanusza Rycerza; szlachciami byli Henno i Staś Gąska. Zatem błazeński strój nie hańbił, a Małgorzata Wilska zadaje kłam stwierdzeniom Juliana Krzyżanow-skiego, że „rycerz nie zamieniał hełmu na czapkę błazeńską”. Jednocześnie jego stan dawał mu szczególne stanowisko na dworze – błazen szlachcic stawał się raczej komentatorem i szydercą politycznym niż wesołkiem. Pomiędzy trefnisiem a królem tworzyła się specyficzna więź, np. między Zygmuntem Starym a Stańczykiem. Jak pisał Erazm z Rotterdamu: „Błazny dla największych królów taką są rozkoszą, że

niejeden to bez takich nie potrafi ani do stołu zasiąść, ani pójść gdzie, ani wytrzy-mać choćby godzinę”.

Jednym z bardziej znanych błaznów księcia Zygmunta był Doktor, znany z pi-jackich awantur, które jednak przyszedł król łaskawie mu wybaczać. Rachunki za-chowały np. wynagrodzenie dla chłopca, który pijanego odprowadzał go do domu w Krakowie. Raz w Budzie potłukł piec w komnacie królewicza, co kosztowało dwór 10 denarów. Zygmunt go jednak uwielbiał – do tego stopnia, że Doktor spał na ławach przy jego komnacie; spo-rządzono dla niego rodzaj śpiwora i wy-dawano poduszki. Nieraz sprowadzano dla niego wino i ser, leczono na koszt księcia. Chodził także do łaźni z królem.

Jednak najznamienitszym z błaznów był Stanisław Stańczyk; pierwszy bodaj wieszcz narodowy, przepowiadacz historii Polski i wspaniały komentator polityczny. Zachowała się po nim ogromna liczba powiedzeń i cytatów. Urodził się ok. 1470 r. i był żołnierzem. Pochodził z rodziny szla-checkiej, z Małopolski, być może spokrewn-ionej ze Stańczykami z ziemi wieluńskiej. Zapewne brał udział w wojnie z Moskwą i kiedy został ciężko ranny, został błaznem – najpierw przy boku rtm. Jana Świer-czowskiego. W 1520 r. w rachunkach pojawia się zapis o nagrodzie dla człowie-ka określonego jako „miles mancusus”, co można tłumaczyć jako „rycerz okaleczo-ny”, co dodaje jego postaci tragizmu. Przez całe życie wygłaszał żarty, które okazały się prorocze i były bardziej komentarzami politycznymi niż humorem. „Stańczyk, gdy go raz chłopięta opadli i z niego suknie zdarli – zapisał Marcin Bielski – uciekł do króla, powiedział królowi (a on go żałował, że go to obdarto): bardziej królu ciebie drą niż mnie. Wydarto ci Smoleńsk, a przeciw milczysz”. Nawet współcześni zauważali, że był to mędrzec i filozof. „Jakoż to Stańczyk był błazen osobiwy” – pisał o nim Bielski. Nie cierpiał królowej Bony, którą zwał „gadziną włoską” oraz jej dworu; często go wyśmiewał.

Stańczyk zadziwiał inteligencją, bywał na spotkaniach literackich w domu Klemensa Janickiego. Zawsze potrafił celnie skomentować sytuację polityczną. Na ślubie córki króla Izabeli z królem Węgier Janem Zápolyą, powiedział: „Kró-lu, po cóż ty tam córkę twą do Węgier dajesz? Być ci jej tu zaś u ciebie, przeto zbuduj u nas jej kamienicę w Krakowie, żeby miała gdzie mieszkać”. Była to trafna aluzja do niepewnej sytuacji Jana



Błazen bawiący panów i rycerzy, XV w.,
drzeworyt autorstwa Henryka Küblera

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Zápoly, który szybko zmarł, a jego żona musiała schronić się w Siedmiogrodzie.

„Sfukano raz Stańczyka, iż był coś plugawego i nieprzystojnego wyrzekł u stołu, przy fraucymierce. Na co błazen odpowiedział: Jeśli to prawe panny są, pewnie tego, com wyrzekł, nie zrozumieją, nie inaczej jakobym po niemiecku powiedział. A jeśli nie panny, to nie było mnie czym fukać, ich to nie obraża, bo już wiedzą, co się na świecie dzieje”.

Niektóre jego słowa są aktualne i dziś. Pewnego razu rzekł: „Polacy jak tabliczka z wosku, na niej Niemiec, Francuz, Włoch, Hiszpan, a Czech najwięcej malują, co im się żywnie podoba, a nawet swoje języki w gębę im kładą”. Innym razem widząc, jak królowi stawiają pijawkę, roześmiał się, mówiąc: „Oto najlepsi przyjaciele panów. Trzymają się, póki krew piją, odpadają, jak się opijają!”.

POGROBOWCY STAŃCZYKA

Żaden z kolejnych błaznów polskich nie zdołał przebić sławą Stańczyka. Zygmunt August miał ich siedmiu, wśród nich Stanisława Bedłkę, który pochodził z Bedlna pod Bieczem albo z Bedlnej w powiecie szczyrzyckim. Jednak największą sławą cieszył się Stanisław Gąska. Nie szanowano go na dworze Zygmunta Starego, bo poziom żartów nie odpowiadał królowi. Docenili go dopiero Zygmunt August, a także Marcin Kromer, biskup warmiński, który był jego mecenasem; na koniec zaś Seweryn Boner, wojewoda krakowski.

Kochanowski poświęcił mu trzy fraszki, w których to drwi, to śmieje się z niego:

*Osiemdziesiąt lat (a to jest prawy wiek
człowieczy)*

*Czekała śmierć, żeby Gąska mówi k'rzeczy
Nie mogąc się doczekać, błaznem go tak
wzięła*

I tąż drogą, gdzie mądre zajmuje pojęta.

Staś Gąska miał licznych i możnych wrogów, których ośmieszał w wystąpieniach. Jednym z nich był kardynał i biskup warmiński Stanisław Hozjusz, który pisał do Marcina Kromera: „Dziwię się, że jego towarzystwo jest ci miłe. Lata pozbawiły go żartów i wdzięku, zdolności towarzyskich i kawałów, co więcej – ludzie sądzą, że brak mu piątej klepki. Dlatego bądź uważny i dawaj mu piwo jak najlichsze, w ten sposób łatwo się go pozbędziesz”.

Gąska znał liczne dykteryjki, potrafił zabawić królewskie towarzystwo, poznał też doskonale historię Polski i jej władców, być może pomagał Kromerowi w pisaniu jego kroniki. Był też stałym bywalcem, jeśli wierzyć Kochanowskiemu, krakowskiej winiarni Operiana. Lubił wypić, kiedyś po pijanemu zgubił w Krakowie pas błazeński, na szczęście uczciwy znalazca odniósł go na Wawel.

Wiek XVII przyniósł upadek godności błazna. Jak pisze Mirosław Słowiński w „Błaznie”: „Następuje swoista degeneracja tego zawodu. Jego miejsce zajmują dworzanin o bystrym dowcipie, komedian-

ci czy kpiarze”. Rozrastający się absolutyzm i etykieta nie tolerowały nadwornych wesołków. Na dworze Ludwika XIV błazna nie było. Jednak w Polsce i na wschodzie Europy instytucja ta przetrwała jeszcze przez dwa wieki, choć humor stawał się prostacki.

Batory miał błazna Matyjasę, ale ten nie został zapamiętany. Z kolei na dworze Zygmunta III Wazy służył Włoch – Antonio Rialto, który najpierw przebywał przy obu Dymitrach Samozwańcach, następnie został przez Mikołaja Ostroroga polecony królowi. Był on jednak błaznem tragicznym – niespełnionym aktorem, któremu przyszło zabawiać możnych. Nie miał ciętego języka ani lekkiego humoru. Kiedy zrezygnował ze służby u Zygmunta, stał się ponury i straszny. Pewnego razu, jak podaje Słowiński, widząc, jak w Poznaniu uczniowie wystawiają komedię, w której go wyśmiewano, rzucił się z kijem na aktora. Doszło do bijatki, w której o mało nie zginął. Uratowany przez służbę Czarnkowskiego, musiał uciekać z miasta, poniosłszy podwójną klęskę: jako błazen i jako człowiek.

Na wieczną sławę zasłużył sobie błazen króla Jana Kazimierza. Po abdykacji władcy: „Zaszedł mu drogę trefniś, a zdejmując czapkę z dzwoneczkami, rzekł śmiało do króla: kiedyś złożył koronę, nic ci lepiej nie przystoi jak moja czapeczka”.

Ostatnim znanym błaznem był Winnicki na dworze Jana III Sobieskiego. Tak jak Stańczyk nie cierpiał Włochów i Bony, tak on nie znosił Francuzów z dworu królowej i urządził z nich drwiny. Potrafił sprytnie namówić jednego z dworzan, aby wysiadł w jaja kurze, a potem ukazał to całemu dworowi jako wielkie dziw. Jak mawiał: „Na dworze Sobieskiego dwóch jest tylko ludzi, którym wszystko wolno. Król i błazen, ale tylko królowi wolno się gniewać, a tylko błaznowi wolno się błażnić”.

August III Sas miał błazna imieniem Kijaw, który reprezentował saski (dziś powiedzielibyśmy – niemiecki) typ humoru, to znaczy ciężkie i mało śmieszne dykteryjki. Władca częściej niż do zabawiania używał go do nabijania i podawania fajki. Książd Kitowicz wymienia jeszcze jednego trefnisia królewskiego: Józefa. Stanisław August Poniatowski błazna nie wyznaczył; może dlatego, żeby nie okazał się gorszym tchórzem od swego sługi. Jako król nigdy nie powiedział prosto w oczy swoich myśli nie tylko carycy Katarzynie, lecz także nawet jej ambasadorowi.



Zakup systemu rakietowego S-400 od Rosji i ciągłe zacieśnianie turecko-rosyjskiej współpracy polityczno-wojskowej, unieważnienie wyborów na burmistrza Stambułu połączone z przegraniem ich powtórki, inwazja na Syrię Północno-Wschodnią, próba zagarnięcia cypryjskich złóż gazu i nielegalnego podziału wschodniej części Morza Śródziemnego, wreszcie szantaż na londyńskim szczycie NATO to główne wydarzenia, dzięki którym o Erdoğanie było głośno. Do tego można dopisać widowiskowe wzajemne obrzucanie się inwektywami z izraelskim premierem Benjaminem Netanjahu. W związku z zakupem S-400, działaniami wokół złóż cypryjskich oraz inwazją na Syrię Północno-Wschodnią USA i kraje europejskie zapowiadały wprowadzenie sankcji. Do niczego takiego na razie nie doszło. Na szczycie NATO Erdoğan co prawda cofnął swój szantaż, ale większość przywódców doznała zbiorowej amnezji i zapomniała, za co przez cały 2019 r. go krytykowano. Erdoğan mógł wyjechać w aurze odpowiedzialnego przywódcy i kilka dni później powtórzyć swój szantaż.

PARADOKSY WIELKIEJ KARIERY

Życie Erdoğana można podzielić na trzy części z dwoma bardzo wyraźnymi datami granicznymi: latami 2002 oraz 2015. Dzisiejszy „sułtan” urodził się w Stambule w 1954 r. w raczej ubogiej rodzinie. Chociaż w politykę zaangażował się już na studiach, to dopiero gdy miał 37 lat, jego kariera nabrała rozpędu. Został wówczas wybrany do parlamentu tureckiego, przy czym szybko pozbawiono go mandatu. Paradoksalnie dziś Erdoğan robi to samo z deputowanymi opozycyjnymi. Mimo że w 1994 r. osiągnął ogromny sukces, wygrywając wybory na burmistrza Stambułu, to już trzy lata później wydawało się, że jego kariera dobiegnie końca. W grudniu 1997 r. na wiecu w Siirt (nawiasem mówiąc, bastionie kurdyjskiej opozycji) Erdoğan zacytował fragment wiersza tureckiego poety z początku XX w. Zii Gökalpa, w którym znalazły się słowa „meczety są naszymi okopami, ich kopuły naszymi hełmami, a minarety naszymi bagnetami...”. Stanął za to przed sądem, oskarżony o podżeganie do przemocy i szerzenie religijnej nienawiści. Turcja w tym czasie wciąż była świecka, a wojsko gwarantowało taki stan rzeczy i stosowało mało demokratyczne oraz mało praworządne metody rozprawiania się z tymi, których uważało za zagrożenie

Rok Erdoğan



Witold Repetowicz

W 2019 r. o tureckim prezydencie Recepie Tayyipie Erdoğanie było głośno. Tyle że nie był on raczej bohaterem pozytywnym. Sam Erdoğan może ten rok uznać raczej za udany, choć coraz mocniej pcha on swój kraj na kurs kolizyjny z sąsiadami i tradycyjnymi sojusznikami

nie dla systemu stworzonego w 1923 r. przez Atatürka. W 1998 r. Erdoğan został skazany na 10 miesięcy więzienia, z czego odsiedział cztery – od marca do lipca 1999 r. W dodatku sąd pozbawił go stanowiska burmistrza Stambułu i dożywotnio zakazał sprawowania jakichkolwiek funkcji politycznych. Wydawało się, że jego kariera legła w gruzach.

Od samego początku Erdoğan związany był z nurtem islamistycznym, który był na bakier z obowiązującą, Kemalistowską (czyli nawiązującą do polityki

Mustafy Kemala Atatürka) doktryną republikańskiej, laickiej i nacjonalistycznej Turcji. Islamiści podważali nie tylko świecki charakter państwa, lecz także turecki nacjonalizm, w którym nie było miejsca dla żadnych mniejszości. Ponieważ większość Kurdów była mocno religijna i konserwatywna społecznie, toteż z takim podejściem islamiści stanowili dla nich atrakcyjną ofertę polityczną. To kolejny paradoks, gdyż Erdoğan nigdy by nie zdobył władzy bez kurdyjskich głosów.



Kolejnym paradoksem kariery Erdoğan jest to, że kontynuowanie swojej kariery mimo dożywotniego zakazu zawdzięcza on Unii Europejskiej i wymuszeniu przez nią demokratyzacji Turcji. To wytrąciło wojsku i tzw. głębokiemu państwu narzędzia kontroli politycznej. Później, gdy podjęto ostatnią próbę siłowego powstrzymania Erdoğan, było już za późno.

POWRÓT I NOWA ERA

Po wyjściu z więzienia Erdoğan zabrał się do tworzenia nowego ugrupowania o nazwie Partia Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP), która rządzi do dziś. Nie był jednak wówczas takim absolutnym jej liderem, jakim jest obecnie. AKP łączyła kilka środowisk, tj. pragmatycznych islamistów, którzy zerwali z Erbakanem (do tej grupy zaliczali się w szczególności późniejszy premier i prezydent Turcji Abdullah Gül oraz wicepremier Bülent Arınç), dysydentów z innych partii, niezależnych ekonomistów, takich jak Ali Babacan, i wreszcie gulenistów, czyli zwolenników kaznodziei Fethullaha Gülena. Dzisiaj Gülen, którego rola w utorowaniu Erdoğanowi drogi do utrzymania władzy była kluczowa, uznawany jest za wroga numer jeden w Erdoğanowskiej Turcji, a ludzie z nim związani traktowani są jako terroryści i masowo wsadzani do więzień.

W lutym 2001 r., na kilka miesięcy przed stworzeniem AKP, Erdoğan i jego nowa ekipa polityczna dostali prezent od Allaha – w Turcji wybuchł gigantyczny kryzys finansowy, którego skutkiem było całkowite rozwalenie dotychczasowej sceny politycznej. W wyborach w 2002 r. żadna z pięciu partii reprezentowanych w poprzednim parlamencie nie przekroczyła 10 proc. progu wyborczego i nie weszła do parlamentu. Dotyczyło to nie tylko trzech partii koalicji rządzącej, które zapłaciły za kryzys, lecz także dwóch opozycyjnych. Te ostatnie zostały dobite powstaniem AKP. Do parlamentu dostały się tylko dwie partie: AKP i Kemalistowska Republikańska Partia Ludowa (CHP). AKP zdobyła przy tym wprawdzie tylko 34 proc. głosów, jednak dzięki ordynacji wyborczej przełożyło się to na 66 proc. mandatów. AKP mogła zatem stworzyć samodzielnie rząd.

Ze względu na wyrok z 1998 r. Erdoğan nie mógł jednak kandydować do parlamentu, więc premierem został Abdullah Gül, dziś już całkowicie zmarginalizowany w AKP. Koledzy nie zapomnieli jednak o liderze partii i przeforsowali w parlamencie poprawkę do konstytucji, które

Kurdowie pomogli wygrać wybory również mentorowi młodego Erdoğan, Necmettinowi Erbakanowi, który do końca lat 90. był niekwestionowanym liderem nurtu islamistycznego w Turcji. W 1995 r. jego Partia Dobrobytu, do której należał zresztą również Erdoğan, wygrała wybory parlamentarne, zdobywszy ponad 21 proc. głosów, a w czerwcu 1997 r. Erbakan objął stanowisko premiera. Rok później został jednak zmuszony do ustąpienia ze stanowiska przez wojsko, które wydało tzw. memorandum.

Była to wersja soft przewrotu wojskowego, której powodem były obawy o utrzymanie świeckiego charakteru państwa. W 1998 r. Partia Dobrobytu została zdelegalizowana, ale bardzo szybko islamiści stworzyli nową partię o nazwie Partia Cnoty. W wyborach w 1999 r. zdobyła ona jednak już tylko 15 proc. głosów. Erdoğan w tych wyborach nie uczestniczył, bo siedział w więzieniu. Po wyjściu nie wstąpił też już do Partii Cnoty. Zerwał z Erbakanem, bo miał nowy pomysł na powrót do polityki.

FOT. KREMLIN/ROD / RUSSIAN LOOK / FERUM



■ umożliwiły Erdoğanowi powrót do polityki, zorganizowanie specjalnych wyborów w jednym z okręgów i zapewnienie mu tam wygranej. Okregiem tym był kurdyjski Siirt, w którym kurdyjska partia DEHAP w wyborach w 2002 r. zdobyła 32 proc. głosów, dwa razy więcej niż AKP. Jednak do wyborów zorganizowanych specjalnie dla Erdoğana po prostu nie została dopuszczona.

Tak zaczęła się nowa, trwająca 13 lat era w historii Turcji. Abdullah Gül po czterech miesiącach urzędowania oddał tekę premiera Erdoğanowi, a nowa ekipa zabrała się do autentycznej demokratyzacji i dekonstrukcji systemu kemalistowskiego, tak by nie doszło do powtórki z memorandum z 1997 r. Kluczową rolę odegrał w tym Gülen i jego „równoległe państwo”. Tą nazwą określano siatkę zwolenników Gülena, którzy na przestrzeni kilku dekad oplotli kluczowe instytucje państwa, takie jak m.in. policja, prokuratura czy sądy. Dzięki temu uderzono w tzw. głębokie państwo, czyli styk polityki, struktur siłowych i często również organizacji przestępczych oraz terrorystycznych, stojące na straży Kemalistowskiej ideologii. To właśnie güleniści umożliwili proces Ergenekon, trwający od 2008 do 2012 r., oraz Balyoz, który miał miejsce w latach 2010–2011. Skazano w nich setki prominentnych osób, w tym wielu generałów. Jednak gdy Gülen zrobił swoje, musiał odejść. W Turcji jest miejsce tylko dla jednego sułtana, a sułtan nie może mieć „cienia”.

Wygrywaniu przez AKP kolejnych wyborów sprzyjał sukces gospodarczy, którego twórcą był Ali Babacan, w latach 2002–2015 m.in. minister gospodarki, wicepremier, minister spraw zagranicznych, a dziś oczywiście poza AKP. Krytycy jednak już wówczas ostrzegali, że szybki rozwój gospodarczy osiągnany jest kosztem wysokiego zadłużenia, co grozi katastrofą. AKP wygrywała jednak kolejne wybory. W końcu 2013 r. pojawiły się już pierwsze znaki nadchodzenia nowej ery – sułtanatu.

W grudniu 2013 r. ludzie Gülena w policji i prokuraturze uderzyli w Erdoğana, jego syna oraz kilku ministrów. Chodziło o nielegalne dochody z transakcji z Iranem związanych z omijaniem amerykańskich sankcji. Erdoğan szybko przeszedł do kontrataku, a Gülen z sojusznika stał się wrogiem numer jeden. W 2014 r. Erdoğan został prezydentem Turcji. Była to wówczas funkcja reprezentacyjna, ale Erdoğan miał plan zmiany konstytucji i wprowadzenia

systemu prezydenckiego. Ostatecznie udało się to dopiero w październiku 2017 r., co stanowiło zwieńczenie sułtanizacji Turcji. Jednak już w 2015 r. doszło do czystki

Połączenie islamizmu z nacjonalizmem i Atatürkowskim republikanizmem przypomina równoczesne odwoływanie się w putinowskiej Rosji do tradycji ZSRS, prawosławia i carskiej Rosji

w szeregach AKP i totalnej marginalizacji współtwórców tej partii, w tym Abdullaha Güla, Bülenta Arınca i Alego Babacana. Dziś osoby te chcą tworzyć nowe ugrupowanie polityczne, licząc na to, że dobieje to AKP i Erdoğan, tak jak powstanie AKP załatwiło partię Erbakana. Swoista transformacja systemowa w Turcji nabrała przyśpieszenia po zagadkowym puczu w lipcu 2016 r., który sam Erdoğan nazwał darem od Allaha.

Jednym z powodów rozejścia się dróg Gülena i Erdoğana był coraz wyraźniejszy antyzachodni kurs tego drugiego, zbliżenie z Rosją oraz zwrot w kierunku świata arabskiego i muzułmańskiego. Będący od 2009 r. szefem tureckiej dyplomacji, a potem premierem, Ahmet Davutoğlu (dziś oczywiście poza AKP) był twórcą ideologii neotomańskiej, zgodnie z którą świat dawnego imperium miał znaleźć się w strefie wpływów Turcji.

BYĆ JAK PUTIN

Wydawać by się mogło, że po pozbyciu się starej ekipy pozycja wewnętrzna i międzynarodowa Erdoğana jeszcze bardziej się umocniła. Są to jednak tylko pozory. Miejsce wcześniejszych strategii zajęła bowiem chaotyczna reaktywność żerująca na słabości przeciwników zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych. Turecka gospodarka znalazła się na krawędzi katastrofy, a w ratingach inwestycyjnych została ona zdegradowana do poziomu B1, czyli wysoko spekulacyjnego. Turecka waluta poleciała na łeb na szyję. Nie ma też wątpliwości, że choć to Turcja szantażuje Europę migrantami, to stopień uzależnienia handlowego Turcji od UE jest tak duży, że skuteczne sankcje zniszczyłyby turecką

gospodarkę w kilka tygodni. Erdoğan, który z wykształcenia jest ekonomistą, sam ręcznie steruje finansami kraju, a w 2018 r. ministrem finansów uczynił swego zięcia Berata Albayraka.

Nie lepiej jest w polityce zagranicznej Turcji. Jej sukcesy polegają na wymuszaniu szantażami ustępstw na tradycyjnych partnerach i sojusznikach. Z jednej strony umożliwiło to Turcji zajęcie niektórych terenów w północnej Syrii, z drugiej jednak spowodowało, że Turcja nie ma już prawie żadnych przyjaciół. Wyjątkiem są Katar, którego Turcy chronią przed Saudami i Emiratami, oraz rząd libijski w Trypolisie, oblężony przez siły gen. Haftara i broniący się tylko dzięki powiązaniom z Al-Kaidą milicjom oraz tureckim dronom. Erdoğanowska Turcja ma też dobre stosunki z Rosją i Iranem, ale trudno tu mówić o przyjaźni. Relacje te, zwłaszcza z Rosją, mają charakter transakcyjny, i to nie Turcja jest w nich stroną silniejszą oraz uzyskującą więcej. Budowa Turkish Stream i rosyjskiej elektrowni atomowej Akkuyu, a także zakup S-400 i deale Erdoğan z Putinem w sprawie Syrii wciągają Turcję w coraz większe uzależnienie od Rosji. Erdoğan stara się też kreować na przywódcę świata islamu, ale jest jednocześnie w konflikcie z niemal wszystkimi krajami arabskimi. Opiera się więc na dżihadystach i ekstremistach, uznawanych często za terrorystów. To jeszcze mocniej oddala go od tradycyjnych sojuszników. A gdy Zachodowi skończy się cierpliwość, Turcji pozostaną tylko Rosja i Al-Kaida. Kraj może wówczas ogarnąć wojna domowa podobna do tej w Syrii.

Erdoğan chciałby być drugim Atatürkiem. Zresztą rządzi Turcją dłużej niż twórca republiki i jakikolwiek inny jej przywódca. Chociaż wyrósł ze zwalczanego przez kemalistów nurtu islamistycznego, to utrzymał kult Atatürka. Połączenie islamizmu z nacjonalizmem i Atatürkowskim republikanizmem przypomina równoczesne odwoływanie się w putinowskiej Rosji do tradycji ZSRS, prawosławia i carskiej Rosji. Zresztą Erdoğan naśladuje Putina również w innych rzeczach. Na przykład w byciu superbohaterem. Putin wyławiał z morza antyczne wazy, a Erdoğan uratował samobójcę chcącego skoczyć z mostu akurat w momencie, gdy „przypadkowo” przejeżdżała tam kolumna prezydencka. Erdoğan wie też, że nie może stracić władzy, bo wszczęte zostaną wówczas procesy dotyczące korupcji oraz nadużyć i na starość może on ponownie zakosztować więziennej stawy. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

KUPUJ ŚWIADOMIE

Kupując żywność z oznaczeniem

**PRODUKT
POLSKI**

masz pewność, że została
wytworzona w Polsce
na bazie krajowych surowców



Wybierając żywność
ze znakiem

**PRODUKT
POLSKI**

Oznaczenie
produktów tym znakiem
jest DOBROWOLNE

wspierasz polskich producentów
oraz krajową gospodarkę
i rolnictwo



www.polskasmakuje.pl/produkt-polski/





Olivier Bault

Drugi rząd bezpartyjnego włoskiego prawnika niczego nie załatwił. Rządząca koalicja nadal trzeszczy w szwach

Matteo Salvini chciał samodzielnie rządzić Włochami. Przeliczył się, zablokowała go opozycja, „Zbawienny kryzys. Upadek pierwszego w dziejach Włoch populistycznego rządu”, „Wzlot i upadek Matteo Salvini: Matteo Salvini igrał z ogniem – i się sparzył”, „Conte znów premierem. Miejsce Salvini w koalicji z Ruchem 5 Gwiazd zajmie Partia Demokratyczna” – oto przykładowe tytuły polskiej prasy z końca sierpnia, kiedy ogłoszono we Włoszech powstanie drugiego rządu Giuseppe Contego na czele koalicji Ruchu 5 Gwiazd (M5S) z centrolewicową Partią Demokratyczną (PD). Był to alians partii uważającej się do tej pory za antysystemową i typowej partii systemu, z której wyłaniały się ostatnie rządy Matteo Renziego i Paola Gentiloniego sprzed powstania populistycznej koalicji M5S i Ligi Matteo Salvini.

Gdy w pierwszej połowie sierpnia posłowie partii M5S głosowali przeciw dalszej budowie linii kolejowej dużych prędkości między włoskim Mediolanem a francuskim Lyonem, pomimo zapewnień premiera Contego, iż jego rząd dokończy tę budowę, dofinansowaną ze środków europejskich, Matteo Salvini ogłosił, że rząd najwyraźniej nie ma większości w parlamencie i należy rozpisać nowe wybory. Budowa ta od miesięcy była kością niezgody między lewicowymi a prawicowymi populistami. Liga to partia liberalno-konserwatywna (liberalna w sferze gospodarki, kładąca nacisk na potrzebę rozwoju przemysłu, konserwatywna w sferze obyczajowej), podczas gdy M5S to partia lewicowo-liberalna (lewicowa w sferze gospodarki, skoncentrowana na ekologii, liberalna w sferze obyczajowej). Wiele je różniło, a umowa koalicyjna zawarta wiosną 2018 r. omijała najbardziej sporne kwestie.

Ogólny układ był zatem taki, że za walkę z imigracją i bezpieczeństwo obywateli odpowiadał minister spraw wewnętrznych Matteo Salvini, a za sprawy socjalne minister rozwoju gospodarczego, pracy i polityki socjalnej Luigi Di Maio, czyli lider



Salvini wkrótce premierem?

M5S. Wiosną 2018 r. żadna inna koalicja nie była brana pod uwagę; razem z centroprawicową partią Silvia Berlusconi Forza Italia oraz z narodowcami z partii Fratelli d'Italia, z którymi przystępowała do wyborów w marcu 2018 r., Liga nie miała bowiem wystarczającej większości w parlamencie. Z kolei Ruch 5 Gwiazd, choć nominalnie wygrał te wybory, gdyż dostał najwięcej głosów jako samodzielna partia (prawie 33 proc.), też nie miał większości. A wówczas sojusz z arcyantysystemową Partią Demokratyczną Matteo Renziego i Paola Gentiloniego absolutnie nie wchodził w grę, pomimo iż światopoglądowo Ruchowi 5 Gwiazd zawsze było tak naprawdę bliżej do PD niż do Ligi.

CORAZ WIĘKSZE PĘKNIĘCIE

Jednakże w sierpniu tego roku, po nieco ponad 12 miesiącach wspólnego rządzenia z Ligą, przyspieszone wybory oznaczałyby pewną przegraną dla włoskiej lewicy. Liga Salvini, która zaskoczyła wszystkich w marcu 2018 r., osiągając w ramach prawicowej koalicji wynik lepszy niż partia Berlusconi (17,35 proc. do 14 proc.), w sondażach utrzymywała się od miesięcy na poziomie ok. 30–35 proc. Po zdecydowanej wygranej Ligi w majowych wyborach europejskich Luigi Di Maio i jego partia

zaczęli bardziej zdecydowanie przeciwstawiać się ważnym dla Ligi postulatом dotyczącym zwiększenia autonomii regionów i obniżki podatków. Stawało się więc coraz bardziej ewidentne, że dopiero powstanie nowego, prawicowego rządu mogłoby dać Salviniemu odpowiednie pole do działania, aby połączyć walkę z imigracją i nadmiernymi ingerencjami Brukseli z reformami gospodarczymi, bez których Włochy nie mogą wyjść z marazmu gospodarczego i wydostać się z błędnego koła zadłużenia. Gdyby pozostała w koalicji z lewicowym Ruchem 5 Gwiazd i nadal firmowała kosztowne postulaty swojego koalicjanta w sferze socjalnej (np. tzw. dochód obywatelski) i gospodarczej (np. rezygnacja z eksploatacji złóż gazu w Morzu Adriatyckim), Liga mogłaby na dłuższą metę stracić wiarygodność w oczach wyborców i nie być już w stanie wygrać kolejnych wyborów, które muszą odbyć się najpóźniej w 2023 r.

Jednakże, z inicjatywy m.in. byłego premiera Matteo Renziego i założyciela M5S Beppe Grillo oraz przede wszystkim pod wpływem niekorzystnych dla nich sondaży, dwie partie lewicowe, które do tej pory wylewały na siebie kubły pomyj i wykluczały wszelką możliwość współrządzenia, dogadały się i dopro-



Matteo Salvini niedawno przeliczywał w politycznej rozgrywce. Jednak koalicja rządowa może się rozpaść

FOT. MONDADORI PORTFOLIO/GETTY IMAGES



wadziły do stworzenia nowego rządu, nie zmieniając premiera. Premiera, jak widać, o poglądach niezwykle giętkich, gdy trzeba utrzymywać się na stanowisku i zablokować ewentualne premiershipwo Matteo Salviniego. To bowiem chęć wykluczenia Ligi była głównym motorem zawiązania nowej koalicji. Jak na razie to się udało, ale czy aby na długo?

NIE DOPUŚCIĆ DO WYBORÓW

Pod względem kłótni i podziałów obecna koalicja w niczym nie ustępuje poprzedniej. Dlatego wielu komentatorów jest zdania, że nie przetrwa ona do 2023 r. i że przyspieszone wybory są tylko kwestią czasu. Choć silnym bodźcem ku zgodzie może okazać się dla skonfliktowanych koalicjantów perspektywa wyboru przez parlament w 2022 r. następcy Sergia Mattarelli na urząd prezydenta Włoch. Jest to ważna funkcja, jak pokazała sytuacja w maju 2018 r., kiedy to Mattarella odmówił powołania rządu M5S i Ligi, w którym ministrem gospodarki i finansów miałyby zostać desygnowani przez Ligę Paolo Savona. Savona jest znanym zwolennikiem dyscypliny budżetowej, bez której żaden kraj nie jest w pełni suwerenny, ale też głośnym krytykiem wspólnej waluty europejskiej. Nie wiadomo, czy lewicy uda się przetrwać

do 2022 r., ale sierpniowy manewr pozwolił jej przynajmniej wybrać komisarza europejskiego, którym został ostatni premier PD Paolo Gentiloni. Dzięki temu w Brukseli Gentiloni objął tekę spraw gospodarczych i finansowych.

Drugą silną motywacją przemawiającą za utrzymaniem się u władzy drugiego rządu Contego jest to, że poparcie dla poszczególnych partii nie uległo istotnej zmianie od początku sierpnia. Po krótkim spadku popularności Liga powróciła do swojego wcześniejszego poziomu 30–35 proc. poparcia w sondażach. Główna zmiana na prawicy dotyczy wzrostu partii Fratelli d'Italia (FdI), czyli Braci Włoskich, na prawym skrzydle Ligi. Z poparciem na poziomie ok. 10 proc. włoscy narodowcy wyprowadzili bowiem w badaniach opinii publicznej centroprawicową partię Forza Italia (FI) Berlusconi, która w razie przyspieszonych wyborów mogłaby liczyć tylko na ok. 6–8 proc. Oznacza to również, że gdyby to dziś doszło do wyborów, nawet bez Berlusconi Liga i FdI miałyby prawdopodobnie bezwzględną większość w parlamencie. Natomiast po lewej stronie sceny politycznej Ruch 5 Gwiazd cały czas oscyluje między 16 a 20 proc. (ostatnio raczej bliżej dolnej granicy), a Partia Demokratyczna ma poparcie ok. 20 proc. w stosunku do ok. 5 proc. dla partii Matteo Renzi, który zaraz po utworzeniu rządu Conte II opuścił PD i stworzył własną partię centrolewicową Italia Viva, wchodzącą w skład koalicji rządowej, w której uczestniczy jeszcze mała lewicowa partia Liberi e Uguali (LeU).

Testem dla drugiego rządu Giuseppe Contego miały być wybory regionalne w Umbrii i Emilii-Romanii, uważanych za bastiony lewicy. Pierwsze z nich odbyły się w Umbrii pod koniec października i były pierwszymi wyborami, w których Partia Demokratyczna startowała razem z Ruchem 5 Gwiazd. W tym regionie, rządzone nieprzerwanie przez lewicę od 50 lat, lewicowa koalicja otrzymała zaledwie 37,5 proc. głosów (w tym tylko 7,4 proc. dla M5S), a prawicowa koalicja na czele z Ligą Salviniego – 57,5 proc. Po porażce wspólnego startu w Umbrii członkowie M5S postanowili wewnętrznym głosowaniu, że partia powinna wystartować osobno w styczniowych wyborach w Emilii-Romanii. Jeśli ten region przejdzie także w ręce prawicy, wówczas nadweręży to jeszcze bardziej

już i tak słabą demokratyczną legitymację koalicji PD z M5S.

A i bez tego piętrzą się kłopoty drugiego rządu Giuseppe Contego. Nowej koalicji, po ponownym otwarciu portów dla statków przewożących nielegalnych imigrantów, nie udało się przekonać europejskich partnerów do ich automatycznej relokacji w całej Unii, jak to postulują M5S i PD. Tymczasem od września imigracja rośnie. Wrzesień był pierwszym miesiącem w tym roku, kiedy liczba imigrantów przybywających do Włoch przekroczyła liczbę z tego samego miesiąca 2018 r.

Innym dużym problemem drugiego rządu Giuseppe Contego jest groźba zamknięcia huty w Taranto, należącej od roku do ArcelorMittal. Po tym, jak Ruch 5 Gwiazd wymusił na koalicji rządowej zniesienie wprowadzonej w 2015 r. przez rząd PD ochrony przed postępowaniem karnym dotyczącym skutków skażenia środowiska przez poprzednich właścicieli huty, francusko-hinduski koncern ogłosił, że nie może dalej prowadzić działalności w Taranto i musi wygasić piec. Zagrożonych jest co najmniej 10 tys. miejsc pracy w regionie, w którym bezrobocie jest duże, a wiarygodność Włoch w oczach inwestorów zagranicznych stoi pod znakiem zapytania.

Kolejnym powodem do starć jest reforma Europejskiego Mechanizmu Stabilności, która przewiduje przymusową restrukturyzację długów krajów, które będą potrzebowały korzystać z dofinansowania EMS, a mają zbyt wysoki poziom deficytów i zadłużenia finansów publicznych. Z długiem publicznym na poziomie powyżej 130 proc. PKB Włochy są na celowniku. Jak się okazuje, premier Giuseppe Conte zgodził się na tę reformę, nie konsultując rozwiązań z parlamentem, co rozwścieczyło opozycję i zachwiało koalicją rządową.

Z tych i innych powodów nikt w tej chwili nie może powiedzieć, jak długo trwać będzie jeszcze obecna koalicja, która powstała głównie po to, aby nie dopuścić do wyborów. Na krótką metę lider Ligi Matteo Salvini rzeczywiście przegrał swój zakład, ale może w każdej chwili wrócić na szczyty władzy – tym razem jako premier prawicowego rządu. Tymczasem po zmianie koalicji rządowej we Włoszech węgierski premier Viktor Orbán oświadczył: „Czekamy na powrót Włoch do naszego klubu”.



NIEPOKÓJ W SPRAWIE POKOJOWEGO NOBLA

Dzień przed tym, jak Pokojową Nagrodę Nobla odebrał premier Etiopii Abiy Ahmed Ali, dziennikarze szwedzkiego „Expressen” opublikowali materiał reportera, który sprawdzał, jak w tym kraju traktowani są członkowie ludu Mursi. Opowiedzieli mu o mordach i pobicich przez rządowych żołnierzy. Wcześniej francuska agencja AFP donosiła o ok. 40 członkach plemienia Bodi zabitych przez siły rządowe.

FOT. ENIK VALESTRAND/GETTY IMAGES

BOHATERKA #METOO SKAZANA

Dwa lata temu w Szwecji niejaka Cissi Wallin napisała na Instagramie, że została kiedyś zgwałcona przez dziennikarza „Aftonbladet” Fredrika Virtanena. Dziennikarz odszedł z pracy, ale podał Wallin do sądu, oskarżając ją o pomówienia. I sąd w Sztokholmie właśnie przyznał mu rację. Pani oskarżająca dziennikarza o gwałt musi zapłacić 5 tys. koron grzywny oraz 90 tys. koron odszkodowania Virtanenowi.

SZTUCZKA Z BANANEM

Na wystawie w Miami zdolny włoski artysta zaprezentował nowatorską pracę. Maurizio Cattelan przytwierdził banana (owoc) do ściany za pomocą srebrnej taśmy klejącej. Inny artysta na tyle zainteresował się tym dziełem, że poszedł na wystawę, zdjął banana ze ściany i go zjadł. David Datuna nazwał swój performance „Głodny artysta”. Dyrektor galerii uznał, że nie było to zniszczenie dzieła, bo „banan to tylko pomysł”, a zamiast zjedzonego owocu szybko przyklejono nowy. I na koniec smaczek: banan w Miami to tylko jedna z „odsoł” tego dzieła. Cattelan już wcześniej przyklejał banany w ramach

sztuki i francuski kolekcjoner kupił sobie takiego banana za 120 tys. dol.

HOJNY BANKOMAT I ZAMIESZKI

W dzielnicy Merlan w Marsylii bankomat zaczął wypłacać podwójne kwoty od wpisywanych na ekranie. Wiadomość szybko rozniosła się w sieci i przed bankomatem ustawiała się ogromna kolejka. Gdy zjawili się tam policjanci i próbowali tłumaczyć, że takie korzystanie z bankomatu jest wykroczeniem, ludzie się zdenerwowali i zaczęły się zamieszki. Kilkunastu policjantów musiało zabezpieczyć bankomat, by mógł do niego dotrzeć technik, który go wyłączył.

HOLENDRZY: KOTY NA SMYCZE

Dwóch holenderskich prawników z Uniwersytetu w Tilburgu, przeświadczonego o tym, że wałęsające się koty zagrażają wielu gatunkom zwierząt, doszło do wniosku, iż w przyszłości te zwierzęta domowe powinno się trzymać na uwięzi. Zdaniem Holendrów można by wydać nakaz trzymania kotów na smyczy – i podstawą takiej regulacji mogłyby być już istniejące dyrektywy Unii Europejskiej. ©©

Łukasz Zboralski



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Przepis na kandydata

Przepis jest prosty: bierzemy celebrytę, najlepiej względnie obłego, który każdemu powie coś miłego, robimy mu szkolenie z występów publicznych (jeśli go potrzebuje), zapewniamy finansowanie, po czym wypychamy go na scenę, żeby mówił rzeczy ogólnie słuszne. Niech opowiada o złych partiach, o walce z podziałami wśród Polaków, o wzmacnianiu społeczeństwa obywatelskiego, niech będzie trochę wierzący, a trochę proaborcyjny, a że naj-

wieksza histeria dotyczy dzisiaj środowiska, niech jeszcze mówi o ekologii. W ten sposób kreujemy produkt polityczny. W jakim celu? A to już zależy od tego, kto i po co wyklada pieniądze.

Tak, dobrze państwo myślą: w ten właśnie sposób myślę o kandydaturze Szymona Hołowni, która nie tylko nie budzi we mnie entuzjazmu, lecz także wywołuje jak najgłębszą nieufność. Nie wierzę w bajki. Nie wierzę więc w to, że pewnego pięknego poranka Hołownia obudził się i powiedział sobie:

„Niedługo wybory prezydenckie. Czas ruszyć tyłek, muszę zmienić Polskę, bo jeśli nie ja, to kto?”

Pytanie brzmi tylko: Po co Hołownia, który nie ma szans na wygraną, a nawet na przejście do drugiej tury, w ogóle startuje? Najlogiczniejsze wydaje się dziś jedno wyjaśnienie: startuje po to, żeby zmobilizować tę część elektoratu, która w innym razie pozostałaby w domu, a następnie przekazać to poparcie w drugiej turze innemu kandydatowi. Któremu? Stawiam, że nie urzędującemu prezydentowi. ©©

CIĘŻKO Z ASTMĄ?



ZŁAP ZA STER!



SPRAWDŹ SWOJĄ ASTMĘ¹



Odczuwasz duszność,
mimo że stosujesz dużo
leków wziewnych?

lub



Stosujesz doustne
sterydy kilka razy w roku
albo na co dzień?

lub



Trafiłeś na szpitalny
oddział ratunkowy
z powodu astmy?



Twoja aktywność jest ograniczona, duszność i kaszel powodują nocne przebudzenia,
masz często krótki, świszczący oddech?

Astma ciężka może dotyczyć właśnie Ciebie

UDAJ SIĘ DO LEKARZA



pierwszego kontaktu,
bądź specjalisty alergologa
lub pulmonologa



Opowiedz
o swoich
dolegliwościach



Zapytaj o program
lekowy leczenia
astmy ciężkiej

SKORZYSTAJ Z REFUNDOWANEGO LECZENIA²



dostępnego bezpłatnie
w specjalistycznych
ośrodkach



Ich pełną listę znajdziesz na:
**[www.mp.pl/pacjent/
astma/astma-ciezka/mapa](http://www.mp.pl/pacjent/astma/astma-ciezka/mapa)**



Wszystkie działania niepożądane produktów leczniczych należy zgłaszać do Departamentu Monitorowania Niepożądanych Działań Produktów Leczniczych Urzędu Rejestracji Produktów Leczniczych, Wyrobów Medycznych i Produktów Biobójczych, Al. Jerozolimskie 181C, 02-222 Warszawa, tel. (22) 492-13-01, fax (22) 492-13-09, zgodnie z zasadami monitorowania bezpieczeństwa produktów leczniczych lub do podmiotu odpowiedzialnego za produkt, którego zgłoszenie dotyczy. Formularz zgłoszenia niepożądanego działania produktu leczniczego dostępny jest na stronie Urzędu www.urpl.gov.pl.

Treści zamieszczone w materiale mają wyłącznie charakter informacyjny, nie mogą być traktowane jako forma konsultacji medycznej i nie mogą zastąpić konsultacji lekarza, do którego należy ostateczna decyzja o sposobie i zakresie stosowanego leczenia.

Referencje: 1. GINA, Difficult-to-treat & severe asthma in adolescent and adult patient, 2019.

Data przygotowania: maj 2019 NP-PL-ASU-PINF-190001



Piotr Włoczyk

Paraliżują prace przemysłu mięsnego, ale „wyzwolenia” domagają się też dla ryb. Aktywiści Animal Rebellion chcą zmusić władze do delegalizacji mięsa. Zakładają swoje komórki w kolejnych europejskich krajach, także w Polsce

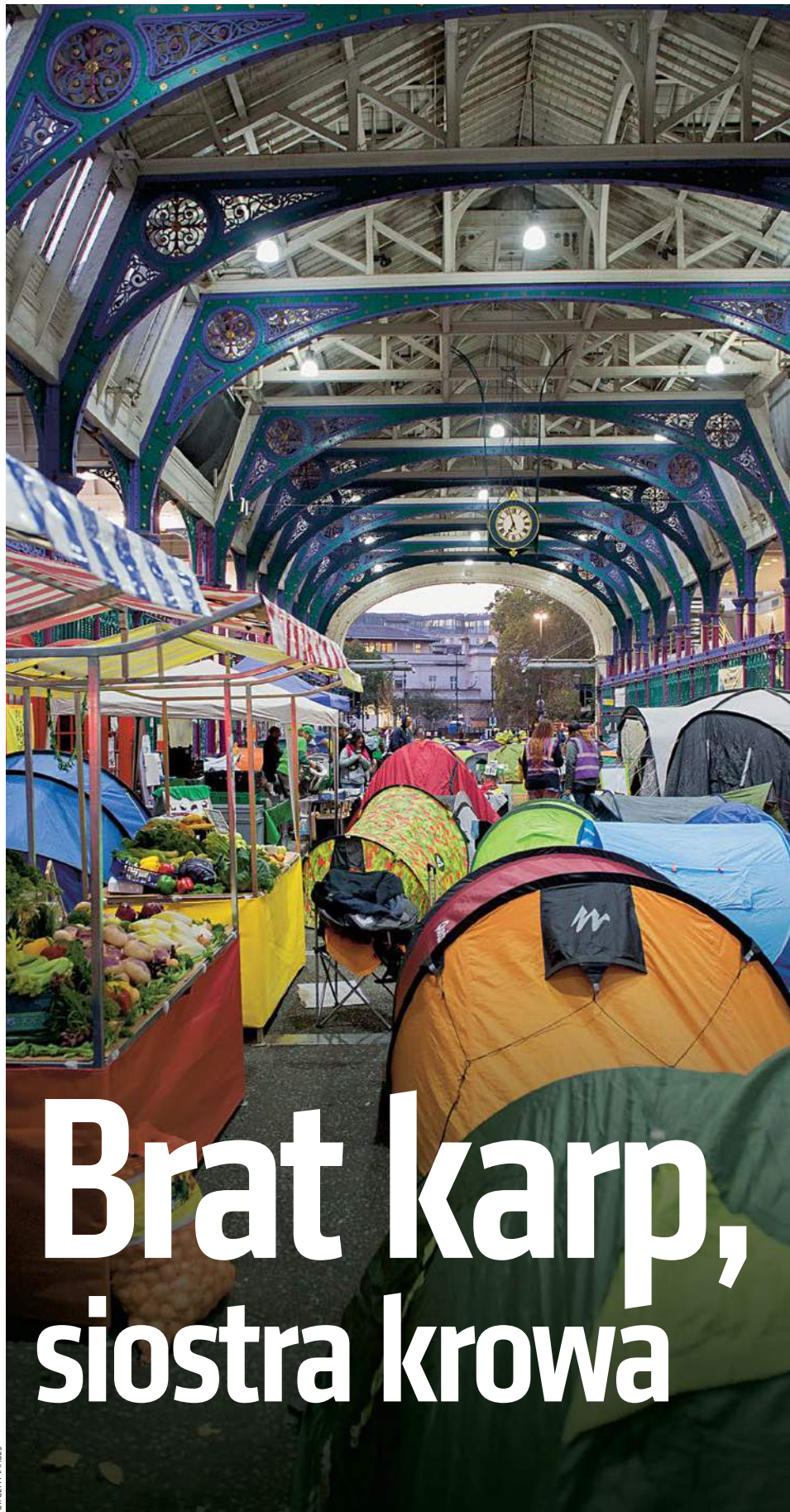
Londyńczycy kupują tu mięso od czasów Henryka II Plantageneta, czyli od ponad 800 lat. Smithfield Meat Market znajduje się w samym centrum brytyjskiej stolicy i jest największym targiem mięsnym na Wyspach. To właśnie tu w wołowinę, baraninę i jagnięcinę zaopatrują się najprzedniejsze londyńskie restauracje i sklepy mięsne. Ostatnio jednak nad targiem zawisły ciemne chmury. Sprzedaż mięsa w Smithfield znalazła się bowiem na celowniku grupy zdeterminowanych aktywistów, którzy dążą do „wyzwolenia” zwierząt i chcą w ten sposób uratować naszą planetę.

8 października członkowie Animal Rebellion („Zwierzęcy bunt”) przejęli cały targ, blokując wejścia, kładąc się w korytarzach i wykładając na stołach do sprzedaży mięsa stosy warzyw. Wśród ich postulatów znalazło się m.in. żądanie, by Smithfield Meat Market został przekształcony w targ warzywny, na terenie którego obrót produktami zwierzęcymi byłby zakazany.

Wściekli sprzedawcy mięsa patrzyli z niedowierzaniem, jak działacze AR chodzili po targu w „procesji pogrzebowej” ku pamięci „zamordowanych” zwierząt. Pochód naśladował uroczystość religijną – uczestnicy nieśli świece i śpiewali kościelne pieśni pogrzebowe. Niektórzy mieli ze sobą transparenty z napisami: „Zakończyć prześladowanie zwierząt”, „Śp. 15 milionów owiec rocznie”.

Przegryzająca marchewkę Katarina z dredami na głowie przekonywała przed kamerą BBC, że „w tym stuleciu ludzie będą się dzielić tylko na dwie kategorie: tych, którzy już są weganami, i tych, którzy do tego dążą”.

„Za każdym razem, gdy myślę o mięsie, widzę zwłoki zwierząt, śmierć, tortu-



Brat karp, siostra krowa

FOT. GETTY IMAGES



ry” – mówił z kolei Terry, kolega Katariny z Animal Rebellion.

Sprzedawcy mięsa liczyli na sprawne działanie policji, by szybko móc wrócić do pracy, ale ta nie kwapiła się z interwencją. Po „procesji pogrzebowej” nieniekajeni przez stróżów prawa działacze AR zawinęli się w śpiwory, uniemożliwiając pracownikom targu przejechanie z towarem. Protest na cały dzień sparaliżował działalność Smithfield Meat Market. Członkowie AR zapowiedzieli, że będą wracali na targ, by na zawsze wyrzucić stamtąd mięso.

„ŚMIERTELNIE POWAŻNI”

Jeszcze bardziej groteskowo wyglądał protest AR na londyńskim (największym w Wielkiej Brytanii) targu rybnym Billingsgate. Również tu aktywiści tarasowali drogi wjazdowe na targ, a niektórzy przykuli się nawet dla pewności do bramy wjazdowej.

O ile na targu mięsnym AR zorganizowała „procesję pogrzebową”, o tyle protest wokół targu rybnego nagłaśniano jako „czuwanie”. „Jest nas tu tak wielu. Przyszliśmy dla ryb. Dla tysięcy ryb tu, na targu, zabitych lub umierających i dla bilionów zabitych w tym roku” – tweetowała przy tej okazji centrala AR.

Laila Kassam, aktywistka AR pracująca w Animal Think Tank, krzyczała przez megafon pod bramą targu rybnego, że zdecydowała się poświęcić życie, by walczyć o sprawiedliwość dla „innych zwierząt” i o sprawiedliwy świat, w którym „wszyscy są wolni”. „Walczę o każdą jednostkę, wliczając w to miliony zwierząt morskich, których ciała leżą na tym targu” – twierdziła. I wyjaśniała, że przez kilka lat pracowała nad projektami mającymi na celu pomóc ludziom z biednych krajów w łatwiejszym dostępie do ryb, ale wraz z przejściem na weganizm ta praca stała się w jej oczach potwornością. „Nie da się wyzwolić ludzi, jeśli najpierw nie wyzwolimy zwierząt” – skwitowała. Policja była tu jednak dużo bardziej zdecydowana niż na targu mięsnym i siłą usunęła protestujących obrońców ryb, aresztując 20 najbardziej krewkich spośród nich.

„Animal Rebellion to wegańskie, bojowo nastawione skrzydło ekowojowników, które chce sparaliżować brytyjskie miasta i planuje, abyśmy przestali jeść mięso, ryby i produkty mleczne – alarmował w swoim stylu brytyjski tabloid »Daily Mail«. – Miło-

śnicy bekonu, jogurtu, kawy z mlekiem czy soczystych steków mogą uważać to za dystopię, ale to wszystko śmiertelnie poważne plany”.

Animal Rebellion to założona pół roku temu w Wielkiej Brytanii organizacja mająca na celu zmuszenie rządów – na początek brytyjskiego – do przedstawienia społeczeństw na konsumpcję wyłącznie produktów pochodzenia roślinnego. AR jest siostrzaną organizacją Extinction Rebellion – coraz silniejszej na Zachodzie sieci aktywistów klimatycznych, którzy poprzez paraliżowanie największych miast chcą wymusić na rządach jak najszybszą „zeroemisyjność” gospodarek. Patronką obu grup jest słynna szwedzka nastolatka Greta Thunberg.

Działacze AR przekonują, że ludzkość powinna odejść od konsumpcji produktów zwierzęcych nie tylko dlatego, że to „niemoralne”, lecz także dlatego, że taka rewolucja w żywieniu ma ochronić

Do brytyjskiej telewizji aktywiści wysłali przedstawiciela, który prowadził rozmowę przebrany w strój wielkiego brokuła

klimat. Jak twierdzą, wyżywienie jednego mięsożercy oznacza emisję średnio ok. 7 kg gazów cieplarnianych dziennie, wegetarianina – 4 kg, ale weganina już tylko 3 kg. Dane te są jednak mocno kwestionowane przez drugą stronę, która przypomina przy tej okazji, że ocenianie stopnia emisyjności poszczególnych produktów żywnościowych może prowadzić do ciekawych wniosków. „Mięsożercy” przywołują tu choćby raport zlecony w 2009 r. przez WWF (World Wide Fund for Nature), który wykazał, że w przypadku Wielkiej Brytanii produkcja pomidorów, papryki czy ogórków bardziej obciąża środowisko naturalne niż hodowla kur czy indyków...

AR działa również w Polsce. Na początku grudnia AR Polska dała o sobie znać, blokując wejście na 6. Forum Sektora Wołowiny, które odbywało się w Warszawie. W porównaniu jednak z protestami AR w największych europejskich miastach polscy obrońcy praw zwierząt wypadli nadzwyczaj blade. Wejście do hotelu, w którym odbywało się forum,

blokowało zaledwie kilkanaście osób przebranych za krowy.

„Zagłada klimatyczna dotyczy wszystkich istot żyjących na tej planecie. Chów przemysłowy jest jednym z głównych źródeł emisji gazów cieplarnianych i przyczynia się do cierpienia naszych braci i siostr. Jeśli będziemy dalej podążać w tym kierunku, to nie zatrzymamy katastrofy – najwyższy czas, żeby to zrozumieć!” – alarmują w mediach społecznościowych polscy aktywiści AR.

KOMPROMITACJA PANA BROKUŁA

W Polsce działacze tej organizacji na razie niemal nie istnieją w świadomości społecznej, ale w Wielkiej Brytanii robi się o nich na tyle głośno, że jej przedstawiciele są już zapraszani do cieszących się największą popularnością programów telewizyjnych. Na szczęście dla mięsożerców zazwyczaj, z uwagi na radykalizm postulatów AR, nie wychodzi to najszcześniejszemu. Bodaj największą kompromitację aktywiści AR zaliczyli w szalenie popularnym programie śniadaniowym „Good Morning Britain” („GMB”). Współgospodarzem „GMB” jest Piers Morgan, gwiazda brytyjskiego dziennikarstwa, która nie ukrywa swoich mocnych lewicowych przekonań. Wydawałoby się wręcz, że to idealna platforma dla szerzenia postulatów AR. Sęk w tym, że obrońcy zwierząt wysłali do „GMB” w charakterze swojego ambasadora mężczyznę przebranego za... brokuła. W czasie rozmowy z Morganem „pan Brokuł” powtarzał tylko, że ludzie muszą rzucić mięso, bo roślinna dieta ratuje planetę. Dziennikarz szybko miał dość takiej rozmowy.

„Coraz więcej dowodów wskazuje na to, że dieta wegańska może mieć zły wpływ na nasze organizmy. Na przykład naukowcy mówią, że dzieci, które karmione są tylko roślinami, mogą być przez to głupsze” – powiedział Morgan, oczekując od gościa jasnej odpowiedzi. Ten rozbijając szczerze przyznał, że nie ma pojęcia o nauce, ale „ludzie powinni przejść na dietę wegańską”.

Miarą porażki AR w rozmowie z Morganem była końcówka wywiadu, kiedy to „pan Brokuł” próbował zaprosić dziennikarza na imprezę wegańską. W odpowiedzi usłyszał od Morgana, że to wykluczone, ponieważ ten będzie jadł wtedy „wielki, soczysty stek”. Wszystkim mięsożercom pozostaje więc mieć nadzieję, że „pan Brokuł” na długi czas pozostanie rzecznikiem prasowym AR.

*Jakub Wozinski*

Amerykański gigant zbrojeniowy Lockheed Martin ma ostatnio w Polsce prawdziwe złote żniwa. Jego historia pokazuje jednak, że pragnąc zapewnić zbyt na własne usługi, potrafi sięgnąć po wszelkie dostępne środki

Popsute w czasach prezydentury Donalda Trumpa relacje transatlantyckie sprawiły, że niemiecka armia na początku roku oficjalnie zrezygnowała z zakupu myśliwców F-35. Ich producent, Lockheed Martin, nie wydaje się zakłopotany tym faktem, gdyż wciąż liczy na to, że w ciągu kolejnej dekady uda mu się sprzedać w całej Europie aż 500 sztuk najnowocześniejszego obecnie wielozadaniowego myśliwca. Brytyjczycy pracują wprawdzie nad własną jednostką o nazwie Tempest, a Niemcy we współpracy z Francją i Hiszpanią rozwijają wciąż projekt Future Combat Air System, lecz moment zakończenia ich prac jest wciąż bardzo odległy. Obecnie jedynym produkowanym seryjnie i sprawdzonym myśliwcem piątej generacji pozostaje F-35, dlatego zarząd i właściciele spółki mogą zacierać ręce z powodu niesłabnącego zainteresowania swoim flagowym produktem.

Dla koncernu Lockheed Martin ostatnie lata są nad wyraz udane, gdyż rynek na myśliwce wielozadaniowe zdecydowanie się powiększył. Jeszcze w latach 90. o zakupie najbardziej nowoczesnych wówczas F-16 mogli marzyć jedynie zamożni sojusznicy Stanów Zjednoczonych z Europy Zachodniej lub kraje otrzymujące tradycyjnie największą pomoc finansową z USA, czyli Izrael, Turcja czy Egipt. Obecnie posiadanie nowoczesnej floty powietrznej przestało już być luksusem, dlatego na liście zainteresowanych najnowocześniejszymi jednostkami można znaleźć co najmniej kilkanaście państw, w tym Finlandię.

KONTRAKT STULECIA

Program produkcji myśliwców F-35 to największy w historii kontrakt zbrojeniowy, uwzględniając samą tylko umowę zawartą między firmą Lockheed Martin a Pentagonem. Opiewa on na łączną kwo-



tę aż 34 mld dol. i przewiduje dostarczenie 478 samolotów (dla porównania Polska zamówiła 32). Dla największego na świecie koncernu produkującego uzbrojenie bicie rekordów w zakresie wartości kontraktów oraz liczby produkowanych na użytek wojska jednostek nie jest bynajmniej czymś nowym. Począwszy od drugiej wojny światowej, firma, której początki sięgają 1915 r., stała się jednym z wiodących dostawców uzbrojenia nie tylko dla USA, lecz także praktycznie całego świata. Jej oszałamiający sukces nie byłby nigdy możliwy bez stałej wymiany kadr z rządową administracją w Waszyngtonie. Zjawisko „karuzeli stanowisk” łączącej przemysł zbrojeniowy z władzami wojskowymi i cywilnymi dotyczy w znacznym stopniu

właśnie firmy Lockheed Martin. Już w latach 60. komisja senatora Proxmire'a wykazała, że w firmie tej pracowało aż 210 byłych wojskowych oficerów. Od tego czasu nie przeprowadzono już tak dokładnych badań, lecz niedawny raport organizacji Project on Government Oversight (POGO) wykazał, że w ostatnich latach co najmniej kilkudziesięciu wysokiej rangi urzędników i oficerów wojskowych znalazło zatrudnienie u producenta F-35.

Bliską współpracę z rządem Lockheed Martin ma niejako w swoim DNA. Początki firmy, którą założyli bracia Allan i Malcolm Loughhead, były bardzo trudne. Jeden z pierwszych zbudowanych przez nich samolotów, skonstruowany w 1918 r. F-1, miał wziąć udział w konkursie ogłoszonym przez US Navy, lecz



Myśliwiec F-16 na lotnisku Poznań-Krzesiny podczas uroczystego przekazania samolotów Polskim Siłom Powietrznym (listopad 2016 r.) FOT. WOJCIECH TRACZYK/EAST NEWS

bracia nie zdążyli na czas. Skoncentrowali się więc na jednostkach, które były wykorzystywane do transportu osób, a ich klientami zostały m.in. gwiazdy Hollywood. W czasie boomu gospodarczego lat 20. firma znalazła nowych inwestorów, lecz wybuch wielkiego kryzysu spowodował, że w 1932 r. została zmuszona ogłosić bankructwo. Wówczas Lockheed Aircraft Corporation została zlicytowana przez sąd upadłościowy i zakupiona przez zupełnie nowego właściciela, który przedstawił firmę na nowe tory, skupiając się na produkcji dla wojska.

WOJENNY INTERES

Europa przygotowywała się właśnie do wielkiej wojny, a Lockheedowi udało się już w 1938 r. zdobyć zamówienie na

200 bombowców Hudson dla Wielkiej Brytanii. Po przystąpieniu USA do drugiej wojny światowej doszły do tego kolejne zamówienia od amerykańskiej armii na dwusilnikowy myśliwiec P-38, którego wyprodukowano aż 10 tys. sztuk. Czasami uważa się, że kontrakt ten mógł być nawet bardziej lukratywny niż ten współczesny na zakup F-35. Dzięki niemu średniej wielkości firma urosła do rangi potentata, przed którym pojawiły się zupełnie nowe perspektywy. Wcześniejszy model działalności, oparty na lotnictwie cywilnym, obarczony był znacznie większym ryzykiem niż współpraca z armią i państwem. Z tego właśnie powodu Lockheed związał się ściśle z sektorem publicznym, a jego kondycja finansowa uzależniła się od skali

wydatków militarnych amerykańskiego państwa.

Zimna wojna stanowiła wręcz idealne warunki do rozwoju. Oprócz stale rosnących potrzeb US Army okazję do zarobku dawała także konieczność uzbrojenia sojuszników armii. Przedstawiciele amerykańskich władz pomagali nieustannie Lockheedowi w zdobywaniu kontraktów, np. grożąc ograniczeniem pomocy finansowej i militarnej w razie wyboru konkurencyjnych myśliwców (np. francuskiego Mirage'a). Gdy w latach 70. wydatki USA na zbrojenie spadły aż o jedną trzecią, potentat zrekompensował sobie straty wielkimi kontraktami w Arabii Saudyjskiej. Kierownictwo Lockheed Martin najbardziej ucieszyło jednak objęcie urzędu prezydenta przez Ronalda Reagana, który wdrażając w życie swoją doktrynę, wysypał przed przemysłem zbrojeniowym worek pieniędzy. Firma skorzystała nie tylko jako producent samolotów bojowych, ponieważ wygrała także przetarg na pociski balistyczne Trident. Od lat 50. Lockheed produkował zresztą także m.in. pojazdy kosmiczne, rakiety, a nawet okręty desantowe, dlatego na współpracy z Pentagonem zarabiał znaczne sumy.

ROZSZERZENIE NATO

Rozpad bloku sowieckiego wytworzył swego rodzaju pustkę, gdyż po raz pierwszy od wielu dekad Stany Zjednoczone nie miały wielkiego wroga, a potrzeby militarne całego świata ewidentnie zmalały. W nowej – wydawałoby się – kłopotliwej sytuacji pomógł odnaleźć się nowy prezes spółki, Norman Augustine. W 1995 r. został szefem nowej spółki noszącej nazwę Lockheed Martin, powstałej w wyniku fuzji z firmą Martin Marietta, którą wcześniej zarządzał. Kryzys na rynku zbrojeniowym został wykorzystany przez Augustine'a do serii przejęć mniejszych podmiotów z branży zbrojeniowej (m.in. producentów sprzętu elektronicznego). Choć w tamtych czasach tego typu strategia wydawała się ryzykowna, czas pokazał, że okazała się niezwykle skuteczna. Nazywany niekiedy „świętym Augustynem branży zbrojeniowej” przez koncernu Lockheed Martin miał w okresie rządów Billa Clintona ogromne wpływy w Pentagonie i Białym Domu, dlatego m.in. dzięki jego lobbingsowi przyspieszono proces



Prezydent Andrzej Duda i minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak oglądają myśliwiec Lockheed Martin F-35 Lightning II podczas XXVII Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego w Kielcach (wrzesień 2019 r.) FOT. RAFAŁ GUZ/PAP



■ poszerzania NATO o nowe kraje członkowskie, w tym oczywiście o Polskę.

Augustine postarał się o stworzenie specjalnego rządowego funduszu pożyczkowego dla państw pragnących zakupić uzbrojenie z USA o wartości 15 mld dol. Jednocześnie wybrał się na swego rodzaju tournée po Europie Środkowo-Wschodniej, odwiedzając Polskę, Rumunię, Czechy i Węgry. Zdaniem autora książki „The Prophets of War” Williama D. Hartunga w Rumunii miał nawet otwarcie uzależnić poparcie dla przystąpienia tego kraju do NATO od zakupu nowego systemu radarów od Lockheed Martin. Oprócz tego wynajęci przez amerykańskiego potentata specjaliści mieli organizować specjalne seminaria z zakresu polityki obronnej w państwach Grupy Wyszehradzkiej, mające na celu zwiększenie poczucia zagrożenia ze strony potencjalnych wrogów.

Strategia przyjęta przez Augustine’a okazała się skuteczna, gdyż nowe kraje członkowskie NATO stały się ważnym odbiorcą sprzętu produkowanego przez jego firmę. Polska po zakupie myśliwców F-16 w 2003 r. weszła do grona stałych klientów Lockheed Martin, nabywając w ostatnim czasie chociażby wyrzutnie obrony powietrznej Patriot. Z perspektywy największej firmy zbrojeniowej najbardziej istotne jest to, że nowe rynki zbytu udało się zdobyć m.in. za sprawą pieniędzy amerykańskiego podatnika. Kolejne rządy godzą się na wdrażanie kosztownych programów badawczych poprzedzających wprowadzanie nowych generacji myśliwców, gdyż zyskuje na tym amerykański eksport. Uzależnienie od publicznych zamówień sprawiło, że w ciągu

lat Lockheed Martin podjął działalność w bardzo nietypowych obszarach.

W swej historii firma zajmowała się (lub nadal zajmuje) m.in. pobieraniem opłat parkingowych, ściąganiem alimentów, zapewnianiem opieki społecznej dla samorządów czy tworzeniem monitoringów. Niestety w szerokiej gamie działalności spółki można znaleźć także usługi pozwalające domniemywać współudział w niechlubnych okrucieństwach, których dopuszczali się amerykańskie wojska w swoich bazach. W maju 2005 r. Lockheed Martin przejął firmę Sytex Corporation, zapewniającą usługi tłumaczeniowe oraz zajmującą się przesłuchaniami, a jego pracownicy byli obecni m.in. w bazie Abu Ghraib. Pięćdziesięciu pracowników firmy przesłuchiwało także więźniów w bazie w zatoce Guantánamo na Kubie.

OPARCIE W WASZYNGTONIE

Amerykański potentat zbrojeniowy przez lata nauczył się radzić sobie z wybuchającymi co jakiś czas skandalami z jego udziałem za sprawą swoich wpływowych obrońców. Już w latach 70. za Lockheed Martin wstawiał się sam Henry Kissinger. W czasach George’a W. Busha parasol ochronny nad firmą rozpinał m.in. Dick Cheney, którego żona Lynne zasiadała w latach 1994–2001 w zarządzie spółki. Obecnie zaś wiele mówi się o świetnych relacjach prezesa koncernu Lockheed Martin, Marillyn Hewson, z prezydentem Donaldem Trumpem. Zbrojeniowy gigant zatrudnił jakiś czas temu byłego współpracownika wiceprezydenta Mike’a Pence’a na stanowisku specjalisty ds. relacji z rządem, a wizytę w jednej z hal produkcyjnych w stanie

Kolorado złożyła Ivanka Trump. Wiele mówi się także o tym, że kierownictwu Lockheed Martin bardzo podoba się polityka obecnego prezydenta oparta na wsparciu dla rodzimego przemysłu. W czasach rosnącej międzynarodowej konkurencji na rynku zbrojeniowym może to mieć wielkie znaczenie. Pomiędzy tym, że powszechnie uważa się, iż na szczególne względy w Waszyngtonie może liczyć przede wszystkim Boeing, Lockheed Martin z pewnością nie jest na straconej pozycji.

Biorąc pod uwagę dotychczasową historię słynnej firmy, nie sposób nie zadać pytania o to, w jakim stopniu obecna polityka Stanów Zjednoczonych wobec Polski i całego regionu stanowi pochodną wysiłków amerykańskiego giganta zbrojeniowego na rzecz zapewnienia sobie rynków zbytu. W czasach rządów Obamy budżet militarny został zredukowany, aby pod rządami Trumpa ponownie zaczął piąć się w górę. Obecny prezydent znany jest na razie głównie z wojen handlowych, lecz nie lekceważy bynajmniej kwestii militarnych. Za sprawą jego nacisków wydatki wojskowe zaczęły zwiększać także inne kraje NATO, co z pewnością najbardziej ucieszyło amerykański przemysł zbrojeniowy.

Swego czasu wspomniany już były prezes Lockheed Martin Edward Augustine sformułował kilkadziesiąt praw dotyczących zagadnień militarnych. Jedno z nich głosiło, że do 2054 r. cały budżet obronny USA wystarczy na zakup jednego myśliwca. Realizacja tego scenariusza nie wydaje się na razie prawdopodobna, lecz samo prawo ukazuje pewną istotną prawidłowość. Kolejne myśliwce konstruowane przez coraz bardziej zmonopolizowany sektor zbrojeniowy pochłaniają coraz więcej środków finansowych. Stworzenie jednostek nowej generacji będzie kiedyś kosztowało zawrotne sumy, których amerykańskie państwo nie będzie w stanie wyasygnować. Wygenerowanie większych oszczędności wymagałoby wprowadzenia większej konkurencji w ramach całej branży, lecz nie ma do tego woli politycznej. Lockheed Martin ma zawsze do swojej dyspozycji żelazny argument w postaci zapewniania dziesiątków tysięcy miejsc pracy w całym kraju, co sprawia, że niewielu jest chętnych do tego, aby kwestionować jego uprzywilejowaną pozycję.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM

Na pewno wolni od Gazpromu?

Nie wiem, ilu Polaków czekało na ten komunikat PGNiG, ale zakładam, że wcale nie ma – choć w natłoku informacji i tak wielu z nich mógł on umknąć i być może umknął. Chodzi o niedawno ogłoszony komunikat giełdowy, w którym spółka Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo poinformowała, że przekazała Gazpromowi oświadczenie woli zakończenia obowiązywania kontraktu jamalskiego z dniem 31 grudnia 2022 r.

Nie wiem, na ile wydarzenia to można porównywać do uwolnienia się w 1993 r. przez Polskę od wojsk sowieckich (tego typu zestawienia zawsze są niezwykle ryzykowne), wszelako skojarzenie to może się nasuwać, tym bardziej że Rosjanie nigdy nie ukrywali, choć – rzecz jasna – także się tym publicznie nie przechwalali, że używają gazu również jako środka presji politycznej. A także jako środka wyzysku ekonomicznego, czego Polska jest chyba najlepszym przykładem – niemal zawsze płaciliśmy za rosyjski gaz niemal najwyższe, a nierzadko po prostu najwyższe stawki w Europie. I wciąż takie płacimy.

Szef PGNiG Piotr Woźniak szacuje ten drenaż Polski – czyli drenaż kieszeni wszystkich polskich użytkowników gazu (a kto nim, w ten czy inny sposób, nie jest?) – w ostatnich latach na z grubszą miliard złotych rocznie. To dawałoby – w dużym przybliżeniu – między 20 mld zł a 30 mld zł w ciągu trzech mijających dekad (o czasach

PRL nie ma nawet co wspominać), czyli górę pieniędzy, które można było wydać na coś naprawdę pożytecznego, zamiast na uzbrajanie niezbyt nam przecież przyjaznej rosyjskiej armii...

Wszelako o tym, czy ten komunikat PGNiG, to oświadczenie woli ma rzeczywiście wagę historyczną – a oby miało – przekonamy się dopiero za trzy lata, w roku 2023 i latach następnych, gdy władze tej spółki przejdą od słów do czynów i zgodnie z zapewnieniami będą w stanie sprostać zapewnieniu wszystkim odbiorcom w Polsce dostaw błękitnego paliwa w potrzebnej im ilości, bez konieczności posiłkowania się gazem z Rosji.

I oby tak się stało. Oby do tego czasu rzeczywistość zbudowano i oddano do użytku gazociąg Baltic Pipe – z Danii do Polski, mający nam zapewnić rocznie od 7 do 10 mld m sześć. gazu z Norwegii, oby do tego czasu zwiększono przepustowość Gazoportu z obecnych 5 mld do 7,5 mld m sześć. rocznie i oby na czas powstały wszystkie dodatkowe, niezbędne, międzynarodowe połączenia do przesyłu gazu.

Już tylko z tego wyliczenia wynika, jak wiele jeszcze trzeba zrobić – i w jak krótkim czasie – by w rzeczywistości, a nie tylko na poziomie deklaracji, które zawsze łatwo się składa, uwolnić się od Gazpromu. Czyli przestać być nań – całkiem dosłownie – skazanym. I zimą – w styczniu oraz lutym 2023 r. – a potem także każdej następnej zimy móc się cieszyć z odzyskanej wolności w ciepłych mieszkaniach. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Mądrzy, ale bez wiary w siebie

Wyniki badania PISA pokazały, że polska młodzież należy do światowej czołówki – pierwsza dziesiątka – pod względem umiejętności czytania i rozumienia tekstu, rozwiązywania problemów matematycznych i wiedzy z dziedziny nauk przyrodniczych. Najlepsze wyniki na świecie uzyskują Chiny i Singapur, w Unii Europejskiej zaś Estonia. Nakłady na wykształcenie jednego ucznia są w Polsce znacznie niższe niż przeciętnie w krajach OECD i pod względem efektywności nakładów na edukację wyprzedza nas tylko Estonia. To powód do dumy. Co prawda jednocześnie te wyniki powinny nas skłaniać do refleksji, jak to możliwe, że mamy jeden z najbardziej efektywnych systemów szkolnictwa podstawowego i średniego, a jednocześnie polskie uczelnie są daleko w rankingach. To jednak temat na inny felieton.

Szkoła to nie tylko wiedza i umiejętności, lecz także kształtowanie postaw życiowych. W badaniu PISA analizowano również poziom wiary w siebie uczniów (ang. growth mindset). Uczniom zadano pytanie, czy zgadzają się ze stwierdzeniem, że nie mają wpływu na poziom swojej inteligencji, i uszeregowano kraje według odsetka tych, którzy się nie zgodzili z tym stwierdzeniem. Okazało się, że najwyższy poziom wiary w siebie mają uczniowie w Estonii, Polska zaś jest na szarym końcu, między Albanią a Libanem. Według badań OECD uczniowie, którzy są

przekonani, że mogą kształtować swoją inteligencję, osiągają znacznie lepsze wyniki w czytaniu niż ci, którzy w to nie wierzą, nie boją się porażek i mają silniejszą motywację do osiągania celów. Można nawet postawić tezę, że jeżeli podniesiemy poziom wiary w siebie polskich uczniów, to nasza młodzież może jeszcze poprawić swoje wyniki we wszystkich dziedzinach, a w czytaniu ze zrozumieniem może dogonić najlepszych na świecie Chińczyków.

Dlatego warto zastanowić się, jak udoskonalać programy nauczania w polskich szkołach, ale nie tylko pod względem treści, lecz przede wszystkim w celu modyfikowania postaw uczniów i zwiększenia ich wiary w siebie. Raport OECD daje wiele dobrych wskazówek, jak to zrobić, w tym wskazuje się na uczenie studentów o neuroplastyczności mózgu, który ulega zmianom pod wpływem podejmowanych działań. Gdy byłem rektorem największej uczelni ekonomicznej w Kazachstanie, odwiedziłem sześć miast i przeprowadziłem ponad 50 interaktywnych zajęć dla licealistów na temat neuroplastyczności mózgu i skutecznych metod uczenia się. Młodzieży wcześniej nikt tego nie tłumaczył, były dziesiątki pytań i po zajęciach byłem otaczany wianuszkami uczniów z pytaniami, których nie zdążyli zadać.

Nauczyciele w Polsce wykonują świetną robotę, warto to publicznie docenić i nagłośnić. ©©

Autor pełni funkcję chief ideatora w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

*Jacek Przybylski*

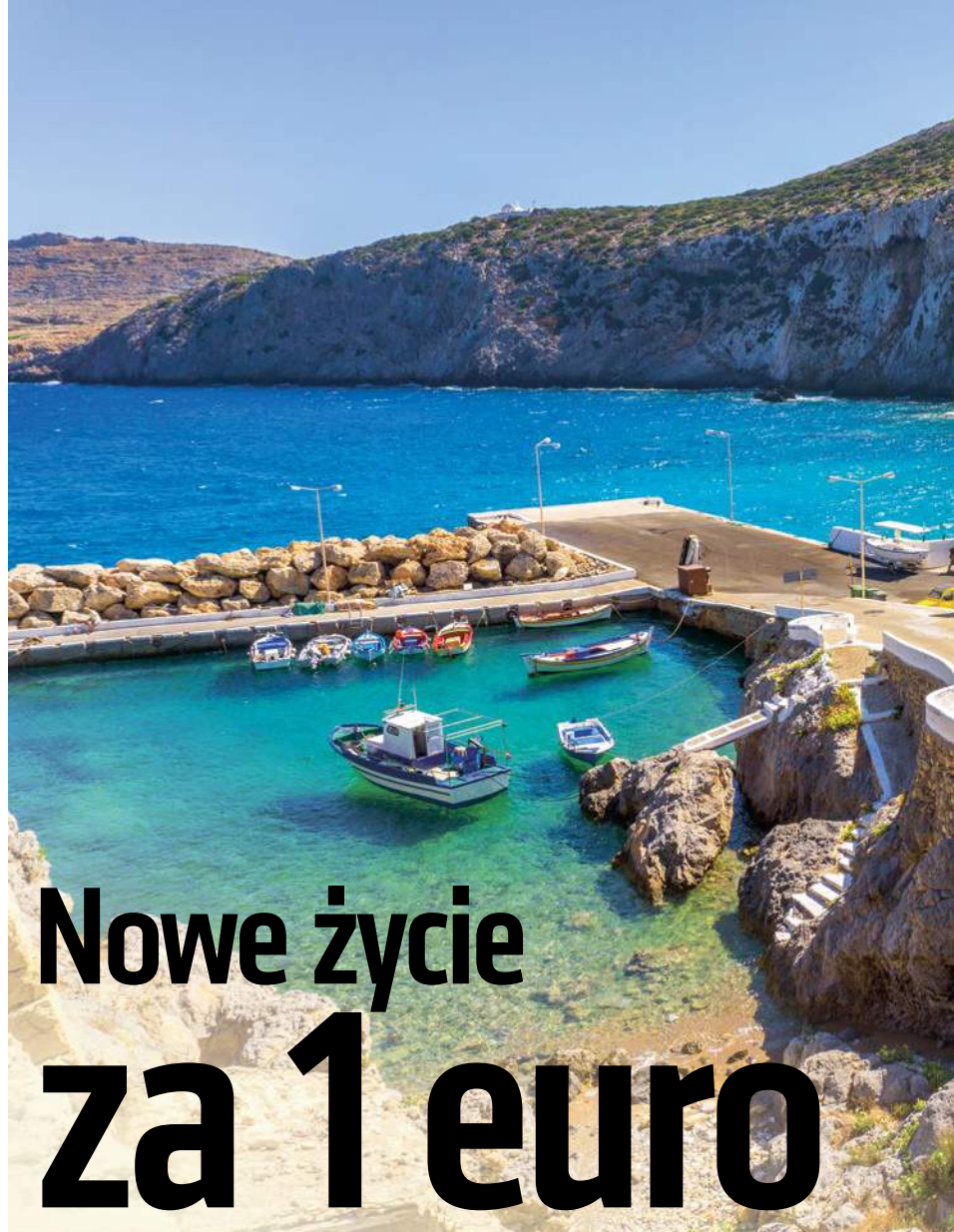
Gwałtowne wyludnianie się miast to coraz większy problem wielu regionów na świecie. Władze kuszą więc domami za cztery złote, a także sowitymi premiami dla tych, którzy zdecydują się przeprowadzić na rajska grecką wyspę, do włoskich miasteczek lub do wybranych miast USA

Jeszcze nigdy los nie był aż tak łaskawy dla tych, którzy od lat marzą tylko o tym, aby wreszcie rzucić wszystko i wyjechać nie tyle w Bieszczady, ile np. do Włoch, Grecji, Niemiec czy Stanów Zjednoczonych.

Starzejące się społeczeństwa i ucieczki młodych do wielkich miast sprawiają, że coraz więcej samorządowców przyciąga do swych opustoszałych miejscowości ofertami sprzedaży domów za symboliczne 1 euro. Niektórzy – np. władze miasta Cammarata we Włoszech – gotowi są oddać nieruchomości bezpłatnie, aby tylko zyskać nowych podatników i nie musieć marnować pieniędzy z miejskiej kasy na konserwację i remonty pustostanów. W wielu sytuacjach już sama oferta sprzedaży domów za 1 euro stanowi udany chwyt marketingowy, który ożywia gospodarkę regionu, odwiedzanego nagle przez setki potencjalnych inwestorów i tysiące ciekawskich turystów.

Lista samych tylko włoskich miejscowości, które w ten nietypowy sposób próbują walczyć z wyludnieniem, liczy już co najmniej kilkanaście pozycji i wydłuża się z miesiąca na miesiąc. Domy za 1 euro można kupić zarówno w dużych miastach (np. w sycylijskim Salemi), jak i w małych wsiach (np. w Carrega Ligure, położonej na wysokości 958 m n.p.m. w regionie Piemont, liczącej mniej niż 90 mieszkańców). Do wyboru są miasta na Sardynii, w Toskanii, Kampanii, Abruzji czy Lacjum.

W większości przypadków warunki tego typu akcji promocyjnych są bardzo podobne. Aby przejąć na własność opuszczone nieruchomości, trzeba wpłacić kaucję i zadeklarować przeprowadze-



Nowe życie za 1 euro

nie gruntownego remontu zniszczonych domów. Nieruchomości są w różnym stanie. Czasem wystarczy remont za 15–40 tys. euro (równowartość od ponad 60 tys. zł do przeszło 170 tys. zł), a czasem to rudery, które wymagają inwestycji 100 tys. euro.

Do tego należy wpłacić depozyt w wysokości ok. 2–5 tys. euro, który jest zwracany po zatwierdzeniu wykonania umówionych prac. Dokładny projekt zmian trzeba zazwyczaj przedstawić w ciągu roku od nabycia nieruchomości, a prace zacząć w ciągu kilku tygodni od otrzymania pozwolenia na budowę i skończyć w ciągu trzech lat od przejęcia nieruchomości. Przyszły mieszkaniec musi również pokryć wszelkie koszty administracyjne (ok. 500 euro za rozpatrzenie sprawy dotyczącej jednego domu), opłaty notarialne oraz koszty tłumaczeń, a także zapłacić podatek

od nieruchomości (od 100-metrowego domu wynosi on ok. 300 euro rocznie).

Szybko okazuje się więc, że nieruchomości za cztery złote tak naprawdę kosztują kilkadziesiąt tysięcy. Tak czy owak to często dobry interes, bo dom w ciepłym śródziemnomorskim klimacie można kupić w cenie niższej niż przeciętna wartość mieszkania w Katowicach.

O tym, jak wiele osób uważa podobnie, świadczyć może sukces akcji choćby sycylijskiego Sambuca di Sicilia, zabytkowego miasteczka zamieszkanego przez zaledwie 6 tys. osób, z dostępem do Morza Śródziemnego i leżącego w samym środku rezerwatu przyrody. Jego burmistrz zauważył, że gdy tylko w światowych mediach rozeszła się wiadomość o wyprzedaży opuszczonych domów za 1 euro, telefony nie przestawały dzwonić, a miasteczko doświadczyło prawdziwej inwazji potencjalnych kupców. Władze



Dzięki zachętom grecka wyspa Andikitira szybko znalazła nowych mieszkańców

FOT. ADOBE STOCK

miasta otrzymały ponad 100 tys. zapytań z różnych części globu.

Nowych właścicieli – z Argentyny, Chin, Francji, Rosji, Wielkiej Brytanii i USA – błyskawicznie znalazło ponad 40 nieruchomości o powierzchni od 40 do 150 mkw. Tylko część sprzedano ostatecznie za symboliczne 1 euro. Cena wielu domów podczas licytacji zainteresowanych inwestorów wzrosła zaś do 10 tys. czy 25 tys. euro. Sukcesem zakończyła się też akcja sprzedaży opuszczonych i zdewastowanych domów w sardyńskiej miejscowości Ollolai. W ciągu kilku miesięcy Sardynczykom udało się sprzedać 12 domów, w tym pięć rodzinom z Holandii.

Ponad sto opuszczonych nieruchomości sprzedały też władze 11-tysięcznego sycylijskiego miasteczka Mussomeli. I to mimo że wiele z nich było naprawdę w opłakanym stanie, bez klimatyzacji

i bez ogrzewania (tymczasem zimą temperatura w mieście spada czasem nawet do zaledwie 3 st. C). Większość nabywców stanowili cudzoziemcy. Na stronie case1euro.it wciąż można znaleźć oferty sprzedaży nieruchomości w tym sycylijskim mieście w cenie 1 euro. Władze zapewniają, że remont można wykonać samodzielnie, przy udziale np. polskich fachowców lub korzystając z pomocy miejscowych firm.

Również w wyborze oferty, tłumaczeniu dokumentów, kontaktach z urzędnikami i załatwieniu spraw podatkowych można korzystać z usług pełnomocników, w tym specjalizujących się w pośrednictwie tego typu polskich kancelarii prawnych.

DOPLACĄ DO PRZEPROWADZKI

I chociaż mogłoby się wydawać, że oferty domów i apartamentów nabywa-

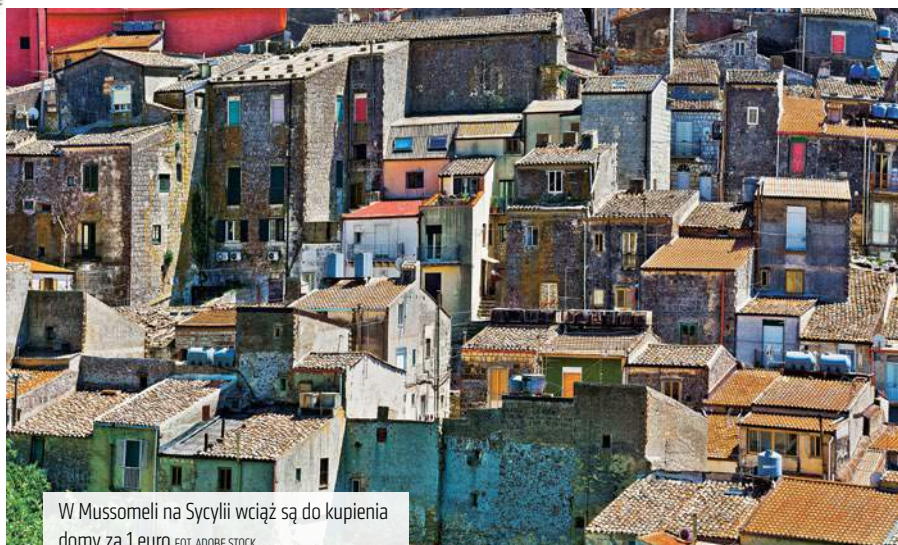
nych za równowartość czterech złotych są zbyt piękne, aby były prawdziwe, to władze opuszczonych miast, wsi i wysp zaczęły oferować jeszcze lepsze warunki dla nowych mieszkańców. Sołtys położonej w północnych Włoszech niewielkiej miejscowości Borgomezzavalle nie tylko umożliwił kupno niektórych domów za 1 euro, lecz także zaoferował dodatkowe benefity: tysiąc euro za każde dziecko, które urodzi się w jego miejscowości, a także 2 tys. euro dla każdego, kto w Borgomezzavalle założy interes i będzie tam odprowadzał podatki.

W styczniu 2019 r. Giovanni Mattiet, burmistrz miasta Locana w północno-zachodniej części Włoch, ogłosił, że osoby, które zdecydują się na przeprowadzkę i rozpoczęcie tam nowego życia, dostaną na start 9 tys. euro, czyli niemal 40 tys. zł. Wypłata dotacji rozłożona jest na trzy lata. Ofertę skierowano głównie do młodych ludzi oraz profesjonalistów, którzy mogą pracować zdalnie (np. dla dziennikarzy czy programistów), lub tych, którzy chcieliby swą działalność wykonać we włoskim miasteczku. Warunkiem było stałe zamieszkanie w Locanie, minimalny roczny dochód w wysokości 6 tys. euro oraz posiadanie dzieci. Położone u wrót parku narodowego Gran Paradiso miasteczko straszliwie się bowiem wyludnia: z 7 tys. mieszkańców populacja spadła do zaledwie 1,5 tys. W 2018 r. na 40 zgłoszeń odnotowano zaś jedynie 10 narodzin.

Ofertę Locany we wrześniu 2019 r. przebiły władze regionu Molise. Za przeprowadzkę do najbardziej wyludnionych miasteczek centralnej części Półwyspu Apenińskiego oferują one chętnym ok. 25 tys. euro, czyli równowartość mniej więcej 110 tys. zł. Do wyboru jest aż 106 miejscowości. Pieniądze nie są wypłacane od razu, lecz w miesięcznych transzach przez trzy lata. Aby je otrzymać, nie wystarczy przenieść się do którejś z wiosek regionu. Trzeba również założyć w niej własną firmę, np. piekarnię, restaurację, sklep, gospodarstwo rolne, pensjonat czy cokolwiek innego. – Nie chcemy, aby nasze miejscowości zamieniły się w miasta duchów – tłumaczył w CNN tę formę promocji lokalny radny Antonio Tedeschi.

RENTA NA RAJSKIEJ WYSPIE

Chociaż media najbardziej nagłaśniają nowe włoskie oferty, to potencjalnych mieszkańców kuszą nie tylko miasta i wsie z Włoch. Nowych mieszkańców w czerwcu 2019 r. zaczęła szukać grecka Andikitira. Niewielka rajska wyspa



W Mussomeli na Sycylii wciąż są do kupienia domy za 1 euro. FOT. ADOLFO STOK

■ o powierzchni zaledwie 20,43 km kw. położona jest między Kithirą a Kretą, do której można się dostać samolotem w ciągu ok. 45 minut lub promem w mniej więcej dwie godziny. Otoczona smaragdowymi wodami wyspa znana jest m.in. z opracowania starożytnego przyrządu do obliczania pozycji ciał niebieskich. I chociaż Andikitera jeszcze niedawno liczyła 800 mieszkańców, to w momencie ogłaszania promocji była zamieszkała już tylko przez 24 (!) osoby. Do portu Potamos coraz rzadziej zawiąły więc jakiegokolwiek statki.

Władze zdecydowały się ożywić wyspę, rozwinąć sektor turystyczny (przed ogłoszeniem promocji był tam tylko jeden hostel), a także rozbudować inne branże. Poszukiwani są więc zwłaszcza rybacy, piekarze, rolnicy, budowlańcy i przedsiębiorcy. Nowi mieszkańcy otrzymają za darmo kawałek ziemi oraz dom. Grecki Kościół Prawosławny zobowiązał się także do wypłacania co miesiąc przez trzy lata specjalnej renty w wysokości 500 euro. I chociaż preferowani byli Grecy, to przynajmniej w teorii cudzoziemcy też mieli mieć szansę na zamieszkanie na wyspie.

Program szybko zaczął przynosić efekty. Na wyspę przeprowadziło się z Aten pięć greckich rodzin i oferta relokacji już jesienią 2019 r. stała się nieaktualna. Dzięki nietypowej promocji w tym roku uruchomiono – po latach przerwy – jedyną na wyspie szkołę podstawową, a o Andikiterze pisały media na całym świecie.

Amatorzy cichego i spokojnego życia na idyllicznej wyspie nadal mogą szukać szczęścia na irlandzkiej Arranmore. Co prawda Irlandczycy z wyludnionej wyspy nie oferują na zachętę darmowych domów ani nawet małej renty w euro, ale za to

przekonują, że szybkość Internetu na wyspie jest porównywalna z szybkością w Nowym Jorku czy Dublinie – co może do tego miejsca przyciągnąć grafików, dziennikarzy, programistów, artystów i inne osoby pracujące zdalnie. Jednocześnie na wyspie nie ma korków, dojazd w dowolne miejsce zajmuje maksymalnie pięć minut, a okolice obfitują w znakomite owoce morza oraz świetne miejsca do nurkowania.

MILIARDER SZUKA NOWYCH SĄSIADÓW

W 2020 r. ma ruszyć nowy nabór chętnych do promocyjnej przeprowadzki do Tulsy, drugiego największego miasta Oklahomy o populacji liczącej ponad 400 tys. osób. Z Tulsy pochodzi George Kaiser. Jeden ze stu najbogatszych ludzi świata w roku 2018 rozpoczął program pod nazwą Tulsa Remote. Miliarder chętnym, którzy przeprowadzą się do jego rodzinnego miasta, zaoferował dotację w wysokości 10 tys. dol. (równowartość 38,7 tys. zł), a także bezpłatną przestrzeń do pracy oraz możliwość wynajęcia mieszkania w atrakcyjnej cenie. Wymagania: ukończone 18 lat, gotowość do przeprowadzki w ciągu sześciu miesięcy, zgoda na co najmniej roczne życie w Tulsie oraz prawo legalnej pracy na terenie USA. Na 100 oferowanych miejsc aplikowało ponad 10 tys. chętnych ze 150 krajów świata. Dwunastu wybrańców ze stu już kupiło domy w Tulsie i zamierza zostać w niej dłużej niż rok.

Nowych, pracujących mieszkańców próbują też przyciągnąć władze szybko starzejącego się stanu Vermont. W maju 2018 r. przyjęły prawo, na mocy którego każdy, kto może pracować zdalnie i na stałe przeprowadzi się do tego jednego z najmniej zaludnionych stanów USA,

otrzyma 10 tys. dol. (ok. 38,7 tys. zł). Pomoc, która ma z założenia pokryć koszty przeprowadzki, podzielona jest na dwie transze wypłacane w pierwszym i drugim roku od zmiany miejsca zamieszkania. Na pierwsze trzy lata funkcjonowania programu przewidziano 100 tego typu „grantów”, a w kolejnych latach po 20 rocznie. Duże zainteresowanie sprawiło, że władze postanowiły, iż nie będą trzymać się sztywno harmonogramu i – według Burlington Free Press – do listopada 2019 r. rozdały już dotację ponad 110 osobom. Program ma też jednak wielu krytyków, którzy przekonują, że tego typu „promocje” przynoszą negatywne rezultaty dla wizerunku i pytania: „Skoro jesteście takim wspaniałym stanem, to dlaczego musicie płacić ludziom, by się do was przenieśli?”.

Władze nie przejmują się jednak takimi opiniami i w projekcie budżetu zapisały już 1,2 mln dol. na pokrycie kosztów przeprowadzki do Vermont tych, którzy przeniosą się do tego stanu i będą pracowali dla lokalnych przedsiębiorstw.

Jeszcze wcześniej – bo już w roku 2013 – specjalnymi „stypendiami” kusili przyszłych mieszkańców władze Detroit (musiały je wprowadzić po tym, jak mało kto chciał kupić w tym mieście opuszczone domy nawet za jednego dolara). „Dywidendy” wszystkim swym mieszkańcom wypłaca również stan Alaska.

TESTOWANIE GÖRLITZ

Procedura prowadząca do uzyskania prawa do pracy na terenie USA nie jest najłatwiejsza. Osoby chcące spróbować szczęścia za granicą mogą jednak o wiele łatwiej sprawdzić, jak wygląda życie u naszego zachodniego sąsiada. Władze przygranicznej miejscowości Görlitz – w której jedna trzecia z 55 tys. mieszkańców ma już ponad 65 lat – oferują darmowy miesięczny pobyt wraz z bezpłatną opieką przedszkolną dla rodzin, które rozważają przeprowadzkę do tego wschodnioniemieckiego miasta i pracę w nim. W zamian trzeba jedynie przedstawić opinię o tym, czego potencjalni mieszkańcy oczekiwali od Görlitz.

Czy test pomoże miastu w zapelnieniu 7 tys. wolnych mieszkań? Z pewnością pomógł już w bezpłatnej reklamie – pomysł niemieckich władz zauważyły bowiem media z wielu krajów świata.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



TEST „DO RZECZY”: SUBWOOFER SONOS SUB

Bardzo dobra jakość dźwięku, możliwość bezprzewodowego połączenia z innymi elementami kina domowego oraz nowoczesny, minimalistyczny design – to największe zalety subwoofera amerykańskiej firmy Sonos.

Sub jak na subwoofer wygląda naprawdę nieźle. Nie da się ukryć, że to solidny kawał gustownie polakierowanego wielkiego pudła z dziurą w środku (ważący aż 16 kg sprzęt mierzy 38,9 x 40,2 x 15,8 cm). To jednak dobra wiadomość, bo przecież im wyższa średnica membrany subwoofera, tym lepsze dynamika oraz ciśnienie akustyczne. Zaletą testowanego modelu jest to, że suba można postawić pionowo lub położyć poziomo i nie ma to żadnego znaczenia dla jakości odtwarzanego dźwięku.

Dołączenie testowanego suba do dowolnego innego zestawu muzycznego firmy Sonos jest banalnie proste, szybkie i – co najważniejsze – nie wymaga użycia kabli. Jeśli ktoś jednak chce, to do podłączenia sygnału można wykorzystać port sieci LAN. Bezproblemowo przebiega również kalibracja, bo funkcję mikrofonu pomiarowego pełni po prostu mikron w smartfonie z zainstalowaną aplikacją Sonosa.

Najważniejszą cechą tego typu sprzętu jest jednak brzmienie. Bas jest głęboki i soczysty, a dzięki temu, że dwa umieszczone naprzeciw



siebie sterowniki głośnikowe skierowane są do wewnątrz wielkiego pudła, projektantom udało się wyeliminować zbędne vibracje, dudnienie czy zgrzyty. W konsekwencji otrzymujemy czystsze i bogatsze brzmienie. Sonos chwali się, że jego Sub potrafi odtwarzać

niskie częstotliwości aż do 25 Hz. Świetnie brzmi nie tylko muzyka rockowa. O wiele mocniejsze wrażenia dają też partie organowe czy fragmenty, w których wykorzystana jest duża orkiestra.

I chociaż na rynku są subwoofery, które brzmią jeszcze potężniej, to bas w Subie jest wystarczająco głęboki, aby zarówno usłyszeć ukochaną muzykę, jak i po prostu ją poczuć. Tego typu sprzęt jest też oczywiście obowiązkowym elementem każdego porządnego kina domowego. Filmy akcji z tak wyraźnymi niskimi rejestrami dają wiele satysfakcji.

Wady? Najważniejsza jest taka, że testowanego subwoofera nie można podłączyć do soundbara innej firmy niż Sonos. Kolejna to rozmiar – niektórym użytkownikom Sub może się też wydawać po prostu za duży. Ostatni minus to cena – jest sporo droższy od standardowych subwooferów. Jednak to sprzęt bezprzewodowy i do tego mający współpracować z firmą Sonos, której produkty ogólnie do tanich nie należą. Ci, których na taki sprzęt stać, powinni być jednak zadowoleni. Cena: 2949 zł. ©©

Jacek Przybylski

PRZENOŚNY LOKALIZATOR

GPS w komórce to fajna sprawa. Mapy, możliwość odnalezienia zagubionej osoby etc., etc. Mniej fajne są opłaty za pakiety danych, w niektórych krajach wciąż jeszcze także, przy okazji, za połączenia telefoniczne. XQUAD, czyli nowy gadżet, który niebawem pojawi się na rynku, umożliwia śledzenie aktualnej lokacji nawet 30 osób bez konieczności użycia telefonów komórkowych.

Problem? Na razie tylko w odległości do ok. 6 km. Zalety? Nie potrzeba specjalnych map, aktualizacji, za to można też wysłać specjalne krótkie wiadomości do osób zapisanych w pamięci urządzenia i np. oznaczać bezpieczne strefy, po których mogą się poruszać. Całkiem fajne dla kogoś, kto wybiera się do Francji czy Szwecji i obawia się, że nie znając miasta, zamiast do hotelu

trafi do no-go zone. Potrzeba tylko dwóch urządzeń, z których jednym będą dysponowali znajomy czy recepcjonista. A bardziej przyziemnie? Można taki lokalizator włożyć dziecku do tornistra lub przypiąć psu do obroży. Urządzenie jest niewielkie, można je nosić także w miejscu zegarka na nadgarstku.

Cena zestawu dwóch XQUAD to ok. 700 zł. Zamawiać można na portalu Indiegogo, a dostawa w lutym.



MAŁA KAMERA KARDANOWA

Jest rozmiaru mniej więcej dłoni i ma wszystko, co w zasadzie jest potrzebne w mobilnej amatorskiej kamerce. Vmate, czyli niewielka kamera kardanowa z 4k/60fps, obrotowym obiektywem, bezprzewodowym podglądem i ze zdalnym sterowaniem z telefonem przez sieć Wi-Fi. Posiada też niezłą trzyosiową stabilizację. Kosztuje ok. 800 zł. Zamawiać Vmate można na portalu Indiegogo, a dostawa w styczniu przyszłego roku. ©©

Wojciech Wybranowski





Rosja out!



Łukasz Zboralski

W sprawie dopingu w sporcie Rosjanie postanowili postępować jak zawsze – manipulować, zamiast się oczyścić. Trafili na twardszego przeciwnika, niż zakładali. Przez cztery lata ich reprezentacji nie będzie na imprezach światowej rangi



Odwieczna rosyjska metoda wypierania prawdy nie zadziałała. Kłamstwa, manipulacje i uciekanie przed odpowiedzialnością doprowadziły do czteroletniego wykluczenia reprezentacji Rosji w sportach na imprezach światowej rangi.

Rzecz nie w tym, że rosyjscy sportowcy stosują doping – to problem całego dzisiejszego sportu – ale w tym, że w Rosji działało to wręcz w systemie sterowanym państwowo. I nie chodzi też wyłącznie o skalę tej sprawy, ale o to, co działo się już po ujawnieniu afery.

GROŻENIE PALCEM

Żeby dobrze zrozumieć, z jakim problemem mierzyła się Światowa Agencja Antydopingowa (WADA) w sprawie Rosji, trzeba cofnąć się co najmniej do 2014 r. To wówczas niemiecka telewizja ARD wyemitowała dokument mający pokazywać, jak Rosjanie „produkują” swoich sportowych czempionów. Pokazano wówczas, że w tym kraju sportowcy nie biorą dopingu w ukryciu przed organizacjami i kontrolerami, ale że państwo wręcz pomaga im te praktyki organizować i tuszować. Manipulowania testami antydopingowymi miały się dopuszczać władze państwa. Ba, służba, która miała doping zwalczać, wspierała go.

O tym, co dokładnie działo się w rosyjskich laboratoriach antydopingowych, mówili zbiegli na Zachód pracownicy Rosyjskiej Agencji Antydopingowej. Według ich relacji w samej agencji niszczone tysiące próbek i tuszowano fakt, gdy testy wykazywały niedozwolone substancje. Co więcej, w systemie ukrywania prawdy udział miała brać też służba bezpieczeństwa. Skalę patologii ujawniały kolejne raporty (m.in. raport Richarda McLaren'a). W 2015 r. powstał raport specjalnej komisji WADA. Rekomendował on zawieszenie Rosji w prawach członka Międzynarodowej Federacji Lekkiej Atletyki.

Międzynarodowy Komitet Olimpijski okazał jednak wielkie serce. Chociaż WADA sugerowała wykluczenie wszystkich Rosjan, to MKOl nie dopuścił do startu jedynie tych, którzy w przeszłości byli już karani za doping. Reszta musiała poddać się testom. Kary za system dopingu w lekkiej atletyce pozostawiono w rękach federacji dyscyplin.

W grudniu 2017 r. MKOl wydawał się mniej pobłażliwy – orzekł 15 mln dol. kary dla Rosji (koszt postępowań w jej sprawie), dożywotnio wkluczył rosyjskiego ministra sportu Witalija Mutkę ze struktur, utratę



medali niektórych sportowców zdobytych w Soczi oraz 39 dożywotnio zdyskwalifikowanych sportowców z tego kraju. W dodatku na zimowych igrzyskach w Pjongczangu Rosjanie mieli nie wystąpić. Potem jednak szef MKOl Niemiec Thomas Bach przyznał rosyjskim sportowcom status „olimpijczyków z Rosji” i mogli wystąpić. Zakulisowe przeciąganie liny trwało nawet podczas rozgrywek, bo negocjowano, czy Rosjanie będą mogli jednak na zakończenie igrzysk wystąpić pod własną flagą. O tym, jak mocno musieli lobbować w tej sprawie i jak byli przekonani, że może się udać, najlepiej świadczyło to, iż dowieźli do Korei Południowej oficjalne stroje reprezentacji kraju dla sportowców. Ostatecznie jednak własnej flagi pokazać nie mogli.

A to wszystko działo się w Pjongczangu mimo tego, że Rosjanina znów przyłapano na doping. Aleksander Kruszelnicki, który wraz z żoną zdobył tam brązowy medal w zawodach par mieszanych w curlingu, miał we krwi meldonium – środek pozwalający zwiększyć przepływ krwi, dzięki czemu poprawia się wydolność organizmu.

Rosjanie, którzy każde z sankcji nazywali „politycznymi”, wciąż dostawali szansę, by się z tej afery wytłumaczyć i po-

kazać, że skończyli z takim systemem. Mieli m.in. przekazać bazę danych z własnego laboratorium antydopingowego.

KONIEC CIERPLIWOŚCI?

Przedstawiciele WADA chcieli wyłuskać oszustów, by ocalić „czystych” sportowców, i pojechali do Moskwy. Rosjanie jednak znów zagrali nieczysto. Okazało się, że moskiewskie dane zostały zdekompletowane i nikt już dziś nie będzie w stanie wykazać, kto był winny dopingu, a kto nie. Światowa Agencja Antydopingowa, która wie o 145 sportowcach z Rosji na dopingu (jedna trzecia z nich nadal uprawia zawodowo sport), nie mogła tego już tolerować.

Komitet Wykonawczy WADA zdecydował więc w ubiegłym tygodniu na posiedzeniu w Lozannie, że Rosja będzie miała czteroletni zakaz udziału w międzynarodowych imprezach sportowych. – Dzisiejsza decyzja jest bardzo ważna dla przyszłości walki z dopingiem. Rekomendacje zostały zatwierdzone przez wszystkich ekspertów. Dodatkowo wyniki były konsultowane w różnych regionach, m.in. w Europie, gdzie zostały zaakceptowane. Karzemy tych, którzy są odpowiedzialni za manipulację, a zostawiamy drzwi otwarte dla tych, któ-

rzy nie brali udziału w oszustwach – mówił na konferencji po ogłoszeniu decyzji przedstawiciel WADA Witold Bańka, który od stycznia przyszłego roku będzie szefem Światowej Agencji Antydopingowej.

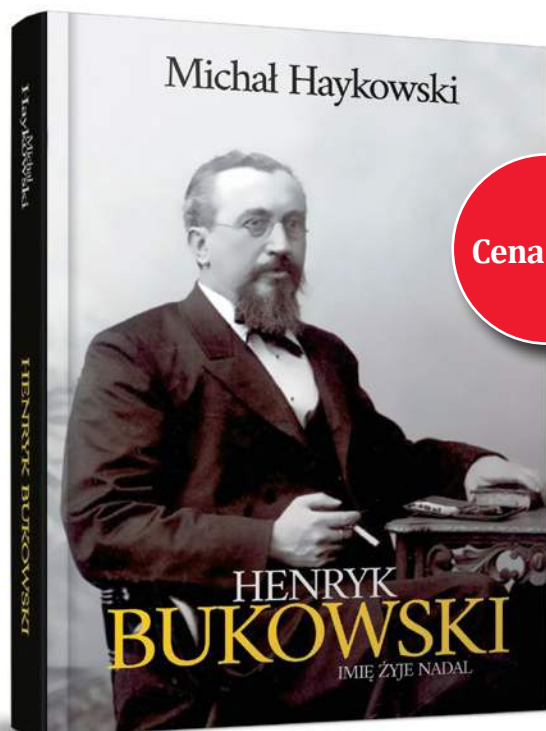
Sankcje obowiązujące do 2023 r. oznaczają, że Rosjanie nie wystąpią pod własną flagą na przyszłorocznych igrzyskach w Tokio oraz w 2022 r. na zimowych igrzyskach w Pekinie i na mistrzostwach świata w piłce nożnej w Katarze. Oczywiście znów sportowcy z Rosji będą mogli brać tam udział jako neutralni zawodnicy olimpijscy.

Chociaż sankcje oznaczają, że Rosja przez ten czas nie może też organizować imprez światowej rangi, to jednym z miast gospodarzy piłkarskich rozgrywek Euro 2020 pozostanie Petersburg. Oficjalnie WADA nie współpracuje z UEFA.

Rosjanie mogą się jeszcze odwołać do Trybunału Arbitrażowego ds. Sportu. Nikt jednak nie daje im szans na powodzenie takiej apelacji. Do winy jednak się nie przyznają. – Jest to kontynuacja hysterii antyrosyjskiej, która przybrała już formę chroniczną – ocenił sankcje WADA premier Federacji Rosyjskiej Dmitrij Miedwiediew.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

MATERIAŁ PROMOCYJNY



Cena 39 zł

Książka Michała Haykowskiego „**Henryk Bukowski. Imię żyje nadal**” opisuje życie i działalność powstańca styczniowego oraz późniejszego emigranta politycznego w Szwecji, podróżnika, antykwariusza, szczodrego mecenasa Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu. Niezwykła biografia powstała dzięki korespondencji zachowanej w archiwach kilku państw, dającej wgląd w myśli i motywy nadawcy, w jego aspiracje, obowiązki, potrzeby i zachcianki. Pozwoliła autorowi wejść w mentalny świat nadawcy, zrozumieć, jakim był ojcem, kupcem, znawcą sztuki i patriotą.



Kup na www.polonika.pl



W tego raka nie wierzyła pani doktor, która wykonywała USG, gdy Edyta przyszła do niej zaniepokojona powiększającą się piersią. Nie wierzyła też pani doktor z Lublina, kierująca ją na mammografię. Skąd rak piersi przy braku zachorowań w rodzinie, trojgu małych dzieci (5, 6 i 11 lat)? Wynik badań nie pozostawił złudzeń: rak piersi, typ HER2 pozytywny. Od tego momentu zaczęły się zmagania Edyty nie tylko z nowotworem, lecz także z systemem ochrony zdrowia.

WZNOWY

Pierwsza opcja leczenia w jej przypadku to był standard sprzed sześciu lat: chemioterapia przedoperacyjna. Nie dawała rezultatów. Zaniepokojona pojechała na konsultację do Gliwic. Lekarze zalecili herceptynę, jednak nie mogli jej podać, gdyż nie była wówczas refundowana. Szansy na życie Edyta zaczęła szukać w warszawskim Centrum Onkologii. Udało się jej zakwalifikować do badania klinicznego, w którym pacjentkom podawano herceptynę, a następnie przeszła operację usunięcia piersi i węzłów chłonnych. – Okazało się, że jest stuprocentowa odpowiedź na leczenie: nie znaleziono komórek nowotworowych ani w tkance usuniętej piersi, ani w węzłach chłonnych. Traktowałam to jak cud – opowiada Edyta. Po operacji przeszła radioterapię i kontynuowała leczenie herceptyną, jednak już po roku na skórze piersi pojawiło się

Siódme święta



Katarzyna Pinkosz

Diagnozę „rak piersi” Edyta usłyszała sześć lat temu, tuż przed świętami. Miała 35 lat i troje małych dzieci. Jej leczenie to pasmo potyczek z nowotworem, który w jej przypadku jest trudnym przeciwnikiem. Dzięki „koniowi trojańskiemu” udało się go zatrzymać

przebarwienie. Okazało się, że to nawrót nowotworu, choroba rozsiana. Potem były kolejna chemioterapia i kolejna wznova.

– Wtedy pani doktor powiedziała, że napisze wniosek do Ministerstwa Zdrowia o refundację dla mnie innego leku: kadcyli. Zgoda przyszła i właśnie mijają dwa lata, odkąd go przyjmuję. Co trzy tygodnie w piątek jadę do Warszawy na podanie leku, a wieczorem wracam do domu. Czuję się świetnie; w sobotę mogę normalnie ogarnąć wszystko w domu, a w poniedziałek idę do pracy – opowiada Edyta.

BEZCENNY CZAS

Nie stosuje wobec siebie taryfy ulgowej: prowadzi dom, opiekuje się dziećmi,

ogrodem, w bibliotece publicznej prowadzi zajęcia z dziećmi, młodzieżą, seniorami, organizuje wyjazdy. – Bliscy wiedzą, że nadal jestem chora, dalsi znajomi myślą, że w ogóle wyzdrowiałam – opowiada.

Lek, dzięki któremu żyje i tak dobrze funkcjonuje, nazywany jest „koniem trojańskim”, gdyż składa się z dwóch cząsteczek, z których jedna ma za zadanie trafić do receptorów HER2 znajdujących się na komórkach nowotworowych, by „otworzyć” je dla drugiej cząsteczki. Ta druga – jak koń trojański – zaczyna działać dopiero, gdy znajdzie się w środku komórki nowotworowej. Do tej pory na świecie zostało zarejestrowanych tylko pięć tego typu terapii.

Z dr Agnieszką Jagiełło-Grusfeld, onkologiem rozmawia Katarzyna Pinkosz

Koń trojański

KATARZYNA PINKOSZ: Na czym polega działanie leku czasem nazywanego „koniem trojańskim”, który przyjmuje m.in. pani Edyta?

DR AGNIESZKA JAGIEŁŁO-GRUSZFELD: To połączenie leku celowanego przeciw receptorowi HER2 znajdującemu się na komórkach nowotworowych, czyli herceptyny (trastuzumabu), z cytostatykiem, to znaczy chemioterapią (emtanzyna). Lek bezpośrednio dociera do komórki nowotworowej, łączy się z receptorem HER2 na jej powierzchni i dostarcza do niej cytostatyk. To taki

„koń trojański”, leczenie celowane: chemioterapia dociera precyzyjnie do komórki nowotworowej.

Emtanzyna to cytostatyk, który nie został wcześniej zarejestrowany z powodu zbyt wysokiej toksyczności, gdy był podawany sam. Dzięki połączeniu z herceptyną jest on dostarczany wprost do komórek nowotworowych. Dlatego nie powoduje poważnych skutków ubocznych. To terapia uważana obecnie za jedną z najbezpieczniejszych w onkologii.

Którym chorym pomoże ten lek?

Tutaj jest problem, gdyż obecne zasady refundacji w Polsce nijak mają się do tego, co obowiązuje na świecie. To lek uważany za bardzo obiecujący, stosowany zarówno u chorych z wczesnym, nieprzerzutowym rakiem piersi HER2 pozytywnym, jak i u kobiet z zaawansowanym tym typem nowotworu, które mają przerzuty w całym organizmie.

W Polsce ten lek jest nierefundowany w żadnym z tych wskazań. Można go otrzymać jedynie w ramach RDTL (ratunkowego dostępu do technologii lekowych). Musimy napisać wniosek do ministerstwa, warunkiem otrzymania zgody na leczenie jest to, że chora ma rozsiały HER2 pozytywny rak piersi i wyczerpała już wszystkie opcje leczenia, refundowane przez NFZ. To



Lek, dzięki któremu żyje, nie jest w Polsce refundowany. Dostaje go w ramach tzw. ratunkowego dostępu do technologii lekowych (RDTL). Po trzech podaniach szpital musi wypełnić wniosek o kolejne trzy dawki, wysłać go do ministerstwa i czekać na zgodę. – Kiedyś pani doktor zadzwoniła, że nie przyszła zgoda z ministerstwa. Dzwoniłam tam, prosząc o przedłużenie mi leczenia. Okazało się, że brakowało czyjegoś podpisu, pieczętki. A ja drżałam, że mogę mieć przerwana terapię – dodaje Edyta.

Lubi święta. W tym roku dużo wcześniej udekorowała dom. Wciąż pamięta Boże Narodzenie sześć lat temu, tuż po diagnozie. Dzieci miały przedstawienia w przedszkolu, a jej kapąły łzy, gdy myślała, czy zobaczy je za rok: – Gdy przychodzą diagnozy: „rak”, „wznowa”, pojawia się straszny lęk, który budzi w nocy. Ale potem mija dzień, dwa i pojawia się myśl: „Dziś jeszcze nie umrę, więc trzeba działać”. Żyje już sześć lat po diagnozie, a od dwóch, od kiedy przyjmuję nowy lek, nie mam praktycznie żadnych efektów ubocznych. Dzieci mają kolejny rok matkę. Tego nie da się przeliczyć na żadne pieniądze.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Pani Edyta składa gorące podziękowania dr Agnieszce Jagiełło-Gruszfeld i całemu personelowi Kliniki Nowotworów Piersi warszawskiego Centrum Onkologii za bezcenną opiekę.

FOT. ARCHIWUM PANI EDYTY



znaczy: otrzymała w pierwszej linii pertuzumab z herceptyną i docetaksemem, a w drugiej lapatynib z kapacytabiną. Jeśli nie pojawiła się odpowiedź na to leczenie albo doszło do progresji (postępu) choroby, to możemy wystąpić do ministerstwa o terapię ratunkową.

I co dwa-trzy miesiące trzeba występować z kolejnym wnioskiem? Dla lekarzy oznacza to biurokrację, dla chorych – lęk przed odmową zgody.

Ministerstwo wydaje zgodę tylko na trzy podania, co wystarcza na 2,5 miesiąca. To problem, jednak ważne jest to, że lek powinien być podawany wcześniej, tak jak to się dzieje w innych krajach. Jest bezpieczniejszy oraz wydłuża czas do progresji choroby o ok. pięć miesięcy w stosunku do terapii lapatynibem z kapacytabiną, która w dodatku ma wiele skutków ubocznych (biegunki, nudności,

problemy skórne). Obecnie zaś zwracamy uwagę też na to, żeby leczenie było dobrze tolerowane. Na wszystkich zjazdach naukowych, w publikacjach poleca się kadcylę już w drugiej linii leczenia.

Niedawno mówili się, że mamy już światowy standard, jeśli chodzi o dostęp do leczenia raka piersi w Polsce. Jak widać jednak, ten podtyp nowotworu wymaga jeszcze zmian?

Tak, potrzebne byłoby jego wcześniejsze stosowanie w zaawansowanym nowotworze, jednak ten lek jest też zalecany u pacjentek, które nie mają rozsianego nowotworu. Jeśli przed operacją dostały tzw. podwójną blokadę (czyli pertuzumab z herceptyną) i pojawiła się całkowita remisja, to powinno się kontynuować takie leczenie jak przed operacją. Jeśli jednak nie było całkowitej remisji, to powinno się zmienić leczenie (ponieważ nie było ono

skuteczne) właśnie na kadcylę. W tym roku opublikowano wyniki badania, które zmieniło standardy postępowania we wczesnym raku piersi. To bardzo ważne, gdyż dotyczy pacjentek, u których mamy szansę na całkowite wyleczenie. Nie stosując optymalnego leczenia, tracimy tę szansę.

I jeszcze jedna konieczna zmiana: pacjentka z rozsianym HER2 pozytywnym rakiem piersi powinna mieć stosowaną terapię anti-HER2 do końca życia. Nie powinna otrzymywać samej chemioterapii czy hormonoterapii. Jeśli NFZ refunduje u chorych na HER2 pozytywnego raka piersi chemioterapię bez blokady anti-HER2, to wyrzuca pieniądze w błoto. U tych chorych najważniejszym mechanizmem napędzającym nowotwór jest receptor HER2. Jeśli leczymy samą chemioterapią, to tylko w niewielkim stopniu przedłużamy chorym życie. ©©



W sobotę 9 listopada w genewskim hotelu Four Seasons des Bergues padł rekord ceny uzyskanej kiedykolwiek za zegarek. Stalowy Patek Philippe Grandmaster Chime został sprzedany na aukcji Christie's za 31 194 370 dol. (ponad 121 mln zł). Nazwiska nabywcy nie podano, nieoficjalnie mówi się, że jest nim ktoś z Chin.

Ten patek to unikatowa, stalowa wersja najbardziej skomplikowanego zegarka szwajcarskiej manufaktury. Pierwszy raz pokazano go w roku 2014, na 175-lecie marki. Zegarek o średnicy werku 48 mm ma dwa cyferblaty i obrotową kopertę, w środku m.in. wieczny kalendarz. Ręcznie nakręcany mechanizm zawiera 20 komplikacji, wskazania prezentuje na obu swoich stronach. Jedna tarcza ma kolor łososiowy, druga czarny.

Na aukcji sprzedano także czasomierze, takich marek jak Audemars Piguet, Hublot, Montblanc, F.P. Journe i Richard Mille. W sumie przyniosła ona równowartość ponad 150 mln zł. Dochód został przeznaczony dla monakijskiej organizacji wspierającej badania nad chorobą genetyczną: dystrofią mięśniową Duchenne'a/Beckera. Na aukcję, która odbywa się co dwa lata, marki przygotowują pojedyncze egzemplarze. Poprzedni rekord – kieszonkowego PP Henry Graves Jr. Supercomplication sprzedanego w Sotheby's w roku 2014 – wynosił 24 mln dol. Przy nim rolex Daytona Paula Newmana sprzedany za ponad 17,5 mln dol. mógłby uchodzić za tandetę.

Mechaniczny platynowy patek philippe pokazuje godzinę, dzień, miesiąc, czas do następnego nakręcenia, fazy Księżyca. Kosztuje 45 tys. 770 euro. Platynowy emperador Piageta ma funkcję czasu odwróconego oraz datę. Cena: 20 tys. 600 euro. Grande Chrono Master XXT Quantieme Perpetuel Black Tie firmy Zenith (160 tys. euro) ma skalę tachometryczną, funkcję chronografu i odliczania lat przestępnych.

PATEK, EMIGRANT Z POLSKI

Wylczenie funkcji robi wrażenie. Jednak komu one właściwie są potrzebne i kto potrafiłby z nich korzystać? Komu potrzebna taka „supercomplication”, kiedy większość z nas sprawdza czas na komórce? A jednak te superskomplikowane, superdrogie zegarki nie przestają wzbudzać pożądania klientów. O ich względy walczy na rynku kilkanaście luksusowych marek. Pierwsza czwórka to Patek Philippe, Piaget, Audemars Piguet i Vacheron Constantin.



FOT. MATERIAŁ PRASOWE

Bezcenny czas



Joanna Bojańczyk

Kosztuje dużo, można zastąpić go komórką, jest trudny w obsłudze, a jego liczne funkcje są w zasadzie zbędne. Co zatem sprawia, że drogi szwajcarski mechaniczny zegarek wciąż wzbudza takie pożądanie?

Zawrotne ceny niektórych czasomierzy mają uzasadnienie. Liczą się: tradycja, historia, ręczna robota. W klasycie w najlepszym wydaniu celuje Patek. Breguet, Patek robili zegarki dla królów i arystokracji. Rekomendacja króla. Czy może być lepsza? Gdy po powstaniu styczniowym emigranci z Polski Frantisek Capek i Antoni Patek, założyli firmę zegarmistrzowską, wysyłali swoje wyroby do Polski jeszcze jako nieznana firma. Patek sławę zyskał dzięki królowej Wiktorii, której spodobał się jeden model Patka na wystawie światowej. Potem Patek pokłócił się z Capkiem i związał z panem Philippe (Amerykanie myślą, że Philippe to imię Patka). W latach 20. dwóch amerykańskich milionerów – Henry Graves i James Ward Packard – toczyło osobliwy wyścig statusowy na odległość. Packard był hedonistą, uwielbiał wystawne życie, luksus. Graves był skromny, zamknięty w sobie. Kiedy Packard zamówił zegarek, Graves chciał mieć lepszy. Dzięki temu powstały prawdziwe arcydzieła. Zegarek Gravesa zamówiono w 1928 r., wykonano w 1932 r., dostarczono zleceniu-

dawcy w styczniu 1933 r. Miał 24 funkcje dodatkowe. To najdroższy zegarek na świecie. W roku 1999 sprzedano go w Sotheby's za 11 mln 2 tys. 500 funtów.

TYLKO DLA PAŃ

Dzisiaj wszystkie funkcje, a właściwie szaleństwa technologii, łatwiej jest informatykowi umieścić w zegarku, niż użytkownikowi z nich korzystać. Czy w ogóle są potrzebne? Funkcja zrównania czasu przydatna jest głównie dla marynarza pokonującego różne strefy czasowe.

Czy tym rynkiem rządzi moda, snobizm czy może jakieś specyficzne znaczenie, jakie dla mężczyzny ma zegarek? – pytam Magdaleny Piekarską, redaktor naczelną magazynu „Chronos”, ekspertkę w dziedzinie zegarków.

– Odbiorcami zegarków przez wiele lat byli głównie mężczyźni. Kobiety nosiły zegarki biżuteryjne, potem kwarcowe, które weszły w latach 70. Moda na duże zaczęła się w Kalifornii i we Włoszech. Kobiety czuły się z nimi śmielsze, pewniejsze



siebie. Zegarki wyglądały bardziej okazale, miały ciekawszy design. Było w tym też coś prowokacyjnego. To także wejście w męską rolę – tak jak palenie cygar, noszenie garniturów. Jednak od tego czasu producenci zaczęli się przyglądać, czy kobiety będą się interesować zegarkami. I zauważyli, że rzeczywiście tak jest. Wcześniej modele damskie były tylko gorszymi wersjami męskich, czyli mechanicznych, skomplikowanych. Dla pań była wersja kwarcowa. A teraz mamy coraz więcej zegarków mechanicznych i modeli zaprogramowanych tylko dla kobiet, takich, które nie mają męskiego odpowiednika. To dawniej było nie do pomyślenia. Żartowano, że to zegarek dla włoskich kobiet i azjatyckich mężczyzn.

Żeby pobudzić naszą wyobraźnię i skłonić do wydania pieniędzy, producenci luksusowych zegarków oferują małe dzieła sztuki zegarmistrzowskiej, jubilerskiej i designerskiej, nafaszerowane mikroprocesorami. Całe instrumentaria, które spełniłyby najbardziej wyuzdane wymagania pilota, nurka, astronoma, lekarza i rajdowca.

– Moda na pewno ma znaczenie – dodaje Magdalena Piekarska. – Chociaż nie takie jak w ubraniach. Branża zegarkowa myśli wolno, a pewne rzeczy są w niej nieprzewidywalne. Powstaje moda na pewne modele i marki i nie wiadomo, skąd to się bierze. Teraz np. modne są tarcze zielone i niebieskie. Niebieski to klasyka, obok czerni i bieli, ale zielony jest pewną ekstrawagancją, która ma na celu zwrócenie uwagi. Modne są także zegarki retro – widzi się styl lat 30., 40. i 70. To zawsze było i będzie; proste, klasyczne, także ze stoperem, tzw. chronografy. Ostatnio widzi się też chronografy z tarczą panda, czyli taką jak u misia: biały pysk i czarne oczy – tutaj biała tarcza i liczniki zaznaczone na czarno albo odwrotnie – białe liczniki i czarna tarcza.

NIE ZMOCZYĆ, NIE UDERZYĆ

Kolekcjonowanie zegarków ma długą tradycję, ale od kilkudziesięciu lat popyt na unikaty wzrasta. Domy aukcyjne to zauważyły. Rynek antykwaryczny zegarków jest bardzo duży. Wyżej cenione są męskie niż damskie, bo dla mężczyzny zegarek to jedyna biżuteria. Są domy aukcyjne tylko w nich wyspecjalizowane: Antiquorum, Patrizzi. Jednak najważniejsze sprzedają się w Genewie i Nowym Jorku. Targi natomiast odbywają się w Bazylei i Genewie.

– Jest to hobby luksusowe, wymagające, a jednak kolekcjonerów przybywa, bo na świecie jest coraz więcej bogatych ludzi – mówi Magda Piekarska. – Coraz więcej

z Chin, także Indii. Stary zegarek wymaga specjalnego traktowania. Trzeba uważać, żeby go nie zmoczyć, nie uderzyć, nie uszkodzić tzw. koronki, najczulszej części mechanizmu, która znajduje się na zewnątrz. Trzeba go nakręcać do tego można używać specjalnej maszyny, która nazywa się rotomat. Kolekcjonerzy uwielbiają nakręcać swoje zegarki.

Jeśli ktoś chciałby dzisiaj zapoczątkować kolekcję, to nie będzie miał łatwo. Nie byliśmy bogatym krajem, po wojnie zegarki sprowadzał tylko Pewex i były to egzemplarze z dzisiejszej grupy Swatcha – Omega, Longines, Tissot. Popularne były również IWC nazywane u nas schaffhauseni. Jednak głównie mieliśmy zegarki tańsze, popularne.

ROLEX RULEZ

Rewolucja nastąpiła w latach 90. Pojawiły się zegarki kwarcowe i ludzie przestali kupować mechaniczne. Wiele marek zbankrutowało. Jednak Rolex był konsekwentny i postanowił kryzys przetrwać. Robił swoje – produkował nadal zegarki mechaniczne i nie zbankrutował, kryzys nawet mu posłużył. Podobny przewrót nastąpił, gdy na rynku pojawił się smartwatch.

– Zastanawiano się, czy to będzie nowy kryzys – mówi Magdalena Piekarska. – Gdy byłam na targach w Hongkongu, pan z firmy Euromonitor International, która zajmuje się badaniem rynku, pokazał ciekawą statystykę. W latach 2015–2018 (żeby zobaczyć tendencję, trzeba badać trzy lata), kiedy pojawił się smartwatch, Apple zanotował 23,1-procentowy wzrost, natomiast firmy tradycyjnie produkujące zegarki, grupa Swatch – tylko 1,13-procentowy. Jedyne Rolex był 2,85 proc. na plusie. To pokazuje, że oczywiście smartwatch miał ogromny wpływ na rynek, co zresztą trwa do dziś, bo wciąż notuje ogromne wzrosty. Jednak najbardziej uciერიły zegarki nie z najwyższej półki, ale tzw. fashion, czyli tańsze. Duży spadek zanotował koncern Fossil, czyli licencyjne zegarki fashion. Smartwatch najbardziej namieszał w niskim segmencie. Przypuszczam, że w nowym raporcie wzrost Rolexa będzie jeszcze większy. Zapotrzebowanie na modele Rolexa wzrosło ogromnie w tym roku. Znowu Rolex jest więc wygrany. A mówiło się, że smartwatch wypchnął z rynku część zegarków, że tradycyjni tracą, a Rolex nie.

– Co jest takiego w rolexie, że mimo wielkiego wyboru szwajcarskich historycznych marek to właśnie on wciąż jest obiektem pożądania zamożnych ludzi? – pytam

Magdalenę Piekarską. Na stalowy model Daytona czeka się nawet 10 lat.

– Modele wystawione w sklepach można kupić od ręki, ale to najczęściej są najdroższe wersje – ze złota... O wszystkim decyduje rynek. Popyt na Rolexa i Patka związany jest z polityką tych firm: nie zwiększają produkcji chodliwych modeli. Mają ustalone liczby np. stalowego Nautilusa lub Submarinera i tego się trzymają.

Smartwatche wciąż są modne. Ludzie chcą mieć taki nowoczesny przedmiot. Te zegarki mają też coraz więcej funkcji związanych ze zdrowiem, którym wszyscy się interesują. Apple w nowym smartwatchu ma mieć funkcję mierzenia poziomu cukru. To na pewno przysporzy mu klientów, bo diabetyków na świecie jest wiele milionów. Ludzie będą go traktować jako instrument medyczny.

U PSYCHIATRY

A co noszą politycy i celebryci? Kilka rolexów ma Tomasz Kammel, Patryk Vega – sporą kolekcję. Jak podaje portal Lux Time, Robert Lewandowski, którego widzimy ostatnio w reklamach zegarka Huawei, jest posiadaczem Chronomatu 41 marki Breitling z różowego złota, a także awangardowego modelu firmy Audemars Piguet (45 i 100 tys. zł). Piłkarze noszą głównie markę Hublot, która sponsoruje kilka klubów. Rolexy mają Małgorzata Rozenek, Sara Boruc. Kuba Wojewódzki jest fanem szwajcarskiej marki TAG Heuer. Na nadgarstku Dominiki Kulczyk można zobaczyć Tourbillon Extra-Plat 5377 marki Breguet, z szafirowym szkłem tarczy oraz paskiem wykonanym ze skóry aligatora. Agnieszka Radwańska reklamowała markę Longines, znaną w tenisowym świecie. Kilka lat temu została twarzą firmy Rado. Dla niej producent wypuścił tylko na Polskę limitowaną linię 99 zegarków Rado True Match Point. A piłkarz Neymar, mimo że jest zamożny, kilka razy widziany był z podróbką zegarka Richard Mille...

Sporą kolekcję zegarków ma piosenkarz Ed Sheeran. Całej 80-osobowej ekipie, która obsługuje jego trasę koncertową, kupił zegarki Rolex Black Bay, wersję spersonalizowaną dla każdego. Doniósł o tym portal Shame on Wrist, prowadzony przez anonimowego krytyka, który demaskuje skandale w świecie zegarków, komentuje influencerów, żartuje z marek.

Jego dowcip: scena u psychiatry. Lekarz pyta: Czy w pana rodzinie były przypadki chorób psychicznych? Tak, mój dziadek miał hublota.



Około 400 pociągów każdego dnia w nowym rozkładzie jazdy.

PKP Intercity gotowe na sezon 2019/2020

Każdego dnia na tory wyjedzie średnio ok. 400 składów PKP Intercity, czyli niemal 20 więcej niż w poprzednim rocznym rozkładzie. To oznacza m.in. jeszcze lepsze skomunikowanie stolicy z Poznaniem, Krakowem, Łodzią czy Lublinem.

NOWE POŁĄCZENIA I WIĘCEJ POCIĄGÓW NA POPULARNYCH TRASACH

PKP Intercity uruchomiło nowy pociąg EIC „Paderewski”, który łączy Warszawę z Poznaniem. Wychodząc naprzeciw potrzebom podróżnych, przewoźnik zwiększył liczbę pociągów na najpopularniejszej trasie Warszawa – Kraków. Teraz będzie można

Nowe połączenia, więcej pociągów na najpopularniejszych trasach, lepsza dostępność komunikacyjna dzięki dodatkowym postojom, pociągi z Łodzi na Lotnisko Chopina w Warszawie oraz rozszerzona oferta międzynarodowa – to część nowości, na które mogą liczyć pasażerowie w nowym rocznym rozkładzie PKP Intercity, który wszedł w życie w niedzielę 15 grudnia 2019 r.

skorzystać na niej z 26 par pociągów, zamiast z 24 jak dotychczas. Znacząco zwiększyła się także liczba połączeń pomiędzy stolicą a Łodzią. Obydwa miasta połączyło 28 par pociągów, a nie 23, jak miało miejsce w rozkładzie 2018/2019. O dwa, do 28 (wliczając połączenia sezonowe), zwiększyła się również liczba połączeń pomiędzy Trójmiastem a Warszawą. Liczba par

pociągów pomiędzy stolicą a Wrocławiem wzrosła z 12 do 14.

Dużo łatwiejsze są podróże do i z Lublina. Na tory powróciło siedem par pociągów z Warszawy trasą podstawową przez Pilawę i Dęblin. Zwiększyła się także liczba połączeń do Lublina z innych rejonów Polski. Do stolicy województwa lubelskiego będzie można dojechać bezpośrednio m.in. z Wrocławia, Katowic,



Poznań, Kraków, ze Szczecina, z Rzeszowa czy Kielc. Między innymi dzięki nowemu pociągowi IC „Bolko” relacji Lublin – Szczecin przez Kielce, Wrocław i Zieloną Górę.

Wykorzystane zostaną także pierwsze efekty trwającej modernizacji linii E30. Dzięki temu możliwe jest bezpośrednie skomunikowanie Śląska z Podkarpaciem poprzez zwiększenie liczby par pociągów między Katowicami a Krakowem z 1 do 8.

Nowymi pociągami są również TLK „Nogat” łączący Elbląg i Warszawę z czasem przejazdu wynoszącym niecałe cztery godziny, EIC „Banach” relacji Przemyśl – Kraków – Warszawa – Gdynia, kursujący w soboty w stronę Pomorza, a w niedzielę w odwrotnej relacji, wracający na Podkarpacie. Podczas szczytów przewozowych pojedzie nowy skład TLK „Słupia” relacji Łódź – Warszawa – Kołobrzeg, który ułatwi dojazd na Pomorze Środkowe. Podobnie jak TLK „Bryza”, który połączył Kołobrzeg z Olsztynem. TLK „Roztocze” to nowy pociąg, który zapewni połączenie Chełma z Katowicami, kursując przez Rzeszów i Kraków. W weekendy oraz wakacje będzie prowadził grupę wagonów z i do Zamościa. Znacznie łatwiej będzie także dojechać do i z Krynicy-Zdroju. W nowym rozkładzie PKP Intercity uruchomiło dwa codzienne połączenia i dodatkowo trzecie w dni wolne zamiast obecnych dwóch par sezonowych.

WIĘCEJ OBSŁUGIWANYCH MIAST I MIEJSCOWOŚCI

Nowy rozkład jazdy ucieszy z pewnością mieszkańców Żagania i Żar, którzy po wielu latach będą mogli znowu podróżować koleją do Warszawy. Pociąg TLK „Konopnicka” relacji Zielona Góra – Warszawa przewiezie ich tam w czasie ok. 7 godz. i 15 min. Także mieszkańcy Zgorzelca uzyskali dostęp do usług PKP Intercity. Przewoźnik wykorzystał efekty elektryfikacji linii 278 do Zgorzelca i skierował tam pociąg IC „Nałkowska” z Warszawy.

Zakończenie prac modernizacyjnych prowadzonych przez zarządcę infrastruktury umożliwi zmianę tras części pociągów łączących Wrocław i Szczecin. W nowym rozkładzie jazdy pojadą przez Legnicę i Lubin, który tym samym znajdzie się w siatce połączeń PKP Intercity.

Pociąg IC „Dąbrowska” relacji Lublin – Warszawa – Wrocław, w efekcie

modernizacji linii kolejowej 281, został skierowany przez Krotoszyn i Milicz, który tym samym uzyska dostęp do usług PKP Intercity. Także Pisz i Szczytno znajdą się wśród obsługiwanych przez przewoźnika miast. Stanie się to w lipcu 2020 r., gdy pociągi z Białegostoku do Olsztyna będą kursować trasą objazdową po zamknięciu linii przez Giżycko.

Łącznie PKP Intercity wprowadziło dodatkowe postoje na 28 stacjach. Jeszcze w rozkładzie jazdy 2014/2015 pociągi PKP Intercity zatrzymywały się w 296 miastach i miejscowościach. W każdym kolejnym rozkładzie ta liczba systematycznie rosła, dochodząc do 382 obsługiwanych miast i miejscowości. W rocznym rozkładzie jazdy na sezon 2019/2020 przekroczona zostanie liczba 400 miast i miejscowości, w których będą zatrzymywać się pociągi PKP Intercity.

WSPÓŁPRACA Z POLSKIMI LINIAMI LOTNICZYMI LOT

W grudniu zaczęło kursować sześć par pociągów relacji Łódź Fabryczna – Warszawa-Lotnisko Chopina, które są skorelowane z rozkładem lotów Polskich Linii Lotniczych LOT. Połączenia są obsługiwane nowoczesnymi składami zespolonymi PesaDART. W ten sposób PKP Intercity odpowiedziało na potrzeby pasażerów lotniczych, a także zapewniło dowozy i odwozy z pracy z obszaru stacji Warszawa-Służewiec, obok której znajduje się biznesowe centrum Warszawy. Ułatwi to dojazd do pracy nie tylko mieszkańcom Łodzi, lecz także Koluszek, Skierniewic i Żyrardowa. Pociągi zatrzymują się także na warszawskim Rakowcu.

ROZWÓJ OFERTY MIĘDZYNARODOWEJ

Przewoźnik stale rozszerza ofertę połączeń międzynarodowych. W nowym rozkładzie została rozwinięta oferta połączeń między Polską a Białorusią. Z jednej pary do trzech dziennie zwiększyła się liczba pociągów z Warszawy do Brześcia. IC „Batory” z Pragi i Budapesztu prowadzi grupę wagonów do Moskwy, IC „Mickiewicz” zaś relacji Warszawa – Brześć – Warszawa jest skomunikowany z pociągiem do Mińska.

Wydłużenie relacji składu TLK „Rozewie” zapewnia całoroczne połączenie

do Żyliny na Słowacji. Pociąg zapewni codzienne skomunikowanie Trójmiasta, Bydgoszczy, Poznania, Wrocławia i Katowic ze Słowacją.

Południe Polski zostało jeszcze lepiej skomunikowane z Czechami i Austrią poprzez uruchomienie dwóch nowych połączeń międzynarodowych. IC „Porta Moravica” jedzie w relacji Przemyśl – Kraków – Katowice – Rybnik – Ostrawa – Wiedeń – Graz. To nowe dodatkowe połączenie Katowic z Wiedniem. TLK „Galicja”, wcześniej kursujący w kategorii IC między Przemyślem a Krakowem, kursuje na dłuższej trasie Przemyśl – Kraków – Katowice – Racibórz – Ostrawa. Będzie także więcej pociągów sezonowych do Czech. Trzy składy – TLK „Wydmy”, TLK „Wolin” i TLK „Pirat” – zapewnią skomunikowanie Czech z Helem, Łebą, Kołobrzegiem i ze Świnoujściem.

KOMPLEKSOWA INFORMACJA DLA PODRÓŻNYCH

Bilety PKP Intercity dostępne są w kasach na terenie całego kraju, w Centrach Obsługi Klienta na głównych dworcach, w automatach biletowych, a także przez Internet. Dokładne informacje na temat biletów i rozkładu jazdy przewoźnika pasażerowie uzyskają na stronie www.intercity.pl lub dzwoniąc pod numer 703 200 200 (opłata za minutę połączenia: 1,29 zł brutto. Usługę świadczy PKP Intercity SA).

...

PKP Intercity to największy polski operator kolejowy, który łączy centra dużych miast oraz popularne ośrodki turystyczne w kraju, a także umożliwia wygodne podróżowanie po Europie. Każdego dnia uruchamia ponad 400 pociągów oraz realizuje największy w historii spółki program inwestycyjny w tabor i zaplecza techniczne. W ramach strategii taborowej „PKP Intercity – Kolej Dużych Inwestycji” spółka wyda ok. 7 mld zł na wyższy komfort pasażerów. Kupi i zmodernizuje wagony, lokomotywy, składy zespalone oraz przebuduje stacje postojowe. Po zakończeniu programu pociągi PKP Intercity będą zestawione w blisko 80 proc. z nowego lub zmodernizowanego taboru.

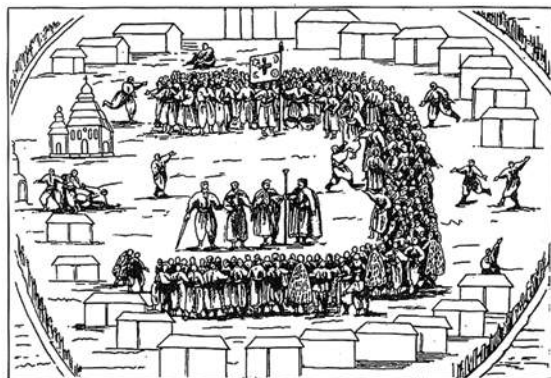


JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Ostatni ataman Kozaków

Sicz Zaporoska, która wielokrotnie była przyczyną buntów w Rzeczypospolitej, zlikwidowana została w 1775 r., gdy caryca Katarzyna przyłączyła ją do guberni noworosyjskiej (sic!). W manifestie wydanym 14 sierpnia zapowiedziała: „[...] samo używanie imienia Kozaków zaporoskich będzie przez nas uznane za obrazę majestatu



FOT. WIKIPEDIA

cesarskiego. [...] Obwieszczając naszym wiernym i miłym poddanym [...], możemy im to jednocześnie ogłosić, że nie ma więcej Siczy z jej polityczną pokracznością, nie ma też więcej Kozaków”. Nie była to już oczywiście sicz, na którą uciekł Bohdan Zenobi Chmielnicki. Sicz Mikityńska bowiem, gdzie obrano go hetmanem, opuszczona została w 1652 r., kiedy założono obóz na Czortomliku, zwany Starą Siczą. W maju 1709 r. została ona zniszczona przez wojska carskie z zemsty za przejście hetmana Mazepy na stronę Szwedów. Kolejne sicze powstały: u ujścia rzeki Kamienki do Dniepru, a po jej zniszczeniu – na uroczysku Oleszki. Po powrocie Kozaków do Rosji w 1734 r. zbudowano Nową i zarazem ostatnią sicz na uroczysku Krasnyj Kut, między rzekami Bazawłuk i Czortomlik.

Wraz z likwidacją Kozaczyzny na zesłanie poszedł ostatni ataman koszowy, Piotr Kalniszewski, postać

niczym z fantastyki historycznej. Urodził się w lipcu 1691 r., w Słobodzie Pustowojtówce nad Sułą. Wcześniej stracił ojca i został przygarnięty przez kozackie bractwo, stając się członkiem siczowego bractwa. Pierwsze wzmianki o nim pochodzą dopiero z 1760 r., kiedy został mianowany sędzią wojskowym. Dwa lata później obrano go atamanem koszowym.

Na Siczy dobrze gospodarował, dbając o handel i bezpieczeństwo kupców; przy okazji sam nieźle się wzbogacił. Niewiele to jednak dało Kozakom – wkrótce władze rosyjskie pozbawiły władzy ostatniego hetmana zaporoskiego Cyryla Razumowskiego; jego miejsce zajęło Kolegium Małorosyjskie pod przewodnictwem Piotra Rumiancewa, które odebrało Zaporozcom resztki przywilejów. Kalniszewski stał się jedynym przywódcą Kozaków i lawirować musiał pomiędzy rządem carskim, czernią (kozacką biedotą domagającą się nowych przywilejów i wypraw) a starszyzną chcącą utrzymać majątki i przywileje.

Umiarkowana polityka koszowego legła w gruzach, kiedy w 1768 r. wybuchło w Rzeczypospolitej powstanie zwane koliwyszczyną. Wsparli je prości Kozacy, atakując przy okazji posiadłości rosyjskie i tureckie. Kalniszewski nie był w stanie pohamować Kozaków, którzy uciekali z Siczy, zasilając hajdamaczyznę. Po stłumieniu powstania doszło do konfliktów na samej Siczy – powracający z koliwyszczyny Kozacy zaatakowali starszyznę i rabowali jej domy. Kalniszewski musiał uciekać pod ochronę oddziałów rosyjskich zajmujących cytadelę. Dopiero z ich pomocą spacyfikował Sicz. Wkrótce doszło do wojny rosyjsko-tureckiej. Kozacy wzięli w niej udział w sile ponad 12 tys. ludzi, atakując twierdzę w Chocimiu i rozbijając flotę turecką. Brali też udział w szturmie na Oczaków, wykazując się takim

męstwem, że – jak podaje Władysław A. Serczyk w biografii atamana – władze carskie wręczyły im tysiąc srebrnych medali i 3 tys. rubli do podziału. Złoty order z diamentem otrzymał też sam Kalniszewski.

Kiedy jednak Kozacy przebywali na wojnie, na Ukrainie rozpoczęto budowę fortyfikacji odgradzających Zaporozie od Tatarów. To przeraziło koszowego, który obawiał się, że doprowadzi to do dalszego ograniczenia przywilejów. W dodatku rosyjscy urzędnicy i oficerowie prześladowali oraz osadzali w więzieniach Kozaków. Kiedy w 1774 r. skończyła się wojna z Turcją, caryca stanęła wobec problemu, co zrobić z niepotrzebnym już wojskiem zaporoskim, które mogło wywołać bunt – tym razem przeciwko jej władzy. I wówczas faworyt Katarzyny, książę Potiomkin, zaproponował zniszczenie Siczy jako wiecznego gniazda niepokojów i buntów.

16 czerwca 1775 r. wojska carskie pod dowództwem Piotra Tekely zajęły warowny obóz nad Dnieprem. Kozaków rozproszono i przesiedlono, starszyznę zaś schwytano. Kalniszewskiego i jego współpracowników – pisarza Hłobe i sędziego Hołowatego – przewieziono do Moskwy, gdzie ostatniego atamana wolnych Kozaków skazano na dożywotnie więzienie w monasterze na Wyspach Sołowiewskich. 85-letniego koszowego umieszczono w małej kamiennej celi, którą i dziś zobaczyć można w monasterze. Chociaż może wydawać się to legendą, to żył w niej jeszcze przez 26 lat. Ułaskawił go dopiero car Aleksander. Kalniszewski nie chciał jednak opuścić klasztoru, pozostawał tu do śmierci w roku... 1803, co znaczyło, że przeżył 113 lat, stając się świadkiem trzech wieków i kolejnych dziewięciu władców Rosji! Nie miał jednak dokąd wracać, bo po Siczy pozostało już tylko wspomnienie. ©©



ŚWIĄTECZNE MAKÓWKI KRZYSZTOFA RESPONDKA

Święta Bożego Narodzenia kojarzyły mi się w dzieciństwie z choinką, prezentami, rorantami, pasterką, ale również z oczekiwaniem na jedną z 12 potraw, która smakowała tylko w tym okresie – świąteczne makówki. Nigdy nie zastanawiałem się, skąd pochodzi tradycja przygotowywania tej potrawy, ale zawsze myślałem o nich, kiedy nadchodziły święta, i objadałem się nimi tak, że wystarczało mi do kolejnego Bożego Narodzenia.

Makówki to właściwie deser, który się pojawiał w moim domu po obiedzie czy kolacji podczas wigilijnej, i była to dla mnie potrawa główna, ważniejsza nawet niż karp czy kapusta z grzybami. Najlepsze makówki robiła oczywiście moja babcia, mamine też mi smakowały, ale prawdziwą mistrzynią jest moja żona, której przepis na makówki chciałbym państwu polecić.

Składniki:

- 5 bułek (lub suchary bądź chałka)
- 0,5 kg zmielonego maku
- pół kostki masła
- cukier (lub miód)
- bakalie
- wiórki kokosowe

Przygotowanie:

Bułki sparzyć gorącym mlekiem. Zmielony mak wrzucić do gotującej się wody (proporcje dobieramy tak, aby masa była w miarę gęsta, ale dająca się łatwo mieszać) i gotujemy

ok. 2 min. Do gotującej się masy dodajemy pół kostki masła, cukier (ok. 1 szklanki, ale jeśli zamierzamy dać dużo słodkich bakalii, to zdecydowanie mniej), posiekane bakalie (orzechy, migdały, rodzynki, daktyle, figi) i całość przegotowujemy. Mieszymy masę makową z wcześniej sparzonymi mlekiem bułkami i przekładamy do jednej dużej misy lub małych miseczek, dekorujemy na wierzchu bakaliami, możemy obsypać wiórkami kokosowymi.

Polecam bułki zamienić na sucharki lub chałkę, a cukier na miód.

Życzę przepysznych świąt! ☺☺

oprac. raw

Krzysztof Respondek jest aktorem, artystą kabaretowym (związany z kabaretem Rak).



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Uwaga na ciasteczka

Człowiek, który ma nawyk wczytywania się w skład produktów spożywczych, na ogół gorzko tego żałuje. Lepiej było od razu zjeść, nie czytać, nie myśleć i się nie denerwować. Dlaczego bowiem „kule” są „rumowe”, chociaż w składzie mają tylko aromat rumowy? Dlaczego markizy nazywają się „cytrynowe”, jeśli koło cytryny nie leżały, lecz zawierają jedynie aromat cytrynowy? Dlaczego ryba nazywa się elegancko „filetem z soli”, choć powinna być tylko „filetem z limandy żółtopłetwej”?

Człowiek może nie czytać, ale urząd sprawdzający musi. Nawyków producentów kontrole raczej nie zmienia, ale klientów przynajmniej ostrzega i uczy.

UOKiK zawiadamia, że Inspekcja Handlowa skontrolowała produkty spożywcze oferowane luzem, na wagę lub na sztuki. Przede wszystkim ciasta i ciastka, ale również pieczywo, ryby, bakalie. Kontrola odbyła się w 164 sklepach branżowych – w cukierniach, piekarniach, sklepach rybnych, spożywczych i marketach. Aż w 80,5 proc. wystąpiły nieprawidłowości!

Oceniono 1384 partie produktów. Zastrzeżenia co do oznakowania i jakości wzbudziło 60 proc. ciastek i ciast, ponad 70 proc. ryb, ponad trzy czwarte pieczywa. Szczegóły wyszły na jaw w laboratorium, gdzie zbadano 80 partii. Jedna

piąta wyrobów cukierniczych miała niewłaściwą strukturę, były gumowate, zawierały strzępki pleśni, niezadeklarowane w składzie barwniki, a zawartość składników odżywczych (o ile w ciastkach takowe się znajdują) była nie taka jak w rzeczywistości. Bakalie zawierały konserwanty niepodane w składzie, słodycze miały inną niż deklarowana zawartość cukru lub soli, ryby miały nieprzyjemny zapach, roz-

padały się po ugotowaniu i miały niejednorodną strukturę.



Z chleba trudno zrezygnować, nawet gdy wydaje się podejrzany, ale z ciasteczkami, jak widać, należy uważać, tym bardziej że sprzedawcy kantują także przy ważeniu, liczeniu, a z terminem ważności też różnie bywa.

Zagadka, nad którą głowią się od dawna – dlaczego ryba po rozmrożeniu waży jedną trzecią tego, co przed – nie została wyjaśniona. „W przypadku niektórych ryb nie było pełnego handlowego oznaczenia gatunku ryby (np. »dorsz« zamiast »dorsz atlantycki«), brak metody produkcji, obszaru połowu lub informacji podane niewłaściwie” – tyle tylko stwierdzili inspektorzy. Mam nadzieję, że w następnej kontroli zajmą się problemem tajemniczego ubytku wagi. Może trzeba będzie zatrudnić detektywa albo magika. ☺☺



ELEKTRYZUJĄCE DOPLĄTY OD RZĄDU

Zgodnie z nowymi przepisami rząd zwróci przeciętnemu Kowalskiemu maksymalnie 30 proc. kosztu zakupu nowego samochodu elektrycznego. Jego cena nie może jednak przekroczyć 125 tys. zł brutto w przypadku samochodu elektrycznego (maksymalny zwrot może więc wynieść 37,5 tys. zł) lub 300 tys. zł brutto w przypadku aut napędzanych wodorem (maksymalny zwrot to 90 tys. zł).

Szczodre dopłaty – nawet w porównaniu z Niemcami – będą sfinansowane z pieniędzy kierowców tankujących benzynę oraz olej napędowy, czyli z Funduszu Niskoemisyjnego

Transportu. Na konta funduszu wpływa bowiem 15 proc. wpływów z tzw. opłaty emisyjnej.

Aby otrzymać dofinansowanie, trzeba kupić nowe auto dopiero po ogłoszeniu oficjalnego naboru za gotówkę lub na kredyt. Nie można skorzystać z wynajmu długoterminowego czy leasingu konsumenckiego. Do wniosku o dopłatę trzeba dołączyć kopię faktury zakupu na osobę fizyczną, kopię dowodu rejestracyjnego, kopię dokumentu ubezpieczenia OC+AC na rok, zobowiązanie do zawarcia takiego ubezpieczenia na rok kolejny oraz oświadczenie o nieprowadzeniu działalności

gospodarczej. Osoby prowadzące działalność gospodarczą nie mają możliwości uzyskania dopłaty, nawet jeśli zamierzają korzystać z „elektryka” wyłącznie w celach prywatnych.

Na łamach „Do Rzeczy” prezentujemy auta, które spełniają kryteria dofinansowania. Zaczynamy od najtańszych, których cena po dopłacie zaczyna się od ok. 51 tys. zł. W kolejnych wydaniach przyjrzymy się droższym modelom, takim jak: Smart EQ Forfour, Smart EQ Fortwo Cabrio, Nissan Leaf, Opel Corsa-e, Peugeot e-208 czy Renault Zoe.



FOT. MATERIAŁ PRASOWE

ŠKODA CITIGO E IV

Najtańszy samochód elektryczny na polskim rynku i pierwszy „elektryk” czeskiego producenta ma bagażnik o pojemności 250 l (mało, ale wystarczy na siatki z zakupami). Według producenta zasięg maksymalny wynosi 260 km. Moc: 82 KM. Przyspieszenie od 0 do 100 km/godz.: 12,3 s (auto bardzo żwawo przyspiesza jednak od zera do 50 km/godz.). Prędkość maksymalna: 130 km/godz. Aby uzyskać zasięg maksymalny, trzeba jednak ustawić tryb ECO+, który obcina maksymalną moc auta, osłabia działanie klimatyzacji, ogranicza prędkość maksymalną etc. W najtańszej wersji (Ambition) auto wyposażone jest m.in. w felgi

stalowe 14", radio z dwoma głośnikami, Bluetooth, światła LED do jazdy dziennej, asystenta pasa ruchu, automatyczną klimatyzację, elektrycznie sterowane szyby z przodu, centralny zamek oraz... ładowarkę do ładowania z domowego gniazdka 230 V (takie ładowanie ma zająć niecałe 13 godzin). Najważniejszą zaletą droższej wersji Style jest obsługa szybszego ładowania (40 kW), dodano w niej także felgi aluminiowe, dodatkowe głośniki, ogrzewane lusterka czy przyciemniane szyby.

Cena wersji Ambition wynosi 73,3 tys. zł. Po uzyskaniu dopłaty trzeba więc zapłacić 51,3 tys. zł (cena „premierowa”, od której odejmujemy dofinansowanie w tej kalkulacji, obowiązuje do 31 grudnia 2019 r., później auto ma zdrożeć do 81,9 tys. zł).

SMART EQ FORTWO

Według producenta zasięg maksymalny to 159 km. Silnik ma moc 82 KM. Przyspieszenie od 0 do 100 km/godz.: 11,5 s. Dwuosobowego malucha maksymalnie rozpędzić można do 130 km/godz.

Auto wyposażone jest m.in. w aktywnego asystenta układu hamulcowego, który w razie rozpoznania ryzyka kolizji alarmuje kierowcę, a także w asystenta bocznego wiatru, który ułatwia utrzymanie prawidłowego toru jazdy przy silnych podmuchach wiatru.

Charakterystycznymi elementami kabiny są 8-calowy ekran multimedialny oraz duża liczba praktycznych schowków. Z autem można się komunikować za pomocą smartfona, aby sprawdzić stopień naładowania baterii czy zdalnie sterować klimatyzacją. Ładowanie z tradycyjnego gniazdka (do 100 proc.) nie powinno trwać dłużej niż 8 godzin. Opcjonalna ładowarka 22 kW pozwala na uzupełnienie akumulatora od 10 do 80 proc. w 40 min. Cena katalogowa wynosi 96,9 tys. zł (po odjęciu dopłaty koszt wyniesie więc 67,8 tys. zł).



FOT. MATERIAŁ PRASOWE

VOLKSWAGEN E-UP!

Według producenta zasięg maksymalny wynosi 258 km (pojemność akumulatorów to 32,3 kWh). Silnik ma moc 83 KM. Przyspieszenie od 0 do 100 km/godz.: 12,3 s. Prędkość maksymalna wynosi 130 km/godz. Auto dysponuje bagażnikiem o pojemności 251 l.

Najmniejszy „elektryk” Volkswagena (o wymiarach 3540 x 1645 x 1489 mm) w standardowej wersji wyposażenia ma m.in. felgi stalowe 14", auto-

matyczną klimatyzację, radio z dwoma głośnikami, Bluetooth, gniazdo USB do obsługi iPhone'a oraz kabel do ładowania ze stacji ładującej. Za gniazdo do szybkiego ładowania CCS (umożliwia ładowanie prądem stałym i zmiennym) trzeba dopłacić 2990 zł – dzięki temu na stacji szybkiego ładowania można naładować to auto do 80 proc. w ok. 60 min. Brzmi kusząco, biorąc pod uwagę, że standardowy czas ładowania ze zwykłego gniazdka może zajmować nawet 16 godzin. Cena katalogowa wynosi 96 290 zł (czyli 67,4 tys. zł po dofinansowaniu).

interia

PREZENTUJE

WIRTUALNY ZNACZY REALNY

Pokazujemy, z jakim niebezpieczeństwem wiążą się cyberzagrożenia, nieograniczony dostęp najmłodszych do sieci, hejt, wykluczenie cyfrowe oraz różne formy uzależnienia w sieci.

**CHCEMY, ABY INTERNET STANOWIŁ
BEZPIECZNĄ PRZESTRZEŃ DLA WSZYSTKICH.**

DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ NA
WIRTUALNYZNACZYREALNY.INTERIA.PL

PARTNER AKCJI

NASK

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Upadek
na Wästberga

Dobra, żarty, nawet te głupawe i ponure, mają jednak swoje granice. Wychodzi facet odziany we frak, który z nazwiska nazywa się Per Wästberg, i on jest z Akademii Szwedzkiej (to akurat wiedziałem, że jest taka akademia, nawet mam wyrobione zdanie o tej akademii, ale co ja będę tu państwu humory psuć). I on wygłasza laudację (rodzaj napuszonego podlizywania się aprobowanego elitarnie) na cześć Olgi Tokarczuk, która dostała literackiego Nobla. Ja tutaj zostawię temat nieruszony, że niektórzy Polacy są dumni z tego Nobla, że jaka to jest wspiana pisarka i jaka otwarta na przestrzenie jej proza, że o ho, ho, ho, ho, a inni mniej są dumni, bo wprost twierdzą, że polonofobka i za to została nagrodzona, a piarstwo banalne, choć są banalniesze.

Nie chcę tu wchodzić w polemikę, kto ma rację, a kto nie, w żadną krytykę literacką wchodzić nie chcę albo w demaskowanie specyficznych gustów szwedzkich akademików, którzy od konserwatywnych wartości są na antypodach. To są inne pojemne tematy, w których rodak z rodakiem nie dojdzie do porozumienia, bo chodzić im się nie chce, więc trwają na stanowiskach. Ten cały Per w tej całej swojej laudacji powiedział m.in.: „Olga Tokarczuk nie ucieka od niewygodnej prawdy, nawet pod groźbą śmierci”. Jakiej znowu groźby śmierci? Co ty, facieciu, bredzisz? Tokarczuk to jednak nie jest Salman Rushdie i ona naprawdę nie napisała

żadnych „Szatańskich werbetów” i naprawdę nie musi się w Polsce ukrywać, i żaden ktoś nie obłożył jej fatwą, i wszyscy jej życzą dużo lat zdrowia wraz pomyślności. Jaką więc znowu groźbą śmierci, panie Per? Upadłeś pan na Wästberga czy jak? Mnie się przypomniła akcja sprzed kilku lat, kiedy w bardzo znanym tygodniku opinii na okładce wystąpili na zdjęciach redaktor Jarosław Kuźniar i Zbigniew Hołdys obok wielkiego tytułu: „Nie zabijajcie nas!”. Ten tytuł i ta okładka straszyły na mieście z wielkich plakatów. Było naprawdę dramatycznie. Przerażeni ludzie chodzili i pytali jeden drugiego: „Ale kto chce Hołdysa zabić, przecież dobrze grał w tym Perfekcie, a że teraz trochę pitoli o polityce, to tam trudno, no taką ma słabość, ale żeby zabijać, no za co? No chyba nie za te niemądre nakrycia głowy?”.

Tak chodzili ludzie i tak pytali szeptem. Śmiesznie się zrobiło, kiedy później Zbigniew Hołdys napisał felieton, w którym wyjawiał, że on się dopiero z tej okładki dowiedział, że on z Kuźniarem prosili bliżej niezidentyfikowanych morderców, żeby ich nie mordowali, bo on żadnego zagrożenia nie czuł, nawet przeciwnie: o osobach krytykujących go niemerytorycznie pisał z wulgarną pogardą publicznie. Na tym kończę, bo nie czuję się zagrożony, więc nie jestem nikim ważnym, co zrobić. Aha, jak ktoś zna osobiście tego Pera, to niech mu z łaski swojej przekaże, żeby nie robił z siebie Wästberga. ©©

MARCIN
MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Dyskretny
urok malwazji

Donald Tusk wydaje książkę. Jak nie, będzie kandydować w wyborach prezydenckich – głosiła miejska plotka, którą rozkręcali zwolennicy byłego premiera. Tusk jednak ostatecznie w wyborach nie wystartował, a sama książka – gdy ją w końcu przeczytał – być może go od tego skutecznie odwołała. Nie da się bowiem podejść na poważnie do dzienników pt. „Szczерze”, skoro już na starcie tytuł ma tyle wspólnego z treścią, co krzesło z krzesłem elektrycznym. W dużym skrócie nie jest to bowiem zakulisowe zerknięcie w politykę unijną, polską i duszę szefa Rady Europejskiej, ale świat, który starannie wykreował, wymuskał, obudował cytatami, nazwiskami i patosem, godnym politycznego Paulo Coelho.

Kilka przykładów stylu. „Siedzę w słońcu na tarasie, [...] oglądam reprodukcje obrazów Kokoschki, a z telefonu puszcza V symfonię Mahlera. Popijam powoli malwazję. Dawno nie czułem się tak szczęśliwy”, „W południe urywam się do berlińskiej Galerii Malarstwa Gemäldegalerie, dużo o niej słyszałem. Jeszcze w latach osiemdziesiątych wspomnieli mi o niej sam Zbigniew Herbert.

Dyrektor galerii trochę zdziwiony, że polityk poświęca czas na obrazy, ale po godzinie jest wręcz zachwycony i zaczyna rozumieć, że ma do czynienia z ludźmi tak jak on zakręconymi na punkcie malarstwa”. I teraz mój

ulubiony: „Powoli kończą się nasze tokańskie wakacje. Tydzień w raju (Adam i Ewa też na pewno się trochę kłócili). Pastorski dom przerobiony na agroturismo, niedaleko Sarteano, wokół żywej duszy, tylko góry i las, duży basen i widok na wulkaniczną Monte Amiata. [...] Z Gosią przez dwa dni jeździliśmy śladami Piera della Francesca: Monterchi, Arezzo, Sansepolcro. Freski o historii świętego krzyża mógłbym oglądać godzinami, tak samo »Zmartwychwstanie« czy brzemienną Madonnę. Wieczorem siedzę nad basenem, czytam »Barbarzyńcę w ogrodzie« Herberta, fragmenty o Piero. [...] Wnuki już śpią, dzieci pojechały do Sarteano, brunello w kieliszku”.

Czy to grzech kochać literaturę, dobre wino i obrazy? Oczywiście nie, to wręcz jedna z nielicznych rzeczy, które czynią nasz świat znośnym. Nieznośna jest jednak maniera pisania o tych sprawach w sposób tak sztuczny, jakby po prostu stworzony do pochwalenia się erudycją. Podobnie wyglądają w dziennikach wszystkie fragmenty opisujące polską i światową politykę, w których Donald Tusk zawsze bezbłędnie wyczuwa pewne wydarzenia, zanim one nastąpią (upadek Kijowskiego, rządu PiS, upadek Petru, brexit, kryzys migracyjny etc.), ale nigdy nie podaje szczegółów swoich przemyśleń. Zawsze są to mgliste intuicje, które łatwo dopisać „w edycji” post factum. Książka niestety na całej linii rozczarowuje. ©©



*Ciepłych i rodzinnych Świąt Bożego Narodzenia
oraz samych sukcesów w nadchodzącym Nowym Roku*



GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Nasza Europa Środkowa

Każda z przypadających w tym roku wielkich rocznic – stulecia podpisania traktatu wersalskiego, 80-lecia wybuchu drugiej wojny światowej, 40-lecia pierwszej pielgrzymki św. Jana Pawła II do Polski oraz 30-lecia jesieni ludów po upadku muru berlińskiego – odnosi się do Europy Środkowej. Wszystkie razem wyznaczają rytm jej dramatycznych dziejów w XX w.: od odrodzenia, zniszczenia do ponownego renesansu.

Wiele już napisano o zaletach i wadach (o tych ostatnich jakby więcej) ładu wersalskiego. Nawet przy okazji stulecia podpisania traktatu pokojowego aliantów z Niemcami w Sali Zwierciadlanej pałacu wersalskiego pobrzmiwał u zachodnich dziennikarzy i historyków ton krytyki wobec „rozproszkowania” naszego regionu Europy na skutek ustaleń paryskiej konferencji pokojowej. Tak było sto lat temu, tak jest i teraz. Za tymi skargami tkwi tęsknota – obecna na zachodnich salonach od epoki oświecenia – za Europą Środkową „uporządkowaną”, „zorganizowaną” przez jakieś wielkie i właściwie „oświecone” mocarstwa.

Do 1914 r. sprawa była jasna, a sytuacja stabilna. W Europie Środkowej dominowały trzy wiel-

kie mocarstwa: szybko modernizująca się dzięki miliardom franków Rosja, niemieckie Kulturstaat i coraz bardziej nowoczesne Austro-Węgry. Wielka wojna zmieniła ten „uporządkowany” z punktu widzenia zachodnich salonów i dyplomatycznych gabinetów ład. To, co dla zachodnich obserwatorów było początkiem „rozproszkowania”, dla nas było początkiem niepodległości i szansą na stworzenie nieimperialnej Europy Środkowej, która miała być przeciwagą zarówno dla niemieckiej Mitteleurop, jak i dla bolszewickiego parcia z płomieniem rewolucji na Zachód.

Wyrok śmierci na tak pomyślaną Europę Środkową zapadł w Moskwie 23 sierpnia 1939 r. i został podpisany w tajnym protokole dołączonym do paktu Hitler-Stalin zawartego w imieniu obydwu dyktatorów przez ich ministrów spraw zagranicznych: Ribbentropa i Mołotowa. Wyrok został wykonany dwufazowo: 1 września i 17 września 1939 r. Koniec ładu wersalskiego oznaczał koniec Europy Środkowej. Jednak warunkiem wstępnym zaistnienia takiego scenariusza było zniszczenie niepodległego państwa polskiego. Podobnie jak jego odrodzenie w 1918 r. i międzynarodowo uznane na mocy traktatu wersalskiego było początkiem budowy samodzielnej Europy Środkowej.

Święty Jan Paweł II, przybysz do Polski w okresie komunizmu, powtarzał, że „naród nade wszystko musi żyć własnym życiem”. Nie tylko naród polski. Czterdzieści lat temu przemawiając w Gnieźnie, upominał się o „zapomniane” narody Europy Środkowej i traktował to jako szczególne zrzęczenie Opatrzności, zadanie, które nieprzypadkowo przypadło jemu – papieżowi Słowianinowi.

Niepodległość ducha zrodziła wśród milionów Polaków w sierpniu 1980 r. pragnienie życia „wła-

snym życiem”, czego wyrazem był narodowy ruch Solidarność. Jej pierwszy krajowy zjazd w 1981 r., uchwalając „Postanie do ludzi pracy Europy Środkowej i Wschodniej”, dał dowód zrozumienia związku między wolnością Polski a wolnością Europy Środkowej.

Rozpoczęte przez powiew Ducha odnawiającego oblicze „tej ziemi” rozkruszanie muru berlińskiego od strony wschodniej, od strony Europy Środkowej, znalazło swój szczęśliwy finał jesienią 1989 r. Upadek reżimów komunistycznych w NRD, Czechosłowacji, na Węgrzech, w Bułgarii i Rumunii był początkiem renesansu Europy Środkowej.

Po 30 latach od jesieni ludów widać wyraźnie wszystkie dobre strony odradzającej się do samodzielnego życia Europy Środkowej. Całkiem świeży przykład to skuteczne zablokowanie przez państwa Grupy Wyszehradzkiej forsowanego przez Niemcy mechanizmu przymusowej relokacji imigrantów.

Przy tej okazji po raz kolejny okazało się, że warunkiem koniecznym funkcjonowania Europy Środkowej jako samodzielnego bytu politycznego – czy to w formule Grupy V4, czy szerszej koncepcji Trójmorza – jest nie tylko polityczna, lecz także intelektualna niepodległość polskich elit. Używając słownictwa Romana Dmowskiego z czasów, gdy negocjowano w Paryżu traktat pokojowy z Niemcami, można powiedzieć, że dopóki nasze elity myślą w kategoriach „małego folwarczku”, dopóty Europa Środkowa pada ofiarą jakiejś nowej wersji Mitteleurop. Przypomnijmy, że w tej ostatniej – sto lat temu i teraz – nie chodziło o germanizację, lecz o kontrolę przez nałożenie niewidzialnej, acz odczuwalnej bariery rozwojowej na naszą część Starego Kontynentu. ©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE





fot. Jerzy Gumowski

Dla Orłów

Dosyć rzadko zdarza mi się pisać o rocznicach aż tak okrągłych. Tysiąc lat temu (~1020, może 1019/20) urodził się Ojciec Święty Grzegorz VII, którego wielu dziejopisów (choćby nasz Leon Rogalski, 1862) zwie „największym z papieży”, bo uzdrowił i gruntownie zreformował katolicki Kościół, wyrывая go spod decyzyjnego wpływu świeckich tyranów i czyniąc suwerenną potęgą europejską/światową, a nadto był przyjacielem polskiego króla, Polska miała ciepłe miejsce w jego sercu.

Od młodości ten plebejusz (syn cieśli) imponował zdolnościami, a później, jako hierarcha, cnotliwym życiem, gdyż przeciwieństwo liczni ówczesni książęta Kościoła nie gonili za złotem i kolekcjonowaniem majątków. Już wcześniej, młnichen będąc, spłobił się do roli wielkiego rycerza Jezusa Chrystusa, czyli do dwóch fundamentalnych batalii — do moralnego podniesienia duchowieństwa (etyka kleru była naonczas kosztowna, szerzyły się symonia, rozpusta, fałszywe cuda i relikwie, ucisk małuczki) oraz do zniesienia władzy świeckiej nad kościelną (papież, kardynałowie i biskupowie mianowali zazwyczaj niemieccy cesarze). Warunki anatomiczne — nikczemny wzrost, chuderlawa postura, wysuszone śniada gęba — zdawały się przeczyć „emploi” tytana, lecz kiedy otwierał usta, by ciskać natchnione słowa o świętym Chrystusowym posłannictwie Kościoła Rzymu, rósł i piękniał, a w jego dużych czarnych oczach gorzały płomienie i pioruny. Nie miał jeszcze dość siły, by uskrzydlić reformatorsko papieża Stefana X, dwóm kolejnym (Mikołajowi II i Aleksandrowi II) pomógł zdobyć światobliwy stolec, lecz zawiódł się na nich. Zrozumiał, że rewolty musi dokonać sam jako ziemski Namiestnik Ukrzyżowanego.

Moc gigantów biblijnych wstąpiła w nędzne ciało tego służącego tylko Niebu kapłana, gdy z entuzjastycznej woli rzymskiego ludu (tudzież rzymskich duchownych) objął A. D. 1073 tron apostołski wewnątrz pałacu Lateranów (nie było jeszcze wtedy watykańskiej siedziby papieństwa). Rządząc nie zmienił się ani o jotę — radykalnie wyskromnił papieski dwór rozbuchany uprzednio po bizantyjsku, a skibka chleba, lampka młodego wina i miseczek białego grochu, zwykły pokarm uczniów św. Benedykta, starczyły mu za posiłek. Jadał raz dziennie, wieczorem. Dużo obfity pokarm stanowił lekturę. Takim był ów człowiek — asceta wyzuty z namiętności doczesnych, ze wszelkich przyziemnych żądz. Fanatyk niebiańskiej żądz uzdrowienia/umocnienia Kościoła, trawiony głodem swej reformatorskiej idei wojownik, którego śmiałość nie знаła barier. Nawet kalwinista, głośny oświeceniowy historyk szwajcarski Johannes Müller, jako komentator zdejmował przed Grzego-

rzem VII kapelus, przyznając, że „ten biskup Rzymu posiadał odwagę bohatera, mądrość senatora, gorliwość proroka” (1808).

Wojna św. Grzegorza z piekłem politycznym była starciem z imperium germańskim. Ściślej: z cesarzem Henrykiem IV, satrapą. Do takiej walki boski „Papa” potrzebował silnych sprzymierzeńców na Zachodzie i na Wschodzie. Na Wschodzie zwrócił jego uwagę pewien dzielny i szczerze Bogobojny trzydziestolatek, lechicki Boleslaus (Bolesław II Śmiały vel Szczodry), który szybko zrobił ze swego państwa mocarstwo i który skutecznie szachował niemieckiego cesarza, uprzedzając każdy jego ruch, grając biegle na rozdźwiękach między Sasami a Szwabami (gdy Henryk chciał uderzyć Polskę, Bolesław podburzył mu Sasów i cesarz musiał się zająć tłumieniem buntu), konstruując czeskiego alianta Niemiec, Wratysława, osadzając władców na sąsiednich tronach (ruskim tudzież węgierskim) zgodnie z własną wolą. Sojusz Grzegorza i Bolesława (A. D. 1075) dał tym chrześcijańskim aliantom obustronne korzyści: papież miał wschodnioeuropejską siłę przeciwko cesarzowi niemieckiemu, zaś polski król mógł dzięki papieżowi emancypować polski Kościół, wyjmować go spod zwierzchnictwa ce-



Teofil Lenartowicz („Święta praca”):

„Gdy św. Grzegorz ręką skinie,
Pękają lody i Wisła płynie”



sarskiego. Zresztą nie tylko Polacy winni byli Grzegorzowi wdzięczność. Prof. Jerzy Dowiat: „Był on nadzieją wszystkich antynie-mieckich ugrupowań w Europie, jego politykę popierały zarówno monarchie zachodnie (Anglia, Francja, Hiszpania), jak też i wschodnioeuropejskie (Węgry, Polska). Bolesław Śmiały z pomocą Grzegorza odbudował metropolię gnieźnieńską i niezależną hierarchię kościelną w Polsce, dzięki niemu też zyskał koronę królewską” (1963).

Około początków roku 1077 zagrożony ze wschodu przez Bolesława i obłożony papieską klątwą cesarz Henryk, przeciwko któremu zbuntowali się poddani (klątwa uwalniała ich od posłuszeństwa, a do nieposłuszeństwa judzili agenci Śmiałego), jak też i w schodnioeuropejskie (Węgry, Polska). Bolesław Śmiały z pomocą Grzegorza odbudował metropolię gnieźnieńską i niezależną hierarchię kościelną w Polsce, dzięki niemu też zyskał koronę królewską” (1963).

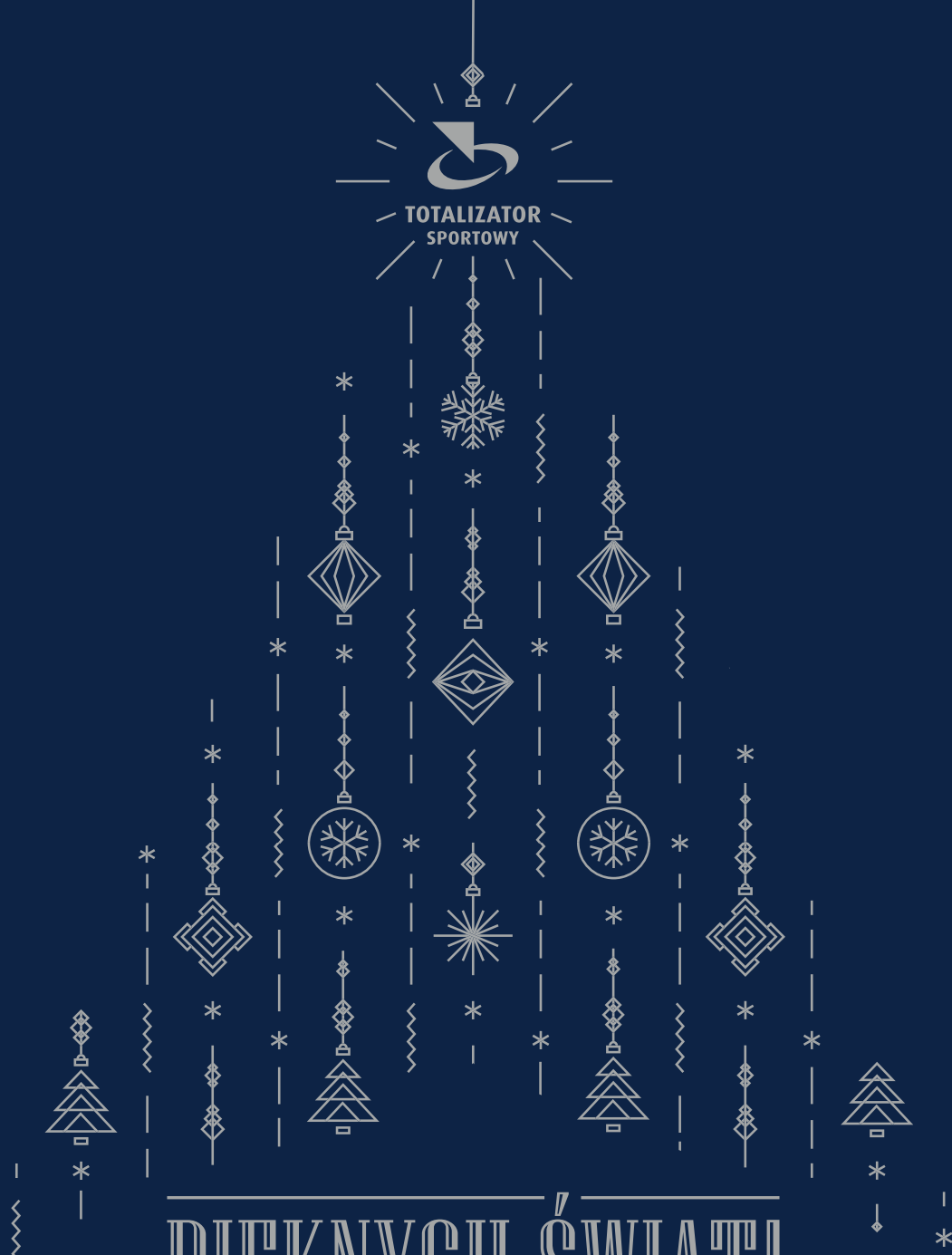
Około początków roku 1077 zagrożony ze wschodu przez Bolesława i obłożony papieską klątwą cesarz Henryk, przeciwko któremu zbuntowali się poddani (klątwa uwalniała ich od posłuszeństwa, a do nieposłuszeństwa judzili agenci Śmiałego), jak też i w schodnioeuropejskie (Węgry, Polska). Bolesław Śmiały z pomocą Grzegorza odbudował metropolię gnieźnieńską i niezależną hierarchię kościelną w Polsce, dzięki niemu też zyskał koronę królewską” (1963).

Około początków roku 1077 zagrożony ze wschodu przez Bolesława i obłożony papieską klątwą cesarz Henryk, przeciwko któremu zbuntowali się poddani (klątwa uwalniała ich od posłuszeństwa, a do nieposłuszeństwa judzili agenci Śmiałego), jak też i w schodnioeuropejskie (Węgry, Polska). Bolesław Śmiały z pomocą Grzegorza odbudował metropolię gnieźnieńską i niezależną hierarchię kościelną w Polsce, dzięki niemu też zyskał koronę królewską” (1963).



Od czasu Canossy głównym celem przywrócenego do pełnej władzy Henryka stała się zemsta na papieżu. Po zwycięstwie w wojnie domowej był gotowy, lecz ruszyć z wojskiem ku Rzymowi nie mógł póki za plecami miał polskiego sojusznika Grzegorza — nie ulegało wątpliwości, że Bolesław wyciągnie miecz dla obrony papieża. Trzeba więc było najpierw zniszczyć ten miecz. Co uczyniono siłą dywersji, podburzając przeciwko Śmiałemu sarmackich możnowładców, których wsparł krakowski biskup Stanisław (prof. Tadeusz Wojciechowski nazwał tę dywersję „arcydziełem polityki niemieckiej i czeskiej”, 1904). Pamiętajmy, że Bolesław II Śmiały/Szczodry był wielkim dobroczyńcą polskiego Kościoła. Niektórzy nasi historycy uważali już w XIX/XX stuleciu, iż chlubne miano „Odnowiciel” bardziej należało się jemu aniżeli jego ojcu Kazimierzowi, gdyż przywrócił na ziemiach polskich siłę chrześcijaństwa zniszczoną wcześniej wskutek tzw. „reakcji poganińskiej”, nadał Kościołowi sporo gruntów, budował liczne świątynie i klasztory, etc. Ale tak jak wypowiedzeniem przez Grzegorza VII wojny cesarzowi był papieski dokument „*Dictatus papae*” — tak Bolesławowe dokumenty wzmacniające arcybiskupstwo gnieźnieńskie (w ramach uniezależnienia Kościoła polskiego od niemieckiego) zostały uznane przez krakowskiego biskupa Stanisława za wypowiedzenie mu wojny, bo z głównego kościelnego hierarchy w Polsce spadł na szczybel podwładnego gnieźnieńskiego metropolity Bogumiła (dodatkową przyczyną wrogości Stanisława wobec monarchy był królewski projekt rozbudowy sieci biskupstw, oznaczający uszczuplenie terytorium diecezji krakowskiej, ziemskiego potentata). Gdy jeszcze koronacja Bolesława (1076) rozsiardziła tych możnowładców, którzy nie chcieli umacniania władzy centralnej — niemiecko-czeska dywersja zyskała podatny grunt. Wypędzenie Bolesława z ojczyzny, sekundujące wypędzeniu arcybiskupa Bogumiła z Gniezna (jego miejsce zajął metropolita niemiecki), uczyniło bezbronnym wielkiego papieża, i Henryk IV mógł spokojnie zająć Rzym, by zgłotować Grzegorzowi ten sam los — wygnanie. Orły często tak kończą. ©©

Waldemar Łysiak



PIĘKNYCH ŚWIAT!

*Niech wiara, nadzieja i pokój
zagoszczą w te Święta w każdym domu!*

*Oby ten magiczny czas upłynął
Państwu radośnie i spokojnie.*

*Najpiękniejszych Świąt Bożego Narodzenia
oraz pomyślnego Nowego 2020 Roku*

życzy

Zarząd oraz pracownicy Totalizatora Sportowego